

**FRÉDÉRIQUE HÉBRARD**

# **Pałac pod Oliwkami**

*Le Château des Oliviers*

Przełożyła Regina Gręda

**Twój STYL**  
**Warszawa 1995**



*mojemu synowi François, na znak przyjaźni*

*Historia ta w znacznej części rozgrywa się w Châteauneuf-du-Pape, ku chwale tej pięknej prowansalskiej krainy i jej winnic.*

*Jednakże fabuła jest czystym wytworem wyobraźni i wszelkie podobieństwo bohaterów „Pałacu pod Oliwkami” do osób żyjących lub zmarłych wynika jedynie z przypadkowej zbieżności.*

# I

Nagle - Rodan.

Zapomniała, że jest tam, wciśnięty między kamienne nabrzeża. Nie więzień jednak, raczej - przejezdny. Jak ona.

Opuściła Paryż rankiem, gnana okrutnymi myślami i lękiem przed decyzją, którą zamierzała powziąć...

Odmienić swe życie. Zerwać. Zacząć od nowa.

I oto wyjeżdża z tunelu w samym sercu Lyonu na spotkanie z Królewską Rzeką, światłem i wspomnieniami. Wyrwana z ciemności wyciąga w niemym błaganiu dłoni ku wodzie i uśmiech rozjaśnia jej twarz - już nie jest sama. Rodan poprowadzi ją do samych źródeł, do korzeni. Pojedzie wzdłuż jego brzegów, będzie go muskać, przekraczać, gubić, wypatrywać i znów spotykać... Będą sobie nieustannie towarzyszyć w tej drodze wyznaczonej u zarania dziejów. Rodan - nawet niewidoczny - będzie obok. Nawet niemy - będzie jej powiernikiem. On płynie, ona jedzie, oboje z brzemieniem dawnych cierpień, nowych trosk. I nadziei.

Jednym spojrzeniem wyznała mu wszystko. Zrozumiał, odpowiedział. Teraz już wie, co ma robić.

Każde z nich podąża swoją drogą...

W Valence, w miejscu, gdzie szosa styka się z rzeką, widok pierwszych romańskich dachówek wprowadza ich do ziemi obiecanej.

Winnice, sady owocowe, szpalery cyprysów, niewielkie domeczki w obramowaniu kulistych krzaków lawendy.

Krajobraz powoli się zmienia. Estelle wypatruje bacznie sylwetki zwiastuna - wiekowego drzewa powykręcane przez wiatry jak przez reumatyzm, samotnika, który zapuścił się z północy tak daleko, jak tylko to było możliwe, ku Morzu Śródziemnemu. „Do

morza nie więcej stąd niż dwadzieścia mil”, mawiał Mistral\*... Stare drzewo wykroczyło poza słupy graniczne i zatrzymało się w kamienistym polu porośłym upajającymi ziołami.

Estelle widzi je już z daleka, zwalnia, pozdrawia i odkrywa, że przybył mu towarzysz. Maleństwo o wąłym i bladym listowiu.

Jakież to morski wiatr dął tak silnie, by zasiać to ziarno oliwne u stóp patriarchy?

Skąd przybywasz, Oliwko, by tak serdecznie mnie witać? Może od moich? Zresztą nieważne, zachowaj swą tajemnicę, wiecznie odradzająca się duszo tej ziemi. Ty jesteś Prowansją.

Rodan płynie swoją drogą, Estelle podąża swoją. Zjechała z autostrady w kierunku Orange. Pozdrowiła Mur\*\*, zostawiła za sobą rzymską osadę i minęła kamieniste, Grecją pachnące landy, nim zabrnęła w sam środek winnic. Morze usunęło się stąd zaledwie pięćdziesiąt milionów lat temu, ale trzeba było doczekać końca pliocenu, by Rodan, niosąc moreniczne otoczaki, połączył je z winnymi szczepami, i mogło z tego związku narodzić się jedyne w świecie wino.

<p style="text-align:center"><b>TUTAJ ZACZYNA SIĘ SŁYNNNA WINNICA CHÂTEAUNEUF-DU-PAPE</b></p>
---

Gdy była dzieckiem, dziwiło ją to rozgraniczenie ziemi, która zdawała się jednakowa po obu stronach tablicy. Pewnego dnia poprosiła ojca o wyjaśnienie. Odparł z całą powagą, że to Duch Fantastyczny Prowansji pewnej letniej nocy wyznaczył tę niewidzialną granicę. Myśl o tym magicznym katastrze oczarowała dziewczynkę do tego stopnia, że wiele lat później przytoczy tę opowieść swoim dzieciom.

- Ty wierzysz we wróżki? - z konsternacją zapytała Philippine.

- Ty wierzysz we wróżki! - zaśmiał się Antoine.

- Ty wierzysz we wróżki - zachwycił się Luc.

Teraz, myśląc o tym, westchnęła:

- Cudowna to rzecz - rodzina!

Ale czy ta jej - jest prawdziwą rodziną? Czy potrafiła przekazać swoim bliskim to, co

---

\* Mistral Frédéric (1830-1914) poeta prowansalski, inspirator i najwybitniejszy przedstawiciel ruchu literackiego Félibrige. Laureat nagrody Nobla w 1904 r., którą przeznaczył na ufundowanie Muzeum w Arles.

\*\* Mur - ściana amfiteatru rzymskiego w Orange, najlepiej zachowanego obiektu tego typu nie tylko w Prowansji, lecz w całym świecie antycznym (103 m długości i 38 m wysokości). „Najpiękniejszy mur królestwa” zdaniem Ludwika XIV.

otrzymała w spadku? Czy potrafiła być ich pamięcią?

Nagle czuje, że ma ochotę rozplakać się, zupełnie jak rano, gdy opuszczała Jérôme'a. Jérôme'a, z którym właśnie zerwała, zadzwoniwszy do niego z budki telefonicznej przy autostradzie, dokładnie o piętnastej dwadzieścia trzy. Jérôme'a, któremu powiedziała: „Wyjeżdżam, żeby wszystko przemyśleć”, gdy tymczasem wyjeżdżała, by go opuścić. By raz na zawsze oddalić się od niego, tak by powstała przestrzeń pomiędzy ich losami, ich dwojgiem ciał. Jérôme'a, który przez kilka lat liczył się w jej życiu i którego porzuca teraz nie dla „kogoś”, jak mu się wydaje, lecz żeby odnaleźć siebie.

Dziś wieczorem oznajmi to rodzinie podczas pikniku przy fontannie. Będą wszyscy, jak co roku, zawsze na początku lipca. Już słyszy: „A gdzie Jérôme? Kiedy przyjedzie Jérôme? Gdzie podziałas Jérôme'a?”

O Boże! W jej wieku może przecież robić, co zechce! Czyż nie? Od ich rozvodu Rémy nie krępował się i zmieniał dziewczyny jak rękawiczki! Ileż to ich już było? Pięć? Sześć? Tyle, co jego firm... Lecz czy można brać mu to za złe? Jeśli nawet ich małżeństwo nie było sukcesem, rozwód okazał się arcydziełem. Wszyscy to przyznają. Co by się na przykład z nią stało, gdyby go tu nie było trzy lata temu, kiedy miała kłopoty z podatkiem gruntowym, gdyby nie odkupił jednej trzeciej ziemi?

Na szczycie kamiennego płaskowyżu pojawiają się ruiny zamku - dawnej siedziby papieża z Awinionu. Estelle podąża w ich kierunku, na chwilę zbaczając z drogi. Chce się pożegnać ze swoim towarzyszem podróży, który popłynie dalej swoją trasą - aż do morza. Chce mu podziękować.

A Rodan, z ramionami rozpostartymi w dolinie, lśni w słońcu, które nadaje mu cynowe, ołowiane i złote refleksy. Z daleka zdaje się nieruchomy, zastygły w wieczności. Lecz nic nie umknie jego uwagi, ni lot jerzyka, ni gramolenie się bobra, ni pocałunek, który Estelle pośle z wysokości swej skały, zanim wejdzie do Romaina, do jego sklepu *Aux Primeurs des Papes*, żeby kupić *papeton*\* z bakłażanów, *cres-peou* i *anchois* na wieczorny piknik.

- Myślałam, że coś ci się stało! - przywitała ją Amélie, kiedy samochód zatrzymał się przed drzwiami jej małego domku. - Strasznie się martwiłam!

Zwyczajowe słowa, które stara kobieta powtarza co roku, niezależnie od godziny, o której Estelle przyjeżdża, by ją zabrać do pałacu.

---

\* Patrz aneks na końcu książki: „Uroki Południa”.

Z walizką u stóp, w kapeluszu przyszpilonym do koczka, Bóg raczy wiedzieć, jak długo czeka, obracając w myślach wszelkie możliwe warianty przypuszczalnej katastrofy. Uspokojona, powtarza następne rutynowe słowa:

- Znowu schudłaś! Kości ci sterczą! - A zaraz potem dodaje, jak gdyby rzuciła czarodziejskie zaklęcie: - Odkarmię cię, moja malutka! - i Estelle wybucha śmiechem, szczęśliwa, że jest jeszcze ktoś, kto w jej wieku uważa ją za malutką.

- Co sprawiło, że zjawiasz się tak późno? - pyta Amélie, której bardzo zależy na zachowaniu rytualnej srogości.

- Zboczyłam z trasy, by pozdrowić Rodan.

- Ach tak, to dobrze! - mówi Amélie, całkowicie uspokojona tym wyjaśnieniem.

Nagle, gdy wyjeżdżają z Châteauneuf, zaniepokoiła ją nieobecność Jérôme'a. Estelle nienawidzi kłamstw, zresztą kłamać dość nieudolnie. A ponadto okłamać Amélie to ponad jej siły, więc otwiera usta, żeby wyznać prawdę; lecz wyznanie okazuje się niepotrzebne, bo właśnie Amélie wyrywa się z ust patetyczny okrzyk:

- Chleb!

- Kupiłam u Romaina - uspokaja ją Estelle.

Teraz zwalnia, opuszcza szybę i wjeżdża w pierwszy magiczny krąg, chroniący posiadłość: wiekowy las. Pośród zielonych, białych i karłowatych dębów, oleandrów o gęstym listowiu i akacji, jedzie jak najostrożniej, z palcem na ustach, by Amélie nie zakłócała odgłosów przyrody. Niesiony wiatrem zapach tymianku, rozmarynu, lawendy i włoskiego kopru wciska się do samochodu, w drzewach hałasują cykady, jak gdyby najgłośniejsza miała dostać nagrodę. Pogański porządek zostaje odnaleziony.

Kiedy pojawiają się pierwsze krzewy winnej latorośli, Estelle zwalnia jeszcze bardziej.

- Winobranie będzie piękne! - entuzjazmuje się Amélie, a potem ciszej dodaje: - Co za nieszczęście...

Estelle nie odpowiada i cisza zalega w samochodzie, który sunie skrajem winnicy, potem zanurza się w święty las, gdzie teraz panuje już jeden tylko gatunek: drzewo oliwne.

Amélie dobywa klucz ze swojej torby. Ogromny klucz. Z gatunku tych, którymi otwiera się kościoły i grobowce. Przygląda mu się ze smutkiem i mówi:

- W ubiegłym tygodniu Samuel przywiózł mnie tutaj samochodem, żeby trochę przewietrzyć... Dom pachniał stęchlizną, jak gdyby nie otwierano go przez sto lat! Wstyd mi się zrobiło...

- Wstyd?

- Wstyd. Czasami myślę sobie: Amélie, powinnaś spędzać zimę „Pod Oliwkami”! Ale nic na to nie poradzę, strachliwa jestem!

- Czy nie sądzisz, że to raczej ja powinnam się wstydzić?

Amélie jest zdumiona.

- Czy naprawdę widzisz siebie, jak zimą mieszkasz sama w tym wielkim domostwie? Nawet z Bläidem u boku?

Estelle uśmiecha się.

- Kto wie?...

Tymczasem tam, na wzniesieniu, strzeżony przez trzy platany, katalpę i judaszowiec jak przez wiernopoddańczych wasali, zamknięty, ślepy, pojawia się Pałac pod Oliwkami.

\*

Zamknięty dom przeżywa ostatnie chwile samotności i przygotowuje się do wyjścia z ciemności, do przyjęcia swoich bliskich.

Skrzypienie parkietów, westchnienia wiatru, zasiedziałego tutaj od zimy w szeleszczących, porozdzieranych przez czas zasłonach... Nie spoczęła na nich żadna żywa ręka, a drzwi same otwierają się z wolna w ciemności...

Mrok to nastrój opuszczonych domów, w galerii portretów tylko przodkowie są jak dotknięci nyktalopią, nic nie umknie ich przenikliwym spojrzeniom. Ani mysz polna, która czuje się tu jak u siebie, chociaż będzie musiała się wyprowadzić, ani ptaki, które przez uszkodzoną okiennicę wślizgują się ze światła w mroki, wnosząc życie i ruch, ani tłusciutka popielica, której nic nie przeszkadza i która, jak rok długi, panoszy się na strychu, sypiając snem sprawiedliwego na wybebeszonej poduszce.

Zaskroniec, zwany Wszystkowiedzącym, podjął już decyzję. Przy pierwszym poruszeniu klucza w zamku, udaje się na wakacje, zwinnie wymyka się przez dziurę pod kamiennym zlewem, która mu służy za drogę ewakuacyjną, podobnie jak otwór w dolnej części drzwi jest przejściem dla kotów. Spędzi lato w usypisku przy źródle. Nie niepokojony.

Przodkowie natomiast są niespokojni. Wyczuli niebezpieczeństwo, podobnie jak zwierzęta czują nadejście zawieruchy albo tłące się zarzewie pożaru w lesie.

Raz jeszcze zapowiedź niebezpieczeństwa zawisła nad „Oliwkami”. Groźba śmierci. Zniszczenie zostało zaprogramowane. Wiedzą, kto to zrobił. Wiedzą dlaczego. Chcieliby krzyknąć, bić na alarm, uprzedzić Estelle.

Antenaci to tylko zwykłe portrety. Obrazy. Nie jest to nawet dobre malarstwo. Estelle wyraża się o nim: interesujące. To mówi samo za siebie. A mimo to kocha je. Uwielbia. Dbą



o nie, toczy wojnę z kołatkami i innymi niszczycielami drewna, tępi insekty, kurz, pokrywa płatkami złota ściemniałe ramy. Przemawia do nich. Niestety nie może usłyszeć ich niemych przekazów.

Dlatego też wokół pięknej Donny Bianki, dalekiej praprababki, która przybyła z Rzymu w XIV wieku, by poślubić w piętnastej wiosnie Gabriéu Laborie zwanego Óulivié, pana Sauveterre, wokół Donny Bianki w nieskalanej szacie, nieruchomi przodkowie drżą ze strachu. Archaiczna rama jej portretu nosi tarczę herbową z dewizą domu: *Semper Vigilans*.

Ogromny klucz obraca się w zamku...

Wszystkowiedzący wymknął się do źródła.

Lato wkracza do domu.

Ojciec mawiał, że byli tutaj „od zawsze”. I że zawsze wytwarzali wino i tłoczyli oliwę.

- Tato, „od zawsze” to znaczy od kiedy? - pytała dziewczynka.

- „Od zawsze” to blisko tysiąc lat przed naszą erą.

- To dlaczego ci ludzie z „zawsze” nie mają swojego portretu, takiego jak Donna Bianca, tato?

Śmiał się.

- I tak to już piękna sprawa, kiedy się ma rodzinny portret pochodzący z XIV wieku! A któż ci powie, że w ziemi naszych posiadłości nie ma kamiennych dóbr przodków, które tylko czekają, by je wydobyto na światło dzienne?

- A *Semper Vigilans*, co to znaczy, tato?

- Nie da się tego przetłumaczyć!

- Tato!...

- W każdym razie, co by to nie znaczyło, masz być grzeczna! - konkludował, podrzucając ją w powietrze.

„Blisko tysiąc lat przed naszą erą”.

Zapewne miał słuszność. Zapewne byli tam zawsze, zasiedzieli pomiędzy winnicą a gajem oliwnym, sładzy tej ziemi, nim jeszcze stali się jej panami. Od kogo otrzymali herb i przywileje? Od władcy Świętego Cesarstwa? Od papieży z Awinionu? Od księcia Orańskiego?\* Od ostatniego króla Prowansji? Na pewno nie od króla Francji, gdyż Châteauneuf-Calcernier, zwane du-Pape, przyłączono do Francji dopiero z Rewolucją.

---

\* Książę Orański - nazwa pochodzi od miasta Orange, w XIII w. siedziby małego księstwa. Dotychczas holenderska dynastia królewska używa tytułu księżę i księżna Orańscy.

Tak czy inaczej fale morskie i winnice zawsze dobrze ze sobą współżyły i szczególne położenie Księstwa nie było przeszkodą, by męska linia rodziny służyła na morzu. Na ścianach jest wiele portretów marynarzy, a ten najpiękniejszy, w mundurze oficera marynarki wojennej, to Juste Laborie de Sauveterre. Towarzysz bajlifa de Suffren<sup>\*</sup>, podążył za nim aż do Ameryki podczas wojny o Niepodległość, a kiedy powrócił stamtąd w 1783 roku, tak bardzo urzekły go idee republikańskie Nowego Świata, że zaniechał swojego tytułu, zatrzymał tylko nazwisko Laborie, przystąpił nawet do Konwentu i zakończył swój żywot pod gilotyną, gdyż odmówił głosowania za straceniem króla. „Ten - powiedział Antoine - to naprawdę bezbłędnie przeżył swój *parcours*”!

Pośród tych marynarzy i właścicieli winnic kilka twarzy kobiecych. Eulalie - błada, romantyczna piękność. W uszach wisiorki z granatów w kształcie kiści winogron. Estelle wkłada je na wielkie okazje. Valentine, feministka o buńczucznym wejrzeniu, która pojechała do Anglii, by wesprzeć Emmeline Pankhurst<sup>\*\*</sup> i tam poznała więzienia Jej Królewskiej Mości. Potem jej brat Brutus, olbrzym, który był lekarzem w koloniach i zmarł od gorączki w Tonkinie.

Za nimi ostatni już portret. Alfonse. On to uczynił wino z ich winnic jednym z przedniejszych w Châteauneuf. Lecz Alfonse nie tylko był genialnym producentem wina, był poetą i człowiekiem wykształconym. Rozpoczął nawet tłumaczenie *Mirejo*<sup>\*\*\*</sup> na łacinę, ale potem, ku ogólnemu zadowoleniu, zaniechał tego przedsięwzięcia, by poświęcić resztę swego żywota winnicy, językowi prowansalskiemu i kilku bezowocnym wykopaliskom archeologicznym.

W rogu płótna namalowano świętą Estelle<sup>\*\*\*\*</sup> jako złotą tarczę herbową. To właśnie na pamiątkę tego dziadka, zmarłego na długo przed jej przyjściem na świat, Estelle nosi imię jakże drogie felibrom<sup>\*\*\*\*\*</sup>. Siedmioramienna gwiazda naznaczyła ją jak piętno. Na zawsze.

---

\* Suffren de Saint-Tropez (Pierre Andre de), znany jako bajlif de Suffren (1729-1788) - żeglarz francuski, bajlif Zakonu Maltańskiego, brał udział w wojnie w Ameryce, a także walczył z Anglikami w Indiach.

\*\* Emmeline Pankhurst (1858 - 1928) - angielska działaczka ruchu kobiecego, założycielka Społ.-Polit. Unii Kobiet, bojowej organizacji do walki o prawa polityczne dla kobiet.

\*\*\* *Mirèio* (Mireille) - prowansalski poemat Mistrala. Epopeja sentymentalna, której akcja toczy się w Kamardze. Do libretta napisanego na podstawie tego poematu Gounod skomponował muzykę opery komicznej.

\*\*\*\* Święta Estelle - dziewica, córka rzymskiego gubernatora miasta Saintes, nawrócona przez świętego Eutrope'a i umęczona w Saintonge 21 maja 98 roku. Święta Estelle została obrona patronką felibrów ze względu na symboliczne imię i datę imienin, która przypomina rocznicę ufundowania Félibrige, 21 maja 1854 roku w Font-Segugne. Siedmioramienna gwiazda, *l'estello di set rai*, stała się następnie godłem Félibrige, a uroczyste zgromadzenie tego stowarzyszenia ma miejsce rokrocznie w dniu Świętej Estelle (*Tresor de Félibrige*, Frédéric Mistral).

\*\*\*\*\* Felibre (prowansalskie félibre) - poeta lub pisarz tworzący w dialekcie oc, którym posługiwali się mieszkańcy południowej Francji poniżej Poitiers i Grenoble.

Po Alfonsie nie ma już więcej portretów. Nikt nie uwiecznił wdowy po nim, Roseline. I nikt też nie namalował rodziców Estelle. Kiedy dramat wstrząsa rodziną, któż myśli o rozstawianiu sztalug?

Na pustej ścianie historia rodu Laborie zdała się zatrzymać.

- Mamo?

Na głos synów Estelle porzuca towarzystwo przodków i biegnie do drzwi.

Luc i Antoine, ledwo wysiedli ze swojego 2CV, już zawładnęli Amélie. Pierwszy ujął ją pod brodę, drugi obejmuje w talii, całują w kark, łaskoczą... A ona powtarza: „Ale głuptasy!... Ale głuptasy!...” i jest w siódmym niebie. Wyrывa się dla formy, gotowa poddawać się torturom chłopców, których karmiła butelką, wymierzała im klapsy, rozdawała cukierki, gdy byli mali.

Dom, dopiero co otwarty, już pęka w szwach. Ile radości! Paczki, walizki, rakietki tenisowe, bezkształtne torby wyładowane z samochodu podkreślają jeszcze nieład, w jakim Estelle zostawiła swoje bagaże pod wazami z Anduze. Kwitnące w wazach oleandry nadają artystyczny rys temu całemu bałaganowi. Amélie korzysta z pojawienia się matki chłopców, by wywinąć się im i upomnieć o okup - tradycyjny wkład, który od lat wszyscy wnoszą, by urządzić piknik.

Wieczorny piknik; cała rodzina odnajduje się wówczas wokół starej, kamiennej fontanny, na której stopniach wyryto dewizę:

*Semper Vigilans.*

Nieprzetłumaczalne. Ta sama dewiza widnieje na pierścieniu, który nosi Estelle.

Dary leżą już na kuchennym stole.

- Pamiętacie - mówi rozbawiona Amélie - jak to w zeszłym roku mieliśmy pięć gatunków wędlin i ani jednego bochenka chleba! W tym roku to się nie powtórzy!

- Dlaczego? - pyta Antoine. - Czyżbyśmy mieli pięć bochenków chleba i ani jednego kawałka wędliny?

- Co za dzieciuchy! - powtarza Amélie wycierając oczy, gdy tymczasem rozbrzmiewa dzwonek telefonu, pierwszy w tym sezonie.

To Rémy. Dzwoni z samochodu, żeby zapowiedzieć swój przyjazd.

- Informacja przeznaczona dla nas, żebyśmy przystąpili do rozwijania czerwonego chodnika przed Carlą! - stwierdza Antoine, odkładając słuchawkę.

- Przed Carlą? - ze zdziwieniem pyta Estelle.

- Nową narzeczoną taty...

- A co z... Fabienne?

- Nie przetrzymała zimy - wyjaśnia Luc z filozoficznym spokojem.

Pochylone nad wiktuałami, Estelle i Amélie spoglądają po sobie zaniepokojone.

- I wy znacie tę Carlę?

Skądże! Wiedzą tylko, że jest Włoszką i że „wygląda jak aktorka”.

- Oby tylko nas polubiła! - mówi Estelle odpukując w nie malowane drewno.

- Dotychczas wszystkie nas lubiły, mamo! - stwierdza Luc, uspokajająco obejmując ją i całując. - Dlaczego miało by się to zmienić?

- A jednak uporządkujmy trochę rzeczy przed ich przyjazdem, choćby po to, żeby zrobić dobre wrażenie...

Za późno. Odgłos trzystu koni mechanicznych na pełnych obrotach wypłasza wszystkie ptaki w okolicy. Wystraszone wzbijają się do lotu. Rémy musiał dzwonić w chwili, gdy wjeżdżał do starego lasu. Ledwo zdążyli wybiec przed dom, z alei wypada szkarłatne, luksusowe ferrari i zatrzymuje się przed skromnymi bagażami chłopców.

- Estelle!

- Rémy!

Kiedy się ich widzi takich uszczęśliwionych ze spotkania, trudno sobie wyobrazić, że rozwiedli się ponad osiem lat temu.

Ach, ten Rémy!... jego kaszmirowe swetry, śniada cera, jego *must*... ale dzisiaj jego *must* to smukła, uśmiechnięta, młoda kobieta, która wysiada z ferrari. Nie tylko jest zachwycająca, nie tylko ma dwadzieścia dziewięć lat, lecz jej oczy tryskają urokiem i serdecznością. Ujmuje dłonie Estelle, idącej jej na powitanie.

- Jakże to miło, że przyjmujesz mnie w swoim domu!

A potem poprawia się:

- Może powinnam zwracać się per pani?

- Nie, nie! - protestuje Estelle. - Na ty, od razu, tak będzie najlepiej. Serdecznie witam *nella mia casa*, Carlo!

„No proszę - myśli Antoine - i oto mamy przyjaciółki. Ten tata to jednak ma fart! W każdym razie, jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, to mam nadzieję, że ta jego Traviata jest równie głupia, co piękna!”

Ale nie jest tego taki pewien. Młoda kobieta w milczeniu przygląda się domostwu, jak gdyby odnalazła drogą sobie istotę. Jej oczy biegną wzdłuż fasady, z której odpada tynk, a niebieskie zygzaki znaczą miejsca, gdzie kiedyś winorośl czepiała się ściany. Sunie wzrokiem po rozeschniętych okiennicach z otworami w kształcie serduszek, przenosi go na dach z

wyblakłych dachówek, wraca spojrzeniem na taras, który zarosły chwasty.

- Pałac pod Oliwkami... - szeptuje.

- Jeśli chodzi o wygodę - mówi zaniepokojona Estelle - to mam nadzieję, że Rémy cię uprzedził. Jest tu raczej...

- *Non importa...* ale, co ważne, widzę, że kiedy tu przyjeżdżasz, to wkraczasz w *niegdyś...* jak gdybyś pokonała czas.

Estelle patrzy na Rémy'ego z taką dozą wdzięczności, jak gdyby ofiarował jej cenny podarunek. Bo rzeczywiście, tamte poprzednie wybranki może i ich lubiły, ale żadna naprawdę nie pojęła, dlaczego był tak bardzo przywiązany do starej chałupy swojej żony. A tymczasem Carla, ledwo przyjechała...

- Jesteś tym, co wy tutaj nazywacie antykwariuszem?

- Tak.

- Uwielbiam! Uwielbiam wszystko, co stare!

- Dziękuję! - rzekł Rémy, widząc, w doskonałym nastroju.

Lecz one go już nie słuchały, już współpracownicy, zniknęły w domu.

Antoine zbliżył się do ojca:

- Powiedz no, tę to naprawdę wybrałeś, żeby sprawić przyjemność mamie?!

- Skłamałbym utrzymując, że ten cel był moim jedynym kryterium, ale byłem pewien, że przypadną sobie do gustu.

Luc wygląda na zupełnie zbitego z pantafelku. On z kolei wznosi oczy na wciąż jeszcze ślepa fasadę, która niebawem otworzy swe okna.

- To takie ładne, co powiedziała o pokonywaniu czasu... To prawda, że tutaj jest *niegdyś*.

- A ile jechałeś z Marsylii do *niegdyś*? - pyta ojca Antoine.

- Godzinkę - mówi Rémy, skromny, jak gdyby przyszedł na piechotę.

Amélie przygląda się Carli, która opróżnia trzeci kieliszek châteauneuf. Aż miło patrzeć, jak je i pije tak ładna i tak szczupła dziewczyna. Inne były zawsze na diecie i pytały, czy w daniach jest czosnek. Jak gdyby można było gotować bez czosnku! W końcu odżywiały się proszkami „o smaku truskawkowym” albo „o smaku czekoladowym”, rozpuszczonymi w chudym mleku. Ta przynajmniej dzielnie zasiada przy stole. Przy stole to za dużo powiedziane. Na pikniku rozsiadają się zawsze wokół fontanny albo na trawie, ani się nie gotuje, ani się nie podaje do stołu - papierowe serwetki, kraciaste ściereczki, kartonowe talerze...

- Myślę, że za dużo wypięłam - mówi Carla do Rémy'ego, który kolejny raz napełnia jej kieliszek.

- Zapewniam cię, to jeszcze nie koniec!

- Tym lepiej - mówi Carla - bo jest dobre! Dużo musicie go sprzedawać!

- Nie - mówi Estelle. - Nie mamy prawa.

- Nie macie prawa sprzedaży tej wspaniałości?

„Mój Boże - myśli Amélie - Rémy powinien był ją uprzedzić...”

- To długa historia - mówi Estelle. - I niezbyt zabawna - dodaje z uśmiechem.

Carla nie nalega. Szmer cienkiej strużki wody, która płynie z paszczy kamiennego lwa, wydaje się bardzo głośny w ciszy, która zapadła. Jest jeszcze widno pod srebrzystym listowiem drzew oliwnych. Od strony starego lasu lekki wiatr przynosi nieco słodkawy zapach. Cykady zamilkły, a świerszcze przygotowują się, by je zastąpić... W wieczornym świetle pałac nabiera szlachetniejszego wyglądu.

- A twój interes z tymi znaczkami do przypinania - pyta Estelle Rémy'ego - dobrze idzie?

- Rozdział zamknięty! Sprzedałem w marcu. Zresztą bardzo korzystnie! Teraz zajmuję się wizerunkiem politycznym.

- Czym?...

- Wizerunkiem politycznym. Pomagam politykom poprawiać ich wizerunek i komunikację z obywatelami.

Antoine wybucha śmiechem.

- Szeroko zakrojony program!

- Bardziej niż sobie wyobrażasz - przekonuje Rémy. - domyślałem się, że to nośna sprawa, ale nie że aż do tego stopnia. Bawi mnie to, że, jak to oni nazywają, pracuję „we wszystkich odcieniach”. Temu właśnie zawdzięczam silną pozycję mojego...

Przerywa, gdyż ogłuszający hałas helikoptera lecącego na niewielkiej wysokości sprawia, że wokół fontanny wszyscy zadzierają głowy do góry. Maszyna jakby wychynęła z lasu, przelatuje nad domem, wykonuje pętlę i nurkuje za zabudowaniami.

- Wylądował u nas!

Antoine jest oburzony. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Są zbulwersowani. Amélie, gdyby miała fuzję, strzelałaby bez ostrzeżenia.

- Spodziewasz się kogoś? - pada równocześnie pytanie ze strony Estelle i Rémy'ego.

Ależ nie, nikt nikogo nie oczekuje. Zresztą bardzo szybko helikopter nabiera wysokości, ponownie wykonuje rundkę nad „Oliwkami”, kieruje się na północ i znika...

- Kłopot z głowy - burczy Amélie, nim nie wykrzyknie w zachwycie: - Philippine!  
Moja malutka!

Zza przyległych do pałacu zabudowań wychodzi młoda para i zmierza w ich stronę. Estelle, Rémy i Luc gnają im na spotkanie. Amélie pędzi do kuchni. Tylko Antoine został z Carłą.

- Będziesz miała szansę poznać bardziej dystyngowanych przedstawicieli rodziny! Studentka Politechniki\* i baron, jej małżonek, tworzą młodą, błyskotliwą parę, pisana im jest wyjątkowa przyszłość... E.N.A.\*\* Politechnika! Najlepsi! Prymusi! Młodzi, zdolni i ambitni! Nad-zwy-czaj-ni!

- Nic nie zrozumiałam - mówi Carla. - To pewnie przez to wino...

Lecz gdy widzi ich nieco później z bliska, zapiętych na ostatni guzik i wypucowanych na wysoki połysk, siedzących na schodkach pośród rodziny, już rozumie. Ci dwoje nie są cyganerią, jak pozostali. Rémy, pomimo swego upodobania *establishmentu*, *standingu*, *image'u* pozostaje na uboczu. Jest to luksusowe ubocze, zgoda, ale jednak ubocze. Rémy przede wszystkim jest szalony. I za to właśnie go kocha. Udział młodej pary, równie elegancki jak oni sami, to kosz ze sklepu „*Prune et Parfait*”. Wystawny. Lecz pośród opakowań z folii aluminiowej i wiejskiego chleba położonego na kraciastej serwecie, to właśnie on pasuje jak pięść do nosa, kwiat do kozucha, pretensjonalnie i głupio.

- A więc teraz Republika wozi was helikopterami? - pyta Antoine swego szwagra.

- Nie, to tylko nasz przyjaciel podrzucił nas po drodze.

- Nie zadajesz się z byle kim!

- Gdybyście wiedzieli, jaki piękny widok roztacza się z góry! - wykrzykuje Philippine.

- Musisz koniecznie kiedyś to zobaczyć, mammo!

Są do siebie podobne. Z tym, że córka ma coś zasadniczego, surowego, wojskowego. Musi prześlicznie wyglądać w mundurze.

- Na pewno defilujesz 14 lipca? - troszczy się matka.

- Oczywiście!

Wpadła jak po ogień, ponieważ Jean-Edmond ma jutro wieczorem ważną kolację, akurat u przyjaciela, który tu ich podrzucił, lecz za nic w świecie nie przepuści przemarszu przez Champs-Elysées. To taki zaszczyt...

---

\* Politechnika (Ecole Polytechnique) - wyższa szkoła inżynierska o charakterze wojskowym.

\*\* E.N.A. (Ecole Nationale d'Administration) - wyższa szkoła administracji, przygotowująca urzędników państwowych wyższego szczebla.

- A jakie to eks-cy-tu-ja-ce! - wpada w ton Antoine.

Siostra czule obejmuje go za szyję.

- Wiesz, trzeba cię bardzo kochać, żeby cię znosić!

- A tym mnie kochasz?

- Zgadnij!... Jak twój komiks?

- Źle!

- A ty?

- Jeszcze gorzej! - mówi rozbawiony.

Philippine przypomina sobie akurat, że Sophie zadzwoniła do niej rano i zobowiązała ją, by przekazała całej rodzinie, że przyjedzie na osiemdziesiąte urodziny Samuela.

Antoine, nagle zainteresowany, chce się koniecznie dowiedzieć, czy jeszcze coś mówiła.

- Wszystkich was całuje!

Nachmurzył się, przykra wydaje mu się rozmowa ojca z Jean-Edmondem. Zdrowo na to gwizdże, że jego szwagier właśnie został wybrany do Rady Nadzorczej! Jeszcze bardziej gwizdże na to, że może otrzymać nominację na prezesa Komisji Dróg i Robót Publicznych! I cóż może go obchodzić, że będzie kandydować w przyszłych wyborach do parlamentu? Też coś!

Przyjechał ze względu na Sophie. Sophie, którą kocha.

Sophie, która całuje „wszystkich”!

W złości nalewa sobie kieliszek wina, wychyla go jednym haustem i chwilowo nienawidzi całego świata, a Sophie przede wszystkim.

A co to się znowu dzieje? Jean-Edmond powstrzymuje Estelle, która chce odejść przygotować im pokój:

- Nie trzeba, matko!

„Matko”, tak się wysławiać na kilka lat przed rokiem dwutysięcznym!

- Dziś wieczorem wracamy do Nerthe - ciągnie Jean-Edmond, spoglądając na zegarek.

- A właśnie, szofer powinien już tu być...

Czy to możliwe! Spóźnia się?! Co też on sobie myśli?

Estelle stanęła jak wryta. Nagle ma dziwną minę... Nie będzie chyba płakać z tego powodu, że baron chce wracać do domu? Dlaczego tak patrzy po wszystkich w milczeniu, a potem pyta nieśmiało:

- Czy mogę skorzystać z okazji, że zebraliśmy się tutaj, by wam oznajmić nowinę?

Bierze głęboki oddech.



- Jérôme i ja - to skończone.

Ani drgną. Strzał w dziesiątkę.

- Zerwałam - precyzuje.

Nadal stoi przed nimi i każdy domyśla się, ile ją kosztuje to wyznanie.

Rémy, który zaczął otwierać butelkę, podskakuje, słysząc nieestosowny odgłos korka.

Carla posyła mu karcące spojrzenie. Antoine, który nieoczekiwanie czuje się lepiej, pyta:

- I jak on to przyjął?

- Bardzo źle. Powiedział, że to tak łatwo nie przejdzie... że wszystko... rozpieprzy...

Jean-Edmond wyraźnie cierpi katusze. Moja matko, czy to przystoi tak się wyrażać?

Doprawdy!... I to na domiar złego w obecności osoby spoza rodziny.

- Jest jeszcze coś...

Cała trójka dzieci patrzy na nią w milczeniu. Porusza ich nie to, że nie będą już widywać Jérôme'a. Spokojnie się bez niego obejdą. Natomiast rozczula ich widok matki, która nagle wygląda jak krucha, nieśmiała nastolatka.

- Jest coś jeszcze, chodzi o mnie - mówi. - Pragnę odmienić swoje życie.

Wygląda jak mała dziewczynka, która ogłasza rodzicom swe plany na przyszłość.

- Chciałabym... Oh! To takie trudne! ale, widzicie, moje stoisko na Pchlim Targu, moja praca z Jérôme'em... To prawda, że nauczył mnie fachu i tego nie zapomnę. Było bardzo... dobrze. Ale się skończyło. Teraz czuję potrzebę zrobienia czegoś bardziej... ważnego niż sprzedawanie staroci grubym amerykańskim wdowom. Niedokładnie wyjaśniam...

- Ależ nie! Ależ nie! - mówią jak jeden mąż, co ją uspokaja i pozwala wyjawić najbardziej bolesną sprawę.

- Za każdym razem, kiedy tutaj wracam, żałuję, że mój ojciec nie miał syna... Myślę o winnicy... - przygryza wargę, żeby się nie rozplakać. - To, co nam się przydarzyło, jest takie smutne... Widzisz, Carlo, powiedziałaś coś, co mi pomogło przejrzeć. Powiedziałaś: „Tutaj jest *niegdys*.” To *niegdys* chcę odnaleźć, chcę mu służyć... Jeszcze nie wiem, w jaki sposób... może muzeum?... Plotę od rzeczy!

Philippine ujęła rękę matki i złożyła na niej pocałunek. Teraz całkiem trzeźwy Antoine zadaje jedno pytanie:

- A twoje zerwanie z Jérôme'em nastąpiło dawno temu?

- Dziś po południu, była dokładnie piętnasta dwadzieścia trzy.

Amélie, która przyniosła sery, usiadła zaskoczona.

Pełna medytacji cisza zapadła wśród rodziny. Milczenie na szczęście przerwało

radosne szczekanie. Gruby wielki pies, Nour, kundel niemożliwy do rozszyfrowania, z gatunku tych, którym sierść zasłania ślepią, a serce mają przepełnione miłością dla rodzaju ludzkiego, wypada na nich, wyzwalając ulgę i entuzjazm. Przedstawiony Carli jako „najpiękniejszy pies w departamencie Vaucluse, łącznie z enklawą Valréas”, zlizuje jej makijaż jednym pociągnięciem ozora, skowyczy z radości, kładzie się na grzbiecie, podaje łapę, wreszcie dzielnie akceptuje podany mu owoc i gna na spotkanie swojego pana, który nadchodzi, niosąc tacę ze szklaneczkami i czajnikiem z miętową herbatą.

- Blaïd!

- Kto to jest Blaïd? - cichym głosem pyta Carla.

Blaïd to Algierczyk, który zajmuje się winnicą. Nie zna smaku wina, nigdy go nie pije, lecz ma talent. Trzydzieści lat wcześniej zapuścił korzenie w tej ziemi, służy jej do dziś.

Całuje rękę Estelle, zanim ucałuje ją czterokrotnie w policzki.

- Nie przywitałem cię w twoim domu, bo mnie potrzebowali u Fourcade'a, madame Estelle. Nie mogłem ich zostawić w potrzebie, ciekła im kądź...

- Dobrze zrobiłeś, Blaïd! Jak się czujesz? Twój syn zdrowy?

- Bogu niech będą dzięki, madame Estelle, dziękuję! A u pani wszystko w porządku?

Przerzucanie się grzecznościowymi zdaniem, jeszcze jeden rytuał związany z przyjazdem, przypomina powitania w języku arabskim. Po rozmowie na temat osób, kolej na pytania o ziemię. Winna latorośl jest wspaniała, drzewa oliwne także. Ludzie, którzy przyszli, mówili, że owoce są wyjątkowo dorodne...

- Ludzie? Jacy ludzie? - pyta Estelle.

- Ludzie, którzy przyszli robić pomiary dla merostwa.

- Dla merostwa?... Jakie pomiary?

- Niedokładnie zrozumiałem - mówi Blaïd, śmiejąc się przeprasząco - ale pani to powiedzą!

Liczy na to.

- Wspa-nia-ły! - rozlega się niespodziewany okrzyk.

Długi czarny samochód w stylu limuzyna pana ministra nadjeżdża powoli aleją. Philippine wypija duszkiem szklaneczkę herbaty, całuje matkę.

- Pamiętaj o mojej defiladzie, mamó!

- Przyrzekam!

Jean-Edmond całuje dłoń Estelle.

- Moja matko, liczę na panią czternastego rano, w Nerthe. Zaprosiłem kilku przyjaciół, razem będziemy oklaskiwać Philippine.

- Z wielką radością!

Patrzy za odjeżdżającymi, towarzyszą jej Rémy i Luc.

- Ale dlaczego upiera się, żeby zwracać się do mnie „moja matko”? - mruczy do siebie.

- *Poradnik Dobrych Manier*, wydanie z 1909 roku, rozdział VII, paragraf 3, linijka 22: „Stosunki z teściami” - recytuje Antoine tym samym tonem.

Samochód znika w ciemności.

Sprzątają resztki pikniku wokół fontanny. Pies pomaga im, z apetytem zmiatając resztki ozorem. Słychać śmiech Carli i Amélie. Rémy i Antoine przyłączają się do nich, Luc zatrzymał się obok matki, która zdaje się zamyślona.

- Wszystko w porządku, mamó?

- W porządku.

- Wiesz, chciałem ci powiedzieć... Ten twój pomysł, żeby odszukać *niegdyś* jest wspaniały! A poza tym - dodaje nieśmiało - ty jesteś wspaniała!

I pod rękę wracają razem do domu, czując się lekko i radośnie.

\*

Estelle nie może zasnąć i nawet się nie stara.

Jest w swoim domu. W swoim starym, wielkim, niestylowym domu, w swoim starym, wielkim domu pełnym powabów.

Światło księżyca pada przez otwarte okno... Jutro, jeśli znajdzie czas, zawiesi firanki z haftowanego muślinu. Powinny wytrzymać jeszcze sezon albo i dwa, jeśli będzie uważała przy prasowaniu.

Podnosi głowę ku indyjskim perkalom baldachimu nad łóżkiem. Biedactwa, niebawem wyzioną ducha... Trudno się dziwić, wszak to jeszcze Brutus, prastryj, przywiózł je z Pondichéry razem z herbatą i korzennymi przyprawami.

Patrzy na fotografie na nocnym stoliku. Bardziej się ich w mroku domyśla, niż je widzi. Zna je na pamięć. Philippine w mundurze, Philippine jako panna młoda. Chłopcy maleńcy, nagusieńcy w basenie z tym jakże dzielnym psem, który wabił się - zgadnij dlaczego - Clemenceau. Tata i mama na tle winnicy, przepiękni, trzymają się za ręce...

Zerwała z Jérôme'em.

Postanowienie to nabiera mocy w tej właśnie chwili w pokoju, w którym z nim spała, w pokoju, w którym jest teraz sama jak młoda dziewczyna.

Opuści Paryż, Saint-Ouen, stoisko na Pchlim Targu, porzuci życie, jakie wiodła przez

pięć lat, wróci „Pod Oliwki” i osiadzie tutaj... To będzie dopiero pierwszy krok w realizacji jej marzeń. Muzeum. Bała się, kiedy im wszystko wyjawiała. Gdyby zaczęli się śmiać, bardzo by ją to zabolalo. Ale nie wyśmiali jej. Dzięki! Tak was kocham... Jakaż to była radość, gdy Philippine i Jean-Edmond spadli tak z nieba! W dniu, w którym on przestanie zwracać się do niej „moja matko”, osiągnie pełnię szczęścia. Biedny Jean-Edmond! Estelle śmieje się na wspomnienie jego skonsternowanej miny, kiedy oznajmiała swą nowinę.

Nie dość wyraźnie dała do zrozumienia Rémy'emu, do jakiego stopnia Carla wydała jej się czarująca. Nie, to za mało powiedziane. Urzekająca.

Pomimo łez minionego ranka, lato zapowiada się dobrze... Ileż to wody upłynęło pod mostami od czasu, gdy spotkała Królewską Rzekę... A skoro o wodzie mowa, czegoż właściwie chcieli ci ludzie, którzy przyszli dokonać pomiarów? Trzeba będzie zasięgnąć informacji w merostwie.

Rozpaczliwy krzyk nocnego ptaka przyprawił ją o dreszcz. To dzikie wołanie przypomina, że przyroda otacza dom, jak morze otacza latarnię morską. Podczas gdy istoty ludzkie śpią, wokół Pałacu pod Oliwkami toczy się nocne życie ze swoimi szelestami, westchnieniami i prawami.

Estelle wstaje, wychodzi na balkon... Wszystko zdaje się spokojne. Lecz jakiś trudny do zidentyfikowania stwór, czołgając się przecina taras, nagle jakiś tumult miota judaszowcem, który gubi deszcz liści... jakaś żaba głębokim głosem wygłasza bez żenady swoje zdanie, a potem nurkuje w zbiorniku wodnym.

A potem zapada cisza, wszystko milknie, by w czystej nocy mógł rozbrzmieć słowik.

\*

Jakże byli natchnieni papieże z Awinionu, kiedy wznosili na skale swój Castel Gandolfo.

Châteauneuf to naprawdę coś wspaniałego.

Piwnice, piwniczki, beczki, beczułki, butelki na wynos, chłodne tarasy, gdzie miło przysiąść za stołem, ulica - jak wyznanie wiary. Winnice otaczają miasteczko, a strzałki wiodą turystów ku zamkom, gdzie pod mrocznymi sklepieniami degustować będą wino, noszące znak tiary. Gdy wrócą do swoich domów, w Paryżu, Breście, Strasburgu, Brukseli czy Tokio, otworzą je, by uświetnić jakąś uroczystość czy rocznicę urodzin. Albo podarują je tym, którzy są im drodzy. I za rok, dwa lata, dziesięć... Czasem później, wrócą, wierni winu, które kochał Mistral, winu felibrów, jednemu winu, które zasługuje na zaszczyt, by je pić,

gdy będzie śpiewany *Coupo Santo*\*

Estelle oddycha z lubością. Zapach Południa unosi się w powietrzu pomimo świeżości poranka.

Młodzież, która urosła, hałasuje na motocyklach przy głównej fontannie; starcy, którzy jeszcze bardziej się przygarbili, drzemią w miejscach zalanych słońcem; dwie wielkie, czerwone Dunki w szortach robią zdjęcia.

- Dzień dobry, Estelle Laborie!

To Jujube, miejscowy prostaczek. Siedzi na przydrożnym kamieniu i wyciąga do niej dłoń. Uśmiecha się, gdy Estelle ją ścisza.

- Witaj, Jujube! Zima miło ci minęła?

- Wolę lato - odpowiada - bo ciebie widzę!

Dzielny Jujube, wszyscy go lubią. Mówią nawet, że przynosi szczęście. Zna go od zawsze i zastanawia się, ileż on może mieć lat...

- Wiedziałem, że przyjeżdżasz, Estelle Laborie. - I dodaje ścisząc głos: - Proboszcz mi powiedział!

A prawda, Jules pozwala mu czasem zamieść kościół i powoskować ławki, żeby dać mu zarobić parę groszy. Niestety, Jujube ma raczej skłonność do komunikowania winem niż chlebem.

- Wiedziałem go dziś rano - ciągnie - spodziewał się doktora na partyjkę Biblii!

Partyjkę Biblii! Jedyne czyste serce, takie jak ma Jujube, może znaleźć tak trafne określenie! Śmieje się jeszcze, wspinając się pod górę stromą ulicą, która wiedzie do prezbiterium. Gdy przechodzi koło znajomego sklepiku, Romain, obsługujący właśnie jakąś pomarszczoną staruszkę, spostrzega ją i woła:

- O, Estelle! Chodź no tu na chwilę, pokażę ci cud!

W *Aux Primeurs des Papes* można zobaczyć najpiękniejsze wystawy z całej okolicy. Romain jest estetą, mistrzem w układaniu warzyw, nasion i owoców. Jesienią ludzie przybywają z daleka, by podziwiać jego kompozycje z prawdziwków, mchu i kasztanów. Jego piramidy papryki, żółtej, czerwonej i zielonej, gąszcze kardów, boćwiny, szpinaku nowozelandzkiego, selerów naciowych, dynie jak z bajki wzbudzają ogólny podziw. Dwie Dunki-olbrzymki obfotografowują girlandy fioletowej cebuli i warkocze czosnku, zwisające spod sufitu jak dekoracje na balu.

Zapowiedziany przez Romaina cud to skrzynka pomidorów, które właśnie mu

---

\* Pieśń ułożona przez Fryderyka Mistrala, która stała się swego rodzaju hymnem prowansalskim.

dostarczono znad brzegów Rodanu.

- Niczym nie sypane! - podkreśla. - Jędrne jak cycki Wenus! Nic ci nie grozi, to nie są żadne spustoszytelki wnętrzości, które sprzedają sklepikarze bez poczucia etyki zawodowej, dlatego pozwoliłem sobie przywołać cię!

Estelle bierze trzy kilo, sprawdza, czy Romain nie zapomniał o niczym z jej zamówienia, które złożyła wczoraj; ani o cieście z cukinią, ani o *brandade*, ani też o *banons* zawiniętych w swoje liście, ani o włochatym *pèbre d'ase*. A przede wszystkim o melonach! Odbierze wszystko nieco później, zanim wyjdzie na południowy autobus po wnuki Amélie, które przybywają z Cassis na wakacje.

- Przecież to Estelle!

Do sklepiku weszła właśnie piękna kobieta. Mireille Bouvier. Mer Châteauneuf. Przypatruje się Estelle wzrokiem kłującym, a jednocześnie obłudnym. Dokonuje oględzin, jak gdyby szukała usterki. Może jakiś niesforny kosmyk włosów, lecące oczko, plama na białej sukni, zaciągnięta bluzka, brak guzika przy zakiecie..., albo, co byłoby jeszcze bardziej satysfakcjonujące, pryszcz na nosie.

Dlatego, dla własnej przyjemności, Romain bierze ją na świadka:

- Nie uważasz, że nasza Estelle jest coraz piękniejsza?

- Wróciłaś do swoich „Oliwek”? - pyta Mireille, która udaje, że nie usłyszała pytania.

- Do moich „Oliwek” i do moich korzeni!

- Ah! Jak ładnie powiedziane! Zawsze celowałaś w trafnych sformułowaniach!

Ten sposób zachowania od dawna przestał irytować Estelle. Kiedy się poznały, w przedszkolu, Mireille już wówczas taka była. Zawsze się zachowywała, jak gdyby wszystko wiedziała lepiej od innych, o jedną długość wyprzedzała sekrety bogów. Estelle odwraca się do niej plecami i wybiera pęczek kolendry ze stojaka przy kasie.

- No dobrze, sprawy gminy mnie wzywają, pożegnam więc państwa... A właśnie, Romain, nie widziałam cię wczoraj na zebraniu... Szkoda, omawialiśmy interesujące sprawy. Liczę na twoją obecność na następnym posiedzeniu rady.

Obrzucając Estelle ostatnim, pełnym niedomówień spojrzeniem, podąża w stronę merostwa, wchodzi do wieży i znika im z oczu.

Romain odprowadza ją wzrokiem.

- Jakieś zebrania, też coś, jej się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty! W samym środku sezonu!...

Potem już w dobrym humorze, zwraca się do Estelle:

- Nie żywicie do siebie przyjaźni, pani mer i ty, hę?

Ponieważ Estelle uśmiecha się, unikając odpowiedzi, nalega:

- Nawet jak była tycia, już wtedy cię nie lubiła! I coś ci jeszcze powiem: Mireille, chociaż jest taka „ja wiem wszystko”, gdyby nie była wdową, nie zostałaby merem... Chciałem powiedzieć wdową po senatorze Bouvier!

- Ty to nie jesteś macho! - żartuje Estelle, podając mu pęczek kolendry.

Następnie odchodzi i szybkim krokiem, szczęśliwa, pnie się dalej po stromym stoku, żeby zajrzeć, jak przebiega partyjka Biblii Julesa i Samuela.

Już z ulicy słysząc ich głosy. Naturalnie, klóćą się. *Disputatio* osiągnęła punkt kulminacyjny. Skradając się na palcach, Estelle wślizguje się do ogródka prezbiterium i podchodzi do otwartego okna, żeby ich poobserwować.

Jules Campredon i Elie Samuel, jej stryjowie, wedle zwyczajów panujących w Księstwie, nie zauważają nawet obecności Estelle. Nazbyt są zajęci.

Na wielkim drewnianym stole przed Julesem leży otwarta Biblia pisana greką, zaś Biblia po hebrajsku otwarta jest przed Samuelem. Od z górą czterdziestu lat oddają się temu ekumenicznemu ćwiczeniu porównawczemu, na pamięć znają każdy psalm Dawidowy, z głowy potrafią przytoczyć każdy werset Księgi i wyrecytować potomków Sema, który spłodził Arpacszada, dwa lata po potopie, Arpacszada, który spłodził Szebaha, który z kolei... itd. Lecz czymże by była przyjemność ich partyjek Biblii bez soli egzegezy? Bez pieprzu kontrowersji? Po wybuchu, jaki usłyszała z ulicy, Samuel ciągnie dalej swoje tłumaczenie opanowanym głosem:

- *Zużyli zaś wszystkiego złota na roboty przy budowie przybytku dwadzieścia dziewięć talentów...\**

- Dwadzieścia siedem - mówi Jules.

- Jakie dwadzieścia siedem?

- Dwadzieścia siedem talentów.

- *...dwadzieścia dziewięć talentów z ofiar złożonych gestem kołysania i siedemset trzydzieści syklów* - ciągnie Samuel wruszając ramionami.

- Siedemset trzydzieści dwa.

Samuel wybucha.

- Skądżeś wyciągnął tę Biblię? Wszystkie cyfry są fałszywe!

- To jest święta Biblia! - obraża się Jules potrząsając nią w górze, jakby to były

---

\* Wszystkie przekłady z Biblii za *Biblią Tysiąclecia*.

Tablice Przykazań.

- Może jest i święta, ale na bakier z cyframi!

Estelle wybucha śmiechem i pokazuje się w oknie.

- Dajcie spokój! Opuszczę wam... Niech będzie dwadzieścia osiem talentów i siedemset trzydzieści jeden syklów! Odpowiada wam ten Salomonowy wyrok?

Gdy ją ujrzeni, odszedł ich gniew. Zostawiają Księgę Wyjścia, śpieszą jej na spotkanie, witają w progu. Całują, sadzają, mówią, że wychudła, że trochę blada. Jules proponuje jej łyżeczek *carthagène'u*. Samuel troskliwie pyta, czy dość je, i gdyby miał odwagę, w końcu jest przecież doktorem, zmierzyłby jej puls i kazał wyciągnąć język. Obaj są niepocieszeni, gdy mówi, że nie zostanie. Zajrzała tylko, żeby ich uściskać i upewnić się, czy nie zapomnieli, że wieczorem „Pod Oliwkami” jest przyjęcie.

Jakżeby mogli zapomnieć! Wznoszą wzrok do nieba.

- To tak, jakbyś pytała kapłana, czy nie zapomniał, kiedy przypada Boże Narodzenie! - rzecze Samuel.

Ona też im się przygląda, obawiając się, że odkryje u swych dwu starych przyjaciół znak drobnych przypadłości związanych z wiekiem, ślad pazura czasu zaznaczony mocniej przez jeszcze jedną zimę... Ale nie, wyglądają wspaniale. Wstaje, ściska ich raz jeszcze i już na progu odwraca się:

- Wiadomość z ostatniej chwili, byłabym zapomniała! Rémy ma nową narzeczoną, a ja zerwałam z Jérôme'em! Buźka!

Zbici z tropu, patrzą za odchodzącą. Potem w milczeniu siadają na swoich miejscach i Samuel wraca do lektury:

- *Brązu zaś, który złożono w ofierze gestem kołysania, było siedemdziesiąt talentów i dwa tysiące czterysta syklów...* Powiedz no! E! O!... Jules, marzysz o niebieskich migdałach?

Jules najwyraźniej jest nieobecny duchem, zamyka grecką Biblię, krzyżuje ręce na stole i pyta:

- Tego Jérôme'a to ty żałujesz?

- Nie bardziej niż ty.

- Chociaż raz się zgadzamy!

Z kolei Samuel zamyka Księgę. Na dzisiaj partyjka Biblii jest zakończona. Od dnia narodzin Estelle ma swoje miejsce w ich życiu i w ich sercach. Jest dzieckiem, którego nie mieli, jest córką Paula, jest spadkobierczynią ich wspomnień...

- Myślisz, Samuelu, że kiedyś wreszcie będzie szczęśliwa?

- Skoro jesteś blisko z Panem Najwyższym, to go o to zapytaj! - odpowiada doktor



szorstkim tonem.

Ale kiedy Jules mówi:

- Codziennie go o to proszę - wyznaje z taką samą szczerością:

- No cóż, widzisz, ja też!

Carla ma wrażenie, że jest małą kozą pana Séguin: Amélie wzięła ją i poszły zbierać tymianek na skraju winnicy i lasu. Śmieje się teraz z młodej kobiety, która uklękła na ziemi, żeby powdychać woń pachnących kęp.

- Tymianek to uciecha dla królików! W zaroślach i w rondlu! Zbieram go do duszonego mięsa i do bakłażanów, ale też i na napar. To przysmak Sophie!

- Sophie?

Sophie jest córką najlepszej przyjaciółki Estelle. Jej matka zmarła, kiedy dziewczynka miała sześć lat, biedactwo. Rak... Ojciec ożenił się ponownie, a że wcale nie zajmował się małą, Estelle zastąpiła go i wychowała dziecko jak własne.

- Jest adwokatem - mówi Amélie z dumą. - Zresztą zobaczymy ją dziś wieczorem na przyjęciu. Rozumie pani, tutaj ona jest u siebie, to jak jej rodzina.

- Amélie, a pani? Czy pani też należy do rodziny?

Amélie śmieje się. Nie należy do rodziny, ale to na jedno wychodzi. Tak jak Sophie, jak „stryjowie” Estelle, jak Blaid i jego syn.

- Należymy do rodziny Pałacu pod Oliwkami - odpowiada.

Carla łamie pokrytą kwiatami łądzkę i pyta o francuską nazwę zioła.

- Rozmaryn.

- *Rosmarino*.

- W prowansalskim mówi się: *roumanin*... To hojna roślina, kwitnie cztery razy do roku!

Rozmawiając, zrywając zioła i idąc tak przed siebie, zrobiły dłuższą drogę, niż zamierzały. W końcu wychodzą na pustą polanę, na której wznosi się opuszczony dom. Jeszcze stoi, lecz migdałowiec rozkłada swe gałęzie tam, gdzie niegdyś był dach, drzwi są już tylko pustym otworem, a mandragora rośnie pomiędzy kamieniami.

- Oh! Jakież ruiny! Pójdę zobaczyć! - wykrzykuje Carla.

Lecz Amélie przytrzymuje ją silną ręką.

- Nie!

Carla patrzy, zaskoczona tą nieoczekiwaną gwałtownością. Amélie zdaje się zbита z tropu. Waha się, czy ma opowiedzieć... potem, nagle, podejmuje decyzję.

- A niech tam, wszystko pani powiem!

Postawiły koszyki i przysiadły na pniu wielkiej sosny zwalonej przez piorun podczas letniej burzy. Mniejsza o gotowanie, rondle poczekają!

- Nastąpiłam u rodziny Laborie w pięćdziesiątym siódmym, razem z moim mężem, który objął służbę jako zarządca posiadłości. To było zaraz po tym dramacie...

- Jakim dramacie?

- Wczoraj Estelle powiedziała pani, że straciliśmy prawo sprzedaży wina. Ktoś je podrobił. Na początku oskarżono jej ojca, pana Laborie. Ale to było nie do pomyślenia, żeby taki człowiek jak on dosypał cukru do własnego wina! Ludzie, którzy mieli nabożeństwo do châteauneuf, odkąd ono istnieje! To by oznaczało samobójstwo! Przeprowadzili dochodzenie. Śledztwo dowiodło, że to Dupastre, jego ówczesny zarządca. Dlaczego to zrobił? Żyli w wielkiej przyjaźni, poznali się w partyzantce. A po wojnie, jak nie mógł znaleźć pracy, Paul Laborie zaproponował mu pracę u siebie. No i tak, po nitce do kłębka, trzeba się było pogodzić z tym, że to Dupastre był winny. Gdy to odkryto, wpadł w szał. W dniu, kiedy żandarmi przyszli go aresztować, złapał strzelbę, zabił żonę, córeczkę... i sam sobie zadał śmierć.

Z przerażeniem Carla spogląda na opuszczony dom. Trzy osoby zabite przez cukier w winie?...

- Dupastre miał syna. Chłopca ledwo co starszego od Estelle. Dzieci rosły razem, jak dwa palce u jednej ręki... W dniu zabójstwa wszyscy myśleli, że ojciec i jego zabił. Leżał w kałuży krwi. Ale żył jeszcze. Podobno go odratowano... Nie było mnie wtedy tutaj, pamiętam tylko, co mi ludzie opowiadali. Ale małego nigdy więcej nikt nie widział.

- Jak to?

- „Umieszczono” go. Ale gdzie? Pamiętam Estelle, kiedy tu nastąpiłam. To była najsmutniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widziałam... Zdawała się wciąż czekać na kogoś, kto nie przybywał. Życie „Pod Oliwkami” wcale nie było już wtedy wesołe. Interesy szły źle, zakaz sprzedaży, który powinien zostać uchylony dawno temu, ciągle był utrzymywany w mocy. To przez tego senatora Bouvier, to on tu ustanawiał prawa. Podczas wojny zbił majątek na czarnym rynku. Można by rzec, że miał za złe tym z ruchu oporu, że wykonywali swój obowiązek, kiedy on piekł własną pieczeń! Wdowa po nim jest teraz merem Châteauneuf. To nie są przyjaciele. Potem pana Laborie złożyła choroba... Był w obozie i stamtąd przywłókł gruźlicę.

Amélie milknie i wspomina. Znała z widzenia Paula Laborie, nim zamieszkała „Pod Oliwkami”. Był przystojny. Wesoły. A poza tym - bohater. Szczęście go wyleczyło,

nieszczęście obudziło chorobę. Sromota zwała go z nóg. Zmarł w przededniu siedemnastych urodzin Estelle, zostawiając po sobie nadwątlony honor, wino objęte zakazem sprzedaży i więcej długów niż nadziei.

- Ale jest może jeszcze coś gorszego niż śmierć tych ludzi, widzisz...

Bezwiednie, teraz, gdy jej wszystko wyjawiała, Amélie zaczęła zwracać się do Carli *per ty*.

- Najgorsze jest to, co spotkało Estelle. Przekleństwo spadło na nią. I na posiadłość. Bo tego chłopca ona dotąd nie zapomniła! To tak, jak gdyby odkroili jej kawał serca... O, na przykład latem zeszłego roku, jak porządkowałam na strychu, przez przypadek natrafiłam na stare filmy z dzieciństwa. Bez złych intencji dałam je Antoine'owi i Lukowi, żeby jej zrobili niespodziankę. Zamiast niespodzianki, co się narobiło! Gdybyś widziała jej twarz, gdy rozpoznała chłopca na ekranie! Miałam ochotę gryźć sobie pięści. Potem powiedziała mi: „Schowaj te filmy, Amélie, i żeby ich nikt nigdy więcej nie znalazł!”

Carla przygląda się pszczole, która spija nektar z rozmarynu. *Roumanin, rosmarino...* Czegoś tu nie rozumie. Dlaczego wina nigdy nie zrehabilitowano, po tylu latach?

- Przez złośliwość mężczyzn i słabość kobiet! - kategorycznie stwierdza Amélie.

Daje się słyszeć klakson, Amélie zrywa się, nagle radosna.

- O, to Estelle wiezie malce! Zobaczysz, jacy są ładni, mój Marius i moja Magali!

I już biegnie ku nim drogą. Wtem zatrzymuje się, odwraca.

- Nie mów Estelle, że ci to opowiedziałam. Bardzo by się zmartwiła!

Carla nie ma najmniejszej ochoty przysparzać zmartwień Estelle, obrzuca ostatnim spojrzeniem opuszczony dom i... gdyby tak mogła odczynić zły urok! Dogania Amélie, która biegnie jak nastolatka, i pyta jeszcze:

- Jak się nazywał ten chłopiec?

Amélie przystaje, zmieszana, jak gdyby miała wypowiedzieć jakieś zaklęte imię, i szeptem jednym tchem:

- Marceau.

\*

Pomimo upału, pomimo kołysanki cykad popołudnie spędzili na przygotowywaniu urodzin Samuela. Z entuzjazmem.

Nawet Rémy z oddaniem robił porządki w piwniczce. Nawet dzieci. Nawet pies.

Amélie zamknęła się w kuchni. Estelle i Carla zabrały się za toaletę przodków w galerii.

- Dlaczego „Donna Bianca”? - pyta Carla, zdejmując strzęp pajęczyny z tarczy herbowej rodu Sauveterre.

Jest zachwycona, gdy się dowiaduje, że Donna Bianca była, jak ona, rzymianką. Siedząc na drabince i trzymając w dłoni szmatkę do ścierania kurzu, słucha legendy, którą przekazują sobie w rodzinie od stuleci.

Gabriéu był bardzo zazdrosny, ponieważ jego małżonka, Donna Bianca, zakochała się w innym.

- W kim?

- W Rodanie - wyjaśnia Estelle, jak gdyby mówiła o sąsiedzie.

Ta miłość śmiertelnicy do boga nie jest w stanie zaskoczyć Carli. Doskonale rozumie, że pewnego dnia Rodan przybył po swoją kochankę, by ją wykraść zazdrosnemu mężowi i jak królową urządzić w głębinach wód.

- Mówią, że Bianca dotąd tam jest i nadal się kochają - konkluduje Estelle, delikatnie wycierając wąsy Brutusa.

- Oczywiście!

Carla powróciła do przerwane go zajęcia. Omiata teraz z kurzu oficera marynarki wojennej o rewolucyjnych przekonaniach i prosi Estelle, by jej opowiedziała o stryjach, którzy przyjdą wieczorem.

Nie są to stryjowie krwi, lecz stryjowie serdeczni.

- Podczas wojny byli z moim ojcem w partyzantce w Ventoux. Pierwszy mnie ochrzcił, drugi zaszczepił... Jules jest proboszczem w Châteauneuf, Samuel, doktor, w prostej linii wywodzi się od papieskich Żydów...

- Mamo! - wykrzykuje Antoine, który przechodzi właśnie z Lukiem niosąc ogromne, znalezione na strychu, kandelabry. - Mamo! Jak ona ma się w tym wszystkim połapać? Nie będziesz chyba tłumaczyła katolickiej, apostolskiej i rzymskiej aktorce, kim byli papieże z Awinionu!

- Ejże! Hola! - oburza się młoda kobieta. - Klemens V, Benoit XII, Klemens VI! To, że zarabiam na życie jako aktorka nie oznacza jeszcze, że jestem nieukiem!

Estelle wybuchła śmiechem na widok miny swoich synów.

- Nokaut na stojąco! - mówi Luc, kłaniając się. Antoine nie odzywa się. Raz jeszcze myśli sobie, że jego ojciec ma dużo szczęścia i że chciałby to po nim dziedziczyć...

Estelle nadal się śmieje swoim zaraźliwym śmiechem.

- Sprawić, żeby Antoine zaniemówił, Carlo, to dopiero wyczyn!

- Może i zaniemówił - odcina się Antoine - lecz: *Semper Vigilans!*

Chłopcy oddalają się, trzymając kandelabry w wyciągniętych ramionach jak służba w Wersalu. Carla odprowadza ich wzrokiem.

- Co oni robią?
- Antoine jest autorem komiksów.
- Dobrze mu idzie?
- Niestety, bardzo kiepsko!...
- A mały?
- Przeszedł na drugi rok studiów na uniwersytecie. Chce być archeologiem.
- Oto nieodrodny syn swojej matki!

Ten entuzjazm jak uderzenie biczem chłoszcze Rémy'ego, który wyłania się z piwnicy równie zakurzony, jak niesione przez niego butelki.

- Estelle - mówi z głową ledwo wystającą nad podłogę - wytłumacz jej, że ja jestem ojcem!

- Ależ wiem, mój kochany - zapewnia Carla, z gracją pochylając się, by go ucałować.  
- Wiem!

Potem przygląda się im obojgu ze wzruszeniem i szepcze:

- Jesteście najcudowniejszym rozwodem, jaki można sobie wymarzyć!

Później ustawili na tarasie długi stół ze wszystkimi dostawkami. Narzucono nań wielki, biały, adamaszkowy obrus i dwanaście olbrzymich serwetek z kompletu, każda z wyhaftowaną z boku literą „L”. Pośród talerzy - słuczka zobowiązuje - Pichon d'Uzè stoi na przemian ze starym Moustiers. Z talerzyków do deseru z bajkami La Fontaine'a zostały już tylko trzy. To bez znaczenia, bo przecież są talerzyki z rebusami i zagadkami. Wszyscy, od trzech pokoleń, znają na pamięć ich rozwiązania, ale udają, że szukają odpowiedzi za każdym razem, gdy się je wyjmuje. Kieliszki ustawiono do góry nóżkami i stół nakryto starą moskitierą. Ze względu na ptaki...

- Nie zawsze zachowują się przyzwoicie - wyjaśniała Magali.

- A właściwie nigdy! - dodał Marius.

Magali i Marius.

Ostatnie pociągnięcie pędzla na obrazie. Bez dzieci czegoś by brakowało „Pod Oliwkami”. Od narodzin bliźniaki są „malcami”. Pewnego dnia przekazą pałeczkę dzieciom Philippine, Antoine'a, Luka. Ojciec „malców”, syn Amélie, a potem Salah, syn Blaïda, też swego czasu byli „malcami”. Estelle patrzy na bliźniaki i z bólem myśli o dwójce dzieci, które los rozdzielił... Śmiechy ściągają ją na ziemię. Carla pyta malców o wiek.

- Dwadzieścia dwa lata! - odpowiadają jak jeden mąż, dopiero potem uściślając: - Jedenaście każde!

Nour merda ogonem, wygląda na rozbawionego, jak gdyby rozumiał żart. On też stanowi część obrazu. Podobnie jak stanowił go kot, który zdechł ubiegłej zimy. Teraz dom domaga się nowego. I dostanie go. Dziś rano Estelle zauważyła wypłoszonego, przegowanego dachowca, który zniknął za budynkami gospodarczymi... Cierpliwości, on też niebawem przyłączy się do grupy na obrazie.

Wszystko gotowe na przyjęcie gości.

Ludzie też, stoją teraz nieruchomo na tarasie jak bohaterowie jakiejś sztuki przed podniesieniem kurtyny i, nagle, wybiegają na powitanie samochodu Samuela, którym przyjeżdżają obaj „stryjowie”.

Jules zrobił Samuelowi wspaniały prezent. Podarował mu Biblię. Taką, jakiej nie miał! A to prawdziwy wyczyn, gdyż odkąd polują wspólnie na święte księgi, niewiele rzadkich egzemplarzy zdołało im się wymknąć, czy to z wydań Wulgaty, Talmudu Babiliońskiego, *Desputoison du juyf et du crestien*, czy też z dzieła biednego Abelarda.

Pierwszy raz bliźnięta widzą Biblię po hebrajsku.

- Ładne - mówi Magali, wodząc palcem po tekście. - Wygląda jak winnica zimą. Co to znaczy, to? - pyta, pokazując linijkę od lewej do prawej.

Samuel tłumaczy jej, że należy czytać od prawej do lewej.

- Tak jak Koran - dodaje Blaïd głosem pełnym szacunku.

- Co to znaczy? - nalega dziewczynka.

Samuel tłumaczy pośród ogólnego milczenia:

- *Będiesz miłował Pana, Boga twojego z całego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił.*

Ta odpowiedź na pytanie dziecka jest tak piękna, że Jules zastanawia się, czy czasem Samuel trochę nie zaszachrował.. Nieufny, pochyla się nad tekstem. Lecz nie! Palec spoczywa na Księdze Powtórzonego Prawa VI, 5! Jules i Samuel wymieniają spojrzenia.

- Musiałeś sprawdzić, człowieku małej wiary! Niech ci się nie wydaje, że nie widziałem!

- Człowiek małej wiary bije się w piersi! Powiniennem był pamiętać, że niewinność zmierza zawsze prosto do istoty rzeczy!

Carla, która odkryła właśnie muscat z Beames-de-Venise i z wdzięcznością

kontempluje swój kieliszek, przerywa ich dialog.

- Chciałabym nigdy stąd nie wyjeżdżać! - mówi do Julesa z ciepłem w głosie.

Początkowo wzięła jednego za drugiego; pomyliła ich. Powiedziała: „Dzień dobry, księżdu!” do doktora i wszystkich to rozśmieszyło. „Jestem nowa” dodała, żeby się wytłumaczyć. Cóż za przygoda! I pomyśleć, że gdyby w ubiegłym roku przez trzy dni nie kręciła w zamku If, gdyby nie zgodziła się wziąć udziału w pokazie nowego filmu w Marsylii, gdyby nie siedziała potem obok Rémy'ego podczas galowej kolacji... gdyby, gdyby, gdyby... nie byłaby tutaj dzisiejszego wieczora, pośród tej życzliwej rodziny, przy domu, który patrzy teraz na nich swymi szeroko otwartymi oknami, na tym romantycznym tarasie... Nie byłaby z Rémym, nie przeżywałaby pełni szczęścia.

Jedyny, który zdaje się nie podzielać ogólnego nastroju, to Antoine. Wydaje się nerwowy, niespokojny. Bez przerwy spogląda na zegarek, odwraca się w stronę lasu, nasłuchując odgłosu samochodu. Co z Sophie? Dochodzi dziewiąta, a jej ciągle nie ma. Na nic nie przydaje się tłumaczenie sobie samemu: wie, że bronila dziś w Aix, że jest środek lipca, więc na drogach panuje wielki ruch. I tak wpada w panikę. A jeśli miała wypadek? A jeśli postanowiła nie przyjechać? Widocznie tak niewiele dla niej znaczy! Matka, która obserwuje go kątem oka, podchodzi i bierze pod ramię. Spojrzenie, którym syn ją obdarza, ściska jej serce. To wzrok małego chłopca, który cierpi i wzywa na ratunek. Na szczęście seria klaksonów zapowiada przyjazd spóźnialskiej, wszyscy oddychają z ulgą i cieszą się na myśl, że wreszcie zasiądą do stołu. Sophie jest delikatną brunetką, dość bladą, uroczą. Wygląda na zmęczoną podróżą.

- Spóźniłam się, ale mój klient został uniewinniony! - tłumaczy się, całując wszystkich wokół.

Antoine przytrzymuje ją dłużej w ramionach, lecz dziewczyna wymyka mu się z objęć i z okrzykiem biegnie do samochodu po zapomniany prezent dla Samuela.

- Prezent z gatunku praktycznych - mówi. - Domyślam się, że inni zatroszczyli się o strawę duchową, więc wybrałam coś całkowicie ziemskiego!

Samuel dziękuje, odpakuje pakiecik, wyjmując flakon wody toaletowej, otwiera go, wącha, wciera odrobinę zapachu za uszami i szczerze ofiarowuje kilka kropli Julesowi.

- Parafianki będą miały o czym gadać po spowiedzi! - mówi Luc.

- Gdyby to miało przyciągać je do kościoła, od stóp do głów namaszczałbym się wonnościami!

Bliźniaki wybuchają śmiechem, siedzą już z wielkimi białymi serwetkami zawiązanymi wokół szyj.

- Namaszczałbyś się wonnościami! - powtarza Marius z zachwytem.

Zakłopotany Rémy wypycha Carle przed siebie. Nie bardzo wie, jak ma ją przedstawić Sophie, ale niepotrzebnie się martwi, młoda pani mecenas w lot pojęła: to nowa. Cholerny Rémy!...

Amélie obrzuca stół spojrzeniem, by upewnić się, czy niczego nie brakuje: ani chleba, ani wina, ani *anchois*, ani placuszków ze szpinakiem i rybą po prowansalsku, ani pasztetu z drożdów z Ventoux... ani oliwek!

- Zdrowie Samuela! - mówi Estelle i każdy wznosi kieliszek z zakazanym i cudownym châteauneuf. Nawet dzieciom nalano dziś po odrobinie wina. Tylko Blaïd swą szklaneczkę ma napełnioną sokiem pomarańczowym. Wzruszony dziękuje, kiedy wszyscy chwalą jego wspaniały rocznik 89.

- Wielka jest chwała Pana - mówi skromnie w swoim rodzinnym języku.

Tort urodzinowy powitano oklaskami. Osiemdziesiąt specjalnych świeczek przysparza nieco kłopotu organizatorom, gdyż opierają się one nie tylko powiewom wiatru, stawiają również opór dmuchnięciom Samuela. W końcu dzięki wspólnym wysiłkom gaszą wszystkie świeczki i doktor, zgodnie z tradycją tego domu, kroi tort, podobnie jak zawsze krajał pieczone, drób i udziec podczas posiłków „Pod Oliwkami”.

Wówczas to Estelle prosi o chwilę ciszy.

- Jest jeszcze jeden prezent...

Ten prezent pochodzi od Mariusa i Magali, którzy podnoszą się, pobladli z tremy, oznajmiając, że będą recytować wiersz.

- A! Dzielne dzieciaki! - wykrzykuje Samuel. - Co to będzie za wiersz?

- *Amo de moun país...*\*

- Mistral! Świetny wybór!

Wokół stołu zapada cisza. Tę inwokację do Ducha Prowansji z pierwszej pieśni *Calendala* wszyscy znają na pamięć i mogliby recytować jednocześnie. Tak jednak miło jest słuchać w księżycowej poświacie, w blasku gwiazd tych dwóch świeżych i niepewnych głosików:

*Arno de longo renadivo*

*Arno jouiouso e fièro e vivo,*

*Qu'endibes dins lou brut dou Rose e dou Rousau!*

*Arno de séuvo armouniouso*

---

\* Duszo kraju mego (prowans.).



*E di calanco souleiouso,  
De la patrio amo piouso, Tapello!  
Encarno-te dins mi vers prouvençau!\**

Niektórzy nie doczekali w milczeniu końca i włączyli się w dwa ostatnie wersy, mówiąc je równocześnie z dziećmi. Antoine wykorzystuje ogólne wzruszenie, by ująć dłoń Sophie. Niestety wyrywa mu się, by oklaskiwać recytację. Tymczasem Samuel całuje dzieci i składa im gratulacje.

- To nasza nauczycielka w Cassis, ona nas nauczyła, jest bardzo mocna! - mówi Marius.

Gruba? pyta Luc.

- Nie, szczupła! Ale mocna!

- ...w poezji - wyjaśnia Magali i zaraz potem wykrzykuje: - Gwiazdy spadają!

Natychmiast wszyscy zadzierają głowy, aby popatrzeć w niebo. Estelle wstaje i podąża za młodymi do prześwitu między drzewami. Tak bardzo by chciała dzisiejszego wieczoru powierzyć gwiazdzie swoje życzenie...

Wszyscy je widzą, tylko nie ona...

W mroku Antoine obejmuje Sophie. Jest taka lekka w jego ramionach.

- Pomyślałaś jakieś życzenie? - pyta.

- Tak.

- Mogę wiedzieć, jakie?

- Nie.

- Chcesz wiedzieć, jakie życzenie ja pomyślałem?

Odsuwa się i przekomarzając się z nim, odpowiada:

- Życzenia objęte są tajemnicą, podobnie jak głosowanie obywateli!

- Muszę z tobą porozmawiać, Sophie...

- Za chwilę - przerywa łagodnie. - Dotrzymam towarzystwa Samuelowi, popatrz, został całkiem sam!

I już jej nie ma. Siada przy stole obok bohatera wieczoru, gdy tymczasem Magali, zwinąwszy dłonie w trąbkę, prosi:

- Gwiazdy, sprawcie, żebym w przyszłym roku była mażoretką\*\*!

---

\* Wiecznie odradzająca się duszo, duszo radosna i dumna, i żywa, / która pobrzmiwasz w odgłosach Rodanu i w wietrze jego / Duszo lasów pełnych harmonii / skalistych wybrzeży, pełnych słońca, / ojczyzny duszo nabożna, / Błagam cię! Wniknij w me prowansalskie strofy.

\*\* Majorette (fr.) - umundurowana dziewczyna biorąca udział w świątecznych paradach.

Antoine zapala zapałkę i słaby jej płomyk tańczy pod drzewami. Rémy wstaje, żeby pójść po wino. Carla go powstrzymuje. Mówi cichym, pełnym powagi głosem:

- Twój syn jest zakochany.

- Wiem - odpowiada jej tym samym tonem. Zaraz potem pochyła się i szepcze jej do ucha: Jego ojciec też!

„O czym też mogą rozmawiać?” - zastanawia się Antoine, który z daleka przygląda się Sophie i Samuelowi. W półcieniu otaczającym krąg światła widać jedynie ich twarze. Wydaje się, że przekazują sobie coś niezwykle ważnego. Czuje się wyłączony, odepchnięty. Podchodzi do Carli, siedzącej przy drugim końcu stołu, nalewa sobie kieliszek wina i wychyla duszkiem. Nalewa kolejny.

Jakby się zachował, gdyby wiedział to, o czym wie Samuel? Spośród wszystkich tu zgromadzonych i kochających Sophie, jeden tylko człowiek zna jej tajemnicę, Samuel. To on w ubiegłym roku skierował ją do swojego przyjaciela, profesora Dupré.

- Masz już wyniki? - pyta cicho młodą kobietę.

Nie. Miała je otrzymać dzisiaj, ale w laboratorium chcieli powtórzyć jedno badanie.

- Jak się czujesz?

- Zmęczona - mówi z uśmiechem. - Kuracja jest wyczerpująca.

- Wiem.

Stary doktor kładzie dłoń na delikatnej ręce Sophie i myśli o jej matce, Colette, którą leczył aż do końca. Gwiazdy nadal spadają...

- I pomyśleć, że nigdy w życiu nie udało mi się zobaczyć nawet jednej! - skarży się Estelle, która została z malcami.

Mariusz przychodzi jej z pomocą.

- Nic nie szkodzi, ja widzę ich pełno! O co byś chciała poprosić, gdybyś jakąś zobaczyła?

Estelle wchłania w siebie pachnącą noc; słucha odgłosów przyrody, i ma mocną świadomość tego, że obok, wokół wielkiego stołu pod lampami, najwyraźniej szczęśliwi, zebrali się wszyscy, których kocha...

- No to o co poprosić gwiazdę? - dopytuje się Mariusz.

- Żeby czuwała nad „Oliwkami”.

\*

Zaskoczyć dzień nim jeszcze wszędzie słońce, w porze, gdy powietrze jest tak rozkoszne, że je wprost pijesz. Orzeźwiająca jak źródłana woda.

Estelle wychodzi z domu, w którym wszyscy jeszcze śpią. Spojrzeniem ogarnia stół, na którym zostawiono lampy i kandelabry. Lekki powiew wiatru unosi długi, biały obrus, jak halkę. Drzewa oliwne drżą lekko. Cienka strużka wody spływa urywaną nitką z paszczy kamiennego lwa. Zapowiada się wielka spiekota.

Tego poranka Estelle oddaje się swemu zawodowi. Z pasją. Jest antykwariuszem, podobnie jak jest się marynarzem albo kosmonautą. Bez reszty!

Jedzie do Isle-sur-la-Sorgue wyszukiwać cudowności. Należy przybyć tam wcześniej, inaczej nie ma co liczyć na skarby! Późno poszła spać, ale to nieważne, uwielbia świeże poranki! W chwili gdy wsiada do samochodu, cykady zgodnym głosem intonują uverturę dnia.

Jedzie z opuszczonymi szybami, przyglądając się okolicy, jak gdyby nigdy przedtem jej nie widziała.

Popatrzcie, widać Ventoux! Chował się od jej przyjazdu. Jak go coś najdzie, to potrafi zniknąć na kilka dni, a nawet pociągnąć za sobą Dentelles de Montmirail, a potem nieoczekiwanie znowu się pojawia! Bardziej niż kiedykolwiek przypomina japoński wulkan, jego biały szczyt rysuje się wyraźnie na błękitnie nieba. Trzyma się bardzo prosto. Jak gdyby pragnął osiągnąć tych osiemdziesięciu ośmiu metrów, jakich mu brakuje do dwóch tysięcy.

Na drodze ruch jest niewielki. Turyści jeszcze w łózkach, a rolnicy już na polach. Estelle-antykwariuszka jedzie do Fernanda, handlarza starociami. Fernand, niewyczerpana kopalnia dla wszystkich wiedzących, że przedmioty martwe mają swoją duszę, która przywiązuje się do naszej i zmusza ją do miłości.

Mała Wenecja staroci - Isle-sur-la-Sorgue - dopiero się budzi, kiedy Estelle wjeżdża do miasteczka. Zauważa, że wiele jeszcze okiennic jest zamkniętych. Tym lepiej, większe szanse na powodzenie.

Fernanda trzeba dobrze znać, by umieć go docenić. Jego sklepik jest zagraconym sezamem, do którego miotła ma wstęp wzbroniony, natomiast sam właściciel nie jest zbyt krytyczny w stosunku do swych znalezisk. Zbiera, gromadzi, ściąga i zgarnia. Zarówno najlepsze, jak i najgorsze. Trzeba umieć samemu selekcjonować jego skarby.

W chwili, gdy zatrzymuje się przed składem, Fernand akurat podnosi żelazną roletę.

Przybyła jako pierwsza i cieszy się z tego.

Po wylewnych powitaniach idzie za nim do jego pieczary. Oczy muszą wpierw przywyknąć do półmroku, który zaskakuje po jasności poranka. Fernand zapala żarówkę zwisającą na gołym kablu i to okropne oświetlenie pozwala odkrywać ostatnie skarby.

Natychmiast wypatrzyła dwa niskie taborety wyszywane haftem krzyżykowym.

- Widziała pani moje żyrandole? - pyta Fernand. - Są takie piękne, że aż chce się wołać ratunku!

- Ratunku, bo za drogie! - mówi grzecznie Estelle, która nie chce mu robić przykrości, a nie ma odwagi powiedzieć, że istotnie zauważyła je, ale za żadne skarby by ich nie kupiła.

- Na razie rezerwuję ten elegancki sprzęt do salonu, oba taborety i ten zniszczony puf... Proszę być tak miłym i niedrogo policzyć mi za ten puf. On już ledwo zipie!

- Puf daję pani na dokładkę - Fernand czyni wielkopański gest.

Dziękuję mu, krążąc nadal po sklepie. Zza regałów słyszy, jak właściciel próbuje wcisnąć żyrandole jakiejś parze, która właśnie weszła do magazynu.

Rozbawiona, idzie do drugiego pomieszczenia, w którym drobne przedmioty ustawione są bez ładu i składu na zakurzonym stoliku. Każdy „od Sasa do lasa”. Nagle czuje, że serce zabiło jej mocniej. Stoi zauroczona przed przepiękną figurką przedstawiającą tańczącą Cygankę.

Gdy zbliża się, by jej dotknąć, jakaś męska dłoń porywa Cygankę. Kto to? Nigdy go nie widziała.

Na pewno by go zapamiętała, gdyby kiedykolwiek go spotkała. Takiej twarzy nigdy się nie zapomina.

Zaborczo przyciska do siebie figurkę tancerki, dobitnie tym gestem podkreślając, że należy do niego. Zawodowa lojalność obowiązuje. Estelle jest zbyt wytrawną profesjonalistką, by się tym zirytować. Żal jej znaleziska i tyle.

A wtedy, nieoczekiwanie, mężczyzna uśmiechając się podaje jej figurkę szarmanckim gestem. Zaskoczona Estelle odmawia.

- Nie, nie! Zauważył ją pan przede mną!

- Bardzo panią proszę! Piękno niech idzie do piękna!

Oniemiała. Rzadko zdarza się słyszeć tego rodzaju wyszukane komplementy pomiędzy starociami i tandetą. Rozbraja ją to całkowicie; nie pozostaje nic innego, jak przyjąć figurkę Cyganki, którą mężczyzna wkłada jej w ręce. Gest czysto kurtuazyjny, to fakt, lecz sprawia, że serce zaczyna jej bić szybciej. Spojrzenie mężczyzny wywiera na niej niespodziewanie duże wrażenie. Kim jest? Antykwariuszem? Amatorem staroci? Podróżnym, którego przypadek skierował do Fernanda? Nagle czuje się skrępowana; wzrok jest tak silny, że nawet nie zauważyła, jak sama, przykuta tym spojrzeniem, patrzy na niego.

- O, pani Laborie, niech no pani przyjdzie popatrzeć! Nie pani to szukała w zeszłym roku uchwyty do podtrzymywania firanek w stylu Drugiego Cesarstwa? Mam ich pełen

karton...

Estelle odwraca głowę w stronę pomieszczenia, skąd dobiega głos.

- Już idę, Fernandzie - mówi.

Po chwili jednak reflektuje się. Ma ochotę pozostać z tajemniczym mężczyzną i dowiedzieć się, co go przywiodło do tej jaskini rzeczy nieożywionych. Z uśmiechem na ustach odwraca się w stronę nieznanego... Lecz już go nie ma. Zniknął. Zniknął bez śladu. Bezszelestnie. Szuka go wzrokiem. Nie ma. Czyżby jej się przyśnił? Nie, wciąż trzyma w dłoniach tancerkę, a to przecież on ją podał.

- Biorę też Cyganekę - mówi do Fernanda, który wraca z całym naręczem uchwytów.

Teraz już upał daje się we znaki.

Estelle siedzi na tarasie kawiarni u brzegu Sorgue i wachluje się oprawioną w plastik kartą napojów i lodów. Płynąca opodal rzeka w niewielkim tylko stopniu ochładza powietrze.

Jakiego koloru oczy miał mężczyzna?

Czarne. Ale bywa, że jasne oczy ciemnieją pod wpływem silnej emocji. A mężczyzna nie patrzył na nią obojętnie.

Pije łyk perrier i gwałtownie odstawia szklanekę. Nie myli się, jej tancerka, tylko żywa, przechodzi przez taras i zmierza w jej stronę... Doprawdy, ranek pełen halucynacji!

Wspaniała Cyganica, bosa, o ciemnych nogach, kołysząc falbanami spódnic, z gracją podchodzi wprost do niej. Jest kobietą z krwi i kości, kobietą, której doskwiera upał, podobnie jak Estelle, kobietą, która, jak i ona, jest spragniona. Spostrzegłszy szklanekę wody, którą jakiś klient zostawił na kawiarnianym stoliku, ujmuje ją pełnym dystynkcji ruchem i z wyraźną przyjemnością wypija aż do ostatniej kropli.

Represje nie każą długo na siebie czekać. Natychmiast zjawia się kelner i napada na nią.

- Ej ty! Cyganicha! Zmiataj stąd! Już cię tu nie ma!

Cyganica spogląda na niego wyniośle, a następnie bez pośpiechu odstawia delikatnie szklanekę na stolik i pyta:

- A jeśli chce mi się pić?

- Spadaj!

Estelle woła:

- Kelner! - i spokojniej już prosi: - Zechce pan przystawić krzesło? Pani jest ze mną.

Oślupiały kelner przenosi wzrok z jednej na drugą; dziwna para, blondynka i brunetka. One obie patrzą na niego z takim samym, pewnym siebie wyrazem twarzy. Nabijają się z

niego, to pewne! Nie w smak mu to. Nieco gwałtownym ruchem ustawia krzesło obok Estelle, która przyjacielskim gestem zaprasza Cyganę.

„Czego to się człowiek nie napatrzy!” - myśli w duchu kelner, przyjmując zamówienie.

- *Diabolo-menthe*.\*

Odchodzi zgorszony, a kobiety uśmiechają się do siebie nawzajem.

Estelle podziwia nieznajomą, jej sposób trzymania głowy, smukłość talii, delikatne ucho, krwawoczerwony goździk wetknięty w lśniące włosy... Cyganka też jej się przygląda. Z powagą.

- Jak masz na imię? - pyta.

- Estelle.

- Gwiazda? Pasuje do ciebie! Ja jestem Zita... - a że kelner ze zboląłą miną przyniósł jej właśnie *diabolo-menthe*, dodaje takim samym jak on tonem:

- ...Cyganicha!

Pije nie spuszczać oczu z Estelle. Pomiedzy dwoma kobietami nawiązuje się jakaś więź. Dwa światy, świat ziemi i świat wiatru, odkrywają się nawzajem i akceptują...

Zita odstawia szklanę.

- Podaj mi dłoń, Gwiazdo... Chcę ci podziękować!

Estelle wyciąga rękę, która w dłoni Zity wydaje się jeszcze jaśniejsza niż zwykle. Na twarzy Cyganki zaczyna malować się zdumienie. Jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. Obraca dłoń Estelle w swojej ręce, aż w końcu podnosi głowę i mówi z niedowierzaniem:

- Pewnego dnia ty i ja będziemy mieszkać pod jednym dachem!

- O! Czemu nie?

- Bo skądże! - mówi Zita. - Ale widzę to... tutaj. Podobnie jak zobaczyłam, że otrzymasz wiadomość od swego brata.

- Nie mam brata!

- No to nie mam szczęścia!

Obydwie wybuchają śmiechem.

Jednak cień jakiś przebiega po czole Zity, która nie wypuszcza ręki Estelle.

- A jednak... - mamrocze do siebie.

Nagle, pomimo upału, robi jej się zimno. Zgina jasną dłoń Estelle i zaciska ją mocno, jakby na sekretach, żeby nie uciekły. Dodaje:

---

\* Koktajl bezalkoholowy złożony z syropu miętowego i lemoniady.

- Uważaj na siebie!

Zaparkował przed kościołem w cieniu platanów.

Otwiera drzwiczki, wsiada, zajmuje miejsce za kierownicą, przekręca kluczyk w stacyjce... ale nie rusza.

Nie może.

Ręce położył na kierownicy, zacisnął szczęki, serce łomocze mu jak po szalonym biegu. Nie może odzyskać spokoju.

Znow ją zobaczył.

Tamtego dnia z okien merostwa rozpoznał ją, choć nikt mu jej nie wskazał. Te jej włosy. Te cudowne włosy, jakie miała już w dzieciństwie. Włosy wróżki z bajki.

Nie wyobrażał sobie, że będzie cierpiał tak bardzo.

W chwili, gdy życie ich rozdzieliło, Estelle umarła dla niego.

Tak po prostu.

A potem, któregoś dnia, zobaczył, jak śmieje się przed sklepikiem z owocami. Widział, jak próbuje coś, co podał jej sprzedawca. Gdy wypowiedziała słowa, których nie mógł usłyszeć, poczuł się okradziony ze wszystkiego, czego z nim nie dzieliła.

Musi ją znowu zobaczyć. Musi dotknąć jej skóry, upewnić się, że to rzeczywiście ona, żywa. Musi wyczuć pulsowanie jej krwi, która płynie w niebieskawej, cieplej siateczce żyłek przy każdym uderzeniu serca.

Zajęty budową swojego imperium zapomniał o zasadniczej sprawie.

Estelle.

Podczas gdy on tkął swoją pajęczą sieć, ona stawała się kobietą, wydawała na świat dzieci, tym swoim charakterystycznym ruchem potrząsała włosami...

Wszystko zaplanował. Wprowadził do komputera wszelkie dane. Z wyjątkiem jednej. Włosów wróżki z bajki. Nie przewidział tego, że wystarczy jedna złota nić, jedna jedwabista nić, by proces został zakłócony.

Z całych sił zaciska dłonie na kierownicy.

Nie chce się rozkleić.

Jednak fala wspomnień doskonałego szczęścia z okresu dzieciństwa zalewa go mimo wszystko. Okrutny powrót, który prowadzi go znowu do czasów odkrywania piękna, dobra i bogactwa świata. W czasy zbiorów oliwek w chłodzie zimy, w czasy długich marszów na małych nóżkach poprzez stary las.

W czasy odkrywania nazw drzew.

A jak kiedyś zniknęła pośród winnej latorośli... Wykrzykiwał jej imię, a ona się chowała. Dla zabawy. Wreszcie schowała się tak, że długo szukał. Zdradziły ją włosy, złocisty kwiat szarpany wiatrem pośród liści uginającego się pod ciężarem kiści szczepu. Żadne upojenie nie równa się temu radosnemu zachłyśnięciu, gdy ją odnalazł.

Nawet upojenie zemstą.

Czyżby mylił się pod każdym względem?

Pragnął zawładnąć przeszłością, by skuteczniej ją zniszczyć. Ale teraz nie chodzi już o odniesienie zwycięstwa nad kamieniami i ziemią. Chodzi o Estelle. Zawładnąć nią? Zniszczyć? Sam już nie wie.

Przez lata walczył, budował, przygotowywał karę, a teraz, gdy zbliża się do wyznaczonego celu, żywi jedno tylko pragnienie. Dotknąć jej skóry, j e j d o t k n ą ć .

Musi się wziąć w garść, musi się odnaleźć w tym wszystkim.

Ubiegłej nocy, po odjeździe gości daremnie czekał na sen.

Porucznik Philippine de la Craye poruszyła go do głębi. Jest bardzo piękna, choć nie odziedziczyła po matce jej wspaniałych włosów. Trudno mieć włosy wróżki, gdy jest się żołnierzem.

A Philippine jest żołnierzem. Dowodzą tego jej skrupulatność i jej obowiązkowość. Przez cały wieczór miał ochotę powiedzieć jej... Ale co właściwie powiedzieć? Że chciałby być jej ojcem? Nie jest jej ojcem, lecz będzie miał władzę nad jej życiem. Już teraz panuje nad Jean-Edmondem. Nad życiem Mireille, aktywnej, inteligentnej, a nawet błyskotliwej pani mer. Lecz Mireille należy do osób, które zawsze przegrywają. Swoją drogą nie cierpi pechowców. Do tego stopnia, że robi wszystko, by odnosić same sukcesy.

A jednak ostatniej nocy nie mógł zasnąć.

O świcie opuścił Rochegude, by odwiedzić dom, w którym rozegrał się niegdyś dramat. Chciał pojechać do ruin swego dzieciństwa, gdyż rana, którą uważał za zabliznioną, otwarła się. Po trzydziestu pięciu latach. To całe życie.

Nie dotarł do krwawego domostwa. Gdy zbliżał się do „Oliwek”, spostrzegł samochód wyjeżdżający z lasu. Za kierownicą siedziała kobieta. Ona. Podążył za jej włosami...

- Odjeżdża pan?

Drgnął, jak przyłapany na gorącym uczynku.

- Czy pan odjeżdża? - powtarza pytanie kobieta o puciołowatej twarzy i pochyła się ku niemu nad opuszczoną szybą. - Od ponad pół godziny jeździmy z mężem w kółko i nie możemy znaleźć miejsca, żeby zaparkować...

Jest spocona, spogląda na niego błagalnym wzrokiem, jak gdyby od jego odpowiedzi



zależało jej życie. Daje jej znak, że odjeżdża, a ona aż klaszcze w dłonie z radości.

- W porządku, Albercie! - krzyczy pospolitym głosem, odwróciwszy się do męża.

Następnie, gdy cofa, wraca, by obdarować go pełnym wdzięczności uśmiechem.

Uśmiech ten przywołuje go do rzeczywistości. Do jego misji. Pewnie dlatego, że zęby tej kobiety są nie tylko brzydkie, nierówne, z nieprawidłowym zgryzem, lecz że są one przede wszystkim dowodem na okrucieństwo życia.

Estelle zaparkowała w cieniu, a znajduje samochód w pełnym słońcu. Odnosi wrażenie, że wchodzi do pieca, ledwo może utrzymać dłonie na kierownicy.

Nie ma jeszcze dziesiątej, zapowiada się niezły skwar!

Spieszno jej znaleźć się w domu, w cieniu opiekuńczego listowia drzew, wziąć zimny prysznic, wypakować skarby... *Chauffeuses*\* (oto słowo, jakiego nie należy wypowiadać przy podobnym upale!) wymagać będą kilku napraw, zaś mebel w stylu *galant* nie widział chyba wosku od śmierci Regenta, puf natomiast trzeba będzie pokryć nową tkaniną. Jedyne figurka jest w stanie nienaruszonym...

„Piękno niech idzie do piękna”.

Czuje jeszcze na sobie wzrok mężczyzny... Gdy im to za chwilę opowie... Lecz czy naprawdę ma ochotę opowiedzieć o tym spotkaniu? Zresztą, co tu opowiadać? Jakiś pan przyszedł do Fernanda, odstąpił mi statuetkę, bo mu się spodobałam... a potem zniknął i tyle.

Czy opowiada się historyjki, które nie mają zakończenia? A ta dziwna scena z przepowiednią Zity? „Uważaj na siebie”. Tego też nie opowie. Nie ma najmniejszej ochoty, żeby komentowali to, czego sama nie jest w stanie rozszyfrować. Jej własna ciekawość nie została do końca zaspokojona, chciałyby wiedzieć...

Na pewno nie jest z jej branży. Nie pozwoliłby, żeby takie чудо wymknęło mu się z rąk. Zwłaszcza za taką cenę! Fernand nigdy nie sprzedaje przedmiotów zgodnie z ich istotną wartością. Powód jest bardzo prosty: nie zna się na tym. Sprzedaje rzeczy za tyle, za ile sam je zdobył. Co tłumaczy zawrotną cenę żyrandoli, o których myśli, że dostąpiły zaszczytu oświetlania wykwintnych kolacyjek, gdy tymczasem co najwyżej przyświecały orgietkom w jakimś zacisznym burdelu za czasów III Republiki.

Od dłuższego czasu jedzie za trzema ogromnymi ciężarówkami. Nie sposób ich wyprzedzić. Wzdycha. W ubiegłym tygodniu skradziono jej radio, w pięć minut zwinęli, i to pod samym nosem. Dobrze jej tak! Będzie miała nauczkę!

---

\* Niskie krzesło przed kominek (od czasownika *chauffer* - grzać).

- Jaką nauzkę? Czego to mam się nauczyć? - zastanawia się na głos.

Entuzjazm, którym tryskała o świecie, ustępuje miejsca obawom.

Nowe, czekające ją teraz życie, nie ma nic wspólnego ze światem zjaw, zniknięć, przepowiedni... Podjęła decyzję, że zmieni swój los, na pewno słuszną. Trzeba będzie jednak tę decyzję wcielić w życie. Trzeba będzie naprawdę rozstać się z Jérôme'em. Zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym. Powrócić tutaj. Zapanować nad rozpadem... Ale skąd wziąć na to środki?

Ma czterdzieści pięć lat i jest sama.

Sama, taka jest prawda.

W ubiegłym tygodniu Syryjczyk, który pasjonuje się niebieską porcelaną z Sèvres, kupił od niej dwie wazy, które dotąd nie znajdowały nabywcy, i przyrzekł szybko przysłać czek. Nie wątpi w jego uczciwość, to stały klient. Obawia się jednak terminów. Jeśli czek nie przyjdzie za dzień lub dwa, znowu będzie mieć debet w banku. Albo będzie musiała zapłacić dziesięć procent kary za przekroczenie terminu płatności podatku gruntowego. Rémy'ego nie może poprosić. Mimo ferrari i pozorów zasobności, on też ma kłopoty. Poczawszy od wspólnych przecież dzieci.

Nie ma najmniejszego powodu, by martwić się Philippine, ale Luc nie skończył jeszcze studiów, Antoine natomiast...

Od rozvodu Estelle czuje się winna wszystkiemu, co nie układa się w życiu dzieci. Wie, że każde z nich nosi na sobie piętno rozstania rodziców. Philippine czerpie z tego swoją siłę. Jej pozorna obojętność stanowi jedynie sposób obrony przed cierpieniem. Podobnie jak potrzeba czułości u Luka, jego przywiązanie do rodzinnego domu... Antoine nie znalazł żadnego sposobu obrony. Jest nieszczęśliwy, łatwo to dostrzec. Co się dzieje z Sophie? Przysięgłaby, że nie tak dawno byli w sobie zakochani. Od razu stał się weselszy, mniej agresywny, nie pił tak dużo. Pracował z zapałem. A tu nagle Sophie zaczęła go unikać. Wprawdzie jest od niego starsza prawie o pięć lat, lecz różnica wieku nie stanowi istotnego powodu. Musi się za tym kryć coś innego. Albo ktoś. Niezręcznie byłoby wypytywać Sophie, mimo sympatii, jaką się darzą. Łatwiej by jej to przyszło, gdyby nie była matką chłopca.

- Małe dzieci mały kłopot, duże dzieci duży kłopot - mawia Amélie, która ma słabość do banalnych powiedzonek. Lecz czyż byłyby one banałami, gdyby nie były skarbnicą mądrości?

- Poradzę sobie - wykrzykuje Estelle. Ten płynący z serca okrzyk dotyczyć może zarówno rehabilitacji „Oliwek” i uszczęśliwienia swoich bliskich, jak i próby wyprzedzenia trzech ciężarówek, które od wielu już kilometrów zatruwają jej życie, drażnią wzrok, słuch i

węch. Zjeżdża na drugi pas i z gazem wciśniętym do dechy wyprzedza je, wywołując wielkie zgorszenie jadącego na czele kolumny kierowcy, który poczuł się upokorzony. Przyspiesza więc i obrzuca ją inwektywami, w chwili gdy go mijają:

- Masz się za coś lepszego, babuniu?

- Niech Cię Bóg ma w swojej opiece, biedny idioto! - wzdycha z pobłażaniem Estelle.

14 lipca.

Orkiestry Floty, Politechniki i Legii Cudzoziemskiej grają do marszu w oczekiwaniu na sygnał wyruszenia w kierunku Champs-Élysées.

Szef państwa zajął już miejsce na oficjalnej trybunie. Armia gotowa, żołnierze zwrócili wzrok ku obeliskowi, niebo jest jasne, tłum się niecierpliwi...

Wreszcie ruszają.

Najpierw idzie orkiestra, której przemarsz witają oklaski. Za nią - Politechnika.

Philippine maszeruje po prawej stronie chorążego niosącego sztandar. Gdyby nie powiedziała dokładnie, gdzie będzie się znajdować, nikt nie zdołałby jej rozpoznać. Nawet rodzona matka.

Włosy ma bezlitośnie ściągnięte w koczek, tak że ani jeden kosmyk nie wyśliznie się spod trójgraniastego kapelusza. Niewzruszony żołnierz o twarzy nie wyrażającej żadnych uczuć, ucieleśnienie dyscypliny, wzór ułożenia, podporządkowania wyłącznie rytmowi i rozkazom. Podobnie jak wszyscy, którzy maszerują z nią noga w nogę.

Głowę trzyma wysoko, prosto.

Ale gdyby ktoś wiedział, co kłębi się w tej głowie!

Philippine defiluje przy dźwiękach marszów wojskowych, okrzyków, aprobaty tłumu i nikt nie podejrzewa nawet, jak jest zbulwersowana. Przed oczyma stoi jej jeszcze obraz kolacji w Rochegude, na którą wczoraj wieczorem zabrał ją Jean-Edmond.

Strach - przez to domostwo, przerażające i mroczne. Przez mężczyznę, błyskotliwego i szarmanckiego, który tak ją przykuwał spojrzeniem, że czuła się skrepowana.

Jakiego koloru były jego oczy? Czarne? Pierre Séverin. Nieprzystępny Pierre Séverin, który sam się do nich zwrócił z zaproszeniem. Prawdopodobnie nie tylko dlatego, że potrzebuje Jean-Edmonda do realizacji swoich projektów, lecz i dlatego, że ma pewne zamiary w stosunku do niej. Chce wykupić jej *pantoufle*\*. Wyrwać ją z sektora publicznego, powierzyć jej prowadzenie swoich interesów. Gdy wspomniała o swoim wieku, o studiach,

---

\* Wypłacić państwu pewną sumę, by zapewnić sobie w sektorze prywatnym usługi studenta kończącego wyższą szkołę, przygotowującą do służby państwowej.

jakie zamierza jeszcze podjąć po ukończeniu Politechniki, wybuchnął śmiechem i przytoczył słowa Napoleona:

- *Jeśli spotkacie młodego porucznika, który ma zadatki na generała, nie popełniajcie tego błędu, by mianować go pułkownikiem.*

- Brawo, dziewczęta! Wspaniale! - wrzeszczą podekscytowane smarkule, siedzące na barierkach odgradzających tłum.

Żadnego uśmiechu. Żadnej reakcji. Dyscyplina. Philippine defiluje.

„Pani skrupuły na myśl o opuszczeniu służby państwowej, droga pani, przynoszą pani jedynie zaszczyt, lecz może być pani pewna, że pracując dla mnie, szybko zrozumie pani, że prywatne przedsiębiorstwo może wykonywać równie dobrą robotę, co nasze instytucje publiczne - rzekł, a potem dorzucił: rozmawialiśmy o tym z pani przełożonymi.”

Wpadła w panikę. Nie dość tego...

Studenci Politechniki zbliżają się do koni Marly'ego, oklaski, które od początku towarzyszą ich przemarszowi, nasilają się. Tak maszerować przez Champs-Elysées, jak gdyby się szło na podbój świata, to musi być piękne, to byłoby piękne, gdyby się miało lekkie serce. A Philippine czuje w sercu kamień. Z powodu obrazu, którego nie może odpędzić sprzed oczu. Gigantyczne przedsięwzięcie... Myśli o matce, o „Oliwkach”, o tym czarującym mężczyźnie, który poprosił, by mu towarzyszyła za chwilę na *garden-party* w Elysée. Chce ją przedstawić prezydentowi.

Jean-Edmond z entuzjazmem malował wizję, jak to Pierre Séverin uratuje region, przywróci dawny blask ich stronom. Lecz by to było możliwe, najpierw trzeba...

Młoda pani porucznik jest wstrząśnięta. Nikt jednak nie może się tego domyślić. Niewzruszona, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy - defiluje. Liczy się tylko jedno. Postawa.

\*

W zamku Nerthe, w wielkim salonie o rokokowym wystroju „garstka” przyjaciół Jean-Edmonda (około czterdziestu osób) zebrała się, by obejrzeć defiladę. Rodzina Laborie-Fabrègue w pełnej gotowości przed małym ekranem. Gigantycznych rozmiarów jest ten mały ekran!

Samochód szefa państwa już zjechał w dół Champs-Elysées, co nie przerwało ogólnej konwersacji, powszechnej obojętności *urbi et orbi*; goście zerknęli na prezydenta, w porządku, lecz wypatrują defilującej Philippine.

Estelle jest ogromnie wzruszona na samą myśl, że ujrzy zaraz swojego żołnierzyka,

którego kiedyś wydała na świat. Powtarza sobie w myślach uwagę córki: „Będę z prawej strony sztandaru, czyli po waszej lewej”.

Carla prosi o wyjaśnienie, co to takiego Legia Cudzoziemska, Cœtquidan, Saint-Cyr, regulamin X i co tu robi między nimi stary generał w cywilnym ubraniu, którego usadzono w pierwszym rzędzie. Po sposobie, w jaki przygląda się młodej kobiecie, można wyczuć, że jest to mężczyzna, który lubi Italię...

Głos prezentera staje się nagle bardziej donośny, cichną rozmowy.

- Orkiestra Floty wspaniale wykonała *Marsz strzelców morskich* i, jak nakazuje tradycja, Politechnika otwiera teraz defiladę!

Wszyscy wstrzymują oddech... i krzyczą, gdy na ekranie pojawia się sztandar i dwie dziewczyny po obu jego stronach.

- Ta z prawej? Tak! Nie! Ta z lewej! Wszystko jedno, ona tam jest! Philippine! Hurrra!

Rokokowy salon rozbrzmiewa oklaskami zgromadzonych. Niestety, przemarsz pierwszej obywatelki Châteauneuf-du-Pape przyjętej na Politechnikę trwa krótko. Szkoła znika z pola widzenia po prawej, nie lewej, przed trybuną prezydencką. Estelle podekscytowana, promienieje.

Rozmowy nasilają się. Stary, przygłuchy generał nie całkiem rozumie, dlaczego tak głośno oklaskiwano właśnie przemarsz studentów Politechniki, lecz zachwyca go entuzjazm cywili dla wojska. Antoine zwraca się do Jean-Edmonda.

- Słuchaj no, stary, znasz tam przecież wszystkich, nie mogłeś jej wynegocjować zbliżenia? Trochę przykrótka ta jej rólka...

- Ale jakie to wzruszające! - wzdycha Carla, którą, zdaje się, chwyciły za serce uwznioślające wojskowe refreny.

Przed ekranem stary generał, rozochocony, śpiewa załamującym się głosem i rytmicznie uderza laską w parkiet.

Widzowie wstają z miejsc i opuszczają salon, by poszukać chłodu w cieniu drzew. Niektórym jedno tylko w głowie: włożyć kostium kąpielowy i dać nura do basenu.

Natomiast generał ani drgnie przed ekranem i trwać tak będzie na swej placówce aż do „*Tiens voilà du boudin!*”<sup>\*</sup>, a nawet dłużej.

Carla podążyła za całą rodziną. Nie spuszcza oka z Rémy'ego, którego senator Combaroux odciągnął na bok pod sekwoję, by go poprosić o pomoc w poprawieniu

---

\* Pieśń Legii Cudzoziemskiej, która zwyczajowo zamyka defilady.

politycznego wizerunku.

„To robota Romaina!” - myśli Rémy z konsternacją, nim zadeklaruje, że czuje się zaszczycony tą propozycją.

Służba w białych marynarkach krąży pośród zaproszonych, roznosząc napoje chłodzące, ustawione na srebrnych tacach.

Na trawnikach zgromadziła się miejscowa śmietanka towarzyska. „Wszelkie orientacje przemieszane”, jak to się mówi, wznoszą toasty i nie poruszają tematów, które ich różnią. Rozmowa toczy się wokół szmat. Lewica i prawica ma najwyraźniej tych samych dostawców i lojalnie przekazują sobie dobre adresy.

- Chanel, Hermès, Vuitton, Cartier, Guerlain, oficjalni partnerzy przyjęć mojego szwagra - rzecze Antoine, który zgrabnie chwycił szklaneczkę whisky i opróżnił ją w rekordowym tempie, by zaraz potem poczęstować się następną. - Lecz uwaga - ciągnie dalej - nawet przebrani nie zmylą opinii, nie umkną wprawnemu oku! Brak krawata zdradza człowieka z prawicy, zaś uniesiony mały palec - kobietę z lewicy!

- Sama nie wiem, czy Jean-Edmond jest z prawicy czy z lewicy... - zastanawia się Carla.

- On sam też nie wie, możesz być tego pewna!

- ...ale jak tu u niego pięknie!

Tak, w Nerthe jest pięknie. Od zawsze. Trawniki usiane kwiatami, basen wyglądający jak antyczne kąpielisko, ogromne drzewa, cisza. A ponadto położenie, w samym sercu krainy: na południe Pałac Papieski na skale des Doms, na północ, na drugiej skale, dawny Zamek Papieski. A pomiędzy nimi - morze winnic.

Rémy'emu udaje się wreszcie uwolnić od senatora, który ustalił z nim spotkanie w najbliższym tygodniu, i przyłącza się do rozmawiających na trawniku.

- Pamiętasz, jak niszczała Nerthe za czasów Apolline? - zwraca się z pytaniem do Estelle.

- Ależ Apolline żyje! Mówisz o niej, jak gdyby umarła!

- Jeszcze żyje, ale to Jean-Edmond przejął ster! - zauważa Rémy i wyjaśnia Carli:

- Apolline ma dziewięćdziesiąt sześć lat, jest cioteczną babką mojego zięcia, zupełnie zbzikowaną!

Estelle reaguje gwałtownie.

- Wcale nie zbzikowaną! Ona cierpi z miłości!

- W wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat?! Brawo! - nie wierzy własnym uszom Carla.

Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Luc ciągnie ją do basenu, w którym zniknęła już część gości.

- Nie mam zamiaru przechodzić na wodę - krzyczy do nich z daleka Antoine - pozostają przy whisky!

Rémy chce pójść w ich ślady, lecz senator Combaroux z kalendarzem w dłoni ponownie zagradza mu drogę.

- Proszę powiedzieć, Fabrègue, nie dałoby się zorganizować naszego spotkania wcześniej?

Estelle z daleka spostrzega Mireille, która swoim wejściem robi wiele hałasu. Przyjeżdża wprost z uroczystości pod pomnikiem ku czci poległych. Niewiele brakowało, a przyjechałaby przepasana trójkolorową wstęgą!... Jedyne obowiązki mera mogły stać się przyczyną, że przepuściła występ Philippine w telewizji, rozumieją państwo! No więc, jak wypadła nasza ślicznotka? Wspaniale? Byłam tego pewna!

Estelle ma nagle dosyć fanfar, światowego życia pani mer i „przemieszanych orientacji”. Rusza ku pałacowi, pcha drzwi do wieży Apolline i zamyka je za sobą w chwili, gdy Rémy'emu udaje się pozbyć senatora, którego napuszcza na Mireille. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wreszcie będzie mógł się wykapać!

Nagle ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu i zatrzymuje go. To jego zięć, z tajemniczą miną odciąga go na stronę.

- Muszę z ojcem porozmawiać...

Skoro Jean-Edmond porzucił swoich gości w samym środku przyjęcia, to pewnie coś pilnego.

Rémy podąża za nim w boczną alejkę, z dala od niepożądanych spojrzeń, i czeka.

- Pamięta ojciec nasze zaskakujące przybycie na rodzinny piknik?

- Helikopterem? A, tak.

- Być może pamięta ojciec, że ja i pańska córka mieliśmy nazajutrz ważną kolację?

- Tak.

- No cóż - rzecze Jean-Edmond, by zyskać na czasie - no cóż, wydaje mi się, że niebawem będziemy mogli wyciągnąć moją teściową z kłopotów finansowych.

- Jak to? - pyta zaskoczony Rémy.

- Niech ojciec usiądzie - rzecze Jean-Edmond - wszystko to ojcu wyjaśnię.

Estelle zatrzymała się w westybulu wyłożonym białym marmurem, skąd wchodzi się do apartamentów Apolline. Łagodny zapach lawendy i fiołków miesza się tu z zimnym



zapachem kamienia. W dzieciństwie, gdy przychodziła odwiedzić Apolline, swoją matkę chrzestną, z rozkoszą wdychała tę woń. Gdy była mała, nauczono ją odczytywać wersy Mistrała wyryte u podnóża schodów:

*Boże nieśmiertelny, pobłogosław*

*Drzwi, co stoją zawsze otworem*

*Felibrom! Ukochaj dom,*

*Gdzie mają stół i mieszkanie,*

*Srebrzyste wino z Chassis*

*I złote wino z Nerthe!*

Od iluż to lat Apolline nie opuściła swojego pokoju? Nie pamięta już dobrze. Nie wie dokładnie, czy była wówczas jeszcze dzieckiem, czy może dorastającą dziewczyną. Ma zdjęcie Apolline w Pałacu pod Oliwkami. Z babcią. Zaprzyjaźniły się jeszcze w przyklasztornej szkole i pozostały nierozłącznymi przyjaciółkami. Boże Narodzenie. Rodzinne uroczystości. Urodziny, podarunki... i poczęstunek podczas winobrania z Prowansalczykami, którzy tańczyli na tarasie i strzelali ze strzelb w niebo, równocześnie łopocząc sztandarami...

Pewnego dnia - ale kiedy to było? - przestano widywać długi czarny delage na drogach wokół Châteauneuf. Apolline nie opuściła więcej Nerthe, a w swoim pokoju przyjmowała tylko Estelle, Julesa, Samuela i jeszcze kilku nielicznych wybrańców, wśród nich Lascourbe'a, który walczył pod Verdun, tak jak jej pasterz.

Jej pasterz. Miłosne cierpienia starej panny są bardzo realne. Straciła pamięć, całe połączenie pamięci się wykruszyły, rozmyły jak piaskowe pagórki pod naporem fali, lecz od bez mała osiemdziesięciu lat potrafiła przechować miłość nienaruszoną, a ranę świeżą. Wieczna oblubienica zaginionego czeka, aż śmierć ich połączy. Ale śmierć się nie śpieszy. Apolline przeżyła samą siebie, z własnej woli zamknięta w najwyższym położonym pokoju w wieży, jedząc mniej od ważki, traktowana jak obłąkana przez tych, którzy jej nie znają, obsługiwana jak królowa przez Stéphanette, która nie odstępowała jej od pół wieku. Stéphanette nigdy jej nie niepokoi niedyskretnymi pytaniami, nie zamęcza jej swoją gadaniną. Stéphanette jest niemową od urodzenia. Nie mówi, ale zna na pamięć historię miłości Apolline i Fortuné, który, choćby z racji swego imienia, zasługiwał na całkiem inny los niż taki, jaki go spotkał.

1911. Apolline ma piętnaście lat. Ojciec, baron de la Craye, zabrał ją do Arles, do swoich kuzynów, którzy wydają bal.

Jej pierwszy bal.

Mistral, wielki Mistral, spostrzeża młodą piękność i, parafrazując wiersz zaczerpnięty z *Mirejo* pisze na jej wachlarzu: *Dins si quinge on ero Apollino*\*. Mistralowi towarzyszy młodzieniec, którego przedstawia zgromadzonym, Fortuné Maurin. Prosty pasterz pośrodku salonu państwa Montaut-Manse stoi wprawdzie onieśmielony, lecz to poeta. To dlatego mistrz wziął go pod swoje skrzydła i teraz na głos czyta prowansalskie wiersze chłopca. Wszyscy klaszczą. Z wyjątkiem Apolline, z którą dzieje się coś dziwnego: miłość od pierwszego wejrzenia, na wieki wieków. Nazajutrz jadą na pastwisko wybierać byki do walk. Baron de la Craye jest dumny, że może pokazać mieszkańcom Kamargi, jak świetnym jeźdźcem jest jego córka. Delikatna tancerka spowita w białą satynę i koronki dosiada konia jak mężczyzna. Ten rewolucyjny akt, to pogwałcenie wszelkich konwenansów nie gorszy hodowców, wręcz ich zachwyca. Podczas swego pobytu w hodowli leżącej w delcie Rodanu Apolline bierze udział we wszystkich konnych wyprawach. Nazwano ją „Gardianou”\*\* , niebawem przyznają jej trójzab, a Montaut-Manse podarował jej swoją klacz Blé de Lune. Później wszystkie jej konie nosić będą to imię na pamiątkę wczesnych ranków nad brzegami kanałów i jezior. „*Dau! Dau! Béu jouvènt!*”\*\*\* krzychał zarządca i „Gardianou” wskakiwał na swoją białą klacz i galopował przez pola i gaje do czarnych byków, ostroga w ostrogę z Fortuné. Z Fortuné, który ledwo śmiał podnieść na nią wzrok podczas balu, a który stał się jej towarzyszem przez resztę spędzonych tam dni.

Jego wiersze cieszyły się coraz większym powodzeniem. Aż pewnego razu baron de la Craye przeczytał jedyny wiersz, którego nie powinien był przeczytać: *Flour de Castèu-Noù*\*\*\*\* i zrozumiał, że dzieci się kochają.

Wybuchnął gniewem godnym szlachetnie urodzonego ojca z tragedii antycznej i sprowadził córkę do Nerthe, jak gdyby zgrzeszyła.

- Powinniśmy byli... - z melancholią w głosie wzdycha niekiedy Apolline. Niestety, nie uczynili nic takiego i powróciła tak czysta, jak wyjechała. Serce jej tylko pałało.

Minęły trzy lata. Apolline dawała kosza wszystkim partiom. Mistral zmarł. Wybuchła Wielka Wojna. Apolline nie miała żadnych wieści od swego pasterza prócz wierszy, które ukazywały się to tu, to tam w prowansalskich przeglądach i almanachach. Z sonetu dowiedziała się, że powołano go do wojska, a potem daremnie poszukiwała podpisu Fortuné

---

\* „Wiosnę miała Mirejo piętnastą...” *Mirejo*, Pieśń 1, F. Mistral, w przekł. Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, podobnie jak pozostałe cytaty z tego utworu w książce.

\*\* Pasterzyk

\*\*\* Na koń, młodzieży!

\*\*\*\* *Kwiat Châteauneuf*.

Maurin. Aż jednego z pierwszych dni 1917 roku Fortuné zjawił się w Nerthe. Legitymując się ranami i odznaczeniami jak tytułami szlachectwa, poeta poprosił barona o rękę córki. Odpowiedział mu na to wybuch śmiechu, po czym wyleciał za drzwi. Baron wyrzucił go osobiście. Nikt spośród służby nie odważyłby się podnieść ręki na tego poznanego bliznami i okrytego chwałą żołnierza. Koniec jest prosty: utopił się w Rodanie...

Cichy szmer daje się słyszeć na podeście, nad głową Estelle. To Stéphanette daje jej znak, by weszła na górę.

Prawdziwy paniński pokój.

Jednak kruche stworzenie, ułożone jak lalka w fotelu, liczy sobie niemal sto lat.

Zanim przekroczyła próg pokoju, Estelle wyczytała w smutnych oczach Stéphanette, że przybywa w zły dzień.

Podparta jaškami z gęsto tkanego jedwabiu i tafty, z nogami okrytymi futrem pomimo upału, odziana w żałobny strój z szeleszczącego jedwabiu, Apolline nuci ledwo dosłyszalnym głosem:

*Nie wie, kiedy powróci...*

*Nie wie, kiedy powróci...*

Dźwięki orkiestry wojskowej musiały w niej obudzić bolesne wspomnienia.

Podnosi wzrok na swoją córkę chrzestną, nie poznaje jej, lecz nie wydaje się niezadowolona. Każe jej usiąść obok siebie, ujmuje jej dłonie i zwierza się rzeczowym tonem:

- Wrócił spod Verdun ze swoimi medalami, z pięknymi medalami za przelaną krew... a mój ojciec odmówił.

Spostrzega, że Estelle nie nosi obrączki i pyta:

- Pani też jest samotna, proszę pani? Czy pani ojciec, tak jak mój, złamał pani serce?

- Jestem Estelle...

Nagle staruszce wraca pamięć i twarz Apolline rozjaśnia cudowny uśmiech:

- Wnuczka Roseline! Masz jej oczy... Powiedz no babuni, żeby mnie odwiedzała od czasu do czasu. Zaniedbuje mnie. Widzisz, ja już nie wychodzę, ale bardzo sobie cenię odwiedziny... Zaczekaj, niech no się zastanowię... mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia! - ścisza głos, jak gdyby były szpiegowane. - To przez Rodan! Rodan to wąż! Wszystkich nas przeklął!... Ale dlaczego przeklął i ciebie?

Estelle zna te majaki, tę obsesję powracającą w wypowiedziach starej panny. Utopienie się pasterza, okrucieństwo ojca, klątwa... Pozwala jej mówić, nie przerywa,

przyciąga ruchem głowy, żeby sprawić jej przyjemność. Nie stara się rozumieć, doszukiwać sensu w jej pozbawionych logiki wypowiedziach, których wysłuchuje od tak dawna. Wie, że dla Apolline rzeczywistość obraca się wokół wirów w Rodanie, w których zniknął Fortuné. Wie, że niekiedy Apolline zapomina o istnieniu Jean-Edmonda i Philippine, bierze matkę za córkę i odwrotnie, a często za Roseline. Estelle nie lubi słowa „klątwa”... ale lubi Apolline.

- Zgubiłam wątek... To było bardzo ważne... Zwłaszcza dla ciebie! Ale zapomniałam imienia... chłopca.

Wzdycha i nieoczekiwanie zasypia z głową zwieszoną na piersi.

Estelle chwilę patrzy na nią z rozrzewnieniem, potem spogląda na Stéphanette, składa lekki pocałunek na starej, pomarszczonej ręce i wychodzi.

Od chwili wyjawienia tajemnicy przez Jean-Edmonda, Rémy cierpi katusze. To jemu powierzono przekazanie wiadomości Estelle.

„Moja droga Estelle, skończyły się twoje kłopoty finansowe!”

To pierwsza część nowiny. Ta dobra. Łatwa do przekazania. Przyjemna. Nie nastęcza żadnych problemów.

Dopiero potem sprawy się komplikują. Kiedy już wyłoży wszystko, jest pewien ciągu dalszego: Estelle zetrze go w proch!

Patrzy na śpiącą u jego boku Carłę; taka piękna, taka młoda! Widok ten sprawia, że chce dla niej żyć.

Spogląda w okno, przez które sączy się światło poranka. Nowy dzień już trzykrotnie wdierał się do sypialni od czasu, gdy zięć powierzył mu tę samobójczą misję, a on nie ma odwagi Estelle o tym powiedzieć.

Okazji przecież nie brakowało. Nic nie znaczący podmuch mistrała zrzucił z dachu sporą część dachówek, aż trzeba było wezwać dekarza Poulverela. Poulverel przygotowuje kosztorys. Jednego można być pewnym: nie podaruje ani jednego nitu.

Ponadto sprawa z wodą. Przerwy w dopływie trzy razy w ciągu dnia z powodu suszy i dlatego, że „Oliwki” leżą w piątej strefie. Kto to słyszał? Jak sięgnąć pamięcią, w Châteauneuf nikt nigdy nie słyszał o żadnych strefach.

Decyzja merostwa.

A dokładniej rzecz ujmując: decyzja Mireille.

Mireille, która nigdy nie wybaczyła Estelle, że została wybranką Rémy'ego.

Stare dzieje, nie ma się czym chlubić, ani też obwiniać.

Latem 1965 roku Rémy odkrywa Châteauneuf przy okazji rajdu samochodowego. Nie ma jeszcze ferrari, ale już bierze udział w wyścigach. Otworzył właśnie swoją pierwszą agencję promocyjną w Marsylii. Jest przystojny, opalony, wesoły, zawsze elegancko, swobodnie ubrany. Jest wolny i szczęśliwy. Toteż Mireille zapłonęła do niego, jak płonie las w sierpniu.

Rémy dobiega trzydziestki. W tym wieku ma się wystarczające doświadczenie, by

zachować ostrożność. Mireille może być tylko przelotnym flirtem bez żadnych konsekwencji, miłośką pomiędzy tenisem a basenem. Nie wziął pod uwagę ani temperamentu, ani ambicji Mireille, która oczyma wyobraźni widzi się już panią Fabrègue.

Akurat w tym czasie, pewnego dnia, ubrana na białą młodą dziewczyna przejeżdża koło nich na rowerze i uśmiecha się. Wkrótce okazuje się, że Rémy kocha ją do szaleństwa i żeni się z nią w rekordowym tempie.

Tą młodą dziewczyną była Estelle.

Rémy okazał się na tyle ostrożny, by nie opowiadać jej ze wszystkimi szczegółami, jak daleko zaszły sprawy pomiędzy nim i Mireille. Mireille jednak doskonale wszystko pamięta i żywi do Estelle zajadłą nienawiść. Nienawiść, która przetrwała rozwód państwa Fabrègue. Fakt, że Estelle i Rémy pozostali przyjaciółmi, zdaje się być dla niej osobistą zniewagą. Rémy zastanawiał się nawet często, czy nie wyszła za senatora Bouvier, by mieć w ręku władzę. Władzę pozwalającą zadawać Estelle cierpienia lub przynajmniej komplikować jej życie, jak z tym winem na przykład. Przecież wino rodziny Laborie dawno temu zostałyby zrehabilitowane, gdyby nie zadawnione urazy.

Teraz podobno zaangażowała się bez reszty w interes, o którym mówił Jean-Edmond. Najpierw dlatego, że nawet ze wszystkimi swoimi wadami razem wziętymi Mireille jest dobrym merem i uważa, iż projekt ten służy interesom gminy. A ponadto jest przekonana, i tutaj dochodzimy do drugiej części zagadnienia, że koniec finansowych kłopotów Estelle będzie również końcem „Oliwek”.

- No to już po „Oliwkach” - szepcze zrozpaczony, a Carla przekręca się we śnie z boku na bok, odsłaniając pierś godną pędzla Botticellego.

Jean-Edmond powiedział, że Nerthe jest ogromne, że wszyscy będą mogli spędzać tam wakacje. To prawda. Ale to już nie to samo. Będą tam tylko gośćmi. A jakież to będzie szok dla Estelle!

Wszystko jedno, musi z nią porozmawiać. Dzisiaj.

Wieczorem odbędzie się sesja nadzwyczajna w piwnicach Zamku Papieskiego - w *Echansonnerie*. Mireille zaprosiła ich do swojego stołu, będą świadkami przyjęcia w poczet honorowych mieszkańców Châteauneuf japońskiego ministra i afrykańskiego ambasadora. Musi pomówić z Estelle. Przedtem. Gdyby dowiedziała się o tej nowinie, podczas kolacji, gotowa jeszcze wywołać jakiś skandal!

Odwagi, Rémy!

Wstaje po cichutku. Jest jeszcze bardzo wcześnie, będzie mógł wziąć prysznic. Spogląda na zegarek... Cholera! Za późno! Dopływ wody zamknięto dziesięć minut temu!

Estelle przegląda pocztę. Otrzymała kosztorys od firmy „Pouilveret i Syn, dekarstwo, hydraulika, nawóz naturalny” (a, z tym nawozem to istotnie prawda!) i studiuje go z niepokojem. Czeka od Syryjczyka każe na siebie czekać, a ona ma teraz debet na koncie w banku.

Wzdycha i mówi do Rémy'ego:

- Wiesz, gdybyśmy nie byli w piątej strefie i gdybyśmy mieli teraz wodę, podciąłabym sobie żyły w wannie...

- Rozumiem cię - mówi Rémy i uważając, że równie wspaniała okazja nigdy mu się nie nadarzy, zdobywa się na odwagę: - Mam dla ciebie cudowną wiadomość.

- Biorę.

Raczej zachęcający początek...

- Jest nabywca na „Oliwki”.

Rozbawia to Estelle, która sądzi, że chodzi mu o drewno z drzewek oliwnych, to ostatnie źródło dochodów, jakie jej pozostało w majątku. Rémy uściśla:

- Nie chodzi o oliwki, lecz o „Oliwki”.

No i zaczęło się! Patrzy na niego w milczeniu, a potem zmienionym głosem pyta:

- „Oliwki”?... Masz na myśli dom?

- Tak... i ziemię...

- Ktoś chce kupić ziemię?

- To nie „ktoś”. Pewna spółka. Kolosalne przedsięwzięcie, kompleks wypoczynkowo-sportowy...

Milczenie Estelle, jej pozorny spokój dodają Rémy'emu odwagi, by posunąć się dalej. Ogarnia go swego rodzaju upojenie. Mówi z tym większą łatwością, że odwróciła się do niego plecami i nie widzi jej twarzy.

- To będzie ośrodek o bardzo, ale to bardzo wysokim standardzie. Stoją za tym ogromne pieniądze. Zresztą tobie też dużo proponują. To koniec twoich kłopotów, będziesz mogła odetchnąć z ulgą... Nie chcą ich za darmo! To będzie bardzo, ale to bardzo...

Ona czeka, aż sam się zapłącze we własne sieci, a potem pyta:

- A cóż to za projekt?

- Nie uwierzysz...

- Ależ uwierzę!

- Chodzi o wybudowanie największego w Europie kompleksu rekreacyjno-sportowego u bram Châteauneuf. Czterdzieści pięć kortów tenisowych, baseny, golf! Osiemset apartamentów o wysokim standardzie! Lecz najpiękniejszy w tym obiekt to sztuczne jezioro

zasilane wodami Rodanu! Na tym właśnie polega cały „pomysł”! Wyjątkowo duży zbiornik wodny do żeglowania, windsurfingu, nart wodnych...

Estelle obserwuje, jak prądkowany kot, już znacznie mniej wojowniczo nastawiony, ostrożnie przechodzi przez taras. Ten banalny obrazek, fragment z życia domowego, przepełnia miarę.

- A poza tym - ciągnie dalej rozzuchwalony Rémy - to może zostać zrealizowane bardzo szybko... Mireille wyraziła zgodę...

Estelle reaguje nagle, jak gdyby użądliła ją osa.

- Mireille wyraziła zgodę... Co ty powiesz!

- Powiem nawet więcej, popiera ten projekt. Jean-Edmond zresztą również. To on właśnie... A wiesz, jak to się będzie nazywało? Cykad-Land! Ładnie, prawda?

- Przepięknie! - wykrzykuje Estelle z ironią. - A co się stanie z domem w tym... Cykad-Landzie?

No tak! Doszliśmy do sedna. Rémy bierze głęboki oddech i przystępuje do wyjaśnień:

- A więc ma to być ośrodek sportowo-wypoczynkowy...

- Wiem, już to mówiłeś. A dom?

- Dom przestanie istnieć... ze względu na jezioro...

Zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Nie płakać! Nie płakać! Walczyć!

Bardzo łagodnym tonem pyta:

- Czyli w miejscu, w którym teraz stoimy, będzie dno jeziora?

Ledwo słysząc potwierdzenie Rémy'ego, a ona odwraca się do niego jak wcielenie furii.

- Byłeś tutaj z nami, tamtego wieczora, przy fontannie, gdy powiedziałam, że chcę odnaleźć swoje korzenie, a wszystko, co mi teraz proponujesz, to żeby się od nich odciąć! Jak możesz!

Usiłuje ją uspokoić, przywołać do rozsądku. W końcu dom ledwo się kupy trzyma. To wór bez dna!

Nieopatrzne słowo. Estelle piorunuje go wzrokiem.

On powołuje się na wszystkie świadectwa oskarżenia. Dach wymagający naprawy, podatki do zapłacenia, przerwy w dopływie wody...

- Przerwy w dopływie wody?

Znowu nieopatrznie wypowiedziane słowa. Tym razem Estelle wpada w prawdziwą wściekłość.

- Przerwy w dopływie wody! Pomysł Mireille, by mnie doprowadzić do ostateczności!



Żeby mnie złamać! Teraz rozumiem, dlaczego z merostwa przysłano ludzi „w celu przeprowadzenia pomiaru poziomu wody”! Co za podstęp!

- Podstęp? Zupełnie oszalałaś, moja biedna Estelle! To nieoczekiwana okazja! Któż by normalnie chciał kupić podobną ruinę?

- Co?...

- Jean-Edmond kazał wycenić „Oliwki”, i okazuje się, że przedsiębiorca proponuje nam ponad dwa razy więcej!

- Proponuje nam ?

- To znaczy tobie proponuje...

- Jean-Edmond! Mirelle! A więc wszyscy już wiedzą, oprócz mnie?

- Estelle! Nie bierz tego w ten sposób!

- Nigdy w życiu! Słyszysz? Nigdy nie tkną „Oliwek”!

Tym razem szlochając z głową opartą o szybę drzwi balkonowych.

W tym momencie wchodzi Carla, minę ma zatroskaną, w wyciągniętych ramionach trzyma dwie suknie: jedną długą, drugą krótką.

- Mam poważny problem do rozwiązania... to na wieczór. Mam włożyć długą czy krótką?

- Krótką!

- Długą! - odpowiedzieli równocześnie, nie spojrzawszy ani razu na dowody rzeczowe.

- Zgoda! - odparła Carla, przezornie się oddalając.

Kilka razy do roku w wielkiej sali wykutej w skale pod ruinami Zamku Papieskiego podczaszowie w purpurowych szatach zbierają się, by celebrować wino.

„Koneserzy” przybywają niekiedy z drugiego końca świata, by dostąpić zaszczytu przyjęcia do grona znawców, a im dłuższą przebyli drogę, tym większa jest ich radość. Paziowie witają ich przy dźwiękach fanfar, zapalone łuczywa oświetlają udekorowane kwiatami stoły, średniowieczni trubadurzy przyklękają u stóp dam, a wino strumieniami płynie z amfor.

Z majestatyczną powagą Mireille zasiada za stołem honorowym, by przewodniczyć uroczystości: symboliczna wybranka w szmaragdowym brokacie i ze złotymi wstążkami wplecionymi w ciemne włosy, zazdrośnie baczy, by jej obraz był jedynym, jaki goście zachowają, opuszczając tę uroczystość.

Zastanawia się właśnie, czy zaproszenie państwa Laborie-Fabrègue dzisiejszego

wieczora nie było czasem pomyłką. Estelle zdaje się promienieć... Cóż to może znaczyć? Czy wie o Cykad-Landzie? Czyżby się zgodziła na sprzedaż posiadłości, wbrew wszelkim oczekiwaniom? Czy to tylko przypadek, że w jasne włosy wsunęła maleńką gałązkę oliwną? Znak pokoju? Wypowiedzenie wojny? Natomiast aktoreczka, ta Włoszka, to dopiero! Jeden rzut oka wystarczył, by Mireille znenawidziła „narzeczoną”. Krótka sukienka - na którą się ostatecznie zdecydowała - jest rzeczywiście skąpa. Zarówno u góry, jak i u dołu, a wysłannik Jego Wysokości Cesarza Akihito, pan Oda Kawakami, spogląda na ramiona młodej kobiety z wyraźnym zachwytem, nie zwracając uwagi na choćby jedno słowo pani mer. Estelle uśmiecha się do swego afrykańskiego sąsiada, który, sądząc po ilości już wypitego wina, na pewno nie jest muzułmaninem. Rémy czuje się lepiej. Po nieprzyjemnej scenie, jaka miała miejsce tego ranka, wydaje się, że Estelle przemyślała sprawę. Dzisiejszego wieczora jest wprost zachwycająca... Może w końcu zrozumie, że tak będzie lepiej i zachowa się rozsądnie? Przed chwilą, gdy tu przybyli, Jean-Edmond posłał teściowi pytające spojrzenie.

- Już po wszystkim - rzucił Rémy.

Bez komentarza.

Pan Oda Kawakami wstaje, by wygłosić kilka słów. Goście proszeni są o chwilę ciszy. Rozmowy milkną. Wszyscy zwracają się do stołu honorowego.

Oda Kawakami skłania się ku Mireille.

- Wydawało mi się, że znam Francję, lecz teraz wiem, że naprawdę się zna ją dopiero wówczas, gdy zna się Châteauneuf-du-Pape!

Mireille jest w siódmym niebie, sala zaś wpada w zachwyt. Minister ciągnie dalej, wznosząc kielich:

- To wino jest wspaniałe... równie wspaniałe, jak tutejsze kobiety!

Radość Mireille byłaby pełna, gdyby nie dokończył tego komplementu patrząc na Estelle i nie dodał ze wzrokiem skierowanym na nią:

- Jak to robicie, że u zarania dwutysięcznego roku wasz płomień goreje tak mocno?

- To dlatego, że ten płomień przyświecał nam w nocy dziejów, panie ministrze - z gracją odpowiada mu Estelle i wymienia nazwiska wielkich ludzi związanych z historią miasteczka: papieża, felibr Anselme Mathieu, porucznik Ducos, pogromca filoksery!.. A w bliższych nam czasach baron Le Roy de Boiseaumarié, który wymyślił A.O.C., czyli *appellation d'origine contrôlée*\*, oraz doktor Philippe Dufays, założyciel *Echansonnerie* w Zamku Papieskim.

---

\* Wina kontrolowane o zastrzeżonej nazwie.

Mireille zaczyna tracić cierpliwość i już ma zabrać głos, gdy naraz Afrykańczyk wykrzykuje z zachwytem:

- To jest... plemienne!

Plemienne? Z całą pewnością chciał powiedzieć coś innego. Lecz nie. Wyjaśnia.

- Ten wasz rytuał! Purpurowe szaty! Libacje! Trąby! Ceremonia! Magia! Plemienne! Wznoszę mój kielich, pani mer, za tę wiekową tradycję, którą podtrzymujecie!

- Prawdą jest, że podtrzymywanie jej nie jest łatwe, panie ambasadorze... Lecz przy pewnej dozie odwagi, entuzjazmu i oddania, udaje się nam zachować to, co najważniejsze!

Nagle, choć nic nie wskazywało, że zanoszą się na burzę, zniecierpliwiona tonem przemówienia Estelle wybuchła.

- Zachować to, co najważniejsze! Nie uważasz, że posuwasz się za daleko? Nie uważasz, że utraciłaś wszelki umiar? - ostro zwraca się do Mireille.

Oszupienie przy stole honorowym. Jean-Edmond i Rémy wymieniają pełne konsternacji spojrzenia. Pozostali biesiadnicy, którzy nie są zorientowani w sprawie, ograniczają się do kibicowania starciu jak podczas meczu na Roland-Garros. Mireille przeklina pomysł zaproszenia Estelle, która teraz już krzyczy.

- Odpowiedz mi!

- Ależ, matko! - zaklina ją Jean-Edmond.

- Och, wy znowu, dość milczałam!

Ból, jaki jej towarzyszy od znamiennej rozmowy z Rémy, stanowi wielką siłę napędową, natomiast myśl, że może stracić „Oliwki”, dodaje jej nadzwyczajnej odwagi. Estelle jest jak wystrzelony pocisk, nic jej w tej chwili nie powstrzyma.

- Zachować! Jak ci nie wstyd, jak śmiesz wymawiać to słowo, gdy tymczasem szykujesz się do takiej dewastacji regionu! „Zachować to, co najważniejsze!” Masz czelność mówić to przy mnie? Gdy równocześnie chcesz zmieść z mapy krajobrazy, same w sobie będące najżywszą duszą tej okolicy!

Na początku Mireille starała się zachować pozory, lecz gwałtowność wypowiedzi Estelle sprawia, że zapomina o miejscu i konwenansach. Ona z kolei wstaje.

- A za kogo ty się masz? Mówisz, jakbyś sama była tym regionem! Tą okolicą! Pomyśl o innych! O przyszłości!

- O przyszłości?

Rémy obawia się, że zaraz dojdzie do rękoczynów.

- Przyszłość! O niczym innym nie myślę! - ciągnie swój wątek. - I myślę też o nieszczęściu, jakie ludzie tobie podobni szykują współczesnym i przyszłym pokoleniom!

- Zamilcz! - nakazuje Mireille.

- Zamilcz! - krzyczy Estelle. - Chcesz zatopić winnice i gaje oliwne, a odwołujesz się do przeszłości? Chcesz zrobić z przyrody park zabaw i...

Niespodziewanie obie kobiety przestają obrzucać się inwektywami, jak gdyby wyładowanie elektryczne przywołało je do porządku. Podczaszowie zaintonowali:

- *Provencaux voici la coupe*

*Qui nous vient des Catalans...\**

i stojąc ze wszystkimi zebranych w sali, Estelle i Mireille, z błyszczącym wzrokiem i wściekłością w sercu, dźwięcznym głosem śpiewają *Coupo Santo*. Nie przestają jednak posyłać sobie zabójczych spojrzeń.

- *Coupo Santo!*

*E versanto!*

- Plemienne! - wykrzykuje z satysfakcją ambasador i z lubością wychyla swój kieliszek rocznika 90.

Droga powrotna „Pod Oliwki” była udęczeniem. Straszna, grobowa cisza w ferrari. Potworność! Po pożegnaniu Estelle przed drzwiami jej sypialni, Rémy jeszcze raz łyka gorzką pigułkę: musi wyjaśnić wszystko Carli, która, na domiar złego, rozplakała się na wieść o groźbie, jaka zawisła nad „Oliwkami”. Groźba! Wybawienie - nie groźba. Bredzą, jakby się blekotu objadły.

A rankiem wszystko zaczyna się od początku. Teraz chłopcy też już wiedzą. Antoine nic nie mówi, lecz Luc wydaje się zdruzgotany. Jak Amélie się dowie, trzeba się spodziewać nowych potoków łez...

- Czy mogłabym chwilę porozmawiać z wami trzema, panowie?

Estelle schodzi na dół, wyświeżona, nienaganna, jak spod igły. Sprawiedliwość ścigająca Zbrodnię.

Bez słowa mijają galerię przodków, wchodzą do gabinetu, zasiadają wokół stołu jak członkowie rady nadzorczej.

- Chciałabym - stojąc, rozpoczyna Estelle stanowczym głosem - byśmy pomówili o bezsensownej propozycji, jaką przekazał mi wasz ojciec... Rémy, proszę cię, pozwól mi powiedzieć! Pragnę cię zapewnić, że nie czuję do ciebie urazy. Byłeś jedynie niefortunnym posłannikiem Jean-Edmonda, Mireille i ludzi, którzy wymyślili ten śmiechu wart projekt, Cykad-Coś-Tam...

---

\* *Prowansalczyki, oto kielich / Od Katalończyków dziedziczony.*

- Śmiechu wart? Nie co dzień trafia się taka oka...

- Pozwól mi skończyć!

Nagle siada, w oczach szklą jej się łzy, jest krucha, zraniona. Mówi:

- „Oliwki”...

A synowie mają nieprzepartą ochotę objąć ją i utulić w ramionach. Estelle opanowuje się jednak i kontynuuje.

- Doskonale wiecie, ile dla mnie znaczą. Gdy byłam dzieckiem, chodziłam z tatą po winnicy... Objasniał mi pory roku... Zimą uczył mnie słuchać odgłosów wina w piwnicach... Było to jeszcze przed tym nieszczęściem, przed upadkiem posiadłości. Po jego śmierci powinnam była... Ale nic nie zrobiłam. Oczywiście, zawsze marzyłam, że kiedyś nasza winnica zostanie zrehabilitowana... Teraz już nie marzę. Teraz chcę działać.

„Jak? Jak to zrobisz, moja biedna Estelle? - zastanawia się Rémy. - Dopiero teraz się łudzisz!”

- Tata powtarzał mi: „Estelle Laborie, pamiętaj zawsze, że jedna część twojego nazwiska pozostaje ukryta, Sauveterre\*. Nigdy nie zapomnij swoich korzeni”. Dał mi ten pierścień z naszą dewizą. I wy byście chcieli, żebym przystała na ten projekt, który łączy się z zatopieniem naszego domu, gaju oliwnego, lasu i tego, co jeszcze pozostało z winnic? Bym przyklasnęła na myśl, że zobaczę, jak rowery wodne i żaglówki pływają nad miejscem, w którym nasi krewni żyli od zawsze?

Dzwoni telefon. Nikt nie kwapi się go odebrać.

- I żebym to zrobiła dla pieniędzy?

Telefon nadal dzwoni, natarczywie.

- A to dlatego, że potrzebujesz tych pieniędzy - rzecze Rémy z heroizmem.

- To prawda. Znam swoją sytuację finansową lepiej niż ktokolwiek... Luc, proszę cię, czy mógłbyś odebrać telefon?

Chłopak wstaje i podchodzi do aparatu.

- Nie jest ona olśniewająca, powiem nawet, że jest katastrofalna. Ale czuję potrzebę walki! Chcę uratować „Oliwki”! Gdyby tak mój tata miał syna...

- Mamo!

Luc coś krzyknął. Wszyscy spojrzeli na niego. Stoi ze słuchawką w ręku i wygląda na przerażonego.

- Dzwoni Nicole... Pyta, czy to normalne, że wywożą cały twój magazyn?

---

\* Sauveterre (fr.) - dosłownie: ten, kto ratuje, zachowuje ziemię.

- Co takiego?

Dopadła aparatu i słucha Nicole, sąsiadki z Pchlego Targu. Widząc, że ładują meble na ciężarówkę, Nicole pomyślała, że Estelle wróciła z południa, i przysłała się z nią przywitać. Kierowca ciężarówki pokazał jej jakiś dokument: zlecenie na przewóz całego składu do przechowalni mebli. Wydało jej się to dziwne. Wolała uprzedzić Estelle.

- Dobrze zrobiłaś. Dziękuję ci.

Odkłada słuchawkę. Jest ogłuszona. Tego jeszcze brakowało. Oczywiście, dokument podpisał Jérôme... Przecież ją ostrzegął: „Nie pójdzie ci tak łatwo! Rozpieprzę wszystko w drobny mak!”

Długo z tym nie zwlekał. Dziewięć dni... Nie, osiem! Osiem czy dziewięć? Te niepotrzebne rachunki zaprzatają jej głowę ledwie kilka sekund, tyle tylko, ile trzeba, by wziąć się w garść i ogłosić swoją decyzję:

- Jadę do Paryża!

Koniec dyskusji.

Brakowało jeszcze tylko takiej katastrofy. Estelle energicznym krokiem zmierza do drzwi. Na progu odwraca się i prosi, żeby dali znać Sophie, zapewne będzie potrzebowała pomocy prawnika.

Jérôme.

Nigdy by nie przypuszczała, że jest zdolny do czegoś takiego.

Przykrywa łóżko narzutą z białej piki, ma nadzieję, że szybko tu powróci. Następnie do torby podróżnej wrzuca trochę bielizny, jakiś sweter i przybory toaletowe. Gdy opuszcza pokój, rozgląda się wokół siebie. Widząc fotografie, zegar z wahadłem, wyziewające ducha perkale indyjskie i zasłony, które zawiesiła dwa dni temu, szepcze:

- Do zobaczenia niebawem!

I zaraz zbiega po schodach i wypada na taras, gdzie już Luc podstawił jej samochód; siedzi jeszcze za kierownicą i uśmiechając się spogląda na matkę.

- Wsiadaj!

Na widok zdziwienia malującego się na obliczu Estelle, wyjaśnia:

- Chyba nie myślałaś, że pozwolę ci samej wyruszyć na front? No, dalej, wskakuj! Poprowadzimy na zmianę, będzie szybciej!

- Luc!

Wówczas, skrepowany wzruszeniem matki, chłopak tłumaczy się i nieomal przeprosza.

- Wiesz, że ja uwielbiam prowadzić...

Estelle spogląda na Rémy'ego, który ujmuje jej dłonie.

- Jestem z tobą!

- Wiem - mówi, przygryzając wargę.

Kiedy Estelle sadowi się w samochodzie, Rémy donosi, że Antoine'owi udało się dodzwonić do Sophie i wszystko jej właśnie wyjaśnia.

- ...no i nie martw się... Zajmiemy się domem!

Dwuznaczność tego zdania powoduje, że Estelle sama nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać.

„Zajmiemy się domem”.

Luc już ruszył. Nour, który obojętnie, z jednym okiem na wpół otwartym drzemał przy fontannie, biegnie teraz radośnie za samochodem... Staje, dopiero gdy wjeżdżają w stary las.

Cykady szaleją, ale głos ich jest smutny.

- Będziemy mieli na drogę ładną pogodę! - stwierdza Luc.

Estelle przytakuje, ogląda się...

„Oliwki” już nie widać.

Dobrze, że Luc z nią jedzie.

Jest pogodny, wesoły.

Gada bez przerwy o wszystkim i o niczym, skrętnie unikając poruszania tematu „Oliwki” i wypowiedzienia imienia Jérôme.

Czuje głód. Kiedy biorą benzynę, Estelle kupuje dwie solidne kanapki, które zjedzą w samochodzie. Sama ledwo skubnęła swoją, natomiast z rozrzewnieniem przygląda się synowi, który zajada z apetytem. Dziewiętnaście lat... Ona w tym wieku była mężatką, pełną nadziei i złudzeń - szybko zranioną do końca życia.

Luc nie zdążył się rano ogolić, jego lekki zarost ma w sobie coś wzruszającego.

- Nie jesz swojej kanapki?

- Nie jestem głodna. Chcesz?

- Odpowiedź twierdząca! - mówi, jak w dzieciństwie.

Ale to już mężczyzna. Podobny do niej, ale też i do Rémy'ego.

- Miło, że ze mną jedziesz...

- Żartujesz?

- Niezupełnie - odpowiada Estelle i oboje wybuchają śmiechem.

Tuż przed Valence ona zasiadła za kierownicą, syn zaś natychmiast obok zasnął. Akurat w chwili, gdy pojawił się Rodan. Jak gdyby przez delikatność chciał zostawić matkę sam na sam z Królewską Rzeką. Musi być zdumiona, że tak szybko widzi Estelle z powrotem zmierzającą na północ. Estelle nie lubi spotkań z Rodanem, gdy jedzie w odwrotnym kierunku. On także się nie cieszy. Płynie dalej nachmurzony, zaprzątnięty swoim spływaniem, tocząc szare, muliste wody. W górnym biegu musiało padać. Zresztą niebo się chmurzy, światło ciemnieje, najmniejszego powiewu wiatru, chociaż jadą przy otwartych oknach.

Luc śpi. Z takim samym przekonaniem, jak przed chwilą, kiedy pałaszował. Młodość! Śpi jeszcze, kiedy pod Vienne musi przyhamować, by zapłacić za przejazd autostradą. Podwójna przeprawa przez Rodan też nie wybija go ze snu, ani duży ruch, który wskazuje, że zbliżają się do Lyonu, ani korek pod Fourvière, ani tunel, ani wyjazd z niego w światło...

- Łajdak! - rzuca nagle przez sen.

Budzi się, nie wie, gdzie jest, rozgląda się dookoła, przypomina sobie i wreszcie wyjaśnia matce:

- Klóciłem się z Jérôme'em. No bo to, co zrobił tobie, to jest... przepraszam cię, mammo...

- Przepraszasz? A za co? Za to, że podtrzymujesz mnie na duchu?

- Nie martw się! Jeszcze oberwie po gębie! Obrobić komuś stoisko! Trzeba być skończonym draniem!

Na nieszczęście sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana i to właśnie niepokoi Estelle. Tak naprawdę nigdy nie spisali umowy. Jérôme twierdził, że nie lubi papierzysk. Ich układ był czysto przyjacielski.

- Jesteś jednak jego lokatorką?

- Niezupełnie... Od czasu do czasu, szczególnie po jakiejś większej transakcji, wpłacałam za mieszkanie jakąś sumkę. Najczęściej z ręki do ręki... Tak było prościej, zapewniał.

„Jasne” - myśli Luc zdruzgotany.

- Ale towar jest moją własnością!

- Masz faktury?

- Oczywiście! To znaczy... w większości przypadków.

Milczenie, jak niebo, zmieniło barwę. Tak naprawdę Luc nigdy nie zaakceptował Jérôme'a, nigdy do końca nie pojął, co też takiego matka w nim widziała. Męski, pewny siebie, ostry, nieomylny i twardy. Ale wyobrazić sobie, że jest nieuczciwy...



- Jak poznałaś Jérôme'a?

- Właśnie przez Nicole! Wiesz, że bardzo ładnie się wobec mnie znalazła, kiedy się rozwiedliśmy, twój ojciec i ja...

„Miałem wtedy jedenaście i pół roku, mamó. W tym wieku wiele rzeczy umyka naszej uwadze. Z wyjątkiem smutku”.

- Bardzo mi pomogła, gdy byłam w kłopotach - ciągnie dalej Estelle. - Pracowałam z nią. Pilnowałam sklepu, przeprowadziłam kilka transakcji. Pierwszy raz w życiu zarabiałam na swoje utrzymanie... Wtedy to poznałam Jérôme'a.

Jérôme. Jego kanadyjka, długie buty, jego bezwzględność w interesach łagodzona uśmiechem, gdy na nią spoglądał.

- Często zachodził... Był sympatyczny...

- To dzięki niemu zostałam antykwariuszką, nauczył mnie fachu. No i... ciężko samej. Estelle śmieje się, by pokryć wzruszenie i skrepowanie. Zaraz dodaje:

- Za czasów mojej mamy kobiety nie zwierzały się dzieciom z kłopotów sercowych.

- Oddaj mi kierownicę - mówi Luc - jedziesz za szybko, jeszcze się rozbijemy!

Nicole zostawia klientkę, która waha się między opalizującym szkłem a parą stojaków na drewno do kominka, i wybiega im na spotkanie. Nie może wyjść z podziwu, że dotarli tu tak szybko, i przeprasza, że tak zaalarmowała Estelle swoim telefonem, ale...

- Nie przepraszasz, Nicole. Bardzo dobrze zrobiłaś.

Stoisko jest puste, zdewastowane. Stłuczony wielki żyrandol i jego kryształowe wisioriki rozsypane dokoła na podłodze stanowią jedyny ślad po tym, co było składem wypełnionym po brzegi meblami i starymi przedmiotami. Estelle robi w myśli remanent antyków. Komoda z okresu Regencji, którą udało jej się przez dwa lata uchronić przed sprzedażą, bo tak ją lubiła, lustro w stylu Ludwika XVI zwieńczone pszenicznymi kłosami, biurko, w którym trzymała księgi rachunkowe... I inni, wszyscy inni jej towarzysze, skromni lub sygnowani, odkryci przez nią, uratowani! Zawsze czuła ściśnięcie serca, kiedy któryś z nich odchodził. No cóż, teraz wszyscy odeszli! Nic nie zostało. Pustka i żal. Stłuczony żyrandol na brudnej, zdeptanej podłodze, zraniony żyrandol, nad którym przykłęka, zastanawiając się, czy da się go jeszcze naprawić. Mimo przytłoczenia smutkiem i wściekłością, słyszy głos Nicole, która opowiada... Jakie szczęście, że akurat znajdowała się w pobliżu!

- Kierowca ciężarówki był miły, obracał dwa razy. Poczęstowałam go kawą...

„To ty jesteś miła” - myślą równocześnie matka i syn.

- ...pogawędziliśmy sobie trochę, no i krótko mówiąc: mam nazwę i adres przechowalni!

Z kieszeni wyjmuję kartkę papieru, podaje ją Estelle, która rzuciwszy ledwo okiem, uśmiecha się.

- Znam ją - mówi. - Dziękuję ci, Nicole! Nie wiem, jak mam...

Ale Nicole już wróciła do swojego stoiska, gdzie klientka dokonała wyboru. Kupuje pozytywkę.

Ostatni raz Estelle toczy okiem wokół siebie.

- Jedziemy? - pyta Luc, który aż się rwie do walki.

- Zaczekasz tu na mnie!

Luc protestuje:

- Ależ!...

Estelle daje mu adres przechowalni mebli:

- Zadzwoń tam, spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej!

Daremnie Luc nalega, że pojedzie z nią do Jérôme'a.

Estelle nie chce o tym słyszeć.

- Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy!

Biegnie do samochodu, a on nie śmie jej powstrzymać, dogonić, zmusić, by posłuchała. Chciałby, ale to przecież jego matka, a on jest bardzo młody i nie odzwyczaił się jeszcze od posłuszeństwa. Widzi, jak matka odjeżdża na pełnym gazie. Powinien był...

Ogromna ciężarówka toczy się ulicą Rosiers.

Estelle przecina jej trasę, nawet nie zauważając pojazdu. Kierowca ostro hamuje, ale nie może uniknąć zderzenia. Samochód Estelle zostaje odrzucony na ścianę.

- Mamo!

Luc pędzi do rozbitego samochodu, pochyla się nad postacią, która zdaje się spać na kierownicy.

- Mamo! - powtarza łagodnym głosem.

Lecz Estelle nie odpowiada.

## II

Estelle idzie przez las.

Wokół niej jest ciemno, gęste listowie nie przepuszcza światła.

Jednakże ona się nie boi, idzie przed siebie bez lęku, bo Marceau trzyma ją za rękę. „Jestem tutaj!” - mówi swoim dziecinnym głosem, ale ona wie, że teraz Marceau jest już mężczyzną. Ochroni ją. Zawsze. Powiedział jej to.

Chciałaby zobaczyć jego twarz, ale nie może odwrócić głowy.

Boli. Bardzo boli.

Promień słońca próbuje przebić się przez ciemności... Ból jest tak silny, że Estelle zapada się w bezkształtną, bezkresną nicość.

Czas płynie mimo jej woli.

Życie toczy się bez niej.

Jej bliscy pochylają się nad jej nietkniętą, pogodną twarzą. Nad jej zamkniętymi powiekami. Od dwóch dni nie odzyskuje przytomności, a oni wypatrują choćby najmniejszego znaku. Nic.

Doktor przygotowuje ich na najgorsze. Być może nigdy się nie ocknie. Trzeba będzie decydować za nią, chronić ją. Żyć za nią.

Ona już nie istnieje.

„Cóż... Wygrana w przedbiegach...” - myśli sobie Marceau z uczuciem zawodu.

To oczywiste stwierdzenie pozbawia go przyjemności, jakiej się spodziewał.

Stawienie czoła Estelle stanowiło okrutne i pociągające wyzwanie. Świadomość, że została unicestwiona, wyeliminowana z życia, że leży nieprzytomna, pozbawia grę całego smaku.

W czasie spotkania w Isle-sur-la-Sorgue w antykwariacie powinien był jej powiedzieć, kim jest...

Przestraszyć ją.

„To ja, Estelle. Pamiętasz? Chłopczyk, który przeżył? Cóż to, chyba nie zapomniałaś?”

Mojego ojca, matkę i Sandrine? Lubiłaś Sandrinette? Miała dwa latka jak skoła w kałuży krwi. Chcesz zobaczyć białą pręgę pod moim sercem? Blizna. Widzę ją co rano. Nie sposób zapomnieć, że ja też byłem skazany na śmierć. Uratowali mnie. Podobno cudem. Wolałbym nigdy się nie obudzić, lecz skoro zdarzył się »cud«, to warto zachować to w pamięci. Potem ciężko pracowałem, Estelle. A że sam zostałem na świecie, chciałem być najlepszy. Najlepszy w szkole, najlepiej zdać egzaminy, najlepiej wypaść w konkursie na odpowiednie stanowisko, najlepiej prowadzić interesy, być naj we wszystkim.

Twój ojciec mówił nam: Trzeba pracować, dzieciaki! Po tym dramacie nadal słuchałem jego rad. Z nienawiścią, ale słuchałem. Bo to przez niego zginęli wszyscy moi bliscy. Powinien był bronić swego przyjaciela. Swojego towarzysza broni. Pomimo oczywistych dowodów winy. Nie uczynił tego. Pozwolił umrzeć wszystkim. Pozwolił, by polała się krew. Ale ja nie umarłem. I wracam, żeby ich pomścić. Tatę, mamę, Sandrine.

Nikt nigdy nie odgadł, o czym myślał ten wzorowy uczeń, taki grzeczny i taki łagodny. Nawet moi przybrani rodzice. A, prawda - znalazłem rodzinę. Państwa Séverin. Skromni, poczciwi ludzie. Ulitowali się nade mną, choć wy, rodzina Laborie, zostawiliście mnie nie spojrzawszy nawet, czy żyję. Oni adoptowali mnie. Od nowa uczyłem się mówić: tata, mama. Miałem brata... Nawet nie musiałem wymyślać sobie nazwiska, tylko imię. Nazywam się Pierre Séverin. Jestem bogaty, bardzo bogaty...”

Bogaty? Wzrusza ramionami. Mówi jak smarkacz, który przechwala się: „A ja mam forszę!” Bogaty, cóż to znaczy? Że może sobie pozwolić na rozgłaszanie swoich pięciomiliardowych długów... To właśnie stanowi najbardziej jaskrawą oznakę bogactwa! Carneau-Développement zalicza się do spółek o najlepszych wynikach ekonomicznych w całej Francji. O przepraszam, w Europie.

Rozpaczliwie rozgląda się dokoła.

Zaledwie dwa miesiące temu nabył Rochegude. Zamek równie ponury jak jego myśli. Niegdyś w sali posłuchań, jak mówią, po lewej stronie tronu seniora zasiadał Delfinat, a po prawej Prowansja. Niektóre pomieszczenia są oświetlone jedynie przez otwory strzelnicze, jak gdyby światło dzienne wahało się, czy tutaj zajrzeć. Zamek wygląda, jak gdyby dręczyły go wyrzuty sumienia. Czasami w nocy, gdy jest sam, jak dzisiejszego wieczora, Marceau prowadzi dialog z cieniami, lecz nie udaje mu się ich obłaskawić. Wprost przeciwnie, wprawiają go w jeszcze większy zamęt, jak gdyby wiedziały coś zasadniczego, co go dotyczy i co umyka jego uwadze.

Mimo wszystko lubi ten warowny zamek, jego wieże, podwórce, okute żelazem podwoje i mury rontu, skąd widać jedynie drogę z tumanem i zieleniejącą trawę.

Lubi być w zamku sam. Zwłaszcza od czasu, gdy spotkał Estelle w tym nędznym sklepiku w Isle-sur-la-Sorgue. Rozmyśla o niej w swej samotni. Obecność Mireille w Rochegude ciąży mu coraz bardziej. Jednak jeszcze jej potrzebuje. Aż do powstania Cykad-Landu. Potem się zobaczy.

Pani mer Châteauneuf, sto siedemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu, włosy ciemne, oczy orzechowe, znaki szczególne: nienawiść do Estelle Laborie.

To właśnie dlatego wyjawiał jej swoją prawdziwą tożsamość. Rozpoznał małą Mireille z tamtych czasów w chwili, gdy pochylona nad planami Cykad-Landu pani Bouvier uśmiechnęła się, odkrywając, że jezioro zatopi „Oliwki”.

Wydaje jej się, że ją kocha, bo jest jedyną osobą, która zna jego tajemnicę. Jest skuteczna w działaniu, a jednocześnie niezręczna. Za bardzo się stara. Odcinać dopływ wody pod pretekstem położenia pałacu w piątej strefie! Toż to groteskowe! Przyczynę do tego, żeby w oczach mieszkańców Estelle zaczęła uchodzić za ofiarę. Gdy się o tym dowiedział, natychmiast wyperswadował jej tego rodzaju małostkowości. Była wściekła, lecz go usłuchała. Zawsze go słucha. Zwłaszcza, gdy czule ją poprosi. Mięknie wtedy jak wosk, myśląc, że wiele dla niego znaczy. Tak, znaczy. Jako narzędzie. Piękne narzędzie, o długich nogach i zachłannej uczuciowości. Przyjemne i powolne w miłości. Upojone romantycznością sytuacji, w której ma się za główną bohaterkę. Nie wyobrażał sobie, że powracając do Châteauneuf, znajdzie tutaj taką sojuszniczkę. Jeszcze bardziej niż on sam zapiekłą w nienawiści wobec Laborie. Owego wieczoru po przyjęciu w *Echansonnerie*, wpadła do Rochegude jak wcielona furia. Aż czerwone plamy wystąpiły jej na pięknym dekolcie, jąkała się z wściekłości, opowiadając mu, że Estelle już wie o Cykad-Landzie, że oczywiście nie chce sprzedać, że naskoczyła na nią publicznie, oskarżając o zdradę interesów regionu!...

„Gdybyś tam był!...”

Byłby zachwycony. Jednak jeszcze za wcześnie, by zaatakować Estelle otwarcie. Szkoda! To by mogło być zabawne! „Zabawne?”... Mireille nie może zrozumieć, co takiego zabawnego w ich kłótni widzi Marceau i dlaczego, śmiejąc się, zaciera rękę.

Nie rozumiała też jego poruszenia, gdy się dowiedział, że Estelle miała wypadek i nie odzyskała przytomności. Mireille nie ma najmniejszego pojęcia o smutku, jakiego doznaje kot na widok martwej myszy.

„Wygraliśmy!” powtarzała, gdy on milczał, ugodzony tą wieścią.

Zadzwoił nawet do profesor Marie Boyer, by jej opiece gorąco polecić chorą. Na drugim końcu linii pani profesor była ogromnie wzruszona. „Drogi przyjacielu, jak miło pana słyszeć!” Raz czy dwa zjedli kolację na mieście. To wytwarza więź. „Pani Laborie? Czy to

pańska znajoma? Typowy przypadek śpiączki, jak wszystkie temu podobne. Ciekawe, czy kiedykolwiek zbadamy, co dzieje się w jej mózgu?”

Po tej rozmowie może być spokojny, że pani profesor nie wypuści Estelle tak szybko. Nawet jeśli chora odzyska przytomność, co wcale nie jest takie pewne, tygodnie, a może nawet miesiące będzie poddana ścisłej obserwacji. „Pod obserwacją”... formułka, jakiej się używa, by legalnie pozbawić kogoś wolności. W każdym razie to wygrana.

Młody baron i jego wybitnie uzdolniona żona są na jego łasce. Podobno Philippine była bardzo wzruszona jego staraniami. Za kilka dni zostanie pracownikiem Carmeau-Développement, wyzbyta wszelkich skrupułów, przepelniona wdzięcznością i oddaniem. Następnie zajmie się byłym mężem Estelle i ewentualnie innymi członkami rodziny... Najpierw doprowadzi do tego, że będą go uwielbiać, a potem otworzy śluzy Rodanu i wypuści spiętrzone wody.

„Mamo, on był cudowny po twoim wypadku! Gdybyś wiedziała... Naprawdę musisz sprzedać! Nigdy nie odnajdziesz...”

Lecz czy Estelle odzyska w ogóle świadomość?

- Tak czy inaczej, wygrałem - powtarza sobie nachmurzony, zwracając się do kamiennego świętego, który z miną mało katolicką czuwa w mrocznym kącie ogromnego gabinetu.

A potem wzdycha.

Kot jest smutny. Mysz już się nie rusza.

\*

Powoli Estelle wynurza się z ciemnego lasu. Czuje światło jeszcze przed otwarciem oczu. Ból ustąpił. Budzi się i to budzi się szczęśliwa. A to dlatego, że widzi nachyloną nad sobą zatroskaną, pełną czułości twarz. Twarz matki. Jej matka jest tutaj, wszystko w porządku, czuje się bezpieczna.

- Mamo... - mówi do zgnębionej Philippine.

I zaraz z powrotem zapada w spokojny sen, wprawiając otoczenie w jeszcze większy niepokój.

- Uprzedzałam państwa - mówi profesor Boyer. - Daleka jest od wyjścia z tego. Moje biedactwa, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, trzeźwo i odważnie. Wasza matka stała się bezbronnym dzieckiem.

Bezbronna istota obudziła się kilka godzin później, przywołała Philippine jej właściwym imieniem, zażyczyła sobie herbaty i chleba z masłem, przypomniała sobie

wypadek i spytała o reakcję Jérôme'a. Dowiedziała się, że wyjechał do Meksyku, żeby wylizać się ze swoich miłosnych ran, i że domaga się od niej zaległego czynszu za pięć lat. Dowiedziała się również, że jej samochód nadaje się tylko na złom, że to była jej wina, wymuszenie pierwszeństwa, że dwa dni dziewięć godzin i trzydzieści siedem minut pozostawała w stanie śpiączki... że właściwie nie powinna była tak szybko odzyskać przytomności, i że trzeba będzie zatrzymać ją jakiś czas pod obserwacją.

- Jaki czas?

- Niezbędny, żebyś odpoczęła.

- Nigdy w życiu tak długo nie spałam! Czuję się bardzo wypoczęta! - powiedziała żartem, lecz nikogo to nie rozbawiło.

Bez pukania do pokoju weszła przystojna kobieta. Pod jej białym kitem dało się dostrzec koszulową bluzkę z delikatnego jedwabiu.

- O, więc obudziliśmy się? - spytała tonem, jakiego zwykle się używało do bezzębnej pensjonariuszki domu starców.

- „My”? - powtórzyła Estelle z miną, jak gdyby wokół swojego łóżka szukała osoby trzeciej.

Wystarczyło kilka sekund, by pomiędzy dwiema kobietami zrodziła się antypatia. Nagle Estelle uniosła dłoń do czoła i na chwilę przymknęła oczy. Usiłowała zebrać umykające jej, rozproszone, obrazy. Pani profesor przyglądała jej się, czyhajac z zachłannością oznak upośledzenia umysłowego, które uważała za nieuchronne...

- A, już wiem! Widziałam panią w telewizji!

Rozpromieniona, uwolniona od natrętnej myśli, Estelle uśmiecha się.

- To bardzo prawdopodobne... Proszę podać mi rękę, zmierzę pani puls...

- *W La mar che du siècle\**!

- Między innymi - chłodno potwierdza pani profesor. Proszę pokazać język.

- Z przyjemnością - rzecze Estelle. - Kiedy mnie pani wypisze?

- Później o tym pomówimy, najpierw trzeba panią leczyć...

- Mnie, leczyć? Ależ ja się wspaniale czuję! Nie mam żadnych złamań! Proszę spojrzeć, mogę poruszać palcami! Palcami u stóp też! Niech pani popatrzy!

- Trzeba chorą zostawić samą, musi wypoczywać - mówi Marie Boyer, dając znak Philippine i jej braciom, żeby opuścili pokój.

Nie zwracając się do Estelle, dodaje półgłosem:

---

\* Program publicystyczny w telewizji francuskiej.

- Wrócę, jak się uspokoi.

W gruncie rzeczy to właśnie ta nic nie znacząca uwaga sprawiła, że Estelle postanowiła opuścić szpital.

Podobnie jak jej przodek Juste miała wpojone poszanowanie praw człowieka. Jak jej pra-pra-ciotka Valentine szanowała również prawa kobiet. A po Brutusie odziedziczyła odwagę. A więc?

Nie zostawać w inkubatorze pod nadzorem elektronicznego oka Fakultetu Medycyny! Wydostać się stąd. Odzyskać meble. Przewieźć je „Pod Oliwki”. Tam właśnie rozpocząć życie, o jakim marzyła. Tyle tylko, że do realizacji swych planów potrzebuje pomocy.

Ale kogo może o to prosić? Rémy'ego? Na pewno nie. Znowu wspomniał o propozycji zakupu „Oliwek”: „Uwolni cię to od wszystkich kłopotów!”

Rémy! I walisz mi to tak bez znieczulenia, u wezgowia szpitalnego łóżka, trzymając w ramionach kosz z owocami. Dzięki, Rémy, jesteś miły... ale tutaj trafiłeś jak kulą w płot! I Philippine też nalega: „Tata ma rację, mamo! Zwłaszcza teraz!”

Dlaczego tak na nią patrzą? Dlaczego poddają nowym badaniom?

Ściągnięty przez Marie Boyer ekspert o wisielczym wyrazie twarzy zajrzał, by z nią porozmawiać i stwierdzić, czy jest przy zdrowych zmysłach.

- A pan? Dobrze się pan czuje? - zapytała.

Nie wyglądał na zachwyconego. Jeśli tu pozostanie, jest pewna, że rzeczywiście zwariuje. Założywszy, że przeżyje mdłe, wodniste i ledwo ciepłe potrawy ze szpitalnej kuchni, rozwożone na wózkach z gumowymi kółkami, potrawy kuchni czyszcowej, by przypominały grzechy nieszczęśnikom, którzy zblądzili na oddział neurochirurgii pani profesor, ulubienicy mediów.

Wyrwać się stąd!

Nie mogła wmieszać Sophie w sprawę swojej ucieczki. Z tego rodzaju historii na początku kariery zawodowej młody adwokat z trudem zdoła się oczyścić. Antoine jest za mało odporny, by mogła na niego liczyć...

Prosta sprawa. Zostaje tylko jedna osoba. Luc.

Profesor Marie Boyer nie może ochłonać ze zdumienia.

Pani Laborie uciekła!

Bez słowa, bez żadnych wyjaśnień, nie podpisawszy żadnych dokumentów!

Profesor Marie Boyer nie może dojść do siebie.



- Oszalała! Wariatka! - powtarza z konsternacją.

Niezwłocznie postanawia prowadzić dochodzenie, powołać jeszcze jednego eksperta - psychiatrę, nie pozwolić, by sprawa tak pewna wymknęła jej się z rąk - wraz z pacjentką. Ona chce, ona musi dowieść, że ma słuszność! Że ta kobieta nie jest przy zdrowych zmysłach. To sprawa honoru! Poza tym winna to jest Pierre'owi Séverin, który zdaje się interesować Estelle Laborie. Cóż to za czarujący mężczyzna, wysoko postawiony, wartościowy... Aż się człowiek zastanawia, dlaczego interesuje się tą wariatką! Ponoć nawet jej nie zna, robi to ze względu na dzieci... „Ma za dobre serce, oto wyjaśnienie”.

I pani profesor wybiera numer Pierre'a Séverin, jego prywatny numer, który miał przyjemność jej podać. Jest szczęśliwa, że ma powód, by zadzwonić do niego, nawet z wiadomością przykrą.

\*

Po raz pierwszy przybywa do domu jak Hannibal. Na wysokości grzbietu słonia.

W kabinie potężnej ciężarówki Rogera co chwila rozlegają się salwy śmiechu. Nie można powiedzieć, żeby podróż była smutna.

W przechowalni mebli nie napotkała najmniejszych trudności z odzyskaniem swoich dóbr. Tak często bywała tutaj z Jérôme'em lub załatwiała sprawy w jego imieniu, że nikt nie miał żadnych wątpliwości.

- Na drogę damy pani Rogera, on jest najlepszy!

To akurat on był kierowcą, którego Nicole poczęstowała kawą. Roger należy do ludzi serdecznych.

- To teraz osiadzie pani na południu Francji, pani Laborie? Ma pani zupełną rację.

Całe to przedsięwzięcie nie było bardzo skomplikowane.

Nie bardziej niż ucieczka ze szpitala, skąd wyszła główną bramą nie zwracając na siebie najmniejszej uwagi. Po prostu.

Udana ucieczka. Ciche porwanie. Wiedziała, że bogowie trzymają jej stronę, gdy Roger otworzył szufladę biurka, do której włożył, zawinięty w starą gazetę, jej ukochany wazonik.

Wazonik, który oznajmia: *Przynoszą szczęście* pięknym pochyłym pismem w girlandzie z powojów.

W zajeździe przy autostradzie, w którym aż się roiło od urlopowiczów przybywających i odjeżdżających jak przyływy i odpływy morza, stojąc pomiędzy Lukiem i Rogerem przy stole z laminatu, Estelle połknęła tuzin ślimaków z Burgundii, zakrapiając je

lokalnym, lekkim, czerwonym winem. Koniec z czyścem! Następnie uprzedziła Amélie:

- Jestem na autostradzie! Jadę z całym moim składem mebli!

- Mój Boże! Wypuścili cię?! - wykrzyknęła Amélie, jak gdyby dzwoniła do niej z budki we Fleury-Mérogis\*.

Następnie, kierując się poczuciem uczciwości, Estelle zadzwoniła do Rémy'ego.

- Zwariowałaś! - powtarzał bez przerwy zaskoczony.

- Postaw się na jego miejscu! Biedny tata - przekonywał Luc. - To dlatego, że się o ciebie martwi! Wierz mi, ma powody! Przedwczoraj nie mogłaś sobie przypomnieć nazwy własnego domu...

- Mojego domu?

- Tak, nie mogłaś sobie przypomnieć Pałacu pod Oliwkami!

- Jak to?

- Tak! Zdajesz sobie sprawę? Byliśmy zdruzgotani! A potem, kiedy się ocknęłaś, powiedziałaś: „Mamo!”, zwracając się do Philippine.

- Niemożliwe. Mamo?

- Tak, mamo!

- I co jeszcze? Szaleńczo się bawię!

- No właśnie widzę - zauważa Luc.

- Opowiadaj!

- Takie różne hocki-klocki z ekspertem, podobno raczej niedobrze poszło...

- Bardzo źle! Przrzekłam, że odpowiem na jego pytania, jeśli zje *purée*, które podano mi w szpitalu na obiad.

- Uznał to za niepokojący objaw.

- *Purée* było o wiele bardziej niepokojące!

Roger serdecznie się śmieje, uważa, że kobieta i jej syn są z lekka narwani, ale bardzo sympatyczni.

- A! Nareszcie jest! - nagle wykrzykuje Estelle.

- Kto taki? - pyta Luc.

- Rodan! - odpowiada i posyła rzece całusa.

Roger w zamyśleniu zmienia biegi i zastanawia się, czy też ta pani nie powinna była jednak kilka dni jeszcze zostać na obserwacji.

---

\* Podparyskie więzienie.

Przy wjeździe do starego lasu jest niski murek z kamieni. Na murku siedzą bliźniaki i wypatrują przybycia podróżnych. Pies leży u ich stóp.

- Hurrra! Hurrra! - wrzeszcza, widząc zbliżającą się maszynę.

Biegną, skacząc jak wesołe diabelki, które otwierają im drogę przez magiczny krąg, pies skacze wokół nich i szczeka, najwyższe gałęzie drapią dach ciężarówki, a zaskoczone na trasie ich przejazdu ptaki zrywają się do lotu, gniewnie uderzając skrzydłami.

Roger jedzie ostrożnie.

- Ma pani ładne winnice! - rzecze patrząc z uznaniem na rzędy okazałych szczepów winnej latorośli.

- Bardzo ładne - odpowiada Estelle, nieoczekiwanie wzruszona. - Jak pan będzie odjeżdżał, podaruję panu wino i wypije pan za moje zdrowie i zdrowie mego domu. Oboje tego potrzebujemy!

„Biedna kobieta - myśli Roger dojeżdżając do gaju oliwnego - chociaż nie wygląda na niebezpieczną, dobre i to!”

*Przynoszę szczęście*, zapewniał wazonik, a ją nęciło, żeby mu wierzyć.

Od pięciu dni, od kiedy wróciła „Pod Oliwki”, żyła w radosnym uniesieniu.

Wrócona swoboda, zbawienny czek od Syryjczyka, odzyskane meble i inne starocie, które teraz z zapalem rozmieszczała... Czy mogła sobie wymarzyć piękniejszą rekonwalescencję? Lecz najcenniejszym prezentem, jaki otrzymała po powrocie, było to, co wyczytała w oczach Samuela.

- Powiedz prawdę, czy jestem szalona? - zapytała w końcu.

- Nie bardziej niż zwykle! - odparł stary doktor.

Jak słodko czuć u swego boku ich obecność: Amélie, Samuela, Julesa, Blaïda, troskliwych, jak zawsze w trudnych okresach jej życia bywało.

Oczywiście, problem pozostał. Ten Cykad-Land, o którym wszyscy już rozprawiają w Châteauneuf, stanowi poważne zagrożenie dla „Oliwek”. Mireille znowu poruszyła tę sprawę podczas zebrania rady miejskiej. Oczywiście z przychylną własną oceną. Pomysł wielkiego parku, wybetonowanego i geometrycznego, wyrysowanego przez komputery, zastępującego dzieło Stworzyciela, nie wszystkich jednak zachwycił. Natomiast za nim, rzecz jasna, byli ci, którym mógł przynieść zysk. Samuel powiedział, że oprócz niej, wszyscy właściciele ziem zdawali się zgadzać na sprzedaż. Aż nazbyt szczęśliwi, że znajdują nabywcę na jałowe ugory i skarłowaciałe lasy, nie nadające się do uprawy.

Z wyjątkiem „Oliwek”, gdzie trzeba by poświęcić winnice, gaj i budynki, żeby

utworzyć sztuczne jezioro.

Najgorsze, że istnieje istotny argument, który może przeważać - stworzenie nowych miejsc pracy.

Zadzwoiła do Sophie po poradę.

- Nie mogą mnie przecież zmusić, żebym sprzedała.

- Oczywiście, że nie! Chyba że...

- Że co?

- Że projekt zostanie uznany za przedsięwzięcie użyteczności publicznej. Ale bardzo bym się zdziwiła, gdyby tak się stało.

Użyteczności publicznej? Jakże zniszczenie naturalnego krajobrazu można uznać za inwestycję użyteczności publicznej?

Sophie nie odpowiedziała na to pytanie. Była mocno zaniepokojona. O rodzinę, Antoine'a, Estelle. Wolałyby wprost powiedzieć, co myśli o jej ucieczce ze szpitala. Lecz nie śmiała. Odłożyła słuchawkę, nie poruszywszy tego tematu, zatroskana. Z punktu widzenia prawa Estelle może robić, co jej się żywnie podoba, lecz sposób, w jaki zniknęła, wprowadził w zaniepokojenie bliskie jej osoby. Do tego stopnia, że zgodzili się na nową propozycję pani profesor Boyer. Inny ekspert uda się „Pod Oliwki”. Jeśli jego wnioski będą zbieżne z opinią pani profesor i lekarza, którego Estelle poczęstowała *purée*, należy się spodziewać poważnych przykrości.

Przykrości i tak nie kazały na siebie czekać. Od czasu propozycji zakupu „Oliwek” wciąż nalegali, żeby sprzedać majątek. Wszyscy oprócz Luka, który przez swój współdziałanie w ucieczce matki stał się podejrzany. Sophie pokłóciła się z Philippine, pierwszy raz w życiu - wszystko, co nie było mocno osadzone w realiach, co choć trochę przypominało fantazję, wydawało się podejrzane pani porucznik de la Craye. Gotowa była, gdyby eksperci o to poprosili, umieścić matkę pod stałym nadzorem lekarskim. Dla jej dobra. To oczywiste. Gdy Rémy oświadczył, że postawa córki wydaje mu się bardzo rozsądna, Carla spakowała swoje manatki:

- Teraz już wiem, co mnie czeka, jeśli z tobą zostanę: *il manicomio*\*! *Ciao!*

I trzasnąwszy drzwiami, wyjechała do Włoch.

Biedny Rémy! I biedny Antoine... Zapytany przez siostrę o zdanie, odparł, że nic go nie obchodzi zmartwienia innych, bo jego kłopotami inni też się nie zajmują.

„To przeze mnie Antoine zrobił się taki” - pomyślała Sophie.

---

\* Dom wariatów.

Chciałyby pojechać na południe i zobaczyć się z Estelle, porozmawiać z nią, lecz uwiązana była codziennymi naświetleniami. Dyskretnie, nikomu o niczym nie mówiąc i nie skarżąc się na swój los, walczyła z chorobą. Zdesperowana, ale uśmiechnięta, nie miała odwagi wyjawiać najgorszego Antoine'owi:

„Być może umrę jak mama”.

Zastanawiała się, czy dla Antoine'a gorsza byłaby wisząca nad nią groźba śmierci, czy też obawa, że go nie kocha?

W celu zasygnalizowania, że w szczerym polu istnieje antykwariat, Luc i Blaid na życzenie Estelle wykonali tablicę informacyjną następującej treści:

<p><b>PAŁAC POD OLIWKAMI</b> <b>ANTYKI - DZIEŁA SZTUKI</b> <b>DEGUSTACJA WINA</b></p>
---

Umieścili ją przy wszystkich drogach wjazdowych do posiadłości.

Luc musiał wracać do Paryża, choć chętnie zostałby dłużej. Przyrzekł, że od 15 sierpnia do 15 września zastąpi kolegę we FNAC\*. Było mu bardzo przykro, miał wrażenie, że opuszcza matkę w samym środku bitwy. Na pocieszenie zostawił jej swój samochód, by mogła się swobodnie poruszać. Nim wyjechał, zasypał ją różnego rodzaju zaleceniami: „Nie prowadź za szybko! Uważaj na ciężarówkę! Wypoczywaj! Nie chodź spać późno! Nie wstawaj zbyt wcześnie! Nie dźwigaj ciężkich mebli!”

Roześmiała się, przyrzekła wszystko i ucałowała go mocno. Ładnie pachniała pszczelim woskiem i świeżym werniksem.

- Dziękuję ci, Luc, żeś mi pomógł wrócić!

- Jestem pełen wiary, mamó. Jestem pewny, że uda ci się wskrzesić *niegdyś*.

Ona też jest tego pewna. Obecność odzyskanych mebli i konieczność odrestaurowania ich, przywracają Estelle życie. Niech będzie błogosławiony zawód, który daje zajęcie rękóm!

Czyści, wygładza, poleruje, reperuje złocenia na romantycznej ramie lustra, które źle zniosło podróż, naprawia mozaikowy gerydon, z którego powypadały elementy amarantowej inkrustacji...

- Masz czarodziejskie palce! - zachwyca się Amélie. - Czego dotkniesz, staje się jak

---

\* Sieć wielkich księgarń.

nowe!

Nowe? Estelle wybuchła śmiechem. Nowe! Toż to straszne! Ona, która lubi właśnie to, co zraniły mijające lata, co daje uczucie dzielenia życia z ludźmi, których już nie ma!

- W gruncie rzeczy, nie przedmioty kocham, ale ludzi - stwierdza, ścigając rękawiczki z lateksu, w których pracuje. - Popatrz na te moje starocie... Ile one wiedzą, napatrzyły się i na radości, i na zmartwienia. Wiesz, niekiedy nawet, gdy potrzebne mi są pieniądze...

- To znaczy cały czas - wtrąca Amélie.

- To znaczy cały czas, zgoda, no więc, zdarza mi się odmówić sprzedaży... Opowiadam klientom różne takie głodne kawałki: „Och! Jakże mi przykro, ale wczoraj go zarezerwowano...” Bo nie chcę, żeby jakieś krzesło, lustro albo komoda były nieszczęśliwe w nowej rodzinie. Na Pchli Targ przychodziłam na stoisko w ciągu tygodnia, gdy wszystko jest zamknięte, wyludnione, i przesiadywałam tam całymi godzinami, słuchając milczenia przedmiotów... Jak się nad tym dobrze zastanowić, zawód antykwariusza jest bardzo smutny. Zbieramy przecież tylko to, co zostało osierocone, porzucone, odtrącone... To, co przestało się podobać, przestało być lubiane. Widzisz ten stolik do robótek? Powiedziano mi, że należał do George Sand...

Amélie nie posiada się ze zdumienia.

- Nie może być!

- Nie, nie może być - zapewnia ją Estelle. - Ale wcale nie przestałam go lubić. A właśnie, zabiorę go do mojej sypialni! Co się stało, Amélie, coś nie tak?

- Och! Nie, nie, wszystko w porządku. Doskonale! - uspokaja ją Amélie. - Tylko tak sobie myślę, że razem spędzimy zimę i że to pierwszy raz od twojego ślubu i od śmierci mojego biednego Etienne'a nie zamkniemy domu po winobranii.

- Winobranie...

Kiedyż to powróci z całą swoją niegdysiejszą wspaniałością, z honorami tiary i złotych kluczy.

Wzruszenie obu kobiet pryska wraz z przybyciem bliźniąt. Pąsowi, zdyszani, anonsują pierwszych klientów:

- Jacyś cudzoziemcy! „NL”, to znaczy Niderland! Już tu jadą!

Nie ma czasu, żeby się ogarnąć, Estelle przyjmie ich w ogrodniczkach i z ochronnymi rękawiczkami w dłoni, jak podczas oświadczyn. Amélie ma akurat tyle czasu, by popędzić do kuchni i przyszykować tacę. Krzyczy do dzieci:

- A wy nie płączcie się pod nogami!

Jednak Marius i Magali nie odstępują Estelle ani na krok, zafascynowani parą Holendrów, którzy wysiadają z jeepa. Są olbrzymi. Cudowni. Od słońca ich skóra nabrała rumieńców, włosy zaś spłowiały. Uśmiechają się, pokazując piękne, białe zęby, niebieskoocy, nie są w stanie sklecić jednego zdania po francusku. Ale wyciągają do Estelle dłoń na powitanie, gładzą dzieci po policzkach, drapią Noura po łbie, oglądają wszystko to, co nadal leży nagromadzone w salonie i uśmiechając się coraz bardziej promiennie, mówią:

- Ładne!

Im Estelle na pewno zechce sprzedać swoje starocie! Już sobie wyobraża dom, w którym mieszkają, dom z ogromnymi oknami balkonowymi wychodzącymi na płaski zielony trawnik, dom między Hagą i Amsterdamem, gdzie kilka dawnych mebli świadczy o fuzji przeszłości z przyszłością...

Amélie wraca, niosąc butelkę wina z 1988 roku. Białego. Przygotowała nawet szybciotko kilka tartinek z *tapenade*, bo jak się pije na pusty żołądek, to robi się niedobrze.

- Państwo nietutejsi - stwierdza, obsługując Holendrów.

W mniemaniu Amélie powyżej Valence trafia się pomiędzy barbarzyńców z Północy i potomków Attyli. No, a już Holendrzy, to dopiero! Można od razu rzec: istoty pozaziemskie! Ale jacy mili. A poza tym rocznik 88 rozwiązuje języki. Łamana angielszczyzna pozwala Estelle zrozumieć klientów.

Jej pierwsi klienci „Pod Oliwkami”.

Idą za nią do budynków gospodarczych, a dzieciaki i pies drepczą im po piętach. A oni oglądają, podziwiają, szacują, porównują... i decydują się na mały zegar wahadłowy z epoki Ludwika XVI, gerydon z czasów Karola X i parę waz ze szkła opalizującego w kolorze morskiej toni.

*Czas wieńcem chwały ubrać skroń!\**

Jasnowłosi olbrzymi wyjmują banknoty, liczą je skrupulatnie, jak zawsze wówczas, gdy ma się do czynienia z obcą walutą. Mężczyzna podaje pieniądze Estelle, mówiąc:

- Niedługo *écu!*

I to zabawne i niejasne dla nich zdanie rozśmiesza dzieciaki.

Holendrzy śmieją się razem z nimi, choć nie rozumieją, potem pomagają zapakować przedmioty i dziękują zmieszani, gdy Amélie wsuwa karton wina do ich bagażnika.

- *You are my first customers* - wyjaśnia Estelle. - *For me it is a good day and I*

---

\* Cytat z *Marsylianki* (*Le jour de gloire est arrivé*, dosłownie: nadszedł dzień chwały), przekł. Edwarda Porębowicza.

*suppose you give good luck\*\*!*

Kłaniają się i ściskają jej dłoń, gdy nieoczekiwanie przed tarasem zatrzymuje się samochód Mireille. Wysiada z niego pani mer ze srogą miną. Nieco dalej, pod drzewami, parkuje patrol żandarmerii.

Estelle w lot pojmuje, o co chodzi. Holendrzy również. Pojawienie się sił porządkowych oznacza to samo we wszystkich krajach.

- Przykro mi, Estelle - mówi Mireille - ale muszę zobaczyć twoje pozwolenie.

W ciągu kilku godzin wiadomość obiegła całe Châteauneuf:

Mireille pojechała z żandarmami do Estelle i zakazała jej sprzedaży antyków.

Mówią o tym na poczcie, w urzędzie skarbowym, w kafejce, mówią o tym w sklepie Romaina *Aux Primeurs des Papes*, na ulicy, wszędzie.

Skąd ludzie wiedzą, co zaszło? Ha cóż, właśnie od żandarmów! Bo widzicie, żandarmom nie spodobała się ta wizyta „Pod Oliwkami”. Byli posłuszni, zgoda, służba nie drużba. Natomiast, co się tyczy obowiązku zachowania tajemnicy, nie należy wymagać rzeczy niemożliwych, są ludźmi, a nie bezdusznymi maszynami.

„Gdybyście ją widzieli, biedactwo, kiedy pani mer kazała jej odebrać wszystko to, co przed chwilą sprzedawała! Kiedy musiała zwrócić pieniądze Holendrom! Bo w dodatku to byli Holendrzy! Ładnie się zaczyna ta Europa! A przecież pani Laborie dostanie to pioruńskie pozwolenie. Powinno nadejść lada dzień. Pokazała nawet uprawnienia z Paryża i podanie, które wysłała zaraz po przyjeździe tutaj. Ale nie, podobno to nie wystarczy. Myśleliśmy, że się spalimy ze wstydu!”

„To dlaczego nie strzelałeś, żandarmie? - krzyczy na to Jujube. - Ja to bym strzelał, żeby obronić Estelle Laborie!”

Jujube nie zrozumiał wszystkiego. Wie tylko, że skrzywdzono Estelle Laborie i że to nie jest sprawiedliwe.

- Nie, to nie jest sprawiedliwe!

Gdy tylko się o tym dowiedział, Antonin Fourcade udał się do prezbiterium, gdzie zastał Samuela z Julesem. Oni też już wiedzieli.

- Najpierw nie pozwolili jej sprzedawać wina, a teraz na dodatek chcą jej przeszkodzić sprzedawać starocie!

Antonin Fourcade buntuje się. To on „robi” wino Estelle od śmierci Paula Laborie.

---

\*\* - Jesteście moimi pierwszymi klientami. Dla mnie to wielki dzień i myślę, że przyniesiecie mi szczęście.



Dobrze zna to wino. I wie, że to wstyd i hańba, że nie zostało zrehabilitowane.

- Jest nawet lepsze od mojego, a to już mówi samo za siebie! Ma w sobie szlachetność Rayas! Zresztą jak je podaję na weselach albo na urodzinach w butelkach bez marki i etykiety, jako zwykle *râpé\**, to wszyscy mi mówią, że to wino godne królów! Estelle byłaby bogata jak nabab indyjski, gdyby istniała sprawiedliwość!

Wszystko, co mówi Antonin, to szczerą prawdą.

Gdyby nie on, gdyby nie Blaïd, już dawno chwasty zagłuszyłyby ten skrawek winnicy, jaki ostał się jeszcze przy „Oliwkach”. Młody sąsiad rodziny Laborie, Antonin, nauczył się wszystkiego od chorego już wtedy Paula i nie dopuścił, by wino umarło razem z nim.

Stało się to w sposób naturalny. Bez podpisywania dokumentów, bez sporządzania umów, jak *drzewiej* bywało. Tak między sąsiadami. Jak w *czasach starców, starożytnej poczciwości, kiedy to domy nie miały zamków\*\**. Kiedy to nigdy nikogo nie opuszczono w potrzebie. W czasach, gdy wyciągano pomocną dłoń. W żałobie, chorobie czy po klęsce żywiołowej, co spadała jak grom z jasnego nieba albo jak grad. No bo wiedzieli, że co dałeś innym, Bóg ci wynagrodzi w swoim czasie.

- Dlaczego Mireille jej to zrobiła?

- Żeby ją zmusić do sprzedania „Oliwek” pod ten jej nieszczęsny Cykad-Land - odparł Samuel.

- A właściwie, co to takiego ten Cykad-Land, o którym wszystkie wróble ćwierkają! - pyta proboszcz.

- To taki park w amerykańskim stylu - odpowiada Samuel. - Ileś tam hektarów, nie wiem... na zabawy, rozrywki, głupoty i oszukaństwa...

- No bo to dobrze idzie, takie głupoty - mówi zatroskany Jules.

- Powiem nawet, że dzisiaj to najbardziej popłaca - ciągnie Antonin. - A przecież, jeśli pałac zaliczałby się do pierwszych winnic, zlikwidowanie posiadłości nie powinno mieć miejsca!

- Możesz liczyć na Mireille, już ona się postara, żeby sprawy przyjęły jak najgorszy obrót - stwierdza Samuel. - Ale i mnie zaufaj, że na najbliższej radzie powiem, co o tym myślę. Niech sobie nie wyobrażają, że będę grał rolę niemowy z seraju!

- Estelle dała wam znać? - pyta Antonin, wstając i szykując się do wyjścia.

Nie. Dowiedzieli się, co się wydarzyło, tak jak wszyscy. Dzięki szczerzej niedyskrecji

---

\* Wino na użytek domowy, nie przeznaczone do sprzedaży.

\*\* *Poemat o Rodanie* F. Mistrala.

żandarmów. Nawet sama Amélie nie dała znaku życia. Nie znają szczegółów i nie mają odwagi spytać o nowiny. Milczą w nadziei, że telefon zadzwoni.

Telefon jednak nie zadzwonił tego wieczora.

Kiedy Holendrzy, żandarmi i mer wreszcie sobie pojechali, Estelle została jeszcze chwilę na tarasie. Stojąc nieruchomo w milczeniu, raz jeszcze przeżywała dramatyczne chwile. Upokorzenie. Gorzej. Smutek bez dna. Holendrzy chcieli oddać karton z winem. Nie ustąpiła. Była nieprzejednana. Złamali się. Wyjechali nieszczęśliwi, z poczuciem winy.

Mireille spytała:

- Sprzedasz wino? Wiesz, że ci nie wolno!

- Nie sprzedaję wina, rozdaję!

- A któż mi powie...

- Ja ci to mówię! I powiem ci coś jeszcze, Mireille. Idź stąd. I to szybko. Masz, czego chciałaś. Idź stąd!

Żandarmi już wsiadali do samochodu. Holendrzy ruszali w drogę. A one stały naprzeciwko siebie wrogie i nieprzejednane. Estelle doznała wtedy dziwnego uczucia, jak gdyby z nich dwóch to właśnie Mireille była w niebezpieczeństwie, nie ona.

Wyszeptała:

- Uważaj...

A Mireille roześmiała się i wzruszywszy ramionami, odjechała.

Amélie zabrała dzieci.

- Dziękuję ci, Amélie, chcę być sama. Potrzebuję ciszy.

Sztuka po sztuce: zegar, gerydon i wazy zaniósł do salonu. Nie rozpakowała ich. Jutro. A potem usiadła na wyściełanym krześle, którego o mało nie kupili Holendrzy. „Mało brakowało”, uśmiechnęła się z sarkazmem, a spojrzenie jej padło na zarozumiały wazon. „Przynoszę szczęście”. Tere-fero! Miała ochotę obrócić go do ściany jak ucznia, którego się stawia do kąta. Nie uczyniła tego jednak. Wyglądał na tak zbitego z tropu, że zlitowała się nad nim i postanowiła nadal mu ufać.

Zamiast użalać się nad sobą, pracuje.

Tablice informacyjne zostawiła przy drodze. Nikt nie zajrzał od wizyty Mireille. Jeśli zjawi się jakiś klient, wyjaśni mu, jaka jest sytuacja. Na razie nie może sprzedawać, lecz może oprowadzić po ekspozycji. Jest z niej nawet dumna. Błaż jej pomógł i teraz duże meble umieszczono w budynkach gospodarczych. Mniejsze i wartościowe przedmioty znalazły swe miejsce w salonie. Salon jest nieco przeładowany. Wygląda trochę jak gabinet zbieracza, lecz

ma dużo uroku. A poza tym zabawna jest ciasnota pomiędzy sekretarzykiem z okresu Regencji, karłem z epoki Napoleona III i kompotierką Veuve Perrin.

- Srebra powinnaś schować pod klucz - poradziła jej Amélie.

Zapewne. Ale ona lubi tylko to, co na swobodzie. Zobaczmy! Pozwólmy cieszyć się wolnością angielskim czajniczkom do herbaty!

- Ktoś jedzie - stwierdza Amélie, widząc 4x4 zatrzymujące się przy tarasie. - Przyniosę coś do picia. Nie mamy prawa do sprzedaży, ale to jeszcze nie powód, żeby zapominać o dobrych manierach!

Estelle wychodzi gościom na spotkanie. Gość jest tylko jeden. Mężczyzna, który zdaje się zafascynowany fontanną. Mężczyzna, którego natychmiast poznaje, gdy tylko się odwrócił.

Jego to spotkała i straciła z oczu w sezamie Fernanda.

Zaniemówiła na jego widok, stoi bez ruchu na progu, a on zbliża się z uśmiechem na ustach i wyciąga dłoń na powitanie.

- Byłem pewny, że znowu się spotkamy! Nie wiedziałem, w jakich okolicznościach, ale zawsze zdaję się na przypadek... Jechałem sobie tak przez pola, aż tu na skraju winnicy widzę tablicę, która przywiodła mnie do pani! Jakaż niespodzianka!

- Jakaż niespodzianka! - powtarza, nie zdając sobie nawet sprawy, że zatrzymał jej dłoń w swojej dłużej, niż to było konieczne.

W milczeniu przyglądają się sobie. Następnie on, nie spuszczać z niej wzroku, mówi:

- Oliwki... Antyki... Dzieła sztuki... Degustacja wina... Spodobało mi się.

- Muszę od razu pana uprzedzić: niezmiernie mi przykro, lecz nie mogę sprzedawać.

- Jak to?

- Utrudnienia administracyjne! Czekam na jeszcze jeden dokument. Spodziewam się go z dnia na dzień, nie ma najmniejszych podstaw do niepokoju, lecz póki go nie otrzymam, nie mam prawa sprzedaży! Mer przybyła osobiście, by mi to podać do wiadomości.

Zdumienie maluje się na jego twarzy.

- Przybyła osobiście?

Estelle się śmieje.

- Tak, merem Châteauneuf jest kobieta. Przybyła tutaj w asyście żandarmów... Ale nie mówmy więcej o tym, pozwoli pan za mną, pójdziemy zobaczyć kogoś znajomego!

Idzie za nią z leciutkim ociąganiem, jak ktoś, kto się obawia, czy nie wpadnie w pułapkę. Lecz pośrodku zagraconego salonu wita ich stara znajoma, którą wskazuje mu

Estelle; to nie kto inny, tylko figurka tancerki.

- Cyganka!

Doznał ulgi. Śmieje się i powtarza:

- Cyganka! Dokładniej ją dzisiaj widzę!

Estelle patrzy na niego pytającym wzrokiem, a on wyjaśnia:

- U handlarza starociami widziałem tylko panią.

Czarne. Czarne są jego oczy. I błyszczące.

Ona obawia się, że się zaczerwieni. On natomiast zastanawia się, czy nie chwyci jej w ramiona i nie wyzna:

- „Estelle, to ja”.

Nie trzeba dodawać imienia. Ona sama je wypowie...

Wchodzi jednak jakaś siwowłosa kobieta z tacą. Krucha chwila, kiedy wyznanie było możliwe, przysła.

Estelle stoi tuż obok, lecz jej głos dociera do niego z bardzo daleka. Wyjaśnia mu, że pani Boucoiran jest przyjaciółką, która pomaga jej w prowadzeniu antykwariatu, a potem dodaje ze śmiechem:

- No, to za dużo powiedziane! To dopiero będzie antykwariat, kiedy nadejdzie pozwolenie sprzedaży!

Kobieta o siwych włosach wyszła równie dyskretnie, jak się pojawiła.

- Trochę tu bałaganu - tłumaczy się Estelle. - Dopiero się urządzam i wszystko jest przemieszane, moje własne sprzęty z tymi do sprzedaży.

On stoi w milczeniu przed długim stołem, przy którym odrabiali kiedyś lekcje, siedząc obok siebie w świetle lampy.

Ona przychwycy jego spojrzenie i interpretuje je w pełni swojej niewiedzy.

- Na przykład z tym stołem nie rozstanę się za nic na świecie! Zbyt wiele wspomnień...

„No więc dlaczego mnie nie poznajesz?” - myśli.

- Natomiast sekretarzyk jest na sprzedaż. To znaczy, kiedy będę miała pozwolenie! Ale byłabym bardzo zdziwiona, gdyby mi się udało znaleźć na niego nabywcę.

- Dlaczego?

- Bo jest bezcenny!

On uśmiecha się, spoglądając na etykietkę, którą nakleiła na okuciu.

- O mój Boże - nieoczekiwanie wykrzykuje Estelle - bym zapomniała!

Podchodzi do tacy, którą Amélie zostawiła na gerydonie, napełnia kieliszek i podaje

mu:

- Nasze wino!

Ani drgnie, z przerażenia zastygł. Zbity z tropu, dzierży w dłoni kieliszek, niezmiernie piękny kieliszek z Châteauneuf - doskonale widać na nim złoto tiary na tle purpurowego wina

- ona pyta:

- Wolałby pan białe?

Czy wolałby białe? Nie, Estelle, to czerwone jak krew bardzo mi odpowiada.

Pije wino powoli, odnajduje smak, który - jak sądził zapomniał. Zawsze nalewano im odrobinę, by się do niego przyzwyczajali i uczyli kochać.

- Wspaniałe! - stwierdza, czując w ustach smak śmierci.

Niepodobna wytrzymać. Musi wyjść. Natychmiast.

- Proszę zaczekać! - zatrzymuje jeszcze Estelle, widząc, że zbiera się do odejścia. - Powinien pan pokłonić się moim przodkom! Są bardzo rygorystyczni, jeśli chodzi o konwenanse, i nie wybaczyliby mi, że pozwoliłam panu odjechać, nie przedstawivszy im pana! Chodźmy, proszę! Sprawii im to przyjemność!

Ciągnie go do galerii, gdzie rodzina Laborie de Sauveterre spogląda na niego niczym nieporuszony trybunał, bezlitośni sędziowie. Poznaje ich. Wszystkich. I rozpoznaje każdy szczegół, każdą tarczę herbową.

No i dewizę.

*Semper Vigilans.*

- Nieprzetłumaczalne! - zapewnia Estelle, potrząsając swoimi włosami wróżki. - Proszę popatrzeć na siedmioramienną gwiazdę w rogu tego portretu, to z jej powodu mam na imię Estelle. To długa historia, następnym razem, jeśli znajdzie pan czas, opowiem ją panu...

- Z największą przyjemnością! - zapewnia, podczas gdy Estelle odprowadza go do samochodu.

Opuszczając galerię, zgasła światło, a przodkowie, których ciemności przywracają do życia, drżą w mroku.

Gdy 4x4 znika w oddali, Estelle ma ochotę odwrócić się plecami do domu i ruszyć przed siebie w dzikie pola, by pooddychać pełną piersią. Iść. Nie przez winnicę, która ją zasmuca, ani przez las, który ją przytłacza.

Rusza więc prosto przed siebie ścieżką, którą pędzi się bydło na pastwiska, czując potrzebę powietrza, przestrzeni, nieograniczonego horyzontu. Idzie przez suche mchy, chwasty, zarośla, kamienie i wystające tu i ówdzie z ziemi skałki. Odwraca głowę, by sprawdzić, czy widać jeszcze Ventoux. Tak, obserwuje jej przechadzkę, jak czuwał nad krokami podróży od zawsze, od tego „zawsze”, o którym w dzieciństwie mówił jej Paul Laborie i które umiejscawiał blisko tysiąc lat przed naszą erą. Gdy Estelle dotarła do tych kilku metrów wyłożonych wielkimi kamiennymi płytami, które nasuwają myśl, że znajduje się na szlaku Via Agrippa, zatrzymuje się i wdycha głęboko powietrze. Jakiś włochaty owad, bucząc, musnął ją w locie. Jakiś obłok z gracją przesunął się po błękitnym niebie. W oddali, w zakłęśłości terenu, Estelle dostrzega Blaïda pracującego w winnicy. Tej zimy minie trzydzieści lat, jak przybył „Pod Oliwki”. Przyjechał po wojnie w Algierii, zachęcony przez znajomego adiutanta, który urodził się w Châteauneuf-du-Pape. Nie śmiał zająć do posiadłości ze względu na maleńkie dziecko, które przytulał do serca. A właśnie ze względu na nie zatrzymano go. „Wychował się z moim”, mawia Amélie, zapominając, że faktycznie to ona wychowała ich obu.

Salah, syn harki\*, Salah, którego matka wykazała taką przebiegłość i miłość, że ukryła dziecko w piecu, nim przybyli ci, którzy poderżnęli jej gardło. Salah, ostatni potomek długiej linii żołnierzy zabitych i okaleczonych dla Francji. Odznaczonych i zapomnianych. Oczarowanych i zdradzonych. Salah, księgowy Quai-d'Orsay. Salah z Châteauneuf-du-Pape, Salah, który podróżuje teraz z paszportem dyplomatycznym w kieszeni, Salah, który uczył się życia z wielkiej, otwartej księgi „Oliwek”.

Pochłonięty pracą Blaïd nie zauważył Estelle.

Gdzież on się podzieje, jeśli Cykad-Land zniszczy ich królestwo? Za stary już na to,

---

\* Żołnierz służb pomocniczych w wojskach francuskich w Afryce Północnej (wywodzący się z miejscowej ludności).

by znaleźć sobie inne miejsce, zbyt wrażliwy, by znieść nowe wygnanie. Estelle dała mu schronienie w przyległych budynkach, gdzie stworzył sobie swój własny świat. Koberce, miedziane tace, skórzane poduszki, czajnik, który śpiewa do wtóru cichej, arabskiej muzyki...

Są w absolutnej niezgodzie z przepisami. Prawo nie znosi, by kochać się do tego stopnia, żeby dzielić ze sobą wszystko, co się ma. Przepięstwo serca, bez doliczenia podatku od uczuć! To niedozwolone!

Słodkawy powiew, jedna z tych woni miodowych, które sprawiają, że ma się ochotę być pszczołą. On to przegnał melancholijne myśli Estelle, która nadal stoi bez ruchu na szczątkach Via Agrippa, czując, jak staje się częścią tego krajobrazu na podobieństwo skałki czy krzaczka mirtu.

Zintegrowana, zaakceptowana, chciana.

To właśnie wtedy go dostrzegła.

O kilka metrów od niej, rozciągnięty na ciepłym kamieniu, przyglądał jej się Wszystkowiedzący.

Piękny, ciemny zaskroniec, jedwabisty i błyszczący, uniósł łeb o dziewięciu łuskach czołowych, wysunąwszy rozwidlony czarny język. Szybki ruch. Niewidzialny i bezgłośny jęczyczek.

Jednak ani kobieta, ani wąż nie odczuwają strachu. To spotkanie było jak umówiona randka. Estelle przypomina się odległy dzień, kiedy to podczas spaceru z ojcem pierwszy raz zobaczyła zaskrońca.

„Nie trzeba się bać węży - mówił wtedy ojciec. - Nie należy im źle życzyć. One też są częścią Stworzenia. One też mają prawo do swego miejsca na Ziemi. Nie poruszaj się, nie krzycz. Jesteś dzieckiem światła, a Wszystkowiedzący jest królem ciemności”.

Wszystkowiedzący.

Estelle była przekonana, że wąż wyczuł te jej myśli. Jednak nie zdołała pojąć, co starał się jej przekazać.

Coś o zasadniczym znaczeniu.

Kiedyś się dowie...

Wszystkowiedzący ruszył w drogę pierwszy i zniknął pośród traw, pozostawiając za sobą jedynie powietrzny ślad, który niebawem rozwiął się, zniknął.

„Dobrze - rzekł Tata - nie poruszyłaś się, nie krzyknęłaś, jestem z ciebie zadowolony, Estelle. Stajesz się niemal tak rozsądna, jak Marceau”.

Jechał w kierunku Rochegude. Bardzo szybko. Za szybko. I nieoczekiwanie, na

skrzyżowaniu zawrócił i jeszcze szybciej pomknął z powrotem do Châteauneuf.

- Marceau! Co za radość cię widzieć! - powitała go Mireille, gdy bez pukania wszedł do jej gabinetu.

Radość trwała jednak krótko.

Nie mógł pohamować gniewu.

- Dlaczego to zrobiłaś, Mireille? Cóż mają znaczyć te nowe szykany? Kazałem ci przecież zostawić Estelle w spokoju! Przerwy w dopływie wody, to już była przesada, a teraz musisz jej przeszkadzać w sprzedaży paru mebli?!

Mireille gorliwie broni swej polityki. Gdyby handel antykami zaczął Estelle przynosić dochody, starczyłoby jej może środków, by odrzucić ofertę zakupu „Oliwek”!

Wzruszył ramionami. Nie w tym rzecz. Gdyby nie udało się nakłonić jej do sprzedaży, trzeba będzie zmusić ją do tego.

- Jak?

- Ogłaszając projekt użyteczności publicznej.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. W każdym razie, póki co, ja sam się nią zajmę.

- A jeśli cię rozpozna?

- Nie poznała mnie - odrzekł z uśmiechem.

Mireille zaniemówiła.

- Widziałeś się z nią?

- Tak. Dzisiaj. I właśnie przy tej okazji dowiedziałem się, co zrobiłaś. Żandarmi! Chyba postradałaś zmysły? Chcesz, żeby mieszkańcy wzięli jej stronę?

- Chcę ci pomóc - obstawała z uporem przy swoim.

- Chcesz mi pomóc? Więc wyświadcz mi tę uprzejmość: przestań wykazywać własną inicjatywę. Estelle biorę na siebie. Zgoda?

Mireille nie odpowiada. Niczego już nie rozumie. Kiedy tu przybył, miał silne postanowienie zniszczenia „Oliwek”. Wytępienia ich w pień łącznie z nazwiskiem Laborie. A teraz chce się zająć Estelle. Co to ma znaczyć?

- Wciąż w niej się kochasz...

Roześmiał się. Nie zaprzeczył. Ujmuje jej dłoń. Ona odsuwa się. Po raz pierwszy. Lecz po raz pierwszy czuje też lęk. Nie dlatego, że Estelle może rozpoznać Marceau, to jest jej całkowicie obojętne! Nie, boi się, bo mogą dojść do porozumienia, a nienawiść zmieni się w miłość. Na samą myśl o tym czuje, jak usuwa się jej grunt pod nogami.

On powtarza pytanie, na które mu nie udzieliła odpowiedzi.



- Zgoda?

Znów bierze dłoń Mireille. Tym razem już jej nie cofa. Tak bardzo cierpi na samą myśl, że go utraci. Szepcze:

- Nie chcesz, żeby ktoś inny ją skrzywdził? Chcesz sobie zastrzec wyłączność zadawania jej cierpień?

- Wszystko zrozumiałaś! - mówi, przytulając Mireille.

O politycznych ambicjach Jean-Edmonda można sobie myśleć, co się żywnie podoba, lecz posiadłością swojej ciotecznej babki zarządza wręcz wzorowo.

Jakież to piękne, jak dobrze utrzymana ziemia!

Estelle wolno jedzie przez nienagane winnice, na których pracują ludzie, którzy lubią to, co robią. Następnie zostawia samochód syna przed fasadą feudalnej siedziby.

Uchylając błogosławione podwoje domu otwartego przed felibrami, odnajduje zapach kamienia i fiołków... Na podeście u szczytu marmurowych schodów uśmiecha się Stéphanette. Panienska ma dobry dzień.

- Zrecznie wywiodłam Niemców w pole.

Apolline przyjmuje Estelle, jak gdyby prowadziła XVIII-wieczny salon. Lubi wspominać czasy Okupacji, gdyż, jak się zwierza chrzestnej córce: „Aleśmy wówczas wyprawiały szaleństwa, twoja babka i ja!”

Tak. Jedna i druga zasłużyłaby na pluton egzekucyjny. Szaleństwa odwagi.

Apolline odstawia filiżankę chińskiej herbaty na srebrną, grawerowaną tacę, polerowaną z pietyzmem przez Stéphanette. Umieszcza ją obok talerzyka z „cudownościami” posypanymi cukrem pudrem.

Stara panna ma na sobie matinkę z surowego jedwabiu, a czepek tej samej barwy przytrzymuje białe włosy. Podobna jest do szkicu portretu z jej pierwszego balu.

- Niemcy! Gdybyś ich widziała! Biwakowali w salonie, w tych swoich długich butach z cholewami! Nigdy nie domyślili się, że w piwnicy ukrywałam izraelitki.

Używa słowa „izraelitki” za Biblią i za Racine'em.

Tymi „izraelitkami” były matka i siostra Samuela.

- Oberleutnant Cazalis... potomek naszych hugenotów... A tak nawiasem mówiąc, cóż to za bęcwał ten Ludwik XIV z tym swoim Odwołaniem\*... Nie podzielasz mojego zdania,

---

\* Odwołanie przez Ludwika XIV w 1685 r. Edyktu Nantejskiego z r. 1598.

moja droga?

Estelle pije łyk herbaty, kiwając głową, że istotnie trudno wprost sobie wyobrazić większego bęcwała niż Ludwik XIV z tym swoim Odwołaniem.

Apolline straciła wątek i wydaje się zakłopotana. Estelle podpowiada jej:

- Oberleutnant...

- A, tak! Wspaniale wychowany! Biedny chłopiec, zginął na froncie wschodnim... Śmierć lubi młodych mężczyzn, szczególnie przystojnych, musiałaś to zauważyć.

Zamyśla się na chwilę, lecz tym razem nie traci wątku opowieści.

- Był bardzo muzykalny i grywał Schumanna na pianinie, a ukryte w piwnicy Sarah i Esther, również wytrawne melomanki, słuchały... *Miłością poety* mały hugenot dopomógł im przeżyć! Mój kurnik również, gdyż baczyłam, żeby nigdy nie podano im wieprzowiny!

Wybucha śmiechem, a potem zaczyna podśpiewywać sobie cienkim głosem:

*Od mych lez rozkwitają*

*Kwiaty jak przy słodkim odrodzeniu...*

I zaraz pyta:

- Ależ ty musiałaś go znać, tego oberleutnanta! Często zaglądał „Pod Oliwki”. Porozmawiaj z babcią, opowie ci, jak zwrócił jej konia, którego Niemcy zarekwirowali. Osobiście go odprowadził. Piękny jeździec... Pięknie wyglądał... To było zabawne, gdyż akurat wtedy twój ojciec był w lesie, tam w górach. Z Samuelem i ze smarkatym Julesem, który nie ukończył jeszcze seminarium... Z Dupastre'em. Śmierć miała tam ucztę. W tym piekle żyli w zgodzie, jak duszyczki w raju. A dziewczęta pokonywały kilometry na rowerach. Żeby dowieźć chleb, broń, wiadomości... Przynosiły Nadzieję. Pewnej nocy Samuela i twojego ojca aresztowali... wagony bydłce, obóz... Myślałam, że biedna Roseline umrze ze strapienia. Jakaż była dzielna twoja babka! Wytrzymała. „Kobieta i koń, to wystarczy, by uratować majątek!” mawiała. I każdy przychodził jej z pomocą, jak zawsze czyniono, odkąd pierwsze ziarno zboża wyrosło na tej ziemi.

Nagle wygląda na zmęczoną, wciska się w swój fotel i drży z zimna.

- Jak pokój powrócił, to wszystko się popsuło!

Ujmuje Estelle za rękę i wpija się w nią.

- Anglore\* o lodowatych stopach i przejrzystym spojrzeniu wynurzyła się z Rodanu, wpuściła swój jad pomiędzy ludzi i rzuciła klątwę na Pałac pod Oliwkami.

Estelle i Stéphanette wymieniają spojrzenia, Apolline powraca obłąd. Lecz dzisiaj

---

\* Bohaterka *Poematu o Rodanie*.

Estelle chce wiedzieć. Chce pomóc jej wydostać się z mroków prześladowczych myśli.

- Kto to jest Anglore, Apolline?

- Była piękna jak grzech!... Wszystko zrozumiałam, gdy ją zobaczyłam w wigilię Bożego Narodzenia, na brzegu Rodanu z...

Milknie i z przerażeniem spogląda na Estelle.

- Kto był z Anglore nad Rodanem, Apolline?

- Nad Rodanem? Dlaczego mówisz o Rodanie, moje dziecko? Nie chodź tam! Tam mój pasterz utonął! On nie żyje, wiesz? Jego koń podążył za nim do Rodanu, a mnie mój ojciec zamknął w tej wieży! Cała Kamarga nosiła żałobę po poecie! Czarna wstążka Arlezjanek i żałobny dzwon na Major\*. A ja zamknięta w pokoju, mniej wolna od konia!

Przyciąga Estelle do siebie i szepcze jej do ucha:

- I weź tu zgadnij, dlaczego śmierć mnie nie chce!

A potem odwraca się i wbija wzrok w okno, za którym płynie lekki obłok.

„Kobieta i koń, to wystarczy, by uratować majątek!” mawiała babka Estelle. Nie знаła jej dobrze. Roseline zmarła na krótko przed tragedią, jak gdyby Bóg chciał jej oszczędzić widoku powolnego upadku majątku, który uratowała w czasach, gdy wyczyniały „szaleństwa” z Apolline.

Dawno już temu konie zniknęły z gospodarstw. Ostatni kowal w Châteauneuf częściej nabija gwoździe w ludowe drobiazgi, niż podkuwa perszerony. „Pod Oliwkami” Pompon zmarł ze starości akurat wtedy, gdy przybył Blaïd. Nie zastąpiono Pompona. Ani koniem, ani traktorem. Antonin pożyczka im swój ciągnik. Antonin to dzielny chłop. Ale cały ten bałagan, ta prowizorka od trzydziestu lat, nie mogą dłużej trwać.

„Estelle, to ty musisz znaleźć rozwiązanie! Roseline by potrafiła! Odwagi! Powiedz sobie, że nadal trwa wojna i że należy iść do przodu!”

Wraca wolno wąską drogą w parowie, na której niegdyś jako dziewczyna w bieli spotkała Rémy'ego. Nie dezawuuje żadnej chwili ze swej przeszłości. Ani radości, że wychodzi za mąż, że opuszcza dom łez, że kocha, i że jest kochana, że wydaje na świat dzieci... ani Jérôme'a...

Jednak to, co przeżyła aż do tego lata, należy już do przeszłości. Dzisiaj się budzi. Z ponad dwudziestoletniego snu. Nie ma ani chwili do stracenia. I nawet gdyby wszystkie dachówki sfrunęły z dachu za jednym podmuchem, nawet gdyby przestała bić woda ze źródła,

---

\* Notre-Dame-de-la-Major kościół romański w Arles.

nawet gdyby wpuszczono sforę wilków do jej lasu, nie wyjedzie stąd.

Nigdy stąd nie wyjedzie.

U wjazdu do majątku bliźnięta czekają z Nourem jak w dniu przybycia z meblami. Zwalnia i zaprasza dzieci na tylne siedzenie. Pies skacze wokół samochodu, przez co jazda przeciąga się w nieskończoność; poszczekuje z radości. Jego pan zapewne wcale już go nie widzi od przyjazdu malców. Ciągłe im towarzyszy. Dzieci są tak podekscytowane, że początkowo Estelle nic z tego, co jej opowiadają, nie rozumie. Dociera do niej tylko, że chodzi o dobrą nowinę.

- Pozwolenie? - pyta.

- Nie, ale Babcia powiedziała, że to na jedno wychodzi! Dokument z merostwa, który Fernand Jeaulme specjalnie przywiózł na rowerze!

- Z podpisem Mireille!

- O, czyżby?... - dziwi się Estelle.

- Tak! Na własne oczy widziałem! I jest na nim napisane, że można sprzedawać wszystkie twoje starocie! - zapewnia Marius z powagą dorosłego.

- Naprawdę? Nie mylicie się?

Nie. Nie mylą się. Nawet Samuel zadzwonił do Babci i opowiedział jej, co się wydarzyło w merostwie.

- A co się wydarzyło?

- Nic.

I to właśnie było najpiękniejsze. Przybyli gromadą z zamiarem powiedzenia Mireille, co myślą o jej zachowaniu. Przede wszystkim dlatego, że oburza ich postępowanie Mireille. A poza tym, żony ostrzegły ich: „Jak nie masz odwagi zawstydić pani mer, to ja sama to zrobię! I to jeszcze jak! Możesz mi wierzyć!” Ledwo nowina dotarła do kuchni, a już wieść o najeździe żandarmów na „Oliwki” rozeszła się od komina do komina, od pralni do pralni, od podwóreczka do murka: „Słuchaj no, Marceline, wiesz już o Estelle? - Nawet mi o tym nie wspominaj, bo wszystko się we mnie wywraca! - A jak sobie pomyślę o tej biednej Amélie, jaka sromota! - A za kogo to się ona ma, ta Mireille? To niemożliwe, trójkolorowa szarfa rzuciła jej się na mózg, czy co?”

Tak więc stawili się wszyscy, gotowi się bić. Nikt jednak nie musiał nawet otwierać ust, Mireille ubiegła ich, mówiąc:

- Podjęłam decyzję o wystawieniu Estelle Laborie tymczasowego zezwolenia, uprawniającego ją do otwarcia sklepu z meblami.

I ze wzruszającą szczerością dodała:

- Było mi niezmiernie przykro, że musiałam tamtego dnia zakazać jej sprzedaży przyjezdnym klientom... Dlatego też wpadłam na ten pomysł z dokumentem, który pozwoli jej czekać na formalne zezwolenie i równocześnie nie naruszać prawa.

Samuel i Antonin popatrzyli po sobie, nie dali się nabrać. Pozostali odetchnęli z ulgą. Estelle zastanawia się.

- Co za różnica? - pyta Amélie. - Liczy się nie to, co się roi w głowie Mireille, ale fakt, że można sprzedawać! Pomyśl, a gdybyś tak zadzwoniła do tego pana, co tu niedawno zaglądał, może by znowu przyjechał? Wiesz, ten taki porządny pan, dla którego wyciągnęłam czerwone, rocznik 83?

Niestety, Estelle nie zna nazwiska tego pana. Szkoda, miło by jej było powiadomić go... ale na pewno jeszcze zajrzy. Przecież obiecał. To nawet dziwne, że dotąd nie dał znaku życia? Czyżby o niej zapomniał?

Nie zapomniał o niej.

Nawet wyłącznie myśli o niej.

Wrócił do Paryża i do swojego imperium. Carmeau-Développement.

Jego imperium.

Imperium, które zbudował sam i w którym Cykad-Land stanowi tylko jeden z wielu projektów.

Kontakt z namacalnymi dowodami swej potęgi dobrze mu zrobił. Zna jej cenę. Wie, jakimi trudnymi drogami dotarł tu, gdzie dzisiaj się znajduje. Wie również, że im silniejsze są imperia, tym bardziej są kruche.

Nieważne, lubi walczyć.

Potrafi urzekać rady nadzorcze, bankierów. Zaczarować cyfry!... Jednak spotkanie z Estelle go wzruszyło. Mało brakowało, a stałby się bezbronny. Nie chce tego. Nie może sobie na to pozwolić.

Musi zapomnieć smak wina, którym go poczęstowała „Pod Oliwkami”. Istnieje tylko jeden środek. Walczyć.

Jean-Edmond ślepo służy jego interesom w Radzie Głównej departamentu Vaucluse. Niedawno mianowany został przewodniczącym Komisji Robót Publicznych i Dróg. Bardzo dobrze. Jego żona objęła stanowisko w Carmeau-Développement. Myśl, że zostanie jej powierzone zarządzanie filią w Rosji, wzięła górę nad jej skrupułami wobec służb

państwowych. Kopciuszek porzucił swój pantofelek\* u wyjścia z Politechniki.

„Czy nie uważa pan, że jest za młoda?” - wyraził swe wątpliwości Rocher.

Ta uwaga bardzo pasuje do Rocher, najwierniejszego i najbardziej podejrzliwego ze współpracujących z nim bankierów. Doprowadził więc do spotkania z Philippine i Rocher zaniemówił z podziwu. Pani porucznik ma w sobie coś niepokojącego, jak wszystkie wybitnie uzdolnione osoby. Fakt, że posługuje się doskonale językiem rosyjskim, wywarł duże wrażenie na Rocher. Lecz to tylko drobiazg, to jeszcze nie wszystko, Gospodin bankier! Języka można się nauczyć! Nawet rosyjskiego. To, co u Philippine przeraża, to jej ambicja. Jej chłód. W gruncie rzeczy, z całej rodziny jest najsilniejsza. Ją trzeba było przekonać za wszelką cenę. Pozyskać. Udało się. Z pozostałymi gładko mu teraz pójdzie. Jej ojciec - osoba, którą należy oszczędzać: posiada część ziem. Ale ojciec jest tak szczęśliwy z sukcesów córki, że Marceau połknie go, nim ten się obejrzy. Wizerunek polityka... Ciąg dalszy nastąpi! Co do brata rysownika, już ma swój plan. Antoine jest utalentowany. Potrzebuje pieniędzy. Dobrze. Damy mu pieniądze, byle siedział cicho. Jest też smarkacz, ale on się nie liczy. Jeszcze trzyma się mamusinej spódnicy... A! Uważać na młodziutką panią mecenas ciałem i duszą oddaną Estelle, to jej wychowanka.

Oczywiście, doskonale wie, że posuwa się po zaminowanym terenie, wie, że pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw; że pewnego dnia Estelle dowie się, kim on jest. Lecz tego właśnie dnia będzie już za późno.

A dzień ten może nadejść wcześniej, niż przypuszcza. Wczoraj jadł kolację z Dabertem, ministrem zaopatrzenia, z którym studiował w Wyższej Szkole Budowy Dróg i Mostów. Przekazał mu dokumentację Cykad-Landu.

- Tysiąc nowych miejsc pracy? - upewniał się Dabert. - Interesujesz mnie.

- Ty mnie też - odparł ze śmiechem. - Możesz mi pomóc. Na miejscu jest trochę szarpaniny... jeden właściciel odmawia sprzedaży...

- Trzeba negocjować. Tysiąc miejsc pracy w dzisiejszych czasach, to skarb. Jeśli przy tym nie rozwalasz szpitala, domu starców, żłobka albo, co gorsza, wiejskiej rezydencji jednego z moich kolegów z porannych środowych spotkań...

Zapewnił go, że nie, a minister stwierdził kategorycznie:

- W takim razie, można mieć nadzieję na uzyskanie dekretu o użyteczności publicznej.

- Szybko?

- To nie jest niemożliwe...

---

\* Por. przypis na str. 44.

Ze swej strony pani profesor Boyer wykazała się gorliwością. W trybie pilnym wysłała nawet pod „Oliwki” najbardziej nieprzejednanego eksperta Fakultetu Medycyny. Dziwnego i strasznego faceta, który uważa, że wszyscy mają bzik. Czegóż więcej chcieć?... Zresztą Marie Boyer wyrobiła już sobie opinię, gdy Estelle wymknęła jej się z rąk. „Ta kobieta nigdy już nie odzyska równowagi, jasności umysłu, drogi przyjacielu”.

Marceau jest pewny czegoś zgoła przeciwnego, droga przyjaciółko, lecz pozwala działać pani profesor. Przy tej ilości pułapek zastawionych wokół „Oliwek”, w końcu w jakąś wpadnie!

Sprzedawała parę stojaków do kominka, wianek panny młodej pod szklanym kloszem i soliflor. 2878 franków 35 łącznie z podatkiem. Nie ma powodu do świętowania. Amélie pociesza grobowym głosem:

- Przyjadą...

Lecz dni mijają, a tłum jakoś nie wali drzwiami i oknami do jej staroci. Na podtrzymanie morale najlepsza jest praca. Nie można jednak woskować tego, co już błyszczy, polerować tego, co się aż skrzy, jak dzień długi przecierać kryształę ściereczką, która nie zostawia pyłków... Wszystko takie czyste, takie piękne. Nawet abecedariusze haftowane krzyżkami, które rozkłada na wielkim stole w salonie w nadziei, że trzeba będzie coś podszyć, złapać pękniętą nitkę... Ale nie ma nic do zrobienia! Więc przygląda im się dla przyjemności. Wyjęła jedenaście sztuk. Naiwne. Niezręczne. Finezyjne? Zgrzebne i wykwintne dziewczynki z dawnych czasów, z warkoczami na plecach, pilne, wyszywały je wysuwając język, żeby robótka była ładna, a mama albo *mademoiselle* zadowolona! Adeline Bouchard, Marie-Caroline de la Veyne, gdzie jesteście? Gdzie jest Minette Lafond? A ta dziewczyna, co wyszyła A B C D F K H? Estelle uśmiecha się do siebie, pochylona nad abecedariuszami. Nagle, nieoczekiwanie, wyczuwa czyjąś obecność w pokoju. Przed nią stoi jakiś nieznajomy. Nie słyszała, jak wszedł. Ma około czterdziestu lat, bladą i poważną twarz, nosi trzyczęściowy garnitur, rzecz niezwykła na wsi. Niezwykły i zmoknięty, bo zaczęło padać, czego nawet nie zauważyła.

Oby tylko deszcz nie zniszczył winogron!

- Dzień dobry panu - wita gościa Estelle. - Jak to miło, że dotarł pan do nas przy takiej brzydkiej pogodzie! Widzi pan, pochłonięta jestem abecedariuszami! To obłędne!

- Obłędne!

Ma głos Frankensteina. Jest bardzo dziwny i zdaje się zafascynowany widokiem abecedariuszy, nad którymi pochyla się z łakomym wyrazem twarzy.

- Tyle krzyży! Można by rzec: cmentarz! Och! uwielbiam abecedariusze!

- Świetnie się składa! Mam ich jeszcze pełną szufladę. Proszę popatrzeć... Jakie cuda!

Gość nie zauważa nawet wejścia Amélie, niosącej tradycyjną tacę, wpadł w ekstazę przed abecedariuszem:

**ROSELINE  
MAMIE I TACIE  
KOHANYM**

- O, nie! - wykrzykuje Estelle. - Tego nie sprzedam, wykonała go moja babcia! Ale niechże pan spocznie, bardzo proszę, spróbuje pan naszego wina? Straciłam prawo sprzedaży, lecz zawsze mogę nim częstować! Pańskie zdrowie!

Gość wznosi kieliszek, przyglądając jej się uporczywie. Naprawdę jest dziwny; gdy tak na nią patrzy, Estelle czuje się nieswojo. Usiłuje nawiązać przerwana rozmowę.

- A... co pana interesuje?... Oprócz abecedariuszy.

- Nic - odpowiada z przekonaniem i nieoczekiwanie oboje wybuchają śmiechem.

Mężczyzna wyjmuje z kieszeni niewielki notes i pyta, czy może zanotować kilka uwag.

- Bardzo proszę - przyzwala zaskoczona Estelle.

Z zaabsorbowaną miną zapisuje kilka rzeczy. Nagle silny poryw wiatru sprawia, że unosi głowę.

- Mistral - wyjaśnia Estelle. - Czasami przynosi aż do nas dźwięk dzwonów z Châteauneuf, a to bardzo piękne...

- Mistral - powtarza za nią - mało go znam...

- To silny wiatr z północnego zachodu. Nazywają go też błotojad, bo spija śnieg, osusza rosę... Może dmuchać bez przerwy przez dziewięć dni...

- Dziewięć dni? To cudowne! Doprawdy, dobrze pani tu się żyje - stwierdza zamykając notesik.

- Bardzo dobrze... ale może już niedługo, niestety! Chcieliby zatopić majątek, utworzyć tu jezioro! W tym salonie, proszę pana, znajdujemy się na dnie jeziora!

- Nie!

- Tak, tak! Myśl o tym doprowadza mnie do szaleństwa!

Znów się roześmiał, a wtedy ona zaczyna się bać. Ponownie częstuje go winem, zastanawiając się, czy to dobry pomysł. On przystaje na propozycję z entuzjazmem, patrzy,



jak wino leje się do jego kieliszka i pyta:

- Wino z Châteauneuf-du-Pape jest mocne?

- Tak. Ale to ma tylko 13,5!

13,5! Pije z namaszczeniem, delektując się... docenia je.

- Ma pani wielu chętnych na pani antyki?

- Bardzo niewielu. Trzeba jednak powiedzieć, że dopiero pierwszy rok prowadzę antykwiariat „Pod Oliwkami”... Są ludzie, którzy się dziwią mojemu przedsięwzięciu... Czyniono próby, by mi uniemożliwić sprzedaż. W gruncie rzeczy wszystko się zaczęło od wypadku samochodowego, któremu uległam. Od tej pory, proszę sobie wyobrazić, że obserwują moje zachowanie, jak gdybym straciła zmysły... Oglądało mnie już dwóch ekspertów i zapowiedzieli wizytę trzeciego... Zastanawiam się, jak on będzie wyglądał?

- Jak ja, proszę pani.

Zbladła tak silnie, że podał jej kieliszek châteauneuf.

- Dziękuję - powiedziała cichym głosem, a potem nie spuszczać z niego wzroku, wypła wino.

Przedstawił się: doktor Bricaire-Laval.

Znowu wyjął swój notes, zaczynało się przesłuchanie.

- No tak, to bardzo ważne... powróćmy do tematu. Mówiła pani, że mistral jest silnym wiatrem z północnego zachodu, zwanym też... błotojadem? czy to wszystko?

Zaskoczona Estelle nie odpowiada.

- Czy się mylę, proszę pani?

Więc zaczyna recytować mechanicznie.

- Nie, panie doktorze. Mówią na niego też wiatr *terrau, la biso*, król wiatrów, *mistralas... lou mistrau*, co znaczy: mistrz, pan...

- Sza! - przerywa jej.

Słucha z odchyłoną głową, spoglądając na sufit, w stronę dachu, ku wierzchołkom drzew, którymi miota mistrz.

- Proszę posłuchać! - mówi. - To wspaniale! Mistral! Jaka szkoda, że muszę wracać!

Zamyka notes, wstaje.

- Wezmę „A B C D F K H”, uważam ten przedmiot za patologiczny, interesujący i przejmujący... Nie! Nie! Zapłacę, proszę pani! Jestem tutaj służbowo, nie mogę przyjmować prezentów! Już nadużyłem pani gościnności... Nie żałuję tego zresztą! Niczego nie żałuję! Owocna wizyta, odświeżający, oczyszczający kontakt z przyrodą z dala od zgiełku miast... 475 franków, jeśli się nie mylę - dodaje, oglądając etykietkę, jaką nakleiła na rąbku „A B C D

F K H”.

Położył należność na stole i schował abecedariusz do kieszeni marynarki, nie warto pakować, w samolocie będzie studiował literki haftowane krzyżykami.

- Pani profesor Boyer otrzyma mój raport jak najszybciej, może pani na mnie liczyć, sporządzę go co rychlej!

Estelle odprowadza go do wynajętego samochodu, który zostawił na granicy posiadłości. Wiatr się zupełnie rozszalał.

- Błotojad przegnał deszcz - stwierdza doktor.

Przed odjazdem podaje jej rękę nad opuszczoną szybą:

- Pomyślny to znak!

Mistral ucichł, deszcz nie padał i słoneczna pogoda szykowała się na winobranie.

Zapanowała radość. Robotnicy dniówkowi wszelkich kolorów skóry, studenci wszelkich narodowości spotykali się, jak co roku, o tej samej porze, u właścicieli winnic, by uczestniczyć w tym samym święcie, dzielić ten sam trud i śpiewać te same piosenki.

Zbiory będą piękne. Każde winne grono uchowało się nienaruszone, nieskazitelne, doskonałe; kulisty świat, zamykający pełen nadziei miąsz.

„Pod Oliwkami” nastała cisza. Bliźniaki wyjechały do Cassis. Rządcy klienci zatrzymują się w drodze powrotnej z wakacji i niekiedy kupią jakiś drobiazg. Za mało, by rozkręcić interes. Przyszło pozwolenie. Ale i złe wieści też. Zapowiedź tysiąca miejsc pracy, jakie zostaną stworzone w Cykad-Landzie, skłaniała do refleksji mieszkańców regionu.

Najbardziej jednak zastanawiająca, jak powiedziała Sophie, była historia z ekspertem. Znała opinię, jaką się cieszy doktor Bricaire-Laval, a relacja Estelle o jego wizycie i rozmowie bardzo ją zaniepokoiła. Jego metoda polegała właśnie na tego rodzaju niezapowiedzianych wizytach i skłanianiu ludzi do wypowiedzi, bez wyjawiania im celu swych odwiedzin. Teraz, po fakcie, jest już za późno, gdyż zdążył sobie wyrobić opinię.

- Czegoś tu nie rozumiem, Sophie, żyjemy u schyłku dwudziestego wieku, nie występowałam o wykonanie żadnych ekspertyz, a czasami odnoszę wrażenie, że wbrew mojej woli mogę zostać wtrącona do ciemnego lochu jak w średniowieczu. Cóż to ma znaczyć? Czy ty też uważasz, że coś ze mną nie w porządku?

Ani Sophie, ani Luc nie mają cienia wątpliwości, Estelle jest całkowicie zdrowa na umyśle. Jeśli chodzi o pozostałych, sprawa jest bardzo prosta, chcą, żeby sprzedała „Oliwki”. Sposób wywierania presji jest trochę niezręczny, lecz są głęboko przekonani, że działają dla jej własnego dobra.

Estelle musiała przerwać rozmowę, by zająć się klientami. Chciałaby porozmawiać jeszcze, pomówić o Jérôme'ie, dowiedzieć się, dlaczego Philippine do niej nie dzwoni. Wyczuwała też, że coś się nie układa Sophie... Czy chodzi o Antoine'a?

Z uśmiechem na ustach wychodzi powitać parę, która właśnie przyjechała, mieszkańcy Tourcoing, oprowadza ich po swoim gabinecie kolekcjonera, częstuje winem i

nie może ochłonąć ze zdumienia, gdy po godzinie wyjeżdżają z komodą.

Świetnie się składa, gdyż Ali i Mohammed, którzy co roku pomagają Blaïdowi podczas winobrania, przyjechali akurat rano. Pieniądze ze sprzedaży komody na jakiś czas wystarczą.

Winobranie. Czy będzie jeszcze potrafiła pracować przy zbiorze winogron? Ona, która od tylu lat zmykała z posiadłości, gdy tylko ogłoszono datę rozpoczęcia winobrania.

O świcie ruszyli do winnicy.

Razem ze wszystkimi ukłękła na krągłych polodowcowych otoczkach. Powrócił świeży, kwaśnawy zapach zielonych wąsów winorośli. Wyciągnęła dłoń do winnego krzewu. Uginający się pod ciężarem kiści, bogaty w listowie weteran, obwieszony bardziej niż radziecki marszałek orderami. Ścięła pierwsze grono i wszystkie wyuczone niegdyś ruchy powróciły automatycznie.

Na stole nie ma wina. Nie wyobraża sobie, że otwiera butelkę pośród mężczyzn, którzy piją tylko wodę. Ali i Mohammed pracują na plantacji melonów w Cavailon, ale w jesieni od wielu lat przybywają na kilka dni do posiadłości w okresie winobrania, i nieco później, w listopadzie lub grudniu, na zbiory oliwek. „Przyjaciele” - mówi Blaïd, który ich zwerbował. Dobrze się czują „Pod Oliwkami”, przywykli już, wracają do starych kątów. Amélie dogadza im. Jak wiele kobiet, lubi karmić. Sprawia jej przyjemność patrzeć, jak się zajadają jej smażonymi bakłazanami, „pływającymi wyspami” i *fougasse* z anyżkiem.

Wieczorem na tarasie, u kresu znojnego dnia, spożywają kolację w milczeniu, pełni respektu i wdzięczności za strawę. Spokojni, wyciszeni. Potem, po uprzątnięciu stołu, siedząc nadal w cieniu, zapalają papierosy i zaczynają rozmawiać po arabsku. Jakież to szybki, zawył, nerwowy język. Estelle przysłuchuje się im. Chciałaby zrozumieć znaczenie jego melodii. Blaïd stojąc nalewa do szklaneczek miętową herbatę, wysoko uniósłszy imbryk. Tego wieczora rozmowa wydaje się bardziej ożywiona niż zwykle. Blaïd powiedział coś, co poruszyło Alego i Mohammeda. Patrzą na Estelle, jak nigdy na nią nie patrzyli; zdają się wściekli... „Mój Boże! Co się z nimi dzieje?” - zastanawia się Estelle, a tymczasem ton ich rozmowy nasila się. Jeśli chcą podwyżki, pójdzie na to cała komoda.

Nagle milkną, a Blaïd zwraca się do niej.

- Pani Estelle, wszystko im opowiedziałem - wyjaśnia.

- Co takiego im opowiedziałeś, Blaïd?

- Krzywdy, które pani chcą wyrządzić... o domu, jeziorze, winnicy... i oliwkach!

- O oliwkach! - powtarzają za nim Ali i Mohammed jednym głosem.

A więc to był powód ich oburzenia! Buntowali się przeciwko temu, co jej się przydarza! Błażd ma rację: „to są przyjaciele”. Teraz odzyskują właściwą sobie pogodę ducha i popijając gorącą, aromatyczną herbatę, tłumaczą jej, że nie powinna się bać. Nikt nie tknie jej drzew oliwnych. Nikt nie ma prawa.

Dlatego, że na każdym listku tego świętego drzewa wypisane jest imię Boga.

\*

- Czy dzisiaj może już pani sprzedawać?

Wrócił.

Uśmiecha się, stojąc przed drzwiami balkonowymi salonu, które zostawiła uchylone ze względu na ładną pogodę.

- Czy ma pani prawo sprzedaży? - powtarza pytanie.

- Tak! Może pan nawet wszystko wykupić! - Estelle odzyskuje mowę.

- Postaram się! - żartuje, zmierzając do niej.

Ileż zmieszania przy zwykłym uścisku dłoni...

- Cieszę się, że pana widzę, gdyż...

- Gdyż?

- Dokuczają mi...

Patrzy na nią pytającym wzrokiem i Estelle ma ochotę zwierzyć mu się: on tak zdaje się kochać stare przedmioty i ich kruchość! Czuje potrzebę wyjawienia mu, że wszystko, na co patrzy, jest zagrożone, w niebezpieczeństwie... a może nawet skazane na zagładę.

- Jak to „skazane na zagładę”?

Opowiada mu, że na jej dom i posiadłość ostrzy sobie zęby jakieś przedsiębiorstwo budowlane.

- Wie pan, jeden z tych holdingów, które ziemię zamieniają w beton.

Milczy, oburzony. Czyta to w jego oczach, które są ciemniejsze niż kiedykolwiek. Nieoczekiwanie Estelle czuje się tak dobrze, że postanawia nie mącić tego spotkania swoimi skargami.

- Zmieńmy temat! Pomówmy o panu! Czym się pan zajmuje?

- Rozglądam się. Kupuję. Kolekcjonuję - odpowiada skromnie.

I dodaje:

- Kocham...

Dawno już serce Estelle nie biło tak szybko. Nie analizuje swoich uczuć, daje ponieść się radości, że jest z nim...

- A gdzie się podział sekretarzyk? - pyta. - Nie widzę go.

Miała rację wtedy, mebel mu się podobał! Zdejmuje indyjski perkal, którym przykryła sekretarzyk w obawie, że może skusić jakiegoś innego nabywcę.

- Jest jeszcze piękniejszy - szepcze mężczyzna. - Dziękuję, że go pani zatrzymała... Oczywiście, biorę go.

Wielki stół, przy którym odrabiali lekcje, nadal stoi w salonie. Starsza pani o siwych włosach zapewne znowu przyniesie wino; musi się pośpieszyć z wyjazdem, nim Estelle poda mu kieliszek. Nim go zaciągnie przed trybunał przodków. Przedtem jednak ma parę rzeczy do załatwienia.

- Mam do pani prośbę - mówi.

Przerywa. Estelle przygląda mu się.

- Nie śmiem...

- Proszę się nie krępować...

- No cóż... Chodzi o figurkę Cyganki? Zechce mi ją pani sprzedać?

Estelle zdaje się głęboko zastanawiać, a potem uśmiecha się i oznajmia, że sprzeda pod jednym warunkiem: że zgodzi się zapłacić tę samą cenę, jaką ona za nią dała Fernandowi.

Śmieją się oboje.

- Zgoda! - oświadcza radośnie. Kładąc książeczkę czekową na wielkim stole, potrąca małe zwierciadło, które rozpryskuje się na podłodze.

Spoglądają w milczeniu na odłamki lustra.

- Siedem lat nieszczęść... Ale to dla mnie. Ależ tak! Ależ tak! To moja wina! Jaką to daje średnią ze szczęśliwym nabyciem biurka! Dodaję więc lustro, lecz tym razem to ja ustalam cenę!

Wypisuje czek.

- Sekretarzyk, miła przygoda... i siedem lat nieszczęść... Rachunek się zgadza? - pyta, podając Estelle czek.

- Ależ to za dużo! - wykrzykuje skrzepowana.

- Bardzo proszę...

Po cyfrach odczytuje litery.

- Pierre Séverin... Tak się pan nazywa?

- Tak.

Najwyraźniej z niczym nie kojarzy jego nazwiska. Mężczyzna oddycha z ulgą. Kolejna próba uwieńczona sukcesem. Ale czeka go jeszcze jeden sprawdzian.

- Chciałbym zwrócić się do pani z jeszcze jedną prośbą... Pragnąłbym zaprosić panią

na kolację, dziś wieczorem.

Milczenie Estelle bierze za wahanie, nie ma pojęcia, jaką jej sprawił przyjemność. Wyjaśnia, że musi jechać do Aix, by dopiąć pewną sprawę, że przyśle po nią samochód około ósmej... Naprawdę, pragnąłby...

- Zgodzi się pani?

- Oczywiście... - odpowiada po prostu.

Samochód przyjechał nieco przed umówioną godziną. Nie 4x4, którym dwukrotnie przyjeżdżał „Pod Oliwki”, lecz luksusowa czarna limuzyna. Jako że nikt z niej nie wysiadał i nie można było niczego dostrzec przez przydymione szyby, jej pojawienie się miało w sobie coś nadnaturalnego.

- Aż strach bierze... - mówi Amélie do Blaïda.

Z balkonu Estelle zobaczyła, jak samochód zatrzymuje się na podjeździe. Raz jeszcze spojrzała w lustro toaletki, wciera kroplę perfum w zgięcie ramienia i wychodzi z pokoju, podśpiewując sobie, lekka jak młoda dziewczyna, która udaje się na swój pierwszy bal. Minęła Amélie i Blaïda, wesołym głosem rzucając im „dobry wieczór”, a oni odprowadzili ją wzrokiem, zdziwieni jej eleganckim wyglądem i pogodnym nastrojem. Kierowca, jak trzeba, wysiadł z samochodu i, trzymając czapkę w dłoni, otworzył drzwiczki.

- Bardzo elegancko! - stwierdził Blaïd pod wrażeniem.

- Tak, bardzo.

Lecz Amélie zastanawia się, dlaczego serce jej się ścisnęło, choć zdawało się, że jej Estelle odzyskała radość życia. Już miała wejść do domu, ale zatrzymała się, bo wydało jej się, że samochód wraca... Jednak nie, to samochód Mireille wyjeżdżał właśnie z lasu.

Na jego widok Blaïd gwizdnął na psa i oddalił się. Wiedział, że Amélie nie potrzebuje niczyjej pomocy, by godnie przyjąć panią mer. Nie mylił się.

- Co tym razem przybywa nam pani racjonować?

Mireille postanowiła, że będzie słodka, i pyta w pogodnym nastroju:

- Czy mogę porozmawiać z Estelle?

- Nie!

- Ale to bardzo ważne. Dla niej... - podkreśla z przymilnym uśmiechem. - Rada na walnym zgromadzeniu wyraziła właśnie zgodę na budowę Cykad-Landu. Przyjechałam uprzedzić ją po przyjacielsku, gdyż teraz w jej interesie leży, żeby sprzedać jak najszybciej...

- Estelle jest nieobecna - oschle wyjaśnia Amélie. - Dopiero co odjechała, musiałyście się minąć w alei. Taka czarna limuzyna...

Amélie nie domyślała się nawet, jaki cios wymierzyła Mireille. Niewidoczna osoba w czarnym samochodzie, w samochodzie, który pani mer natychmiast rozpoznała, to była Estelle!

- Została zaproszona na kolację - ciągnie Amélie, nie zauważając, że Mireille, nagle poblądła, zbiera siły, by rozbawionym głosem rzucić:

- No cóż! W takim razie powiesz jej o tym jutro! Do widzenia, Amélie! Życzę ci miłego wieczoru!

I lekkim krokiem odchodzi do samochodu.

Piękna sylwetka, pełne gracji ruchy. Amélie przeraziłaby się jednak, gdyby widziała jej twarz. Zmienioną, złą, przegraną. Mireille nie jest w stanie powstrzymać łez.

„Teraz ja się nią zajmę” - powiedział.

I dzisiejszego wieczora zaprosił ją na kolację. Do swego domu. Do Rochegude.

Mireille rozgląda się dokoła w płynącej mgle. Drzewa tańczą jak algi. Tak będą niebawem tańczyć w głębinach wód, kiedy prace zostaną ukończone i Rodan zaleje las. Bo zrobisz to, prawda, mój kochany? Proszę cię, nie zapominaj, że po to właśnie tu powróciłeś!

Estelle poznała Mireille. Miała już prosić kierowcę, żeby się zatrzymał... Ale właściwie po co? Mireille rzadko się fatygowała z dobrymi nowinami, a złe mogą poczekać do jutra.

Dziś wieczorem chce zapomnieć o zmartwieniach.

Czuje się wspaniale. Rozmarzyła się, sama niewidoczna przez szyby limuzyny, patrząc, jak przesuwa się pejzaż. Samochód jedzie na północ polnymi drogami, mijając zagajniki, winnice i miasteczka. Jeszcze widno, lecz światło gaśnie powoli. Dokąd ją wiozą? Kierowca nie odezwał się ani słowem, od kiedy wyruszyli w drogę. Prowadzi samochód, bezbłędnie zmierzając w wiadomym sobie kierunku. Spojrzała na zegarek i zauważyła, że zbliża się dziewiąta.

- Do której restauracji jedziemy? - zapytała.

- Nie jedziemy do restauracji, proszę pani. Jedziemy do posiadłości pana, do Rochegude. Właśnie dojeżdżamy.

Ciemny masyw góruje nad zagubioną wioską. Potężny szary zamek, którego fasada niespodziewanie rozbłyskuje światłami. Brama otwiera się przed nimi, choć żadna ręka jej nie tknęła. Samochód zajeżdża na wybrukowany dziedziniec... Brama zamyka się bezgłośnie. Estelle znajduje się w zamkniętym świecie. Gdy stawia stopę na płytach Rochegude, posągi kamiennych demonów stojących na straży pochylają się nad nią z wysokości. Zamek ten ma



w sobie coś niesamowitego, przerażającego... bolesnego. Mógłby być Zamkiem Diabła.

Ale dlaczego miałyby się bać?

Uśmiechnięty gospodarz czeka na nią na schodach ukwieconych oleandrami.

\*

Spoglądają na siebie nad bogato i wykwintnie nakrytym stołem, który kazał przygotować na jej cześć w wielkiej jadalni.

Jest z nim tutaj. Na jego łasce. Niesłuchanie ufna. Wesoła. Sam prawie nie pije, a czuje się pijany. Pijany tym, co ma się wydarzyć. Czego nie zna, a oczekuje. Za sprawą Boga. Albo diabła...

- Nie lubi pani? - pyta, widząc, że Estelle wpatruje się w talerz, lecz go nie tyka.

- Ależ uwielbiam. Kto tu potrafi przyrządzać duszone karczochy z mięsem?

- Mój kucharz pochodzi z tych stron!

- A, to tłumaczy wszystko! W dzieciństwie była to moja ulubiona potrawa!

- Wiem!

Spogląda na niego ze zdumieniem, co mu uświadamia popełnioną nieostrożność.

- To znaczy, chciałem powiedzieć: domyślałem się tego. Wie pani, zadaję wiele pytań, odkąd osiadłem w Rochegude. To było ledwo trzy miesiące temu. Próbuję dostosować się i zyskać akceptację ziemi, ludzi... zrozumieć.

Słucha go z powagą, upija łyk wina i stwierdza:

- To z Fonsalette.

- Wystarczyło umoczyć usta i już pani odgadła?

- Jestem córą winnic.

- Wypowiada pani te słowa z takim smutkiem...

- Tak.

Służący stawia przed nią lawendowy sorbet w kryształowym pucharze o kształcie tulipana. Estelle kosztuje tego pokarmu wrózek i powstrzymuje dreszcz. Można by rzec, że to jakiś lubczyk lub śmiercionośna mikstura. Spożyje go aż do ostatniej, słodko-gorzkiej, krzty.

Séverin przygląda się jej. Jest taka piękna, taka poważna, że pozdrawia ją jak bóg rzeki pozdrawia Anglore:

- *Poznaję cię*

*Kwiecie Rodanu rozpostarty na wodach!*

*Kwiecie szczęścia, który przemyka w mym śnie,*

*Kwiatuszku, obym cię wreszcie odnalazł!*

Uśmiechając się, Estelle recytuje ciąg dalszy poematu:

- *Draku\**, poznaję cię! *bom ujrzała*

*w twej dłoni kwiat Łabędzia!*

*Po twych oczach barwy fali, które rzucają urok,*

*przeszywają, dobrze widzę, kim jesteś.\*\**

Poezja Mistrała łączy ich nawzajem swą melodyjnością. Jest przekonany, że Estelle zna cały poemat na pamięć! Właśnie mu wyjaśnia:

- Mój ojciec znał cały na pamięć. Niestety, nie zdążył nauczyć mnie wszystkiego. W mojej rodzinie zdarzył się dramat. Zarządca, którego ojciec darzył całkowitym zaufaniem, przyjaciel... oszalał.

- Oszalał?

Czarne. Czarne oczy i rozdzierający głos. Ona jednak niczego nie zauważa, pochłonięta wspomnieniami.

- Nie potrafię znaleźć innego słowa. Oszalał. Podrobił nasze wino, a potem... Lecz rozmawialiśmy o Mistralu, nie wiem, dlaczego opowiadam panu tę starą historię?

- Bo mi pani ufa, *o kwiecie Rodanu!*

- Ufam wszystkim tym, którzy kochają Mistrała.

- Cóż, kocham go tak bardzo, że nie jest pani w stanie sobie tego wyobrazić! Nie śmiem pani wyznać, ile zapłaciłem za trzy linijki - no nie, bądźmy uczciwi - pięć czy sześć linijek nakreślonych jego dłonią, które znalazłem u Christiesa! Jeśli zje pani grzecznie wszystko, będzie mogła je pani obejrzeć!

- Łyżeczkę za Mistrała! Dwie łyżeczki za...

Nieoczekiwanie zmienia ton:

- Dziękuję panu.

- Ależ za co?

- Za ten wieczór... Wie pan, już panu kiedyś wspominałam, przechodzę trudne chwile. Nie jestem zbyt radosna. Sama myśl, że mogą zniszczyć dom moich przodków, przeraża mnie. Pan, który lubi... przekazy z przeszłości... musi mnie rozumieć.

Przytakuje ruchem głowy: chce, żeby dokończyła swą opowieść. Chce wszystkiego dowiedzieć się z jej ust. Rozczuła go wspomnienie o wypadku samochodowym.

- Miałam szczęście, mogłam z tego nie wyjść!

---

\* Pływająca istota nadprzyrodzona występująca w *Poemacie o Rodanie*.

\*\* *Poemat o Rodanie*, pieśń VII.

Śmieje się, opowiada mu, jak od tamtego czasu stała się pastwą ekspertów.

- Kilka dni temu jeszcze jeden złożył mi wizytę w domu. Może dowiem się w końcu, czy jestem zdrowa na umyśle.

Je w milczeniu, a potem przerywa i przygląda mu się, jak słucha.

- Od razu zauważyłam, że podoba się panu mój dom. Tak bym chciała pokazać go panu w całym niegdysiejszym splendorze. Kiedyś opowiem panu o dramacie, jaki rozegrał się „Pod Oliwkami”... Po śmierci mego ojca, mama i ja nie zdołałyśmy powstrzymać upadku posiadłości. A wszystko dlatego, że tata powinien był mieć syna.

Przerywa, czując, że jest bliska łez, przygryza wargi:

- Czasami mówię sobie, że już przegrałam...

On łagodnie kładzie rękę na dłoni Estelle i szepcze:

- Jestem przy pani... Zawsze przy pani będę!

Dotyk sprawił, że oboje poczuli się zakłopotani. Bezszelestne pojawienie się służącego przywróciło im przytomność umysłu. Uśmiechają się do siebie. Ona nie jest już głodna. On też nie.

- Mistral na nas czeka! Pozwoli pani za mną, zaprowadzę panią do niego! Przedtem jednak oprowadzę panią po Rochegude!

Mireille jedzie do Rochegude. Jak szalona.

W lesie zielonych dębów, zaraz za Sérignan, zatrzymała samochód przed kapliczką, w której niszczy gipsowy posąg Przenajświętszej Dziewicy. Jakieś nabożne i nieufne dłonie uwięziły biedną Maryję za zardzewiałymi już teraz kratami. Od dawna nikt nie zatrzymuje się przed tym ołtarzykiem, na którym ledwo widnieje data zapomnianego odpustu.

Mireille schyliła głowę na kierownicę i szlocha. Wokół niej zapadła już gęsta noc.

Co się z nią stanie?

Czuje fizyczny ból, głęboką ranę. Potrzebuje go, jego ciała, jego zapachu. Przecież wrócił, żeby się zemścić, a nie żeby zawierać pokój. Ona mu w tym pomoże. Nie ma prawa jej porzucić! Dręczą ją przeróżne obrazy. Obrazy Rochegude, gdzie taka była z nim szczęśliwa. Wyobrażenie Estelle przy stole, za którym w myślach zawsze widziała siebie, jak zasiada na honorowym miejscu naprzeciwko niego. Myśli o winie nalewanym do kieliszków, o ich spojrzeniach wtopionych w siebie nawzajem, o dłoniach, które się szukają...

A najokropniejsze w tych majakach jest to, co nastąpi później. Czy nadal jest tym małym chłopcem, który mawiał: „A później ożenię się z Estelle”.

Nagle Mireille podejmuje decyzję.

Uśmiecha się, ociera łzy, zapuszcza silnik i rusza.

Podał jej rękę i poprowadził po wałach odwieczną drogą patroli. Lwy wskazują im drogę kamiennymi pazurami, mijają wojowników niosących oręż i złotoczerwone proporce królów francuskich, demony, których brzydota czyni sympatycznymi, tłumy dzielnych rycerzy z przeszłości czuwających nad ponurym zamczyskiem. Nieliczne światełka migoczą w krajobrazie pogrążonym w ciemnościach. Dom potwora pożerającego ludzi? Czy może dom Tomcia Palucha?

Prowadzi ją przez galerię, w której wiszą gobeliny przedstawiające krwawe polowania. Następnie zatrzymuje się przed ciężkimi, okutymi żelazem drzwiami. Otwiera je i uśmiecha się.

- Znajduje się pani w mojej kryjówce!

Obszerny westybul oddziela dwie komnaty. Najpierw pomieszczenie zwane salą maszyn. Tajemniczy świat niebieskozielonych ekranów, które włączone przez całą dobę, migoczą, szumią, łącząc go z resztą świata. Długie wstęgi papieru pokrytego cyframi i zakodowanymi znakami spływają na parkiet i wiją się jak węże.

- Tutaj panuje ruch i działanie... tutaj zaś - mówi wskazując drugie drzwi - cisza, spokój... i Mistral!

Estelle nie myśli o tym, że wprowadza ją do swej sypialni. Pokój ten jest przede wszystkim pomieszczeniem. Ani śladu nieporządku, najmniejszego śladu intymności, najmniejszych oznak ludzkiego życia. Pod obszernym baldachimem ze złożonego drewna, łóżko jest bardziej dostojnym łóżem niż posłaniem zapraszającym do miłości. Przypomina te twarde łoża, na których wystawiano na widok publiczny zmarłych królów.

Jest to jednak łóżko.

Zmieszana Estelle przystaje, on tymczasem idzie po tekst Mistrała złożony w szkatułce z szylkretu o okuciach z połączanego srebra. Zamkniętej na klucz. Wyjmuje tekst. Pojedyncza kartka, wzruszająca, nie dokończona, na niej kilka linijek skreśliła ta sama dłoń, która podpisała wachlarz Apolline. Podaje jej rękopis.

- *Lou Diable es un coumpaire gai\** - czyta Estelle po prowansalsku.

I dalej - już po francusku:

- *Szatan, jak wiecie, robi, co zechce*

*Gdy dobry Pan Bóg zezwoli mu działać.*

*Tym razem wielki żartowniś...*

---

\* Diabeł wesołym jest kompanem.

Określenie to rozśmiesza Estelle. Wielki żartowniś! On śmieje się z nią.

- *Wielki żartowniś*

*Wybudował w noc jedną*

*Dla oka wspaniały zamek.*

- Słowa te znajdują się na początku prologu w *Nerte*\* i w *Zamku Diabła* na końcu poematu.

„Brawo, Estelle - myśli. - Jestem z ciebie dumny! Pragnę ciebie, i ty mnie pragniesz, niebawem dowiesz się, kim jestem, lecz będzie już za późno...”

- Chce mi się pić! - mówi Estelle zmienionym głosem.

- Mnie też - odpowiada, trawiony tym samym ogniem.

Nie spuszczając z niej wzroku, przebiega palcami po przyciskach telefonu. Żadnej odpowiedzi. Ani żywego ducha. Rozdrażniony raz jeszcze wciska klawisze aparatu. Czeka, a potem krzyczy:

- Zniknęli, posnęli, czy co? Skamienieli, czy może zostali wtrąceni do lochu?

- Albo odfrunęli jak w *Zamku Diabła*?

- Zaraz wracam...

Wyszedł, zostawiając ją samą. Teraz ma wreszcie odwagę spojrzeć bez lęku na łóżko. Rozśmiesza ją to. Ujmuje rękopis Mistrała, ponownie go odczytuje...

- *Lou Diable es un coumpaire gai...*

Ostrożnie, nabożnie odkłada kartkę, robi kilka kroków po komnacie i zmierza do westybulu, a potem do sali maszyn, gdzie życie samo toczy się dalej. Migocze niebieska lampka. Przewija się taśma... i nagle uruchomiona zostaje wymyślna automatyczna sekretarka. Najpierw daje się słyszeć męski głos:

„Dzwonią państwo do Rochegude. Być może tu jestem!”

Rozbawiło ją to nagranie. Gospodarz jest dowcipny...

„Środa, dziewiętnastego, godzina dwudziesta druga trzydzieści pięć, dobry wieczór, kochanie, mówi Mireille”.

Estelle osłupiała. Mieni się na twarzy, wpatruje się w automatyczną sekretarkę.

„Dzwonię do ciebie tak późno, bo dopiero teraz zakończyło się posiedzenie Rady. Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość! Najmniejszego sprzeciwu wobec Cykad-Landu. Niemal jednogłośnie przyjęto lokalizację kompleksu w Châteauneuf. Nic już nie stoi na

---

\* *Nerte* i *Zamek Diabła* - poematy Mistrała. Pisownia *Nerte* różni się od pisowni *Zamku de la Nerthe*, lecz znaczenie jest to samo (kwiat mirtu lub imię Esther).

przeszkodzie, by wykupić „Oliwki”! Biedna Estelle! Prawie mi smutno, gdy o niej myślę... Cóż robić! Całuję cię mocno... Do jutra, kochany!”

Estelle słyszy odgłos kroków na schodach. Zbiera siły, by nie dać po sobie poznać, co czuje.

On wchodzi radosny, niosąc wiaderko z lodem, do którego włożył butelkę różowego szampana i dwa kryształowe kieliszki. Nadal prowadzi swoją uwodzicielską grę, grę węża, ani się domyśla, co go czeka. Stawia wiaderko, wyjmując butelkę i otwiera ją, tłumacząc:

- Żywego ducha! Miała pani rację: odfrunęli!

Napełnia oba kieliszki.

- Lubię, gdy zamek jest pusty, gdy jestem jego niepodzielnym panem. A dziś wieczorem sprawia mi to przyjemność bardziej niż kiedykolwiek.

Podaje kieliszek Estelle.

- Nic ważnego nie może się zdarzyć w moim życiu bez uczczenia różowym szampanem!

Wzięła puchar z dziwnym uśmiechem i nie spuszczając z niego oczu, rzekła:

- Istotnie!

i chlusnęła mu szampanem w twarz.

Początkowo stoi osłupiały. Przyglądają się sobie w napięciu. Dociera do niego, że ona wie. Ale kiedy się dowiedziała? I właściwie czego? Coś musiało zajść...

Ona spokojnie odstawia kieliszek i zmierza do wyjścia.

- Estelle!

Odwraca się i z odrazą odtrąca dłoń, która usiłuje ją zatrzymać. Przed wyjściem przystaje przy automatycznej sekretarce i mówi:

- Wiadomość dla pana.

Jest już na schodach. Nie próbuje jej gonić. Wolnym ruchem wyciera twarz z szampana, spogląda na automat, i słucha nagrania:

„Środa, dziewiętnastego, godzina dwudziesta druga trzydzieści pięć, dobry wieczór, kochanie, mówi Mireille...”

W salonie świeci się światło. Dlaczego Amélie czeka na nią tak długo w nocy?

Zaniepokojona Estelle wysiadła z limuzyny, podziękowała kierowcy i nie oglądając się za samochodem, który zniknął w mroku, pobiegła do domu.

Nie Amélie na nią czekała, lecz Sophie. Z poważną miną, jaką miała już w dzieciństwie, studiowała jakieś akta. Nie słyszała, jak Estelle weszła, i nie poruszyła się,

robiła notatki, siedząc przy wielkim stole pośród przeróżnych skarbów zbieracza.

Na odgłos zamykanych drzwi uniosła głowę.

- Estelle!

- Jaka to radość znowu cię widzieć! Nie spodziewałam się...

Całując dziewczynę na powitanie, Estelle zastanawia się, czy Sophie znowu nie schudła.

- Dobrze się odżywasz?

Sophie śmieje się.

- Mówisz jak Amélie!

- Gadam jak stara baba - mówi Estelle, siadając.

- Stara baba wyjątkowo piękna i wyjątkowo młoda! No a twój antykwariat jest cudowny... Coś nie tak?

- Głowa mnie boli...

Od wysłuchania wiadomości w sali maszyn, krew pulsowała jej w skroniach tak mocno, że aż dudniło. Wciągnęła głęboko powietrze i spytała, jak gdyby to było bardzo ważne:

- O której wyjechałaś z Paryża?

- Dochodziła piąta... Musiałam koniecznie zobaczyć się z tobą, a że jutro po południu bronię w Aix, pomyślałam sobie, że dobrze by było zatrzymać się tutaj... Estelle, przede wszystkim, czy mogłabyś mi powiedzieć, co takiego zrobiłaś doktorowi Bricaire-Laval?

„No tak - pomyślała Estelle - dostali raport i - nowe nieszczęście! Chociaż w mojej sytuacji, cóż mi może jeszcze zaszkodzić...”

- Przywiozłam ci jego wnioski... Sama zobaczysz.

Sophie wyjmuje z koperty papier firmowy i czyta:

- *...zaskoczywszy pacjentkę, której nie dałem czasu ani sposobności, by się przygotowała do badania - co jest sprawdzoną metodą - stwierdzam, że pani Laborie nie tylko jest całkowicie zdrowa na umyśle i w zupełności posiada zdolność posługiwania się swoim intelektem, lecz także potrafi prowadzić rozmowę godną kobiety odznaczającej się rzadką inteligencją i wrażliwością. Wnoszę więc, że nie ma już potrzeby prowadzenia wobec niej obserwacji medycznej. Jesteś zadowolona?*

- Bardzo! - z obojętnością odpowiada Estelle.

- To jeszcze nie wszystko. Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. Widziałam się z Jérôme'em...

- Ach tak?

- Co ci jest, Estelle? Dać ci jakiś proszek od bólu głowy?

- Nie, nie trzeba. Mówiłaś, że spotkałaś się z Jérôme'em?

- Tak!

- No i...

No i raczej źle się zaczęło to spotkanie, lecz teraz Sophie jest dobrej myśli. Jérôme, który chciał wytoczyć Estelle sprawę sądową, wycofał się, gdy po powrocie z Meksyku dowiedział się, że miała poważny wypadek samochodowy. Zrezygnował ze swoich roszczeń! Posunął się nawet do tego, że powiedział: „Przykro mi!”

- Tak więc wszystko to prawnie należy do ciebie - rzecze Sophie wskazując otaczającą ją meble. - Niestety, właśnie z tego względu chciałam się z tobą widzieć, gdyż mam jeszcze kilka nowin, tym razem mniej pomyślnych... Czy wiesz, kim jest Pierre Séverin?

- Pierre Séverin? - pyta Estelle nagle ożywiona.

- Jeszcze kilka dni temu Cykad-Land był dla mnie jedynie nazwą i zagrożeniem. Popytałam trochę. Otóż na czele Cykad-Landu stoi pewien człowiek. Pierre Séverin. Mężczyzna ten jest właścicielem ogromnego przedsiębiorstwa: Carneau-Développement. Coś ci to przypomina?

Estelle nie zaskoczyła... Sophie ciągnie dalej swą opowieść:

- To właśnie na odpowiedzialne stanowisko w Carneau-Développement została zaangażowana Philippine. Przez Pierre'a Séverin we własnej osobie. Ale to jeszcze nie wszystko!... Trzyma w garści Jean-Edmonda, kręci się wokół Rémy'ego, zamówił komiks u Antoine'a, a gdybym chciała, też bym się na coś załapała! Sprawa jest całkiem jasna: ta wielka ofensywa ma na celu zmuszenie cię do sprzedaży.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, zwerbował całą rodzinę?

Sophie ujmuje jej dłoń.

- Nie, Luc się twardo trzyma. Pobił się nawet z bratem...

- Pobił się?... Z mojego powodu?

Sophie potakuje i cichym głosem dodaje:

- A ja pokłóciłam się z Philippine.

Sophie i Philippine skłócone! Z powodu „Oliwek”... Estelle wbija paznokcie w dłonie.

Po co wojować, po co wygrywać, skoro wszystkie bliskie jej osoby nastawiają się do siebie wrogo? Jeśli jej synowie biją się ze sobą? Jeśli jej córka nawet do niej nie zadzwoni? „Oliwki” to nie tylko przeszłość, lecz i przyszłość. Jeśli przyszłość ich odrzuca, to po co walczyć?

- Dlatego, że to ty masz słuszość, Estelle! Wiem to i będę cię bronić do ostatniego



tchu. Trzeba uratować to, co musi być uratowane!

- Nie mam pieniędzy.

Sophie wybucha śmiechem.

- Tym lepiej! W ten sposób będę mogła dać dowód wysokiego mniemania, jakie mam o swoim zawodzie! Podziwiam cię, Estelle. To trudne, wiem, ale nie trać odwagi, proszę cię! Ten Pierre Séverin, który tu się nagle pojawia ze swoim szmałem i betonem, cóż on o nas wie? Nic. No to nauczymy go szacunku do naszej ziemi! Chcesz, żebym ci opowiedziała, co nam mówiłaś, jak byliśmy malcami. O Rodanie, który występował z brzegów, o roku 1789, kiedy zmarły oliwki, o roku 1870 i filokserze, o roku 1956, w którym znowu zmarły oliwki! Ten kraj jest krajem zmartwychwstania, Estelle! Od zarania dziejów doświadczał wszystkiego, a ciągle istnieje! *Wciąż odradzająca się duszo...* Nie płacz, kochana, Philippine wróci... Wszyscy do ciebie wrócą, nie trzeba mieć im tego za złe, trzeba tylko dać im trochę czasu, żeby zrozumieli... Mój Boże! A to co za jeden?

Pierwszy to raz zdobył się na odwagę, by wejść do domu. Pręgowany kot. Jest przerażony swoją brawurą. Ma ochotę i zostać, i uciekać.

Nie poruszają się. Za bardzo się boją, że umknie! Zostań, kocie! Zostań i udowodnij, że dom ten żyje i żyć będzie proszę cię, zostań z nami!

Przygląda im się, miauczy cichutko i wyciąga przed siebie łapkę, przygląda się jej, jak gdyby to był siódmy cud świata, rozkłada się wygodnie na dywanie i zabiera do wielkiego mycia.

- Widzisz! - cieszy się Sophie.

Sophie odjechała wczesnym rankiem, zabierając Amélie i bliźnięta. Ich ojciec ma wyjechać po nie do Aix i Amélie spędzi kilka dni z rodziną w Cassis.

Bardzo dobrze. Po tym, co przeżyła i czego się dowiedziała, Estelle potrzebuje odrobiny samotności. Zastanowienia. Oczyszczenia się po tamtym wieczorze w Zamku Diabła... Dziękuję ci, Mireille, gdybyś nie zadzwoniła, wpadłabym w zastawioną na mnie pułapkę.

Dlaczego ten mężczyzna tak bardzo pragnie zniszczenia „Oliwek”? W Prowansji czy gdzie indziej istnieją dziesiątki miejsc bardziej nadających się na utworzenie kompleksu sportowo-wypoczynkowego niż lokalizacja, jaką wybrał na Cykad-Land.

Jakież spokój panuje przed domem. Wolno spada liść z platana. Pierwszy. Po ledwo dostrzegalnych oznakach, chłodniejszych wieczorach i rankach, czuć, że nadeszła jesień. Antonin zaprosił ją na poczęstunek dla tych, co pracowali przy winobraniu. Blaïd, Ali i

Mohammed udali się tam jak co roku. Podziękowała, usprawiedliwiając się, że nie może zostawić antykwariatu ze względu na klientów. Zbożne kłamstwo. Nie ma nikogo. No, z wyjątkiem kota. Wypatrzył ją siedzącą w słońcu przy oleandrach, zmierza ku niej nieśpiesznie i wskakuje jej na kolana. Trzeba będzie wytłumaczyć Nourowi, że kot jest teraz członkiem rodziny i nie wolno na niego polować.

- Nazwiemy cię Meitchant-peù\* - mówi.

Meitchant-peù pomrukuje z aprobatą.

Miała już raz Meitchant-peù, gdy była małą dziewczynką. Uciekł na czubek katalpy i nie chciał zejść. Wdrapała się na drzewo, żeby go ściągnąć. Do dziś nosi pamiątkę po tej wyprawie. Cienką bliznę na nadgarstku.

A więc Mireille jest kochanką Pierre'a Séverin... Estelle ma jeszcze przed oczyma masywną postać senatora Bouvier. Był prawie o trzydzieści lat starszy od żony. To małżeństwo było dla wszystkich zaskoczeniem. Estelle i Rémy dowiedzieli się o ich ślubie, gdy sami wrócili z podróży poślubnej. „No, popatrz!” skwitował wiadomość Rémy, Estelle zaś zawsze się zastanawiała, czy coś nie łączyło Mireille i jego... Trzeba przyznać, że nietrudno było mieć romans z Rémy! Biedny Rémy, podobno Carla od niego odeszła. To smutne... Jakież niepokój panuje w sercach wszystkich naokoło! Spytała Sophie, co się dzieje z Antoine'em. Sophie wydała się bardzo zmieszana tym pytaniem. „Daj mi trochę czasu, wszystko ci powiem, Estelle.” Trudno nalegać. A właściwie, po co się mieszam? Czy ja jej opowiadam, że mało brakowało, a dałabym się nabrać jak debiutantka?

Telefon Mireille nie daje jej spokoju. Ma wrażenie, że coś jej umyka. Coś bardzo prostego i oczywistego.

Przyjazd samochodu spłoszył Meitchant-peù. Estelle zrywa się na równe nogi i wydaje okrzyk radości.

To Philippine.

Nie zabawiła nawet dziesięciu minut.

Choć, Estelle jest o tym przekonana, ucieszyła się, że zastała matkę.

- Wpadłam tylko przejazdem - powiedziała. - Jutro odlatuję do Moskwy. Wiesz, przydarzyło mi się coś wspaniałego! Opowiem ci przy okazji. Wpadłam tylko, żeby zabrać trochę rzeczy z Nerthe i ucałować ciebie. Wspaniale wyglądasz... Mój Boże! A cóż to takiego?

---

\* Urwis, nicpoń, rozczochniec.

Najwyraźniej gabinet przepełniony starociami nie przypadł jej do gustu.

- Ależ, mamó, chyba nie zostawisz tych mebli upchniętych w salonie, jakby to był lamus!

- Te meble stanowią jedyny sposób stawienia oporu.

- Ale komu?

- No przecież... prawie wszystkim!

Stan łaski, w jakim trwały od momentu pojawienia się Philippine, prysł. Spoglądają na siebie, jedna równie uparta jak druga.

- Stawić opór... Na przykład mnie? - pyta Philippine.

- Na przykład!... I twojemu nowemu pracodawcy, któremu bądź łaskawa przekazać, że nie ustąpię!

Philippine roześmiała się nerwowo.

- Dlaczego się śmiejesz? Powiem ci jasno i otwarcie: przede wszystkim nie jestem wariatką, wszyscy musicie to przyjąć za pewnik, gdyż wam to właśnie zawdzięczam ekspertyzy! Dobrze, ponadto wbij sobie do głowy, że nigdy nie sprzedam „Oliwek”! Wiadomość przeznaczona również dla twojego męża, który poparł Cykad-Land na ogólnym zebraniu Rady!

- Jean-Edmond czuwa jedynie nad tym, by cię chronić!

- Podziękuj mu w moim imieniu!

- Ależ jesteś agresywna, mamó!

- Kiedy atakują siedzibę moich przodków, kiedy podcinają moje korzenie, tak!

- T w o j e korzenie! O ile mi wiadomo, to także i moje! I moich braci! Ród Laborie de Sauveterre nie kończy się na tobie! Poza tym jesteś straszną egoistką! Nie tylko ty potrzebujesz pieniędzy, które ci proponują! Jest jeszcze Luc, daleko mu do końca studiów! Pomyśl choć trochę o nim i o Antoine'ie, który nie może się wybić!

- I o tobie pewnie też!

- Ja sobie dam radę! Ze mną nie jest tak jak z tobą! Popatrz, jak ty żyjesz! Popatrz, co cię czeka! Popatrz na te plamy wilgoci, na zacieki na suficie, na odpadającą farbę. Poczekaj do zimy, to lepiej zrozumiesz! A przede wszystkim, nie uważasz, że trochę późno się obudziłaś, żeby ratować ten dom? Nagle odkrywasz posiadłość, której przez całe życie pozwoliłaś marnieć, bo Jérôme cię rzucił!

Przerywa. Nie chciała tego powiedzieć. Tak wyszło.

- Nigdy nie odważyłabym się w taki sposób mówić do ojca czy matki - stwierdza Estelle opanowanym głosem.

- Ależ, mamó... Postaraj się zachowywać rozsądnie!

- Precz!

Philippine wydawało się, że się przesłyszała.

- Precz - powtórzyła Estelle. - Precz z mojego domu. Nie masz tu już nic do roboty!

Precz!

Odeszła. Sztywna, wyprostowana, nie oglądając się za siebie.

Estelle natomiast została pośrodku swojego lamusa ze starociami jak skamieniała.

Żadna z nich nie sądziła, że przeżyje kiedyś taką scenę. Coś głębokiego i ważnego nagle pękło.

Pobiec, dogonić córkę, powiedzieć jej, że jedyne, co się liczy, to miłość, że nic na świecie nie powinno rozdzielić jej i dzielnego żołnierzyka... Lecz Estelle nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Na odgłos zatrząskiwanych drzwiczek i odjeżdżającego samochodu wzdrygnęła się. Powoli ruszyła z miejsca, jak rekonwalescentka, i skierowała swe kroki ku drzwiom. Wyszła z domu i poszła wywiesić tabliczkę, którą namalował Luc:

<p><b>ANTYKWARIAT</b></p> <p><b>NIECZYNNY</b></p>
---

Wróciła do pałacu, dwa razy przekręciła klucz w zamku i długo siedziała, aż zapadły ciemności.

Estelle odczekała dzień czy dwa, żeby jej smutek ucichł.

Przyszłość przed nią zdawała się szara. Mglista.

Miała ochotę uciec z domu.

Podobnie jak to czyniła w dzieciństwie, gdy brakło jej odwagi, żeby czuwać u wezłównia chorego ojca, patrzeć, jak traci siły. Uciekała szukać pocieszenia u stryjów.

Oto co zrobi. Może będzie miała szczęście i trafi na partyjkę Biblii, zastanie ich obu?

Dawniej brała rower, opuszczała „Oliwki” i jechała zastukać do drzwi jednego lub drugiego stryja. Znała ich rozkład zajęć, przyzwyczajenia i zawsze wiedziała, gdzie ich znaleźć.

„Popatrz, kto do nas przybywa! - mawiali. - Malutka!” Nigdy nie zadawali jej pytań, nie dociekali, dlaczego była smutna. Po prostu byli. Kochali ją. Przyglądała się ich partyjkom Biblii, powtarzała w zachwycie hebrajskie słowa, odnajdywała jakiś cytat, którego szukali w księdze Esther, i niespodziewanie, w samym środku *disputatio*, wybuchała śmiechem, jak to

dziecko.

Dzisiaj jej przygnębienie trudno porównywać ze smutkiem dziecka, to rozpacz matki.

Przepędziła z „Oliwek” swoją córkę.

Przepędziła Philippine.

Julesowi i Samuelowi, podobnie jak Sophie, nie opowiedziała o wieczorze w Rochegude i manewrach Séverina wokół niej. Nie zrobiła najdrobniejszej aluzji na temat jego związku z Mireille. Powiedziała stryjom po prostu, że Philippine ją odwiedziła, że wizyta miała raczej niemiły przebieg i że czuje się winna. Czyż nie była egoistką? Czy rzeczywiście ma prawo przeszkodzić w realizacji projektu, który może przyczynić się do stworzenia blisko tysiąca miejsc pracy dla mieszkańców z okolicy? I zapewne przysporzyć regionowi dużo pieniędzy.

Jules się rozżłościł.

- A cóż to ma znaczyć, ta szaleńcza gonitwa za groszem, jaka ogarnia nasz Boży lud? Czyż nie jesteśmy tu szczęśliwi? Po co nam ten cały Cykad-Land? Dużo pieniędzy? Co to znaczy? Będziemy jeść dwie kolacje każdego wieczora? Spać w dwóch łóżkach równocześnie?

Wówczas to opowiedziała im, co się dzieje w jej rodzinie. Jak to z jej powodu i ze względu na jej sprzeciw wobec projektu, Luc i Antoine pobili się, że Sophie i Philippine nie rozmawiają ze sobą...

- Kiedy Philippine przyjechała mnie odwiedzić, tak się ucieszyłam... Ona też, widziałam. Ale potem, właśnie z powodu „Oliwek”, powiedziała mi coś ostro. A ja ją wygnałam.

Julesa i Samuela nie pociąga dzisiaj dysputa. Nadto są zasmuceni.

- No a teraz zadaję sobie różne pytania. Gdzie leży prawda? Powtarzam sobie: po co walczyć? Broniąc „Oliwek” nie myślałam wyłącznie o sobie, ale przede wszystkim o dzieciach. I zobaczcie, co się porobiło... Czuję się taka osamotniona! Boję się. Jak gdybym z góry była skazana... na klęskę.

Jules wstał i z bardzo poważną miną rzekł:

- Estelle, Pan Bóg nigdy nie zsyła choroby bez lekarstwa na nią.

Samuel również się podniósł, by wygłosić to samo zdanie po hebrajsku. Z kolei podniosła się Estelle, a w jej oczach błyszczały łzy. Wolnym krokiem ruszyła do drzwi.

- Pan Bóg nigdy nie zsyła choroby bez lekarstwa na nią...

Musiąca usłyszeć własny głos, żeby zrozumieć sens tych słów. Wyczuła w nich straszliwy sens.

Na progu odwróciła się do swoich stryjów serca i powiedziała:

- Lekarstwo... A może byłaby nim sprzedaż?

\*

Cóż to znaczy?

Estelle spogląda bez entuzjazmu na nieznaną break stojący przed pałacem. Nowy klient? Nowe jakieś zmartwienie? Dlaczego dom stoi otworem, skoro Amélie wyjechała? To niesłychane! Zaraz zrobi tu porządek, nie będzie się patyczkować!

Kiedy jednak widzi Luka, który wychodzi z domu, złość i nieufność znikają.

Luc!

Biegnie ucałować syna. Dopiero wtedy dostrzega za synem wysokiego młodego mężczyznę o siwiejących włosach, który przygląda im się z uśmiechem na ustach. Jest nieco rozczochrany. Sympatyczny. W grubym swetrze, małych okularach, dżinsach, długich butach wygląda tak, że ma się ochotę choćby za to tylko przyznać mu nagrodę Nobla. Kto to?

- Raphaël Fauconnier, mój profesor - Luc dokonuje prezentacji. - Proszę pana, przedstawiam panu moją mamę.

Ściskając twardą dłoń profesora, Estelle odzyskuje energię. Nagle przychodzą jej do głowy pomysły. Lepiej nawet. Czuje spoczywające na niej obowiązki. Trzeba zaimprovizować jakąś kolację, nakryć do stołu, przygotować pokoje. Dobrze, że zajęcia mają to do siebie, że płoszą czarne myśli. Myśl o pasztecie z drozdów przyrządzonym przez Amélie, który zaraz otworzy, o tych młodych szczygłach z Ventoux, które dorzuci do omletu, o winie, jakie poda... wspaniały rocznik 90, jest pewna, że profesor lubi wino.

- Pokażemy panu zaraz pański pokój...

Trochę się certował, zmieszany, że przeszkadza.

- Ależ mogę zatrzymać się w hotelu...

Uspokoila go, zapewniając:

- „Pod Oliwkami” będzie panu jeszcze gorzej niż w hotelu, mniej wygodnie i zdecydowanie zimniej! Myślę, że przekonałam pana?

Odrzekł, że w takich okolicznościach, oczywiście, nie pozostaje mu nic innego, jak przyjąć propozycję, i wszyscy troje wybuchają gromkim śmiechem.

Bardzo na luzie jest ten pan profesor, ani trochę nadęty czy mentorski. To o nim Luc opowiada z entuzjazmem od ubiegłego roku?

„Drogi Luc, jakież wspaniały miał pomysł, żeby przyjechać!” - myśli sobie Estelle ubijając jajka w kuchni. Dziś wieczorem będzie święto, a jutro, później, będziemy myśleć o

tym, co doskwiera. Dziś wieczorem ma syna i gościa w domu. Tutaj i teraz. Dziś wieczorem „Oliwki” istnieją.

- Ależ poczułem ulgę, mamó, gdy się dowiedziałem o wyniku ostatniego eksperta!

Uff!

- Naprawdę bałeś się, że jestem wariatką?

- Żartujesz chyba! Bałem się przede wszystkim tego, że będą ci zatruwać życie! Jak ci się podoba?

- Kto?

- Profesor.

- W porządku! Bardzo w porządku!

- Wiesz, że jest gwiazdą w swojej specjalności?

- A co jest jego specjalnością?

- Grobowce galijskie, termy rzymskie, bóstwa ogniska domowego, kamienie milowe, przekroje stratygraficzne, ołtarze wotywno! Trzeba będzie mu pokazać nasz odcinek Via Agrippa, już mu o nim opowiadałem, straszliwie go to zaintrygowało! Pojęcia nie masz, jak się ubawiliśmy podczas drogi z Paryża, zaliczyliśmy wszystkie grobowce gallo-romańskie w dolinie Rodanu! On jest klasa! Sama się przekonasz!

Przekonała się.

Dokładnie w połowie kolacji, kiedy to przerwał w pół słowa opis pronaos Kwadratowego Domu...

- A cóż to takiego? - spytał zdławionym głosem Champolliona Młodego w chwili odkrycia kamienia Rosette'a.

Wskazywał solniczkę.

Wzbudzająca zainteresowanie solniczka była toporną, kamienną czarą, którą Luc znalazł na usypisku przy źródle, gdy miał dwanaście lat.

- No cóż, mogę pani tylko powiedzieć, że w wieku lat dwunastu pani syn położył już rękę na przedmiocie pochodzącym z I wieku przed Chrystusem! Brawo, Luc! Proszę popatrzeć... można się domyślić, tu, na boku czary, znak pieczęci... Cóż za fantastyczne spotkanie! Macie jeszcze inne? - spytał, biorąc czarę w dłoń z nieskończoną łagodnością.

Bili się w piersi, poza solniczką i domniemanym fragmentem Via Agrippa, nic innego nie mogli zaproponować profesorowi.

- Przecież pradziadek Alfonse Laborie prowadził wykopaliska - przypomina Luc.

- Znalazł coś?

- Nic, biedaczysko - odparła Estelle. - Jak mi się nawet wydaje, straszliwie z niego

drwiono!

- Niesłusznie! Szkoda, że już ciemno, chciałbym rzucić okiem w tym sektorze, gdyż, wiecie - dodał, wskazując na solniczkę - tego rodzaju drobiazgi nigdy nie występują same. O której wstaje słońce?

- Nie wiem - przyznaje się Estelle. - W każdym razie po mnie, od jakiegoś czasu.

- Czy o ósmej widoczność jest dostatecznie dobra?

- Oczywiście! Zwłaszcza na landach...

- O ho ho!...

- Co się stało?

- To wino!... Bajeczne!

- Rocznik 90 - objaśnia.

- Przed Chrystusem! - uściśla Luc.

Jak dobrze robi ich widok, gdy śmieją się jak dzieciuchy...

- I to temu winu robi się takie wstręty? Luc wszystko mi opowiedział... nawet o parku wypoczynkowym, o jeziorze... Bez sensu!... Wpół do ósmej nie będzie za wcześnie?

- Siódma - odparła Estelle, napełniając winem kieliszek profesora.

\*

Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Zapadła w głęboki sen, lekko, jak pływak, który zanurza się w niebieską toń.

We śnie odbywał się zjazd rodzinny. Otworzyli butelki wina, rocznik 90 i pili je z ostemplowanych czar. Rozmowa toczyła się w miłym nastroju pomiędzy Juste'em w mundurze i piękną Rzymianką ze złotym diademem we włosach, która przyjmowała wszystkich serdecznie w atrium pełnym wodotrysków i posągów. Wspaniałe mozaiki, przedstawiające winną latorośl i oliwki, zdobiły ściany. Donna Bianca i Drac, stopy i płetwy w basenie z marmuru. Potem zajadali „cudowności” posypane cukrem pudrem, które roznosiła dziewczyna w białej sukience. Apolline. Jej pasterz był wyjątkowo piękny... Poematy płynęły z jego ust i unosiły się jak lekkie obłoki. Odczytała słowo: Miłość... A gdzie tata? Cierpliwości, powiedział ktoś melodyjnym głosem, a ona wiedziała, że to głos Wszystkowiedzącego.

Wszyscy spoglądali na Estelle. Wszyscy wiedzieli. Ale co?

- Wyzdrowienie - powiedział głos Wszystkowiedzącego - ale przedtem wiele wycierpisz.

\*



Spotkali się za piętnaście siódma; była jeszcze ciemna noc, lecz Estelle idąc na pamięć, bez trudu zaprowadziła profesora na Via Agrippa. Tam zobaczyli, jak ciemność rozstępuje się przed światłem dnia, ukazując nieodporny na zimno pejzaż, jeszcze wilgotny, jak dopiero co ukończona akwarela.

- Buntowałem się jeszcze, nim zobaczyłem - powiedział Raphaël - a teraz mam ochotę mordować!

Spogląda na niego pytającym wzrokiem, więc wyjaśnia.

- Dziadek miał rację! Jestem pewny, że gdzieś pod posiadłością istnieje osada archeologiczna. Nie chcę się zapalać, nim nie przeprowadzę wykopalisk... Zawsze przestrzegam moich studentów przed entuzjazmem. Siebie też. Lecz tutaj, to inna sprawa. A poza tym, czas nagli! Myślę o planach tych ich przedsiębiorców budowlanych! Jeśli uda nam się uzyskać zaklasyfikowanie osady do najrzadszej klasy zabytków, znajdzie się ona pod ochroną i zaborcy będą musieli przenieść się gdzie indziej ze swoimi wspaniałymi przedsięwzięciami.

- Naprawdę?

- Naprawdę!

- Nawet jeśli Cykad-Land zostałby uznany za przedsięwzięcie użyteczności publicznej?

- Nie pierwszy to raz uniemożliwię budowę! Oswoiłem się z rytuałami administracyjnymi i celuję zarówno w studzeniu zapалу, jak i potrząsaniu ospałych!

Przyklął na płycie Via Agrippa i podniósł coś, co wyglądało na kamyk.

- Popatrzcie! Złamany, zerodowany, zużyty przez czas i przez pogodę... lecz nadal nosi taki sam znak, jak znaleziona przez Luka czara.

Estelle przyklękła obok niego i wzięła w obie dłonie kamień, który był przesłaniem.

- To chwila radości - rzekł Raphaël.

Krajobraz był teraz skąpany w świetle. Nie podnosząc się, jak gdyby zwracał się do uważnie słuchającej przyrody, Raphaël oświadczył:

- Ma więc teraz pani swoje muzeum!

- Wie pan - wyznała skromnie Estelle - nie mam ogromnej wiedzy, Luc musiał panu o tym mówić?

- Powiedział mi, że chciała pani stworzyć muzeum, żeby wrócić do *niegdyś*.

- Przy panu czuję się zmieszana...

- Dlatego, że kocha pani przeszłość? Że jej pani broni? Wstał i, uśmiechając się, podał jej rękę.

- ...na zawsze związani z tą Ziemią,  
z oddali widzicie,  
jak upadają cesarstwa  
i rewolucji kolejnych ogień przygasa;  
Wczepieni w łono ojczyzny,  
synowie i córki tej ziemi  
z oddali patrzeć będziecie,  
jak barbarzyńska fala powraca...

- ...i przemijają cywilizacje świata\*

Popatrzyli na siebie, złączeni poetyką i niespodziewaną nadzieją.

- Bardzo lubię analfabetów pani pokroju! - stwierdził Raphaël.

\*

- Moim głosem Noirétable żegna ciebie, Emile'u Séverin. W chwili gdy nas opuszczasz, chcę ci powiedzieć w imieniu nas wszystkich, że byłeś dzielnym człowiekiem...

Zimno, mżawka, a mimo wszystko na cmentarzu tłum.

Marguerite Séverin, zalaną łzami pod żałobną woalką, podtrzymują dwaj synowie, Robert, którego wydała na świat, i Pierre, którego przygarnęli wiele lat temu Emile i ona:

- ...kiedy w porywie szlachetności, ty i twoja droga małżonka adoptowaliście chłopca, który sam jeden został na świecie, nie wiedzieliście, że to dziecko - dzięki swojej uporczywej pracy i inteligencji - stanie się dumą Noirétable i jej dobroczyńcą!

Dłoń Marguerite w czarnej rękawiczce wczepia się w ramię Pierre'a. Biedna mamó, możesz być spokojna, nigdy was nie opuszczę, ani ciebie, ani Roberta...

Chciałby, żeby mer skończył wreszcie z kondolencjami, wdzięcznością, wzruszeniem. Nie może już tego słuchać. Patrzy, jak spuszcza ją do grobu wystawną trumnę; wszyscy się nią tak zachwycają! „Najokazalszą - polecił zamówić Bernadette, swojej sekretarce. - To dla mojego ojca”.

Trumna dotarła do miejsca przeznaczenia - na dno grobu. Pierre myśli o trzech trumnach spoczywających na cmentarzu w Châteauneuf-du-Pape od trzydziestu pięciu lat... O najmniejszej. Sandrinette byłaby dzisiaj piękną młodą kobietą, pewnie miałaby dzieci... Podają mu kropidło. Skrapia święconą wodą i własną boleścią grób swego przybranego ojca, ściska dłonie, bierze pod rękę Marguerite, pociesza Roberta, który szlocha bez opanowania. Prowadzi ich do czarnej limuzyny, w której zasiada obok matki za przydymionymi szybami.

---

\* *Eclabussoures, Les Iles d'or.* F. Mistral.

- Moje dziecko... - mówi Marguerite.

A on przytula ją czule.

Nigdy nie chcieli opuścić małego jednorodzinnej domku, w którym się wychowali, on i Robert.

Pieniądze, które im dał, nie przyczyniły się do zmiany wyglądu domu. Marguerite jest bardziej przywiązana do wspomnień, niż spragniona luksusu i wygód. Nie śmie wydawać na siebie pieniędzy. Nigdy nie była do tego przyzwyczajona, i tak już zostało. Czasem kupi jakąś lampę *design*, wazon *baccarat*, wypełniony kryształowymi kłosami, lub też jasiek z różowej satyny, gdyż - jak sądzi - sprawi tym przyjemność synowi. „To prezent od ciebie!” - mówi, a jemu wstyd, że jest odpowiedzialny za ten brak dobrego smaku.

Skoro jednak ona jest szczęśliwa?

Marguerite była szczęśliwa.

Mama.

Była szczęśliwa do śmierci Emile'a. Teraz trzeba będzie zająć się nią i Robertem. Poprosiła nawet go o to, gdy wrócili z cmentarza. Martwi się. I słusznie. Robert zawsze nastęczał kłopotów. Brutalny i kruchy. Bez przerwy trzeba nad nim czuwać. Jak owego dnia nad Etang Neuf. Mieli po dwanaście lat. Mało brakowało, a utopiłby się na oczach Pierre'a. Od chwili, gdy go wyciągnął z wody, Robert darzy brata bezgranicznym, zupełnie ślepym oddaniem.

Teraz wciąż płacze, wtulony w satynowe jaśki, które ostatnio się jeszcze rozmnożyły.

Pierre ujmuje dłonie matki.

- Przeniesiesz się do Rochegude, do zamku... do twojego zamku! Jest tam lepszy klimat, to już południe Francji, a poza tym będziesz miała służbę, będziesz mogła wypocząć...

Biedna Marguerite wygląda bardziej na wystraszoną niż znęconą tym zaproszeniem do nowego, pańskiego życia. Jednak Robert, który nadal szlocha jak gangster podczas pierwszej komunii swojej córki, nalega, by się zgodziła.

- Pojedź, mamó! Dobrze ci będzie! Posłuchaj Pierre'a, wiesz, że on zawsze ma rację! A poza tym, sama się przekonasz, jak tam pięknie!

Skoro obaj ją o to proszą... Stawia jednak warunek.

- Ale Boże Narodzenie spędzimy w domu?

Kazał odwołać spotkanie z Rocherem i przesunąć posiedzenie rady nadzorczej na rano następnego dnia.

Został z nimi na noc, zrobił to dla Marguerite, dla Emile'a, dla Roberta.

Pierwszy raz po tylu latach spał znowu w pokoju, który zajmował jako mały chłopiec... Spał? Raczej czuwał. Niczego tutaj nie zmieniła od jego wyjazdu. Jego podręczniki szkolne, równiutko ułożone, latawiec, który Emile zrobił dla niego na czternaste urodziny - nadal wisi na ścianie pośród fotografii: Pierre w dniu uzyskania matury, Pierre w dniu konkursu, Pierre jako żołnierz, Pierre w kasku na głowie kładzie kamień węgielny pod swoją pierwszą budowę... Potem następują fotografie wycięte z gazet i pism. Wchodząc do tego pokoju miał wrażenie, że odzyskuje dawną niewinność. Tę, która przecież zmarła i została pogrzebana na cmentarzu w Châteauneuf...

Śpieszno mu doprowadzić do końca sprawę „Oliwek”. Po otwarciu Cykad-Landu opuści ten kraj i nigdy więcej jego stopa tu nie postanie. Misja wypełniona. Cel osiągnięty. Żegnaj. Sprawy powinny posuwać się nieco szybciej po uzyskaniu zgody Komisji i zaklasyfikowaniu projektu do obiektów użyteczności publicznej, przychylną ocenę uzyskał już od Daberta. Tym lepiej, po fakcie przestanie o tym myśleć...

Na wieść o śmierci Emile'a Séverin, Mireille chciała przyjechać na pogrzeb. Sprzeciwił się temu pomysłowi. „Wobec twojej mamy, wydaje mi się, że to by było w porządku... nie uważasz?” Zaprzeczył, a ona nie nalegała. Od tamtej wiadomości, którą nagrała na automatyczną sekretarkę, kiedy Estelle przebywała w Rochegude, Mireille była karana. I straszona. „Nigdy więcej nie rób tego - nakazał jej nazajutrz - bo jak nie...” Bo jak nie, to co? Nie odpowiedział. W głębi duszy jednak był jej wdzięczny. W jego stosunkach z Estelle wszystko było teraz jasne. Wojna.

I pomyśleć, że Marguerite i Emile nigdy nie dowiedzieli się, kim był. Tajemnica pochodzenia.

„Dziecko, które słowem nie powie o swojej przeszłości - powtarzali. - Musiał przeżyć jakiś wielki szok...”

Istotnie wielki.

Przygląda się przypiętej do ściany fotografii chłopczyka w białej komży. Tego właśnie dnia złożył przysięgę.

„Był taki skupiony” - wspominała Marguerite z podziwem.

Gdybyż się domyślała... Lecz nikt nie mógł się domyślić, co się działo w głowce małego komunikanta ze złożonymi do modlitwy rękoma, który, urzeczony dźwiękami organów i wonią kadzidła, składał przysięgę na aksamitnym klęczniku, że pomści kiedyś swoich bliskich. Nikt nigdy się nie dowiedział, co przeszedł i w jaki sposób zamierzał uwolnić się od koszmarów.

Czyż jednak można zatrzeć koszmary, gdy nie ma się mocy wskrzeszania umarłych?

Nie. Można jedynie karać w poszukiwaniu sprawiedliwości. Jak on ukarze Estelle. Estelle, która go nie poznała mimo znaków, jakie jej przesyłał. Estelle, która chlusnęła mu szampanem w twarz, jego szampanem, i nie chciała zrozumieć, kim on jest...

Niebawem dowie się. I to ją zaboli.

Strzeżony przez fotografie Pierre'a Séverin, Marceau Dupastre zasypia w końcu w łóżku, w którym spał jako dorastający chłopiec.

\*

Po odkryciu rokującego nadzieję fragmentu Via Agrippa, Raphaël przystąpił do działania. Rozpoczął starania o uznanie wykopaliska za zabytek narodowy. Wysłał list z prośbą o umieszczenie obiektu w Spisie Zabytków Historycznych, drugi zaś bezpośrednio do ministra. Trzeba było działać tym szybciej, że za kilka dni wyjeżdżał na miesiąc z Francji. W programie miał wygłoszenie serii odczytów w Chinach, zwiedzanie Tybetu, artykuły dla *Arkéo*...

- Nie mogę odwołać tego wyjazdu - tłumaczył - wiedzcie jednak, że z wysokości Wielkiego Muru zamierzam dawać baczenie na Via Agrippa!

Coś niematerialnego a ciepłego wywiązało się pomiędzy nim i Estelle.

Ich spotkanie nie było spotkaniem dwojga młodych ludzi stojących na początku życia, lecz istot ciężko już zranionych przez los.

Domyślała się, że jakieś głębokie cierpienie kryło się pod uśmiechem profesora.

Pragnęła zabrać go w samo serce najdroższych sobie wspomnień.

- Jeśli zgodzi się pani opuścić Cesarstwo dla Królestwa\*, zapraszam do boga Sylwena.

Nigdy nie zwiedzała Opactwa, które wznosi się nad Villeneuve-lez-Avignon i wieńczy szczyt Saint-Andaon. Wiedziała od Luka, że dziesięć czy piętnaście lat wcześniej Raphaël dokonał tam znaczących odkryć.

- Chciałbym pani pokazać, Estelle, pewną wizję przyszłości. Zarówno w opactwie, jak i u pani, nie wiedziałem zupełnie, co odkrywę, lecz miałem pewność, że coś znajdę.

Jadąc po stoku wzgórza wzdłuż murów obronnych, samochód dotarł do bramy pomiędzy wieżami i znalazł się na terenie opactwa. Tutaj panował Pokój.

Nie wiedziała, co ją bardziej wzrusza i zachwyca: wysoka fasada ze schodami

---

\* Żeglujący po Rodanie używali słowa Cesarstwo na określenie lewego brzegu, zaś słowa Królestwo na określenie prawego brzegu. Pozostałość z czasów, kiedy to święte Cesarstwo rzymsko-germańskie i królestwo Francji graniczyły ze sobą przez Rodan.

rozpostartymi jak wachlarz, ogród z kamienną fontanną, nad którą siedział zadumany posąg, długi taras otwarty na północ i na południe, na wprost Ventoux, wzbijające się do lotu spłoszone przez nich gołębie, a może powiew zimy w przyrodzie. Niebawem i tu zrywać będą oliwki.

Gaj oliwny piał się po zboczu aż do kaplicy, jak gdyby pragnął połączyć sanktuarium chrześcijańskie i tereny wykopaliskowe, nigdy nie zamknięte nad pogańskim cmentarzyskiem, tchnące zapachem starożytności, który bił od kamieni i grobowców.

Usiedli na maleńkim placyku przed kaplicą i patrzyli daleko ponad opactwem, ogrodami i ruinami, ponad równiną i Rodanem, na znajdujący się naprzeciw nich Pałac Papieski.

- Podczas prac wykopaliskowych, które trwały miesiącami - powiedział Raphaël - często zdarzało mi się wdrapywać tutaj wczesnym, mglistym rankiem. Avignon zniknął... Miałem nadzieję, że gdy się zerwie mistral, ukaże mi się miasto takie, jakim było w czasach papieży! Chciałbym ujrzeć armię królewską rozbitą obozem pod murami obronnymi i wieżami!

- Quiquenparle i Quiquengrogne\* nigdy się nie poddały! - rzekła Estelle z zarem, jak gdyby od tamtych czasów nie dzieliły ich wieki, a potem dodała: - Poprosiłam, by uznano mnie francuską w 1790 roku, a Zgromadzenie Narodowe w dniu 17 września 1791 roku spełniło moje życzenie. Przedtem należałam do papieży, do Cesarza Niemiec, księcia Orańskiego... i do Draka!

- Jak pani antenatka Donna Bianca?

- I tę legendę opowiedział panu Luc?

- Też *Semper Vigilans!* I doskonale rozumiem, że ma pani ochotę ratować to, co niewidzialne, a nawet to, co tylko wyobrażone... Trzeba *spytać nasze dawne cierpienia, w jaki sposób zdeterminowały nasze obecne działania... zbadać ślady tych, którzy przygotowali nasze obecne siedziby, aby nam wyjawili, przez co stali się tym, czym byli, abyśmy mogli stać się tym, czym jesteśmy...*

- Czy to nie słowa Elie Faure'a?

- Naprawdę jest pani niebanalną analfabatką - z zachwytem wykrzyknął Raphaël.

Długo przyglądała się grobowcom, z trudem tłumiała opanowujące ją silne wzruszenie.

Spytała Raphaëla, czy nie znalazł drobniejszych przedmiotów z gatunku tych, które zowią „archeologicznymi ruchomościami”, wówczas on poprowadził ją przez taras, pośród

---

\* Znane wieże Awinionu.

wciąż jeszcze zielonych drzew laurowych, do muzeum mieszczącego się pod sklepieniami.

Na drzwiach widnieje miedziana tablica:

**MUZEUM ARCHEOLOGICZNE  
IM. ANNE-MARIE FAUCONNIER**

- Tak - mówi - nazwaliśmy je tak ku czci mojej żony... była archeologiem. Wszystko to, co tutaj znaleziono, wykopaliśmy razem. Tuż przed...

Umilkł.

Ku czci mojej żony.

Oto dlaczego w jego śmiechu wyczuwało się jakieś pęknięcie, a smutek w jego oczach, szczególnie gdy się uśmiechał.

Lampki z brązu, fragmenty amfor, delikatne flakony z opalizującego szkła, potłuczone stelle, opowiadające o śmierci i cierpieniu ludzi...

*Duchom Zmarłej Orfei Phitété  
Titus Subrius Maximus swojej ukochanej małżonce*

Podobnie jak pozostałe, kartonik umieszczony pod nagrobną inskrypcją wypisano odręcznym pismem. Nadaje to muzeum charakter intymności i przytulności.

Nie czekając, aż Estelle zada pytanie, Raphaël wyjaśnia:

- Tak, to jej pismo.

- Wyjątkowo piękne - stwierdza Estelle.

Przygląda się jednak nie pismu, lecz młodej, promiennej kobiecie, która uśmiecha się ze ściany, trzymając w wyciągniętych ramionach, tak jak się trzyma dziecko, które dopiero co opuściło łono matki, amforę jeszcze oblepioną ziemią.

- Szczęśliwy dzień - wyjaśnia profesor - dzień naszego pierwszego znaleziska!

Wyczuwając, jak bardzo jest poruszona, zaproponował wspólny obiad.

\*

Jules Campredon musiał przysiąc na cmentarnym murku.

Doznał tak ogromnego wzruszenia, że serce łomocze mu teraz, kręci się w głowie, a nogi odmówiły posłuszeństwa... To, co przed chwilą przeżył, jest straszne.

Krajobraz pozostał nadal spokojny i znajomy. Zamek Papieski nad miasteczkiem,

ogółocone winnice, cyprysy jeszcze smutniejsze za sprawą zimy, spokojne chmury, jak przystało na bezwietrzny dzień, nic się nie zmieniło.

Jednakże odezwała się przeszłość.

Jules często przystaje przed grobem, którego nigdy nikt nie odwiedza.

<b>Jean Dupastre</b>	<b>1922-1957</b>
<b>Juliette Dupastre</b>	
<b>z domu Reviron</b>	<b>1925-1957</b>
<b>Sandrine Dupastre</b>	<b>1954-1957</b>

Wrywa chwasty, przeciera pociemniałe litery, modli się za duszę ojca, matki i dziewczynki. Mech zieleni się na płycie grobowca, na której nikt nigdy nie złożył kwiatu, nie uрониł łązy... aż do dnia dzisiejszego.

Dzisiaj jakiś przystojny mężczyzna o zboląym obliczu modli się przy grobie.

A tego mężczyznę Jules rozpoznał.

W dorosłym mężczyźnie o przymkniętych oczach odnalazł rysy zaginionego dziecka.

Nie zastanawiając się, w spontanicznym porywie, ruszył w jego stronę, by go uściskać i zapewnić, że nigdy nie stracił miejsca w jego sercu.

- Marceau!

Mężczyzna otworzył oczy. Oczy czarne z bólu i nienawiści.

- Marceau - powtórzył ksiądz głosem drżącym z nadziei - to ty?

- Myli się ksiądz - odparł mężczyzna zimno i nie oglądając się za siebie ruszył w stronę wyjścia z cmentarza.

Jules jednak się nie pomylił. Jest pewny, że to Marceau. Wiek się zgadza... a poza tym, któż inny oprócz Marceau, mógłby przyjść na ten grób?

Przeraża go nie to, że Marceau powrócił, gdyż ma całkowite prawo modlić się na grobie swoich bliskich, ale to, że nie chciał, by go rozpoznano. Nagle Jules czuje się stary i żalony. Tyle wie... Tyle rzeczy, których nie może wyjawic, tyle rzeczy, które musi przemilczeć...

Dlaczego Marceau go odtrącił?

Dlaczego wrócił po tak długim czasie? Poszukiwano go całe lata. Nigdy jednak nie zdołano się dowiedzieć, gdzie przebywa. A on wiedział, gdzie ich znaleźć...

Jules wstaje z trudem. Przed opuszczeniem cmentarza podchodzi do grobu rodziny Dupastre, żegna się znakiem krzyża i wolnym krokiem wraca do domu.



\*

Ze starym wiklinowym koszykiem Estelle wyrusza do lasu zbierać sosnowe szyszki. Nie masz nic lepszego nad nie do rozpalania ognia. A ponadto najdorodniejsze mają nasiona pomiędzy zwartymi łuskami. Amélie otwiera je w piecyku i zajadają się nimi.

- Cześć, Estelle!

Augustin, młody listonosz, który przychodził bawić się z Antoine'em i Lukiem, gdy byli mali, podaje jej list wysłany za pośrednictwem chronopost. Nim Estelle zobaczy nazwisko nadawcy, już wie, że pisze do niej Raphaël.

Wzięła pocztę - reklamy i pocztówkę od bliźniąt do Amélie - podziękowała Augustinowi i zdziwiła się, że przyszedł na piechotę.

- Jak nie jestem nadto spóźniony w moim objeździe, zostawiam samochód przy wjeździe do „Oliwek” - mówi, rumieniąc się, jak gdyby przyłapała go na gorącym uczynku, na przykład na wagarach. - Lubię przejść się tutaj - ciągnie, zachęcony uśmiechem Estelle - słucham ptaków, gwizdzę na kosy... Proszę nie rozpowiadać o tym, bo wezmą mnie za *paure nèsci*\*. No, komu w drogę, temu czas! Do jutra! Miłego dnia życzę!

Uwolniła się od koszyka, usiadła na ziemi na sztywnych kępach tymianku, pocztę ułożyła na szyszkach i otworzyła list od profesora:

*Moja droga Estelle!*

*Kiedy sobie pomyślę, że mogłem nigdy nie przebyć starego lasu, który do pani wiedzie... że mogłem nie natrafić na solniczkę, równie starą jak Legiony Cesara, i nigdy nie poznać matki Luka! Wie pani, Estelle, nie wierzę w przypadek, wierzę w wolę, która wykracza poza nasze rozumienie, a której siła pcha nas tam, gdzie musimy się udać. Tak więc nim wyruszę na Dach Świata, chcę pani powierzyć wiadomość dla oliwek.*

*Składam przysięgę, że uratuję pani oliwki. Od ognia, wody, betonu. Dla nich samych, dla pani, będę, jeśli pani pozwoli, „semper vigilans”.*

*Dziękuję pani za przyjęcie.*

*Musi być pani dzielna. Lecz wiem, pani j e s t dzielna.*

*Raphaël*

*PS.: Aha! Porywam Luka na okres mojej podróży, gdyż potrzebny mi asystent. Przrzekam pani, że zazdrośnie będę czuwał nad chłopcem. Z prostego powodu: nie mogę się bez niego obejść. Dziękuję!*

---

\* Biedny głupiec.

*PS. bis: Ciąg dalszy nastąpi...*

Schowała list do koperty i wsunęła ją pod sweter na gołą skórę. Szczęśliwa. Następnie wzięła koszyk i ruszyła zanieść oliwkom pomyślną wiadomość od Raphaëla.

Następny tydzień poświęca zbiorom. Gałązki oliwne uginają się pod owocami. Zbiory zapowiadają się bogate; tak pięknych nie było od lat. Ali i Mohammed przyjeżdżają w niedzielę, zapowiedzieli się też ludzie z młyna, którym płaciła połową zbiorów.

Drzewa patrzą na nią. Jej drzewa...

Bardzo stare, te, które przetrwały wszystkie przymrozki, wszelkie katastrofy, mszyce, koszenilę. Też najmłodsze, które polecił zasadzić jej ojciec. Także te, które wypuściły żywe pędy z wyschniętych, martwych, jak sądzono, pni.

Były przycinane na stary sposób. Jak bogowie uczyli ludzi tysiące lat temu. Tak, by gołębica przeleciała przez ich koronę, nie musnąwszy nawet jednego listka swymi skrzydłami, by światło padało równo i sprawiedliwie na każdą oliwkę.

Było bardzo zimno, lecz nie dbała o to. List od Raphaëla rozgrzewał jej serce... Nie przemawiała do oliwek. Po co? Objęła ramionami to drzewko, które zwano praojcem i przytuliła policzek do chropowatej, szarej kory. Przywarłszy do niego, przymknęła powieki. Wtedy uczuła krążenie głębokiej i spokojnej siły. Jej siły? Czy siły oliwnego drzewa?

Jakież to ma znaczenie?

Otwierając oczy, dostrzegła w oddali jakąś postać. Jakiś mężczyzna wchodził pod górę po wyniosłości terenu do najwyższej położonej winnicy.

W odruchu wzburzenia wypuściła z objęć praojca, zapomniała o koszyku i pobiegła przed siebie, żeby przychwycić intruza.

Posuwała się przez zarośla i krzaki, nie dbając o to, że drapią ją rozchylane gałęzie. Nie mogła znieść myśli, że ktoś narusza jej teren. Nie uświadamiała sobie niebezpieczeństwa. Przez głowę jej nawet nie przeszło, żeby pójść po Blaïda. Czuła spoczywający na sobie obowiązek czuwania nad posiadłością.

Wypadłszy z zagajnika, znalazła się na skraju niewielkiej winnicy, ale, wbrew oczekiwaniom, nikogo stąd nie zobaczyła.

Zbita z tropu, nie wiedziała, w którą ruszyć stronę. Mężczyzna zniknął.

Zawróciła do lasu. Kilka metrów od niej znajdowały się ruiny domu, w którym rozegrał się kiedyś dramat. Nigdy nie zachodziła tutaj. Nosiła się nawet z zamiarem, by wyburzyć do końca pozostałości. Jednak rozbiorka kosztowałaby zbyt dużo. Biedny dom... Ze ściśniętym sercem podeszła bliżej i nagle stanęła jak wryta.

Z ruin wyszedł mężczyzna i patrzył na nią w milczeniu. Potem rzekł wolno:

- Sądę, że teraz mnie poznajesz?

Mysłała, że zemdleje. Oczywiście, że go poznaje. Jak mogła wcześniej nie poznać? Nie domyślić się? Bardzo słabym głosem wypowiedziała jego imię:

- Marceau...

i jeszcze ciszej dodała:

- ...Ale dlaczego to zrobiłeś?

Roześmiał się z goryczą i wskazał ruiny.

- Myślę, że się pomyliłaś co do winnego, Estelle!

- Mówię o komedii, jaką przede mną odegrałeś... o kłamstwie... To straszne, że zrobiłeś coś takiego. Czekałam na ciebie, zawsze miałam nadzieję, że wrócisz, że się odnajdziemy i że będzie... jak dawniej.

- I śmiesz mi to mówić w tym miejscu? Że będzie jak dawniej? Chyba nie zrozumiałaś! Posłuchaj więc, co ci powiem: moi bliscy zginęli z winy twojej rodziny, a ja wróciłem ich pomścić! Przyszedłem odpłacić złem za zło! Zetrzeć twój pałac z mapy ziemi. Długie lata, całe moje życie żyłem tylko dla tego celu!

W ciszy, jaka zapadła, jakiś ptak wyśpiewywał swoją radość, a Estelle krzyknęła:

- Ocknij się, Marceau! Popatrz na tę przyrodę! Zlituj się nad nią. Odszukaj swoje wspomnienia!

- Moje wspomnienia? Moje wspomnienia są tutaj! - powtórzył pokazując ruiny. - Widzisz to drzewo, które rośnie tam, gdzie żyła moja rodzina? Słyszysz, jak śmigają dzikie zwierzęta tam, gdzie było moje ognisko domowe? Jestem przekonany, że jak by dobrze poszukać, znajdzie się jeszcze ślady krwi! Mojej krwi! A ty byś chciała, żebym się zlitował? A kto się litował nad nami? Możesz mi powiedzieć? Nikt!

- Marceau, ja ci nic nie zrobiłam!

- Ty? Powiem ci, co mi zrobiłaś. Mogłaś żyć beze mnie!...

Popatrzył na nią z takim bólem, że uczyniła ruch w jego stronę. Nie zauważył tego, odwrócił się do niej plecami.

- ...W pierwszych dniach lipca - ciągnął, jak gdyby mówił sam do siebie - znowu cię zobaczyłem. W sklepie z owocami robiłaś codzienne, zwykłe zakupy, kupowałaś skromne produkty, które składają się na codzienne szczęście. Zapragnąłem cię, osiąść tę, którą tak bardzo kochałem... odnaleźć szczęście z okresu dzieciństwa... Spróbowałem, przepraszam. Możesz być teraz spokojna, skończone! Teraz mam już jasność w duszy. Nic już mnie nie powstrzymuje! Twój dom zostanie zburzony, posiadłość zatopiona. Dlatego że nie mogę zapomnieć, że jesteś córką Paula Laborie! A ja nienawidzę pamięci o nim! Powiem ci, do

jakiego stopnia: nim skieruję wody Rodanu na „Oliwki”, zrobię jak Rzymianie, gdy zdobywali miasto, które chcieli ukarać. Rozsypię sól na ruiny, by je skazać na śmierć. Nawet jeśli kiedyś wody by się cofnęły, ziemia będzie jałowa na zawsze!

- Oszalałeś, Marceau! - wyszeptała przerażona jego majakami.

- A czyja to wina?

Wyminął ją i zaczął się oddalać. Jeszcze się odwrócił.

- Pora, byś się pożegnała! - powiedział, ruchem ręki wskazując krajobraz. - To już długo nie potrwa...

Patrzyła za odchodzącym, aż zniknął na drodze biegnącej przez las. Łzy płynęły jej po policzkach, a ona nawet nie pomyślała, by je otrzeć.

Położyła dłoń na piersiach, przyciskając do serca list od Raphaëla.

Pożegnać się? Nigdy!

Wygra tę wojnę.

Gorzka pewność zwycięstwa.

Marceau wrócił, a ona utraciła go na zawsze.

### III

Mistral mrozi do szpiku kości.

Błotojad przegania chmury nad „Oliwkami” i zdaje się nie przejawiać chęci, by oszczędzić obie kobiety, które usiłują spędzić zimę w domu. Niekiedy wiatr lombardzki przyłącza się do mistrala i przynosi mróz z Delfinatu i z ośnieżonych szczytów.

Przybiły deski do rozeschniętych okiennic, poutykały watą okna, pozawieszały portiery, ustawiły parawany... nic nie pomaga.

- Tylko popatrz - mówi Amélie - przyjrzyj się drzwiom w kuchni! Koń by pod nimi przeszedł, i to z zadartym ogonem!

Na szczęście drewna nie brakuje. Mają już od niego ręce szorstkie, spierzchnięte, pełne zadr. Błażd porąbał martwy cyprys. Drewno cyprysu dostarcza nie tylko ciepła, ale i światła. Pozostawia też niestety czarną, tłustą sadzę, która osiada w przewodach kominowych. Trudno, później komin się przeczyści. Czasami wieczorem Estelle rozświetla salon, paląc tymianek, liście laurowe, rozmaryn; trzeszczą sosnowe szyszki... ale każdego ranka w wyziębionych kominkach pozostaje tylko popiół. I trzeba wszystko zaczynać od początku.

Namawiała Amélie, żeby na zimę przeniosła się z powrotem do Châteauneuf. Tam ma przynajmniej swój piec, kuchnię węglową, swój skromny komfort. Amélie podniosła wrzawę:

- Nie zostawię cię tutaj samej, biedna ty moja! Nawet gdyby Rodan miał zamarznąć!

Zbiory oliwek spełniły wszelkie oczekiwania. Praojciec wydał tyle owoców, co młodzieniaszek. Oliwa będzie wspaniała.

Oliwa nie czyszczona, oliwa dla nosa, oliwa dla podniebienia...

Amélie gotowała z zapalem, żeby swoimi potrawami podtrzymać na ciele i duchu wszystkich pracujących przy zbiorach. *Daubes* i *pannequets*, makaron zapiekany, potrawy, co rozgrzewają i sycą.

Po tym szumnym okresie, po odjeździe ludzi, którzy pracowali przy zbiorze oliwek, Estelle i Amélie ogarnęła wielka samotność. Od dawna już, od nadejścia zimy, nie zaglądali też klienci.

Raphaël i Luc polecili do Chin.

Philippine nie pojawiła się od czasu bolesnego starcia z matką. Przebywała wciąż w Rosji.

- Mój Boże, ależ musi jej tam być zimno! - biadoliła Amélie, usiłując zgrabiętymi palcami rozniecić ogień w lodowatym salonie.

Tylko Rémy odwiedził pewnego dnia Estelle.

Był zażenowany, skrepowany, zawstydzony, że nawet przelotnie uwierzył w odchylenia umysłowe Estelle. Wydawał się nieco zagubiony i bardzo nieszczęśliwy. Nie może dojść do siebie po zerwaniu z Carlą.

- Ale dlaczego od ciebie odeszła?

Nie ma odwagi się przyznać, że przyczyną było jego zwątpienie w pomyślny wynik ekspertyz.

- Jakaś nowa narzeczona? - docieka Estelle.

Przecząco kręci głową, zatroskany, dotknięty.

- Wiesz o Antoine'ie?

Estelle wie od Sophie, że jeden z jego komiksów zostanie wydany przez Dargaud i że Carneau-Développement zamówiło u niego pracę. Wie niestety również, że pobił się z Lukiem...

Rémy kręci głową.

- Sophie nie opowiedziała ci o Enghien?

- Nie... Co się stało w Enghien?

Antoine przegrał w kasynie całe honorarium, jakie otrzymał od wydawców, a nawet trochę więcej, i od tego czasu nie trzeźwieje.

- Mój Boże! - szepcze poruszona Estelle.

I raz jeszcze czuje się winna.

Co robić?

- Jednego nie rozumiem - ciągnie Rémy. - Co się dzieje między Sophie i Antoine'em?

Estelle chciałaby umieć odpowiedzieć na to pytanie, lecz sama nie jest w stanie połapać się w ich stosunkach.

- Sophie unika go... a przecież jestem pewna, że go kocha! Biedny Antoine... Widzisz, z trójki naszych dzieci, on właśnie najbardziej ucierpiał z powodu naszego rozstania.

Spoglądają na siebie. Przyjaźnie. „Wspaniały rozwód!” o mało nie zacytowała Estelle, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że to Carla wymyśliła to określenie.

- A wracając do Antoine'a - ciągnie Rémy - chciałem cię o coś prosić... Widzisz,

miałem jechać na Seychelles na Boże Narodzenie... z Carlą. Skoro teraz nie ma o tym mowy, pomyślałem sobie, że może mógłbym zabrać ze sobą Antoine'a...

- To wspaniały pomysł! Rozmawiałeś z nim?

- Nie. Chciałem najpierw upewnić się, czy nie sprawi ci to przykrości, na wypadek gdybyś miała jakieś plany na święta...

- Będę taka szczęśliwa, że jest z tobą!

Podala mu rękę.

- Wyciągniemy go z tego, Rémy! Umowa stoi?

- Przysięgam! - odpowiedział.

Dopiero tuż przed odejściem Rémy wyjawiał jej:

- Wiesz, odstąpiłem swoje udziały w „Oliwkach” przedsiębiorstwu Carmeau-Développement pod... Cykad-Land... Ale jest tam warunek, że sprzedaż dojdzie do skutku dopiero wtedy, gdy ty się zgodzisz na sprzedaż swojej części posiadłości.

Zmroziło ją.

- Zrobiłeś to?

- Musiałem jakoś zasłużyć na przebaczenie...

Odprowadziła go do krwistoczerwonego, wspaniałego ferrari. Siadał już za kierownicą i nagle stuknął się w czoło:

- Byłbym zapomniał! Sophie powiedziała, że odwiedzi cię po Bożym Narodzeniu. Zamierza wyjechać na tydzień w góry. Myślę, że wybryki Antoine'a bardzo ją poruszyły.

Nie wiedzą nawet, w jakim stopniu. Nie wiedzą, że w rzeczywistości wigilię spędzi samotnie w klinice profesora Dupré. Cieszą się, że się przewietrzy, rozerwie. Nie domyślają się kroplówek, naświetlań, chemioterapii, od której kręci się w głowie, mdli i robi się słabo.

- Dobrze, że pojedzie wypocząć - cieszy się Estelle. - Gdy ją ostatnio widziałam, miałam wrażenie, że jeszcze bardziej schudła. Jak wróci, spytam ją po cichu o Antoine'a. Tak bym chciała, żeby byli szczęśliwi.

- Ja też.

- Udanej podróży!

- Wesółych Świąt! - życzy jej Rémy przy imponującym wtórze trzystu koni.

Zbliża się Boże Narodzenie z girlandami ostrokrzewu, dzwonkami i po brzegi wypełnionym koszem. Radość dla jednych i lzy dla drugich.

Marceau pamiętał o życzeniu Marguerite.

Spędzi święta w Noirétable z nią i z Robertem.

Aż do ostatniej chwili Mireille miała nadzieję, że zaprosi ją do swojej rodziny. Daremnie.

Przed wyjazdem spytał ją uprzejmie:

- No a ty, Mireille? Jak spędzisz Boże Narodzenie?

- Dotrzymam towarzystwa dzieciom w sierocińcu Saint-Joseph.

Nagle wzruszony, ujął dłonie Mireille!

- Jesteś dobrym merem, Mireille!

- Staram się - odparła z uśmiechem, sama równie wzruszona. - Marceau... - zaczęła z wahaniem.

- Tak?

- W nocy coś ci się śniło... wołałaś Estelle trzy razy...

Mówi łagodnym głosem. Z obawą. Od czasu incydentu z automatyczną sekretarką rozmawiają o Cykad-Landzie, o projekcie, czasami o „Oliwkach”, lecz nigdy nie wymawiają imienia Estelle.

Marceau ma nadzieję, że Mireille nie słyszy bicia jego serca; ma sobie za złe, że nie panuje nad swymi snami. Po ostatnim spotkaniu z Estelle nie może dojść do siebie Zresztą po każdym ich spotkaniu... Żeby się ratować, próbuje obrócić wszystko w żart.

- Koszmar! - mówi, jak gdyby rewelacja Mireille była zabawna.

- Koszmar, który powtarza się często...

Patrzą na siebie w milczeniu. Nieoczekiwanie bierze się w garść.

- Jest coś nowego... Miałem zamiar porozmawiać o tym z tobą. Ona już wie, kim jestem.

- O Boże! - wykrzykuje przerażona Mireille. - Jak się dowiedziała?

- Spotkaliśmy się przypadkowo...

Nie mówi, gdzie to było; nie mówi, jaki przebieg miało ich spotkanie, po prostu dodaje:

- Dopomogłem jej się domyślić.

- Ale to bardzo niebezpieczne! Wszystkim rozpowie! Będzie...

Przerywa jej w pół słowa:

- Nic nie powie!

- Jesteś tego taki pewny?

- Znam ją długo...

- Znałeś ją jeszcze dzieckiem!

- Nie zmieniła się! Nadal jest dumna i wyniosła jak wszyscy Laborie! Nie ma ochoty



wyciągać dramatu sprzed lat... Wstyd jej, rozumiesz!

Mireille nie jest o tym tak bardzo przekonana. Żeby ją uspokoić, przytula do siebie.

- No, nie bój się! Wszystko układa się pomyślnie i czas jest bliski! Nie dowierzasz moim zapewnieniom?

Mireille spogląda na niego ze sceptycyzmem, więc Marceau wyjaśnia:

- Dobrze! Powiem ci wszystko! Estelle myśli, że będzie mogła doprowadzić do anulowania projektu, powołując się na ochronę spuścizny narodowej. Dabert mi o tym powiedział. Wiesz, jak bardzo zależy mu na Cykad-Landzie! I nie tylko ze względu na łączącą go ze mną przyjaźń!

- Tysiąc miejsc pracy!

- Tysiąc miejsc pracy. Ale oto, po posiedzeniu Rady Ministrów, jego kolega z Ministerstwa Kultury przekazał mu list pewnego profesora, archeologa, który prosi go o wpisanie „Oliwek” do Rejestru Zabytków Historycznych. Ni mniej, ni więcej... Znalazł tam jakąś skorupę, a robi takie zamieszanie, jakby odkrył amfiteatr antyczny!

- Jak on się nazywa?

- Raphaël Fauconnier.

Nie podoba mu się to nazwisko. Imię archanioła, nazwisko tresera drapieżnych ptaków, najeżone skrzydłami i piórami.

Mireille zdaje się szukać w pamięci.

- Coś mi to przypomina... Ale, Marceau, gdyby on miał rację? Gdyby pod „Oliwkami” odkrył pozostałości dawnej cywilizacji? To taki teren...

Marceau śmieje się w głos.

- Mówię ci, że nie ma się czego obawiać! Mamy pieczę nad tym archeologiem! A ja szczególnie. Akurat teraz przebywa w Chinach, a kiedy wróci, wszystko już będzie załatwione i będzie mógł grzebać w ziemi gdzie indziej! Zajmuję się tym, Mireille!... Czy to ciebie uspokoiło?

- Kiedy on wraca?

- Jeszcze nie wiem. Termin zależy od Daberta.

- Termin?

- Termin hallali\*! - rzuca, całując ją.

\*

... z pieca na topolowy stół

---

\* Okrzyki połączone z dźwiękiem rogów myśliwskich, sygnalizujące osaczenie zwierzyny.

*wjeżdża świąteczny chleb...*

*Już płoną trzy świeczki.*

*Nowe, jasne, święte,*

*A w trzech białych misach*

*Kielki nowej pszenicy...*

Obawiała się, że nie przypomni sobie. To takie stare. Od tamtego dramatu nie obchodziła świąt Bożego Narodzenia „Pod Oliwkami”.

Udała się więc do biblioteki, rozpałała ogień w kominku, jak często czyniła, by ogrzać książki pradziadka-felibra; mniej będą ziębiły dłonie. Wzięła z półki *Mirejo* w pięknym wydaniu oprawionym w czerwoną skórę i odszukała wersy pieśni VII, mówiące o świętach. Mistrz napisał ją, a potem postanowił usunąć. Znalazła więc na końcu poematu, w przypisach. Odczytała uważnie cenne przesłanie, jak z pietyzmem ściskany przepis praprababki.

*Le Gros Souper* \*.

Następnie w dni Adwentu wszystko przygotowała w samotności wyludnionego domu. Błaż jest u syna, jak co roku o tej porze. Przesyła mu korespondencję do Ambasady Francji w Madrycie. Zabrał ze sobą magnum châteauneuf-du-pape, by ofiarować wino ambasadorowi, który jest koneserem.

Amélie jest w Cassis u dzieci.

Płakała odjeżdżając.

- Jedź ze mną, moja śliczna!

Jednocześnie doskonale wiedziała, że nic nie zmusi Estelle do opuszczenia „Oliwek”.

- Nawet gdyby Rodan zamarzał!

- Niech Bóg ma cię w opiece! - odpowiedziała Amélie.

Wówczas to zostawiła jej strzelbę, którą Paul Laborie przyniósł z partyzantki.

- W testamencie zapisał ją mojemu biednemu Etienne'owi. Strzelba jest stara, ale raz na miesiąc ją oliwię. To głupie... ale będę spokojniejsza, wiedząc, że masz ją przy sobie... A będziesz chociaż potrafiła się nią posłużyć?

- Oczywiście! - zapewniła Estelle, nie mając najmniejszego pojęcia.

- I pomyśleć, że samiuteńka zasiądziesz do wieczerzy!

- Nie sama, bo przyjedzie Samuel, a nawet Jules, jak skończy odprawiać mszę.

- Tak, ale dzieci...

Dzieci nie będzie, to prawda. W czasie świąt tak bardzo rodzinnych - trochę żal. Cóż,

---

\* Postny, lecz wystawny, posiłek podczas Bożego Narodzenia.

stanowi to jednak część próby. Musi sobie zasłużyć na szczęście. Jak w rycerskim eposie.

Własnymi rękoma, sama, doprowadziła dom do stanu idealnej czystości. Gdyż nie ma nic lepszego na świecie, niż ściereczka nasączona woskiem, by uwolnić umysł od smutku i cierpienia. A poza tym - kto wie? - może w okresie świątecznym pojawią się klienci? Wypolerowane, olśniewające, stare przedmioty czekają.

Strzelbę położyła obok łóżka. To tylko placebo, ale bawi ją ta przedpotopowa, udająca groźną broń.

Nour śpi teraz u stóp przodków. Wart jest wszystkich strzelb świata. Przed wyjazdem Blaïd przemawiał do niego po arabsku. „Co mu powiedziałaś, Blaïdzie? - Powierzyłem jego opiece dom i ciebie, pani Estelle”.

Odtąd pies nie spuszcza jej z oka. Zastanawia się nawet, czy w nocy nie dzwoni po kryjomu do ambasady, żeby przekazać nowiny swemu panu.

Timouleoun, Filougouno, Toumas, Ounourat, Vitòri, starzy święci i święte, których wygnano z kalendarza, następowali po sobie, by ustąpić miejsca Saint Ives, temu co poprzedza Calèndo\*.

Stroi się i upiększa, jak gdyby miała przyjąć papieża we własnej osobie - oczywiście papieża z Awinionu! Dziś wieczorem włoży kolczyki Eulalie, kiście z granatów, i pójdzie do galerii portretów pokazać je ofiarodawczyni. W ostatniej chwili wsuwa na mały palec „czosnkowy pierścionek”, który podarowała jej Apolline w dniu dziewiątych urodzin.

„Podaruję ci w prezencie dziwny pierścionek - bague d'ail\*\*”.

Estelle od matki chrzestnej gotowa była przyjąć wszystko, nawet gdyby to była biżuteria z czosnku do odstraszenia wampirów. Chodziło tu jednak o szklane pierścionki, jakie niegdyś sprzedawano na jarmarku w Beaucaire. Takie, które krzyczą „Aj!”, gdy się je tłucze.

Tego nigdy nie stłuczono. Szklany pierścionek ozdobiony czerwonym kamieniem od lat śpi w pudełeczku na niebieskiej watce. Dziś wieczorem weźmie udział w święcie.

Estelle rozgląda się wokół siebie. Ogień płonie na kominku, oczekując *cacho-fiò*, czyli polana z drewna owocowego, które w nocy polewa się winem.

4 grudnia, w dniu Świętej Barbary, zasiała pszenicę, a nawet soczewicę, jak to robiła w dzieciństwie. W kącie salonu ustawiła wielką szopkę z nieco połamanymi, posklejanymi

---

\* *Święto podczas Bożego Narodzenia w Prowansji, nazwane w ten sposób ze względu na kalendy styczniowe, pogańskie święto przejęte przez chrześcijan i mylone ze Świętem Narodzin Chrystusa. (Trésor du Félibrige, F. Mistral).*

\*\* „Ail” (czytaj: aj) - czosnek.

świętkami, tak starymi, że nie śmia przyznać się do swojego wieku. Trzej Królowie ruszyli już w drogę do żłóbka. Dotrą tam 6 stycznia, by ofiarować mirrę, złoto i kadzidło dzieciątku, nad którym pochyla się wół, który zgubił jeden róg i osioł bez ogona. Każdego dnia Estelle przesuwa trzech Króli bliżej Gwiazdy. Dziś wieczorem Baltazar opuści gerydon, by stanąć na ornamencie dywanu.

Stół, ustawiony niezbyt daleko od kominka, gdyż noc jest gwiaździsta i mroźna, nakryty jest trzema białymi obrusami ku czci Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Trzy najpiękniejsze białe obrusy, które haftowały i sygnowały swoimi inicjałami kolejne kobiety w rodzinie. Stół jest wielki, tak, żeby cała wieczerza mogła się na nim zmieścić od początku posiłku.

Posiłek jest postny.

Surowe selery naciowe i filety z anchois w oliwie z oliwek, smażony dorsz, boćwina, *tian* ze szpinaku... a przede wszystkim trzynaście deserów symbolizujących Jezusa i jego apostołów, nawet tego złego!

Estelle liczy i przelicza... figi, orzechy, migdały, rodzynki, *calissons* z Aix, czarny i biały nugat, placek z dynią, podpłomyki/bugaje, anyżek, winogrona, pomarańcze, daktyle...

Trzynaście!

Kładzie świątecznie zawinięte prezenty przed talerzami Julesa i Samuela, podziwia wielkie strąki zebrane z igliczni amerykańskiej, w których pada gotowane ślimaki, sprawdza, czy nie cieknie wazon z opalizującego szkła, do którego wstawiła różę, zapala kandelabry na kominku, dorzuca polano do ognia...

Nour wodzi za nią uważnym okiem. Nie trzeba mu tłumaczyć, jaki to dzień dzisiaj, dobrze wie.

Dom cały trzeszczy. Wiatr gwizdże i wyje. Ogień trzaska w kominku. Estelle siada, czoło pochyla ku płomieniom. Pies kładzie się u jej stóp z westchnieniem zadowolenia. Kot pozostawia mu salon, sobie zachowując prawo do kuchni; nadal jest strachliwy, nie całkiem pewny, czy pragną go tutaj. Lecz z nastaniem chłódów nie opuszcza prawie koszyka, w którym śpi. Tylko czarny pyszczek wysuwa z gniazda wymoszczonego w starej, wełnianej odzieży. Towarzyszy temu nieustające mruczenie.

Meitchant-pèu, drugi tego imienia.

Wszystkowiedzący, co się samo przez się rozumie, zrezygnował wobec takiej ilości zaborców ze spędzania zimy w domu. Wcisnął się gdzieś w rozpadlinę ziemi za budynkami gospodarczymi. Tam, w ciszy i spokoju, okręci się wokół niewidzialnego i zasypia.

Spokojny.

\*

Estelle aż się wzdrygnęła na dźwięk dzwonka telefonu. Pies unosi i przechyla głowę słuchając z napięciem, gdyż ton głosu Estelle zaalarmował go: to rozmowa, która się liczy.

Dzwoni Philippine. Telefonuje do matki z zapory w Brakwowodzie na Syberii, gdzie Jean-Edmond przyjechał do niej na Boże Narodzenie.

- Nie, nie jestem sama - zapewnia poruszona Estelle. - Spodziewam się Samuela i Julesa na *Gros Souper*... Przekażę im!.. Tak!... Wesołych Świąt życzę i tobie, i Jean-Edmondowi! Co mówisz?... Tak, ja też, też bardzo cię kocham... No i... Halo! Halo?... Philippine!... Halo?... O! Przerwało - wyjaśnia psu, który współczuje, ze zrozumieniem merdając ogonem.

Jakież wspaniały prezent! Philippine powiedziała: „Kocham cię, mamoo...”

Estelle patrzy w lustro i aż się dziwi, że tak błyszczą jej oczy... Która to godzina?

Stojący zegar odpowiada jej, wybijając majestatycznie dziesięć uderzeń, które natychmiast powtarza mały zegar, wahadłowy ze złoczonego brązu, niezwłocznie wtóruje mu jeszcze jeden ścienny z epoki Ludwika Filipa. Cóż to za rupieciarnia ten salon!

Dziesiąta? Sądziła, że już później. Jest gotowa i wszystko przygotowane, co będzie robić do przybycia gości?

\*

Siedząc przed ogniem w pustym domu, nie może się opędzić od wspomnień. Płomienie tańczą w kominku. Takie same płomienie tańczyły w tym samym kominku trzydzieści sześć lat temu.

Trzydzieści sześć lat temu... Już?... Tylko!...

Ileż to osób zasiadało wtedy wokół wielkiego stołu! Ileż było hałasu, śmiechu... zycia! Trzydzieści sześć lat temu, w 1956, „Pod Oliwkami” obchodzono Boże Narodzenie jak niegdyś w Mas du Juge\*. Honorowano starożytny obyczaj, by nie być obsługiwanym. Tego wieczora najskromniejszy sługa w majątku zasiadał do stołu razem z gospodarzami. Czyż gospodarze nie byli przede wszystkim sługami ziemi? *Métier vaut baronnie*\*\* , jak rzecz przysłowie. Rozmawiano po francusku, rozmawiano po prowansalsku, mówiono o winie. I nikt nie mógł przewidzieć tej Gwiazdki 1956 roku, że tak bliska była klęska szczęścia i honoru.

Jakimże cmentarzyskiem jest pamięć! Babka, ojciec, matka, rodzina Dupastre.

---

\* Dom, w którym urodził się Fryderyk Mistral w 1830 roku.

\*\* Dobry fach wart baronii.

Sandrine śpiąca na poduszce jak dziecina w żłóbku... Wszyscy oni odeszli - ostatni świadkowie ostatnich świąt. Tylko Jules, Samuel i nieśmiertelna Apolline są jeszcze na tym świecie.

Jeszcze ona. I Marceau.

Widzi go znowu, jak wychodzi spośród ruin, cierni i spustoszenia zniszczonego domu.

„Myślę, że teraz mnie poznajesz?”

Dlaczego życie tak się na nich zemściło? Ich małe rączki nie były winne przelanej krwi. Dlaczego oni płacą za błąd, którego nie popełnili?

„Gdzie jest Marceau? Czy Marceau wróci?”

Przez wiele miesięcy zadawała sobie te pytania. Nigdy nie uzyskała na nie odpowiedzi, jakiej pragnęła. W końcu umilkła, żywiąc jednak nadal nadzieję, że powróci.

Powrócił. Żeby ją zniszczyć.

Marceau, budowałeś własne życie, by zetrzeć z mapy „Oliwki”... by rozsypać sól na ich ruinach... Jak to możliwe? Marceau, to ja, Estelle. Twoja Estelle. Gdybyś wiedział, jak za tobą tęskniłam!

Wspomina szczęśliwe przekomarzenia. Dwoje dzieci stawia bućki przed tym właśnie kominkiem, dwójka dzieci szuka wielkanocnych jajek wokół fontanny. Winobranie, zbiory oliwek, gałęzie uginające się pod ciężarem kandyzowanych owoców, Świętego Marka, Świętego Jana, świętej Estelle...

Czuwał nad nią. Wszędzie. Chronił ją z wyższością, jaką dawały mu czterysta siedemdziesiąt trzy dni, których liczył sobie więcej od niej.

„Owce!”

Biegli aż do Via Agrippa, żeby przyglądać się trzodzie wyprowadzanej na wypas i pnącej się na górskie łąki. Trzymał jej rękę w swojej dłoni.

„Chodźcie szybko zobaczyć! - wołał tata. - Niedługo ten zwyczaj zupełnie zaniknie!”

Powietrze rozbrzmiewało dzwonkami, wibrowało, ziemia drżała, a tymczasem becząca armia wzbijała kurz na drodze. Tata miał rację. Od dawna już owce porzuciły kamieniste, górskie redykowe ścieżki i podróżują teraz ciężarówkami, lecz Marceau i Estelle widzieli jeszcze na własne oczy stada owiec, słyszeli pokrzykiwania pasterzy, beczenie owiec, poszczekiwanie psów. Pamięta jeszcze wielkiego barana, przewodnika stada, który kroczył pełnym godności krokiem, a za nim jak za królem postępowała reszta.

Czy Marceau pamięta go jeszcze?

I zranionego kruka, którego karmili na strychu przez całe lato...

Czyż baran i kruk nie mają mocy, która by ich do siebie zbliżyła?

Sól rozsypana na ruinach...

Oszalał.

To, że pragnie się zemścić, Estelle może zrozumieć.

Jest nawet w stanie zrozumieć, że chciał się na n i e j zemścić.

Ale nie może pogodzić się ze sposobem, w jaki pojawił się znowu w jej życiu. Kolacja w Rochegude pozostawiła w niej uczucie przerażenia. Zamek Diabła... Gdyby nie zbawienna złośliwość Mireille, byłaby... jakaż hańba! Nie mogła przecież wiedzieć. On jednak wiedział, kim była. I co sam robi. Czego chce.

Gdyby przybył zobaczyć się z nią i powiadomić ją o swojej woli zburzenia „Oliwek”, walczyłyby z lojalnym przeciwnikiem. Jednak mężczyzna, który złożył w jej dłonie figurkę Cyganki, mężczyzna o czarnych błyszczących oczach, który oddawał cześć jej urodzie, nadskakujący gość „Pod Oliwkami”, który zawitał tam jako przyjaciel, szarmancki gospodarz, który mówił: „Będę zawsze przy pani”, ten mężczyzna okazał się zdrajcą. Zdrajcą małego chłopca, którego kochała, chłopca, który ją kochał.

Nour otwiera jedno oko, strzyże uchem, podnosi się i biegnie ku drzwiom, poszczekując radośnie.

Pogrążona w rozmyślaniach, nie słyszała samochodu Samuela, który wchodzi opatulony do salonu, wnosząc ze sobą chłód z zewnątrz.

Spogląda na stół i na szopkę z takim wzruszeniem, że zapomina ucałować Estelle i podrapać psa między uszami.

- Nie może być... - szepcze.

- Staralam się przypomnieć sobie - mówi Estelle. - Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałam.

- Można by pomyśleć, że przenieśliśmy się do niegdysiejszych czasów...

- Niegdyś było nas ponad dwadzieścia osób, dziś wieczorem będziemy we troje.

Dopiero teraz odwraca się do niej, ściska ją, wita się z psem i pozbywa prezentów, które trzymał dotąd w ramionach.

Przyjechał wcześniej, gdyż od Fourcade'ów obiecali, że podwiozą Julesa po mszy.

- Po mszy - powtarza z naciskiem, zdejmując płaszcz. - Niegdyś, nie tak znowu dawno temu, odprowadzano trzy msze... no a parę dni temu Jules mi powiedział: „Zobaczysz, że niebawem, żeby nie fatygować owieczek, będzie się odprawiać tylko jedną w roku!”

- Skoro mowa o mszy, może powinnam pójść do kościoła, żeby mu sprawić przyjemność?

Na to Samuel się lekko uśmiecha. Zasiada naprzeciw niej przed kominkiem i wyciąga

dłonie do ognia.

- Wiesz, jaki jest Jules? Ma charakter, a nawet czasami jest nieznośny! Ale wszystko rozumie. W dniu, w którym pójdziesz do kościoła, by zrobić sobie - właśnie sobie - przyjemność, tego dnia dopiero będzie zadowolony. Taki już był pięćdziesiąt lat temu w ruchu oporu. Miał prawie dwadzieścia cztery lata, ale już swoje wiedział!

Marzy o przeszłości i szepcze:

- *Pobraliśmy się raz na zawsze wobec absolutu.*

Mogłaby dalej mówić te wiersze Rene Chara\*, recytować całe pasáže tych poetów w hełmach, dla których słowo Wolność stało się istotą z krwi i ciała. Pieśń rycerska partyzantów z Ventoux kołysała ją do snu w dzieciństwie. Ją i Marceau.

To było ich dzieciństwo. Wspólne.

Mówił jej:

„Mój tata, twój tata, ksiądz i doktor, to oni we czterech wygrali wojnę”.

- Bardzo się między sobą różniliśmy, my tam wysoko, na górze - ciągnie Samuel. - Twój ojciec nie wierzył w Boga... Inaczej było w moim przypadku, no i z Julesem. Kogo tam nie było... Hiszpanie, dwóch Polaków, jeden komunista, a nawet jeden kombatant z Croix-de-feu... lecz każdy szanował poglądy innych!

- Czy mogę ci zadać niedyskretne pytanie?

Przyzwalająco kiwa głową, więc Estelle mówi dalej.

- Jesteś praktykującym Żydem, więc jak to się dzieje, że zawsze obchodzisz Boże Narodzenie razem z nami?

- Ależ ja jestem prowansalskim Żydem! *Siéu un judiéu dóu Coumtat\*\*!* Z nas wszystkich, jestem, być może, tym, który sięga najdalej korzeniami w tym kraju! Nawet Jules może udokumentować obecność swojego rodu najwyżej do roku 1427, choćby się nie wiem jak wściekał! Zadomowiliśmy się tutaj dawniej niż twoja rodzina! A to doprowadzało do wściekłości twojego ojca! Moja rodzina, moja Estelle, żyła tutaj na długo przed edyktem Konstantyna. Leczyli Galów, Rzymian, Barbarzyńców, Wolsków! Papieży! Mój pradziad Elie...

- Doktor?

- Nie mylisz się, wszyscy Samuelowie byli lekarzami! *Divinum est opus sedare*

---

\* René Char (1907-1988) - urodzony w l'Isle-sur-la-Sorgue, poeta i bojownik ruchu oporu.

\*\* Jestem Żydem z Księstwa (prowansalskim).



*dolorem*\*. No tak, mój pradziad utrzymywał, że wywodzimy się od sire Mardochee, króla lekarzy, który leczył barona Ponsa, wiesz, o kim mówię?

- O ojcu Nerte, który sprzedał córkę diabłu, żeby spłacić przegraną.

- O nim to właśnie!

Estelle uwielbia tę mieszaninę dat historycznych, nazw własnych i legendarnych postaci prowansalskich, w których bardzo rzeczywiste stworzenia wywodzą się równocześnie od księcia Baux\*\* i wróżki z baśni, o ile nie od jaszczurki, jak Drac! Wychowała się w królestwie Ducha Fantastycznego, które jest zarówno królestwem Boga, tym królestwem otwartym przed dziećmi i ludźmi o czystych sercach, w którym można zawiesić płaszcz na promieniu słońca i usłyszeć, jak kamienie la Crau\*\*\* mówią amen. A dzisiejszego wieczora Estelle ma ochotę znowu wejść na tę drogę i uwierzyć w to, co nie do wiary, bo jest Boże Narodzenie.

- Boże Narodzenie! - powtarza w zamyśleniu Samuel. A gdybym ci powiedział, że moje pierwsze Boże Narodzenie świętowałem właśnie na stokach Ventoux zimą 1943 roku, w szalasię, w którym się chowaliśmy na przełęczy des Tempêtes... Zajadaliśmy ziemniaki - ależ to była ucztą! - gdy nieoczekiwanie zostaliśmy zaatakowani. Tej nocy straciliśmy pięciu kolegów... ich krew przypieczętowała pakt pomiędzy tymi, co ocalili... Wiesz, że od tamtej pory ci, co przeżyli, dzwonią do mnie na żydowski Nowy Rok, by mi życzyć: *Roch Achana!* A pierwszy Jules!

A że jest wzruszony i stara się to ukryć, robi unik.

- No, bo niby dlaczego twoja szopka miałaby mi przeszkadzać? Dlaczego miałbym czuć się przed nią obco? Popatrz: tutaj są sami Żydzi!

Estelle śmieje się.

- Ale nie Królowie!

- Żartujesz chyba? Trzej Królowie to nie Żydzi? Skąd ty się wzięłaś?

- W każdym razie nie Baltazar!

- Nie zarzekaj się, nieszczęsna! - rzecze z miną, jakby wiedział na ten temat więcej, niż daje po sobie poznać.

Wyciąga swój kieszonkowy zegarek, prawdopodobnie ten sam, który pradziad Elie wyjmował u wezglowia swoich pacjentów, by zmierzyć im puls i oznajmia, że zbliża się

---

\* Cudowną rzeczą jest przynosić ulgę.

\*\* Les Baux-de-Provence - położona na urwistym szczycie niedaleko Arles wioska i zamek, którego władcy zaliczali się do najbardziej znaczących feudałów na południu Francji.

\*\*\* La Crau - kamienista równina pomiędzy Rodanem, pasmem Alpilles, wzniesieniami St-Mitre i Morzem Śródziemnym.

północ. Zauważa przy tym, że Estelle niczym go dotąd nie poczęstowała. Zmieszana i rozbawiona, nalewa *carthagène'u* do kieliszków z dmuchanego szkła; są tak lekkie, że aż człowiek się boi, że mogą się pokruszyć, gdy się będzie z nich piło. Wznoszą toast za „Oliwki”.

- Jules mówił mi, że miałaś wizytę jakiegoś archeologa, który mógłby ci pomóc?

- Raphaël Fauconnier, profesor Luka, zabrał go teraz ze sobą do Chin... Utrzymuje, że pod ziemią naszej posiadłości znajduje się starożytna osada. Jeśli istotnie tak jest, to wybawienie...

- Zabrał Luka ze sobą?

- Tak! Strasznie się tym cieszę! Myślę, że teraz są w Tybecie... Zdajesz sobie sprawę!

- Nie wszyscy mogą mieć to szczęście, by znajdować się w Vaucluse!

- Albo w enklawie Valréas! - odpowiada ze śmiechem.

A potem, już poważniej, opowiada mu, że profesor poczynił już niezbędne starania u ministra i że w krótkim czasie powinien otrzymać wstępną opinię komisji regionalnej.

- No przecież mówiliśmy ci?

- Co mi mówiliście?

- Że On nigdy nie zsyła choroby bez lekarstwa - odpowiada Samuel, zastanawiając się jednocześnie, czy przypadkiem On nie zesłał na dokładkę miłości, dla równowagi.

Estelle wygląda na taką szczęśliwą, kiedy wymawia słowo „profesor”... będzie musiał porozmawiać o tym z Julesem...

\*

Wchodząc do salonu, Jules o mało nie rozdeptał Baltazara.

- Patrz czasem, jak chodzisz! - zgromił go Samuel, zabierając Murzyna w złotej koronie.

Jules przeprosił i zaraz zaczął się zachwycać stołem. Jemu też się zdawało, że cofnął się w przeszłość...

- Dużo miałeś wiernych? - pyta doktor.

No więc tak! Był tłok! Kościół wypełniony po brzegi! Ludzie stali! Dużo młodzieży!

- A to dobrze! - stwierdza Samuel, jak gdyby chodziło o frekwencję w kinie, z którego czerpałby dochody.

- Czasami tracę nadzieję - mówi ksiądz. - A potem, gdy widzę, jak wracają, mam sobie za złe, że zwątpiłem...

Podszedł do stołu i przelicza desery.

- Czy chociaż jest ich dokładnie trzysta?

- Nigdy nie możesz zaufać?

- To dlatego, że zdarzało mi się widzieć *Gros Soupers* z dwunastoma albo, co gorsza, czternastoma deserami!

- No i stało się coś? Ziemia przestała się obracać?

- Nie, ale rachunek mi się nie zgadzał!...

- Całe szczęście, że twój stan skazuje cię na celibat! Gdyby jakaś nieszczęsna musiała cię znosić, biada!

- Jak chcecie, to przyniosę jakąś Biblię, żebyście na dobre mogli się pokłócić - proponuje Estelle, którą aż boki boją ze śmiechu.

Jakże to radość patrzeć, jak się sprzecniają!

Zmieszali się, dwa stare drzewa oliwne, wstyd im, że robią z siebie widowisko podczas świątecznego zawieszenia broni. Z dziecinną naiwną szczerością rozwijają prezenty, które im ofiarowała. Piżamy! Niebieska dla Julesa, czerwona dla Samuela. Jednakowe. Jak dla dwu braci.

Sama dostała flakonik lawendy, który pochodzi z rodzinnej wioski Julesa, i wino, pochodzące z Izraela. David, siostrzeniec Samuela, uprawia winnicę u stóp Carmelu i, jak twierdzi Antonin, który jest raczej skąpy, jeśli chodzi o komplementy enologiczne, „ma do tego dryg”.

Świąteczne opakowania po prezentach płoną wysokim płomieniem.

Pora zasiąść do stołu i rozpocząć postną kolację.

- Postna kolacja, niech będzie - mówi Samuel - ale na tym stole jest tyle jadła, że pękłby od niego popręg mnicha!

- Dwóch mnichów! - uściśla ksiądz.

Zajadają się, szczęśliwi. Jakież to scementowanie domu.

Jakież repertuar wielkich i drobnych radości!

W dniu, w którym Philippine dostała się na Politechnikę, do świtu tańczyli wokół fontanny..., w dniu, w którym po raz pierwszy przed nimi Sophie przywdziała togę adwokata, odśpiewali *Coupo*, podobnie jak w dniu, w którym Salah zdał maturę z wynikiem celującym. Tego dnia Blaïd wydał przyjęcie, przyrządził miętową herbatę i sam nalewał całej rodzinie wino.

Rodzina.

„Jesteśmy jak antyczna rodzina, w rzymskim stylu myśli Estelle. - Nieważne więzy krwi, nieważna rasa, gdy ta sama miłość zgromadza nas wokół domowego ogniska...”

Lekki zawrót głowy, przeblysłk przed oczyma, piękna kobieta w złotym diademie, którą widziała przez chwilę we śnie, uśmiecha się do niej jak do dziecka.

- Oto, co nazywam prawdziwym plackiem z dynią!... Pełen zachwytu głos Julesa sprowadza ją na ziemię i przywołuje do rzeczywistości.

- Wyśmienity! - potwierdza Samuel.

Z kim spędzali Boże Narodzenie, kiedy jej tu nie było? Pewnie we dwóch, z Księżą na talerzu, spierając się do upadłego.

W wielkim, przywróconym życiu, salonie zrobiło się ciepło, przytulnie. Jednak przed chwilą, gdy szła do kuchni po muscat z Beaumes-de-Venise, owiał ją morderczy chłód. Będąc w kuchni dała przy okazji porcję smażonego dorsza Meitchant-peù, który będzie po tym pił przez całą noc. A teraz przyszła pora na *cacho-fiò*. Polano, którego w tym domu nie wrzucono do ognia od czasów dramatu. Polano, które Estelle chce wrzucić dzisiejszego wieczora.

Ze względu na życzenia.

Wstali wszyscy troje. Bardzo wzruszeni nadzieją, że wraca gest przerwany przed tylu laty i że, być może, przepędzi uroki, które ciążyą nad „Oliwkami”.

*Wokół segne-grand\* cała rodzina radośnie się krząta...*

Tego wieczora są tylko dwaj starcy i jedna samotna kobieta przed ogniskiem. Lecz przez nich i ich wiarę cała rodzina jest tutaj.

- Tobie niech przypadnie zaszczyt, Samuelu - rzecze Jules, podając mu polano. - Ty jesteś *segne-grand*.

Samuel pochyla się, ogląda polano i stwierdza z satysfakcją:

- Z gruszy!

- Piękne! - dodaje Jules.

„Ziemia... cóż to za siła! I ci dwaj starcy - myśli Estelle, ujmując dzbanuszek dojrzałego wina. - Nie mają swojego wieku, lecz wiek Stworzenia. Wiedzą wszystko o czasie, drzewach, porach roku. Trzeba ich słuchać, trzeba przyjmować to, co dają, by samej pewnego dnia móc dawać. Stać się pamięcią”.

Napełniła kieliszek, który podsunął jej Jules, i połała polano.

- Za rok, który nadejdzie!

Wszyscy troje jednym głosem wypowiedzieli inwokację.

Płomień wzbija się na *cacho-fiò*.

- *Alègre! Alègre! Diéu nous alègre!* - dodał ksiądz żegnając się.

---

\* Dosł. senior; cały werset zaczerpnięty z nie publikowanej wersji Pieśni VII *Mirejo* F. Mistrala.

Patrzą, jak ogień rozpala się ze zdwojoną siłą.

Estelle, z oczami pełnymi łez, ujmuje ich dłonie.

- A przede wszystkim, byśmy pod koniec nadchodzącego roku zebrali się wszyscy...  
tutaj!

\*

Estelle nie może ochłonąć ze zdumienia, że zgodziła się na propozycję Włochów!

Może nie odmówiła im tylko dlatego, że o mały włos nie zabiła Carli?

Trzeba przyznać, że okropnie ją wystraszyli!

Było to ledwo kilka dni po Bożym Narodzeniu, bo Amélie nie wróciła jeszcze z Cassis. Estelle spała, musiała dochodzić jedenasta wieczorem. Ogień w kominku jeszcze płonął, w sypialni temperatura była niemal przyjemna.

Obudził ją odgłos zatraskiwanych drzwiczek samochodu tuż pod jej oknem.

Zaalarmowało ją milczenie psa.

Jacyś ludzie chodzili i cicho nawoływali się przed domem.

Włożyła szlafrok z białej wełny, schwyciła strzelbę leżącą obok łóżka i wypadła na balkon. Zimno kamienia paliło ją w bose stopy.

Krzyknęła:

- Kto tam?

Padł strzał.

Boże! Jakie przerażenie! Nawet nie wiedziała, że broń jest nabita!

Myślała, że zemdleje, słysząc głos Carli dobiegający z ciemności.

- Estelle, to ja! Carla! Jestem z przyjaciółmi!

Zbiegła na dół jak szalona, strzelbę nadal dzierżąc w dłoni, bosa, z rozwianym włosiem. W westybulu Nour, wyjątkowo radosny, szykował się na przybycie gości, on od razu rozpoznał Carłę!

Później Guido, przyjaciel Carli, wyjawiał jej, jakie na nim zrobiło wrażenie pojawienie się Estelle pośród nocy. Wystrzał z broni natomiast zdawał się nie poruszyć ich tak mocno, jak wstrząsnął nią samą.

- To moja wina - powtarzała Carla. - Nie przyjeżdża się w środku nocy bez uprzedzenia! Co za bezczelność!

Zabłądziła po ciemku, a że zapomniała gdzieś numer telefonu do „Oliwek”...

- Dobrze wychowani ludzie poczekaliby do rana - powiedział Guido - ale my nie jesteśmy dobrze wychowani, my jesteśmy z filmu!

- Guido Contadini, reżyser... mój reżyser! - wyjaśniła Carla, przedstawiając go.

- I Beppe, mój asystent, nie taki dziki, na jakiego wygląda! - dodał Guido, popychając w jej stronę brodatego olbrzyma z głosem równie łagodnym, jak jego maniery.

Źle wychowani? Fascynujący!

Kilka minut później siedzieli przy stole w kuchni. Chciała się ubrać, ale wszyscy na raz zaprotestowali. Bardzo była piękna w tej białej sukni.

- Jak zjawia! - powtarzał Guido.

Wsunęła jedynie bose stopy w ocieplane, wysokie buty i teraz, dzięki winu, ogniewi w kominku i kilku polanom w kuchni, było jej ciepło. A przede wszystkim zrobiło jej się ciepło w sercu.

Tak jej było miło zobaczyć znowu Carłę. Jeśli młoda kobieta wybrała się do „Oliwek”, znaczyło to, że godziła się na ewentualne spotkanie z Rémym. Nadal była równie czarująca, z tą odrobiną melancholii w spojrzeniu. Do twarzy jej z tym było, z tym lekkim makijażem na świeżym policzku.

- W domu jest lodowato - mówi Estelle. - Rozpalimy w waszych pokojach, żebyście w nocy nie zamarzli na śmierć...

Ale są tylko przejazdem, nie będą spali. Nie tym razem.

- Mam Estelle teraz wszystko wyjaśnić? - pyta Carla. - No dobrze!... Guido dał mi główną rolę w swoim przyszłym filmie, a w scenariuszu duży fragment akcji dzieje się we Francji, w domu niedaleko Rodanu. Guido nie znalazł miejsca, które by mu odpowiadało... No więc dziś rano w Rzymie powiedziałam mu: „Zabieram cię, żeby ci pokazać twoją wymarzoną scenerię!” I oto jesteśmy!

- Ach tak! - Estelle jest przerażona.

Przygląda się Beppe, który wstał, żeby zrobić zdjęcia. Patrzy na Guido, który zdaje się już pod urokiem scenerii. Nie tylko scenerii, ale także białej damy z rozwianym włosom, damy ze strzelbą, która powitała ich wystrzałem i której proponują kręcenie filmu „Pod Oliwkami”. Tylko niecały tydzień. Potem pojedą do Saintes-Maries-de-la-Mer, żeby kręcić dalsze sceny.

Obie kobiety zostają same w ciepłej kuchni, podczas gdy Nour czyni honory domu w galerii przodków, po której oprowadza Guido i Beppe.

- Akcja toczy się w 1815 roku, zaraz po upadku Napoleona - opowiada Carla. - Wraca mój mąż, jest ranny, wściekły, niebezpieczny...

- I będą kręcić tutaj? - pyta coraz bardziej przerażona Estelle. - Ale... Oni nie potłuką wszystkiego?

- Oczywiście, że tak! Ale zapłacą ci! Wylczyłam, że nawet jeśli niczego nie potłuką, będziesz mogła zapłacić co najmniej za połowę dachu! I załatwię polisę ubezpieczeniową!

Pomyśleć, że przed chwilą o mało jej nie zabiła! Carłę, która wszystko tak ułożyła w głowie i w sercu, by przyczynić się do uratowania „Oliwek”!

To właśnie z tego powodu o godzinie drugiej dwadzieścia dwie rano, kiedy mieli odjeżdżać, Estelle powiedziała „tak”.

Wrócą na początku stycznia i zabawią tylko, jak zapewniała Carla, niecały tydzień...

- Ale nie widzieliście krajobrazu za dnia!

- Ale widziałem panią! - stwierdza Guido, całując ją w dłoń. - *E molto più importante!*\*

Kilka dni później, zaraz po powrocie Amélie, Estelle otrzymała list, na który tak czekała. Pismo od Komisji Regionalnej Zabytków Historycznych.

Ze względu na reputację profesora Fauconnier, jak donoszono w piśmie, co rychlej zbadano sprawę. Jednakże, jak wynika z dokumentów i wwiertów archeologicznych, które przeprowadzono podczas pierwszych badań poprzedzających zatwierdzenie projektu Cykad-Landu, okazuje się, że nie znaleziono żadnych śladów pozostałości starych cywilizacji. Wobec tego nie ma podstaw do umieszczenia Pałacu pod Oliwkami w spisie archeologicznej spuścizny narodowej.

Próbowała skontaktować się z Raphaëlem. Nikt nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje. Nikt też nie wiedział, kiedy wróci. Od ich wyjazdu do Chin otrzymała widokówkę od Luka i króciutki liścik od Raphaëla.

Co robić?

Marceau nie pojawił się od spotkania w ruinach, lecz nie wątpiła, że działa i nie zarzuci swojego planu.

Sophie zjawiała się pod „Oliwkami” akurat w chwili, gdy Estelle namyśliła się do niej dzwonić. Wydała jej się bladziutka jak na młodą osobę, która niedawno spędziła urlop w górach, lecz Sophie nie zostawiła jej czasu na wyrażenie obaw o swe zdrowie.

- Mam nowe wiadomości - oznajmiła. - Przeprowadziłam dochodzenie na temat Pierre'a Séverin i odkryłam, że kiedyś nazywał się Marceau Dupastre i że był synem dawnego zarządcy „Oliwek”.

- Wiem - rzekła Estelle, a przerażona Amélie upuściła półmisek, który akurat

---

\* To jest o wiele ważniejsze.

wycierała.

- Mój Boże! To niemożliwe! Mały Dupastre'ów! Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Estelle wzruszyła ramionami zamiast odpowiedzi. Obie kobiety popatrzyły na nią z wyrzutem, jak się patrzy na świadka, który zataił przed sądem zasadniczy szczegół. Sophie ujęła jej rękę.

- Żeby bronić „Oliwek”, muszę wszystko wiedzieć. Co właściwie wydarzyło się trzydzieści pięć lat temu? I dlaczego ten mężczyzna powraca teraz?

Bardzo ciężko jej przyszło opowiadanie, ale trzeba było. Starła się niczego nie zatajać. Ani zielonego raję, w jakim wyrosła razem z Marceau, ani skandalu z winem, ani dramatu, ani zniknięcia chłopca, ani jego powrotu. Opowiedziała o spotkaniu w l'Isle-sur-la-Sorgue, o odwiedzinach jego tutaj, o kolacji w Roehegade... no, prawie o całej kolacji. Rozmowa telefoniczna, powiedziała, pozwoliła jej zrozumieć podczas tego wieczoru, że znalazła się u przedsiębiorcy budowlanego, pomysłodawcy Cykad-Landu. A potem opisała scenę przy zniszczonym domu, nie zatajając groźby rozsypania soli na ruinach.

- Soli?... Ten pan wyglądał tak porządnie - powtarzała zdruzgotana Amélie. - Niech no on przyjdzie ze mną porozmawiać! Wszystko mu powiem! Bo ja, gdy byłaś mała, ja sama, na własne oczy widziałam, jak bardzo byłaś nieszczęśliwa po jego utracie! Jakaż ty byłaś smutna!... No a przede wszystkim ty mu nic nie zrobiłaś!

- Wywodzę się z rodu Laborie - rzekła Estelle - a tego on nie może mi wybaczyć.

- Co będzie, jak Rémy i dzieci dowiedzą się o tym?!

- Nie, Amélie - mówi Estelle - nie powinni się o tym dowiedzieć. W każdym razie nie teraz. Nie chcę, żeby Philippine zniszczyła swoją karierę zawodową z powodu przeszłości, która jej samej nie dotyczy.

- No, ale przecież...

- Dużo nad tym myślałam. Narobiłam już dosyć szkód...

- Szkód? - wykrzykuje oburzona Sophie. - Można by pomyśleć, że to twoja wina!

- To nie moja wina, ale chciałabym pojąć, zrozumieć, a zbyt wiele mi umyka.

Wszystkie umilkły i w ciszy, jaka zapadła, wyraźnie słyhać domowe odgłosy; woda gotuje się w zbiorniku w kuchni i śpiewa w duecie z mruzeniem Meitchant-peù, drewno huczy w palenisku, a wahadło zegara regularnie odmierza czas.

- To niemożliwe! - wybucha Amélie z całą stanowczością.

- Co niemożliwe? - pyta Estelle.

- Żeby to był Marceau i żeby cię nie kochał!



Tego wieczora Sophie zapukała do drzwi sypialni Estelle.

- Mogę być myszką?

Gdy byli dziećmi, lubili przychodzić do jej łóżka, nazywali to zabawą w myszkę. Opowiadała im *Oślę skórkę* albo *Złoty włos...* Lecz ich ulubioną bajką była historia, którą sama wymyśliła: podwodne życie Donny Bianki i Draka.

Estelle zrobiła dziewczynie miejsce przy sobie i długą chwilę milczały, wpatrując się w ogień.

- Amélie ma rację - rzekła Sophie. - Powinien cię kochać.

- Wiesz - powiedziała Estelle - on wiele wycierpiał. Zastanawiam się...

Sophie spogląda na nią pytająco.

- ...zastanawiam się, jakie zostały mu blizny, na nim... na jego ciele. Sądzone, że nie żyje...

- Estelle, nie zrezygnujesz chyba?

- Nie. Ale chyba przegram. Otrzymałam list z Aix-en-Provence. Odmawiają wpisania posiadłości... Rozwiała się moja ostatnia nadzieja... Ale pomówmy o tobie, moja droga. Jak było na nartach?

- Nie było żadnych nart - mówi Sophie cichym głosem. - To dlatego przyszłam - ciągnie przygryzając wargi. - Chciałam ci wyjaśnić to, co od jakiegoś czasu musiało wydawać ci się dziwne.

- Z Antoine'em?

- Z Antoine'em.

„Mój Boże, cóż takiego chce mi powiedzieć?” - myśli Estelle.

- Kocham go - wyznaje Sophie, przytulając się do niej.

- No więc?

Estelle obejmuje ją, czując jaka jest drobna, krucha, jej wyznanie ledwie ją zaskoczyło.

- Jestem chora. Mam raka. Jak mama.

A więc to to! Tragedia, jaką przeżyli z Colette, ma się powtórzyć?

- Powiedziałaś mu o tym?

- Nie mam odwagi.

- Musisz mu to powiedzieć. On myśli, że go unikasz, że go nie kochasz!

- Ale jak się dowie, że...

- Że?

- ...że nie będę mogła mieć dzieci...

- Jesteś tego pewna? - pyta wstrząśnięta Estelle.
- Nie, ale nie robią mi zbyt wielkich nadziei.
- Porozmawiaj z Antoine'em! Jak tylko wróci! Śmiejesz się?
- Bo zalejesz mnie łzami!
- Ja?! - zdziwienie Estelle nie ma granic.
- I to niewąsko!
- No, chyba mam prawo płakać, zdaje mi się!

Bierze z nocnego stolika pudełko klineksów, wyciąga z niego pięć czy sześć chusteczek i głośno wyciera nos.

- A więc to było to... i mogłaś z tym żyć nic nie mówiąc... Co za odwaga! Jak długo to już trwa?

- Prawie rok. Samuel wiedział. Zresztą...

- ...?

- Zresztą czuję się znacznie lepiej. Spędziłam niedawno tydzień w klinice profesora Dupré...

- No i?

- No i profesor jest pełen nadziei. Z wyjątkiem dzieci...

Długo, łagodnie mówiła już teraz o swojej chorobie, o pracy, o ostatnim komiksie Antoine'a, który był zupełnie genialny, „odlotowy”: *Przygody Raoula Cool*. Raoul Cool, współczesny bohater, który mógłby być synem Bernarda Kouchnera i Tintina\*... Ekstra! Opowiadała o kasynie Enghien, o długach Antoine'a... jej głos stopniowo cichł. Aż w końcu zamilkła.

- Wiesz, myszko - rzekła Estelle - możesz tutaj ze mną spać, jeśli chcesz.

Nie usłyszała odpowiedzi, myszka już spała.

Leżąc bez ruchu, żeby nie zbudzić Sophie, Estelle nie mogła zasnąć.

„Jestem chora. Mam raka. Jak mama”.

Wyznanie młodej kobiety rzucało okrutne, bezwzględne, acz wyraźne światło na rzeczywistość.

I pomyśleć, że się niczego nie domyślałam! Zbyt samolubna, osaczona przez własne kłopoty, nie widzę innych, moich bliskich...

---

\* Bernard Kouchner (ur. w 1939 w Awinionie) lekarz, założyciel w 1980 r. organizacji humanitarnej Medécins du monde (Lekarze świata). Tintin bohater komiksów autorstwa belgijskiego rysownika Hergé (pierwszy tytuł ukazał się w 1926 r.) tłumaczonych na 40 języków.

Gdyby zgodziła się na Cykad-Land, wszystko byłoby o wiele prostsze. Przede wszystkim pieniądze pozwoliłyby jej pomóc dzieciom. Pomóc w leczeniu Sophie. Sprzedawszy „Oliwki”, nie musiałaby się już o nic troszczyć, zadrzeć ziemią, dachówkami...

Dach znalazłby się w głębi wód...

Aż się wzdrygnęła. Nie tylko dlatego, że resztki żaru bladły na kominku. Nic się nie układało: i u niej, i wokół niej. Odmowa ze strony Komisji Sztuk Pięknych sprawiła, że plany Raphaëla zostały zduszone w zarodku. Raphaël. Jakże jest daleko! A tak by chciała, żeby był tutaj!

Czy będzie się nią jeszcze interesował, gdy dowie się po powrocie, że jego prośba została odrzucona? „Próbne wwierty archeologiczne, jakich dokonano w posiadłości podczas wstępnych badań związanych z lokalizacją Cykad-Landu...” Jakim prawem wykonano wwierty? Cóż były warte badania przeprowadzone na jej terenie bez jej zgody, a na dodatek bez uprzedzenia, bez poinformowania jej? Marceau musi mieć mocne plecy... Żeby działać w tym stylu, nie licząc się z przepisami prawa, trzeba być bardzo silnym, bardzo potężnym. Zdała sobie sprawę, że go podziwiała i bardzo ją to rozżłościło.

Wróg. Oto czym jest... Wrogiem, jej wrogiem. Może w ogóle jest już za późno na jakiegokolwiek wybory, wahania? Może wprost będzie zmuszona do opuszczenia domu? A w takim wypadku dostanie znacznie mniej pieniędzy, niż gdyby sama przystała na propozycję.

Za trzy dni przyjeżdża włoska ekipa, poczeka, aż wyjadą, i wówczas podejmie decyzję...

Sophie poruszyła się i wymamrotała jakieś tajemnicze słowa. Estelle popatrzyła na nią z czułością. Na jakim etapie była jej choroba? Co działo się pod tą delikatną powłoką, pod tą cienką i gładką skórą? Nie sposób odgadnąć, jaka bezlitosna walka toczy się w tym śpiącym ciele.

Długo jeszcze Estelle wsłuchiwała się w regularny, lekki oddech młodej kobiety. Kochała ją, jak gdyby sama wydała ją na świat, i czuła się kompletnie bezradna wobec jej choroby.

„Antoine będzie wiedział” zdążyła pomyśleć, zanim zapadła w sen.

Trzy dni później ekipa filmowa zwała się na „Oliwki” jak chmara szarańczy na pole pszenicy.

Nic bardziej ożywczego nie mogło się Estelle przydarzyć.

Wciąż nie miała wieści od Raphaëla i syna, wciąż pozostawała pod wrażeniem wyznania Sophie, a najazd szarańczy zmusił ją do zajęcia się innymi sprawami niż własne kłopoty.

Pod wpływem takiego wstrząsu spokojny pałac, który spał sobie zimowym snem w chłodzie, obudził się i zaczął żyć gorączką przygotowań w hałasie decybeli.

Amélie była przerażona, nieustannie się bała, że coś stłuką albo uszkodzą. A w ogóle, jak śmia dotykać dom! Przesuwali meble, wnosili obce, stukali, wbijali gwoździe, piłowali, objęli tkaninami, malowali. Krzyczeli. Śmiali się. Kłócili. Po włosku na domiar złego! Żeby nic nie mogła zrozumieć!

Estelle lepiej znosiła tę sytuację. Dzięki obecności Carli i może też dzięki Guido.

Guido był czarujący. Przystojny Włoch, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, rzymianin, mówiący po francusku bez akcentu, gdyż miał w dzieciństwie *mademoiselle*. Carla powiedziała jej również parę szczegółów: że jest księciem, komunistą, trzykrotnie rozwiedziony, muzyk, wykładał mechanikę fal, zanim został *registra*<sup>\*</sup>, a jeden z pałaców w Wenecji nosi jego imię.

Odnaczał się niebywałym wyrafinowaniem w ubraniu łączącym kaszmir i jedwab, w czarnych włosach ma smugi śniegu, jest całkowicie pochłonięty swoją pracą, lecz gdy jego spojrzenie spocznie na Estelle, ma moc przekonywania, że przybył tu nie dla filmu, ale dla niej.

Nigdy nie spotkała takiego mężczyzny. Docenia jego odmienne maniery i ciepło. Tak samo jak ceni sobie nową przytulność domu. Pomimo przeciągów - wszystko jest ciągle pootwierane, by przeprowadzić kable elektryczne - jest cieplej dzięki projektorom, dodatkowym grzejnikom i kominkom, w których ogień podsycą młody praktykant o

---

\* Registra (wł.) - reżyser.

rzymskim profilu.

Życie.

Życie jak karnawał, z fasadą pokrytą różem i sztucznymi glicyniami. A jednak życie! Estelle przypatruje mu się z wdzięcznością, gdyż film będzie, być może, ostatnim posłaniem od „Oliwek”.

Może dlatego w dniu podpisywania umowy o najem daje się oczarować i podpisuje jeszcze jeden kontrakt.

Zgadza się zagrać w filmie.

Nie jakąś prawdziwą postać, nie rolę w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Zjawę.

I to nie byle jaką zjawę, zjawę Donny Bianki.

Guido błagał ją na klęczkach, żeby się zgodziła, jak gdyby los Europy od tego zależał.

- Zresztą pani n i e m o ż e się nie zgodzić! Jest pani za to odpowiedzialna!

- Odpowiedzialna?

- Tak. Tamtej nocy ze strzelbą, kiedy panią zobaczyłem w białej szacie na balkonie, taką piękną! Tamtej nocy wpadłem na pomysł cienia, który będzie pojawiał się w myśli bohaterów... Następnie, tej samej nocy, zobaczyłem obraz i uwierzyłem, że to pani na mnie czekała od wieków, by zstąpić ze złotych ram i przyłączyć się do żywych... Oh! Niech pani powie „tak”!

- Ale ja nie potrafię odgrywać komedii! Nie jestem aktorką!

- Ale ja nie chcę aktorki! Ja potrzebuję d u s z y !

„Jakież on ma urok” - myśli Estelle, czując jak mięknie.

- A poza tym to bardzo dobrze płatne zajęcie - mówi Carla. - Możesz mi wierzyć, bo to ja negocjowałam twój kontrakt!

Estelle roześmiała się i wzięła ich za ręce.

- Wspaniale na mnie działacie!

- A więc zgadza się pani?

- Tak, zgoda, ale jeśli się nie sprawdzę jako aktorka, to nie będziecie mi robić wyrzutów!

Dwie minuty później stała w szacie poupinanej szpilkami, przymierzając suknię Donny Bianki, którą wykonano w rzymskiej pracowni na podstawie fotografii, zrobionych przez Beppe'a. Carla podała im nawet przybliżone wymiary. Ale spisek!

- A gdybym odmówiła?

- Nie mogła pani odrzucić tej propozycji - stwierdza Guido, czujnie obserwując w

lustrze narodziny białego cienia.

Patrzył na nią, ale nie ją widział. Teraz widział już tylko to, czym chciał, by była. To było upojne uczucie: tak wyjść z siebie, stać się inną osobą... Estelle uśmiecha się do tej drugiej i łączy się z nią w odbiciu lustra, jak jej antenatka połączyła się z Drakiem w wodach zapomnienia.

\*

- Boże, jaki wielki!

Marguerite wysiada z limuzyny o przydymionych szybach i odkrywa Rochegude.

W pochmurny dzień zamek wydaje się jeszcze straszniejszy niż nocą.

Marguerite wzdrygnęła się i podnosi głowę ku rzygaczom i kamiennym demonom. Ma ochotę natychmiast stąd odjechać...

- Mamo!

Marceau zbiega po stopniach schodów i podchodzi do niej, opiekuńczy, czuły. Całuje ją, bierze ją pod ramię, prowadzi do domu.

- Trzeba chyba dużo ludzi, żeby utrzymać taki dom - matka już się martwi i niepokoi.

Śmieje się łagodnie, pewny wrażenia, jakie na niej robi, gdyż w holu, u stóp schodów, część personelu oczekuje Marguerite.

Pokojówki, lokaj, szef służby... Można by rzec, postaci operetkowe, które zaraz zaczną chórem śpiewać *madame est serviiiiie!*

Ten wdzięczny widok nieco przeraża Marguerite. Nieśmiało pozdrawia służbę i idzie za synem po obszernych schodach z marmuru aż na rozległy podest piętra, gdzie polecił przygotować dla niej apartament.

- Twoja sypialnia - mówi Marceau.

Marguerite toczy wzrokiem po ogromnym pokoju, kobiercach przetykanych różową nitką, po białej wykładzinie, wspaniałych dywanach i kwiatach ze szklarni w kryształowych wazonach. Spogląda na kierowcę, który wnosi jej bagaże, na pokojówkę, która je otwiera i nie pytając jej o pozwolenie, zaczyna wykladać jej rzeczy, inna pokojówka bierze od niej płaszcz i wychodzi, zapewniając, że jest do dyspozycji *madame* i że wystarczy, że *madame* zadzwoni i wyda polecenia...

Marceau wypatruje entuzjazmu na twarzy matki, a widzi na niej jedynie popłoch.

- Podoba ci się?

Nie odpowiada i niepokoi się, co też pokojówka mogła zrobić z jej płaszczem.

- Poszła powiesić twój płaszcz. Jeśli będzie ci potrzebny, to ją poprosisz, żeby

przyniosła.

- Nie chciałabym fatygować tych panienek... Nie przywykłam, żeby mi usługiwano...

- Szybko się przyzwyczaisz! - zapewnia ją Marceau, czując jednocześnie jak traci tę pewność i ogarnia go smutek.

Osiąść w Rochegude. To było bardzo dawne marzenie, które wreszcie ziścił. Traktować jak królową tę, która go wychowała. Wszystko to, czego nie mógł dać prawdziwej matce, wygody, luksus, piękno, jakimi można otoczyć kochaną osobę, wszystkie „dziękuję” z całego świata, wszystkie „dla ciebie, mamo” małego chłopca o złamanym sercu, zebrał tutaj dla Marguerite. A ona tego przyjąć nie chce, nie jest w stanie.

- Tutaj masz łazienkę.

Otwiera drzwi do pomieszczenia wyłożonego lustrami i porcelaną, która w podziw wprawiłaby Liz Taylor i Lady Di razem wzięte, ucałował matkę w czoło i wycofał się, mówiąc:

- Zostawiam cię. Odpocznij teraz, a przede wszystkim nie wahaj się i dzwoń, jeśli ci czegokolwiek potrzeba.

Marguerite została sama między królewską sypialnią i łazienką gwiazd filmowych.

Jej też jest okrutnie smutno.

Nieufnie przygląda się kranom z pozłacanego srebra i tajemniczej maszynierii *jacuzzi*, flakonom z solami do kąpieli i z olejkami, grubym haftowanym ręcznikom, półprzezroczystym szybom kabiny prysznic... powoli przechodzi do sypialni, chętnie pooglądałaby telewizję, lecz nie śmie dotknąć odbiornika. Nigdy nie widziała takiego dużego telewizora, a poza tym nie ma przycisków...

Siada więc na krześle i czeka.

Marceau siedzi w gabinecie przy stole zawałonym aktami.

Słucha, nie słysząc, jak Bernadette informuje go o ostatnich telefonach i przekazuje mu pilne wiadomości.

Myśli o Marguerite.

To odruchowe, spontaniczne odrzucenie tego, co chce jej ofiarować, bardzo go boli.

Za Marguerite kryje się postać Juliette. Jego rodzonej matki. To dla Juliette kazał urządzić ten pokój.

Juliette. Mama.

Nawet nie ma jej zdjęcia.

Pamięta ją jednak tak dokładnie, że mógłby narysować jej portret.

Mówiła mało, jak gdyby obawiała się zwrócić na siebie uwagę, lecz pomimo jej skromności, skupiała spojrzenia wszystkich dookoła. Zawsze. Wszędzie.

Była taka piękna.

Wiesz, Marceau, była piękniejsza nawet. Twoja pamięć jest pamięcią małego chłopca. Uroda Juliette wymykała się kontroli woli...

- Pan minister Dabert - mówi głos Bernadette.

Otrząsa się ze wspomnień i ujmuje słuchawkę.

- Jak się masz, ministrze?

Minister ma się dobrze, sprawy Cykad-Landu też są na dobrej drodze, tylko... takie drobne zawirowania, wciąż ze względu na Raphaëla Fauconnier...

- Raphaël Fauconnier...

Marceau powtarza nazwisko profesora, jak gdyby bawił się niebezpieczną bronią.

- A no właśnie, w Kulturze zdają się już żałować, że odpowiedzieli odmownie na jego podanie o wpis. Podobno profesor to szycha w kategorii znalezisk!... Wyobraź sobie, że coś znajdzie i co wtedy...

- Niczego nie znajdzie, możesz być spokojny - ucina zdenerwowany Marceau. - Nie ma nic do znalezienia! Wwierty archeologiczne niczego nie wykazały, przywieziono mi tylko aluwia Rodanu...

- Tym lepiej - z ulgą mówi Dabert. - Tego rodzaju dodatkowa historia w obecnej sytuacji, kiedy zawracają głowę całą tą spuścizną, głęboko sięgającymi korzeniami i ochroną zielonej sałaty, to byłaby przykra niespodzianka przy realizacji twojego projektu... a sam wiesz, jak bardzo mi na nim zależy! - dodaje wesoło minister. - I nie tylko, żeby ci sprawić przyjemność!... Tysiąc miejsc pracy, to nie w kij dmucha!

Tysiąc miejsc pracy. Wcześniej czy później trzeba będzie mu wyjawić, że z trudem dobiją do ośmiuset. I żeby to!... wliczając robotników sezonowych.

Raphaël Fauconnier... Marceau wie doskonale, jakie stanowi zagrożenie. Doprawdy, jego tylko im brakowało! Skąd Estelle go wytrzasnęła? A co robi Jean-Edmond? Powinien o tym wiedzieć wcześniej niż inni! Punkt karny dla małego barona! Jeśli chce, żeby go poparł w wyborach, to musi się trochę pouwijać! W końcu chodzi o jego teściową! Powinien wiedzieć, co się dzieje! I powinien natychmiast go zawiadomić! To tym bardziej kłopotliwe, że wierceń dokonano bez zgody Estelle...

Spogląda na biurko, na którym nie stoi ani jedna fotografia rodzinna, żadne dziecko nie śmieje się przytulając kota albo psa, żadna babcia o białych włosach nie robi skarpetek na drutach dla kochanego maleństwa... biurko bez wspomnień, na którym chciałby widzieć



światlistą i tajemniczą twarz Juliette, uśmiechającą się do niego.

Naciska przycisk interfonu i wzywa Bernadette.

- Proszę znaleźć mojego brata. Jak najszybciej...

\*

Jules myśli o Juliette.

Staje mu przed oczyma taka, jak w dniu, kiedy przyszła się wypowiadać. Był zaskoczony. Oprócz Roseline i matki Estelle, ludzie spod „Oliwek” nie zaliczali się do jego trzódki. W pałacu, jak i u zarządcy, mieszkali raczej ludzie z gatunku wolnomyślicieli. Nie było to sprzeczne z uczuciami, a jeśli któregoś dnia Panu Bogu spodobało się ich oświecić, jest wystarczająco wielki, by uczynić to o wybranej porze.

Był więc zaskoczony, gdy Juliette, blada i zmieniona, przyszła do niego. Przestraszona, lecz piękna, że aż strach. Nieodpowiedzialna piękność. Te jasne, przejrzyste oczy, te długie nogi... Jules nie oglądał się za dziewczętami, to pewne, ale je dostrzegał. A ta - zawsze wprawiała go w pomieszenie. Może też dlatego, że wyczuwał rosnące w niej nieszczęście, jak potworne i niewidzialne dziecko karmiące się jej ciałem.

Nie mylił się. I oto teraz, wszystko się obudziło, jak jakaś uśpiona choroba, która powraca, kiedy jej się nie spodziewasz.

Po spotkaniu na cmentarzu znowu natknął się na Marceau. Zauważył go, gdy wychodził z restauracji *La Mère Germaine*. Był w towarzystwie Mireille i paryżan, którzy mówili bardzo głośno. Jules natomiast znajdował się w *Aux Primeurs des Papes* i akurat kupował makaron. Spytał:

- Powiedz, Romain, kim jest ten szykowny pan, który przeszedł z Mireille i tymi obcymi?

- Szykowny pan? - zamiast udzielić odpowiedzi, zdziwił się Romain. - Ależ, proszę księdza, to nasz wybawca! To Pierre Séverin! Dyrektor naczelny Carneau-Développement! Ten, który rozsławi Châteauneuf w całej Europie, i uczyni nas bogatymi jak sam Krezus...

Wówczas w sklepie, pomiędzy workami orkiszu, kardami z Jerozolimy i olbrzymimi dyniami, wszystko zrozumiał.

Dlaczego Marceau powrócił, dlaczego nie chciał się przyznać, kim jest, gdy go rozpoznał, dlaczego Cykad-Land pragnął zagłady „Oliwek”...

Wyszedł ze sklepu, zapominając reszty i makaronu.

- Hej! Proszę księdza! Wszystko ksiądz zostawił na ladzie! Coś nie tak? - Romain wybiegł za nim, zaniepokojony nagłą bledością Julesa. - Może ksiądz usiądzie i chwilę

odpocznie?

- Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! - powtarzał Jules, zmuszając się do uśmiechu. - Myślałem o mojej homilii na niedzielę, dlatego taki jestem nieuważny!

Od tamtego dnia nie zaznał spokoju. Nie wiedział, co ma robić. Powiedzieć? Milczeć? A jak powiedzieć, no to komu?... Estelle? Samuelowi? I co powiedzieć?...

Séverin to Marceau.

I gdyby tylko!... Najpoważniejsze jednak było to, że tego, co wiedział tylko on jeden - nie mógł wyjawić.

Podniósł wzrok pełen wyrzutów na Chrystusa rzeźbionego w drewnie, który wisiał nad kominkiem.

- Panie, postawił mnie Pan w takiej sytuacji... Przepraszam, postawiłeś mnie... Wybacz, Panie Boże, ale ja jestem ze starej szkoły, w tamtych czasach było się z Bogiem na Pan. To znaczy z czasów, kiedy to zwracano się do Ciebie *per* Panie... Lecz Ty czy Panie, Boże mój, *mescladis*\*. No i boję się, bardzo się boję. Wiesz dlaczego, Ty, który wiesz wszystko, i wiesz, że nie mam prawa tego wyjawić. Jednakże wystarczyłoby jedno słowo, by rozładować nienawiść... Wiem, że sakrament pokuty jest jednym z filarów Twojego Kościoła, i że nie mam prawa złamać przysięgi milczenia, ale przecież... Zastanów się, Panie, i pomóż mi znaleźć jakieś wyjście. Jestem pewny, że mi pomożesz. Posłuż się mną, jeśli uważasz, że mogę być pomocny, bo widzisz przecież, że Estelle zasługuje na szczęście i Marceau też. To, co zrobiono tym dzieciom, rozdzielając je, to wielki grzech... Zresztą sam powiedziałaś: *Ktokolwiek zgorszy jedno z dziełek, co we mnie wierzą, lepiej dla niego będzie, by mu uwiązali kamień młyński do szyi i rzucili go do morza...* No więc liczę na Ciebie. Ale pośpiesz się! Błagam Cię! Amen!

Jules przyklęknął, przeżegnał się i z sercem nie tak już ciężkim poszedł prowadzić zajęcia z katechizmu.

\*

Raphaël myśli o Estelle.

Jak szalony jedzie autostradą. Jest całkowicie oszołomiony ze względu na różnicę czasu, czuje śmiertelne zmęczenie.

Ledwo wylądował na Roissy, wskoczył do swojego breaka, który przyprowadziła mu sekretarka. Nota bene była zdruzgotana, widząc go w takim stanie. Podała mu korespondencję, mówiła o wydawcy, który się niecierpliwi, że jeszcze nie otrzymał ostatniego

---

\* *Poruszenie. Najwyższe pomieszanie (Trésor du Félibrige. F. Mistral).*

rozdziału *Galii długowłosej*, przypomniała o odczycie, jaki ma wygłosić w Kolonii w przyszłym miesiącu, o wtorkowym zebraniu College de France...

Gwizdał na to całkowicie. Liczyło się tylko jedno: fax, który otrzymał w Pekinie w przededniu odlotu, zawierający wiadomość o odmowie wpisania „Oliwek” do rejestru dziedzictwa kulturowego! Cóż mają znaczyć te ich próbne prace poszukiwawcze? Wepchnie im to do gardła! Zobaczają jeszcze, z kim mają do czynienia!

- A korespondencja?... - jęknęła pani Soulier nie mogąca zapanować nad sytuacją.

- Załatwi to pani z Lukiem! Wyjaśni z nim pani sprawę *Galii długowłosej*, Luc dojedzie do mnie, do posiadłości swojej matki, pod koniec tygodnia. Niech zabierze łopaty, kilofy, plandeki!...

Darzy Luka całkowitym zaufaniem, jest szczęśliwy, że powierza mu odpowiedzialne zadania. Wie, że chłopak jest zdolny je wypełnić.

Przede wszystkim jednak, uczciwie powiedziawszy, chce sam zajechać „Pod Oliwki”.  
Estelle.

Od chwili, w której się rozstali, marzy o tym, by ją znowu ujrzeć. Uspokoić ją. Próbne badania archeologiczne!... Poszaleli, czy co?! Przekona się, że on jej nie opuści! Że jej nie opuścił! Kiedy się dowie, że w Lhassie pracowali nad planami „Oliwek” z kadastrem z Orange\* i że, być może... *Potężna miłość mnie wzywa! Ah! Lecę do niej na skrzydłach! Oddałbym koronę, by ją pocieszyć! Z radioodbiornika w samochodzie dobiega śpiew Placido Domingo, a on śpiewa z artystą, szalony z radości, rozgorączkowany, rozentuzjzmowany, zakochany... Ah! Niechże się wreszcie dowie, kim jest ten, kto ją kocha!*

Estelle.

Wyobraża ją sobie samotną, opuszczoną, smutną, zrozpaczoną w wyiębionym domu.

Zostawi samochód jak najdalej od domu, żeby go nie zauważyła, podejdzie po cichutku, pies go zna, więc go nie zdradzi... wejdzie bezszelestnie... Pochylona nad ogniem kominka, zatopiona w myślach, niczego nie usłyszy. Powie do niej: „Estelle...”, a wówczas ona uniesie ku niemu twarz i będzie tak, jak gdyby muzyka Verdiego rozbrzmiała w samotności!

\*

- Przez ten film można oszaleć, ale jakie to wesołe!

Słowa te wypowiada Amélie.

---

\* Dokumenty kadastralne kolonii rzymskiej w Orange zostały wykute na płytach z marmuru. Niektóre fragmenty przetrwały do dzisiaj.

Albo raczej *la carissima, la bellissima Amelia*, jak ją ochrzciła ekipa filmowa. Pierwszego dnia nie chciała jeść z nimi w stołówce urządzonej w budynkach gospodarczych. W kuchni słyszała, jak się śmieją...

Nazajutrz *la carissima, la bellissima* już była poskromiona.

Podobnie jak Blaïda wszędzie jej pełno, jest wszędzie z kierownikiem planu, asystentami, mechanikami, elektrykami. Elektrycy podarowali jej parę rękawic. Nosi je z całą powagą, dumnie jak dyplom.

*La carissima, la bellissima* przygotowuje koszyki kruchych ciasteczek z cukrem, tace tartinek z pastą z anchois.

Włosi biją brawa, pochłaniają poczęstunek i całują Amélie.

- Przez ten film można oszaleć, ale jakie to wesołe!

Dzisiejszy wieczór to wieczór debiutu Estelle.

Umiera z tremy, mimo że Carla i Guido dodają jej otuchy.

Widziała, jak Carla nagrywa, i pod pozorami lekkomyślności odkryła w niej tajemniczą osobę. Wyczuła, że istnieje jakaś powaga w tym, co zwykle nazywać się grą. Inna Carla, a może ta właśnie była prawdziwa?... Roniła szczere łyzy pomiędzy okrzykami „Kamera!” i „Cut!”... I ten krótki fragment sceny, która zostanie powtórzona w wielkim zbliżeniu, gdzie znowu łać będzie łyzy, równie szczere, poruszył ją do głębi. Gdyż nie był to tylko fragment filmu, lecz fragment życia.

- Nie powinnam była się zgodzić! To będzie katastrofa!

- Wypadniesz wspaniale, bo się boisz! - zapewnił ją Guido.

Od rana przeszli na ty. To też było wesołe. Zwyczaje filmowe łamały bariery, zmniejszały dystans, zbliżały pracowników zatrudnionych przy powstawaniu jednego dzieła i czyniły z nich zupełnie wyjątkową rasę.

Uczesana, ucharakteryzowana, w kostiumie filmowym, Estelle czekała gotowa. Garderobiana narzuciła jej wełniany szal na białą suknię, lecz Estelle nadal trzęsła się z zimna i tremy.

Miała tylko wyjść z lasu i przejść w stronę domu...

Tylko? Zdawało jej się, że nigdy, w całym swoim życiu, nie musiała dokonać równie trudnego wyczynu.

Carla kazała jej wypić filiżankę gorącej kawy i mocno ścisnęła za rękę.

- Zobaczysz... świetnie ci pójdzie.

- Boję się, że wszystko popsuję!... Czy to normalne, że jest tak dużo światła?

- Oczywiście! To scena nocna i zrobimy wokół ciebie sztuczną mgłę. Będzie

wspaniale!

Guido przyszedł ucałować jej dłoń.

- Odwagi!

Charakteryzatorka musnęła czubek jej nosa jedwabnym pędzlem, tak jak wróżka swoją różdżką dotyka chrestnej córki; garderobiana zdjęła jej szal z ramion i nastroszyła fałdy spódnicy, żeby wyglądały bardziej suto, wszyscy odsunęli się od niej i Estelle została sama oko w oko ze swym lękiem.

Swoim łagodnym głosem, który wspaniale brzmiał w megafonie, Beppe poprosił o ciszę; sztuczna mgła osnuła krajobraz...

- *Motore!* - krzyknął Guido.

- *Le acque mortali... Trenta sette A, Prima\** ... - zapowiedział klapser.

- Kamera! Kręcimy!

Estelle przestała się bać, nie czuła zimna. Szła wolno, wynurzyła się spod ochrony mgieł jak jakaś nadnaturalna zjawą... Guido był w siódmym niebie, wstrzymał oddech, plan będzie wspaniały!

- Świetnie się porusza - stwierdził z zachwytem. - Sunie jak we śnie... *Ma cosa succede? porca miseria?... Non è vero!... Accidenti!... Perchè mi capita a me questa porcata?... Merda!*

Guido przestraszony, wściekły, wykrzykiwał obsceniczne uwagi po włosku, zapomniawszy francuszczyzny *mademoiselle*, o swoich książęcych manierach i zawodowym opanowaniu.

Nieoczekiwanie dwa duże kręgi światła pojawiły się za zjawą, odgłos samochodowego silnika pogwałcił ciszę nocy, a za nim break pojawił się w pełnym planie, jak gdyby ścigał Donnę Biankę.

Raphaël zrobił wejście.

Ciąg dalszy był niesamowity.

Estelle biegała od Guido, który chciał natychmiast powtarzać ujęcie, do Raphaëla, który już odjeżdżał nie wysłuchawszy nawet wyjaśnień. Mało brakowało, a podarłaby suknię o ciernie w lesie.

- Taka jestem szczęśliwa, że pana widzę! - krzyczała do wściekłego Raphaëla.

Dlaczego tak się złościł? Dlaczego miał jej za złe?

- Niech mnie pan wysłucha! - krzyczała.

---

\* *Śmiertelne wody...* Trzydzieści siedem A, Pierwszy.

- Na miejsca! - krzyczał Guido.
- *Il mio vestito!*\* - krzyczała garderobiana.
- Cóż to za przebranie? - krzyczał Raphaël, nieprzytomny ze zmęczenia i wściekłości.
- Co to za ludzie? Co to za jarmark?
- Kręcę film!
- Film?
- Tak. Przerwał pan bardzo ważną scenę. Zaraz panu wyjaśnię...
- Nie trzeba! Ale mogę pani powiedzieć, że po trasie Lhasa-Pekin-Moskwa-Paryż i Awinion w dwa dni, nie spodziewałem się takiego komitetu powitalnego! - powiedział, trzaskając drzwiczkami.
- Raphaël!
- Break zniknął już między drzewami.
- *Motore!*
- *Le acque mortali... Trenta sette A, Seconda!*
- Kręcimy!
- Estelle kroczy wolno w stronę kamery, wyłania się z mgieł jak nadnaturalna zjawia.
- Cut! - poleca Guido. - Byłaś cudowna!

Nazajutrz, wstawszy bardzo wcześnie, przed pojawieniem się całej armady, ku swemu zaskoczeniu zastała Raphaëla za budynkami gospodarczymi. Wyładowywał swój sprzęt w porannej rosie.

Jakaż radość!

- Przepraszam za wczoraj! - powiedzieli równocześnie, podchodząc do siebie.

Roześmiali się.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć!

Znowu salwa śmiechu. Raz jeszcze mówili równocześnie.

Wyjaśniła, dlaczego kręcono film „Pod Oliwkami”. To pomysł Carli.

- Carli?...

- Była narzeczona mojego męża!

Ta przemiła dziewczyna naraiła jej ten interes, by dać jej trochę zarobić. Inwazja nie powinna już długo potrwać...

- Ale, bardzo pana proszę, Raphaëlu, żeby mi pan powiedział, jak się ma mój syn.

---

\* Moja suknia!

- Dobrze! Bardzo dobrze! To najlepszy asystent, jakiego kiedykolwiek miałem! Przyjedzie do nas za kilka dni. Tymczasem zobowiązał mnie, bym panią ucałował...

Pocałowali się onieśmieleni, w oba policzki, nie spuszczać z siebie oczu. Wzdrygnęli się na odgłos straszliwych hałasów, klaksonów i łoskotu nadjeżdżających ciężarówek.

- Chyba zabawa znów się zaczyna! - zauważył Raphaël.

Uspokoila go. Dzisiaj nie kręci, będzie mogła z nim zostać... może by mu pomóc? Była taka szczęśliwa, widząc, że list z Komisji Sztuk Pięknych go nie zniechęcił.

- Zniechęcić mnie? To raczej było jak ostroga! Tym bardziej, że teraz mam już pewność...

- *Scusi\**.

Olbrzym Beppe podszedł do nich bezszelestnie.

- Bardzo mi przykro - rzekł swoim dziewczęcym głosem - ale trzeba przestawić samochód tego pana.

- A to dlaczego? - warknął Raphaël.

- Wchodzi w plan...

- W plan? W jaki plan?

- W plan filmu... - wyjaśnił łagodnie olbrzym.

- Ale przecież kręcicie w domu! - zdziwiła się Estelle.

- *Si...* ale...

- Odkrycie? - domyśla się Estelle.

- *Si!*

- Odkrycie czego? - pyta Raphaël, nie biorąc pod uwagę innego odkrycia niż to, którego mógł dokonać.

- Chodzi mu o to, że samochód znajduje się w kadrze, jest widoczny z miejsca, w którym ustawiono kamerę.

- Nic nie szkodzi! - odparł ze zrozumieniem, które zaskoczyło jego samego. - Pojadę aż do Via Agrippa, tam zacznę poszukiwania.

- To niemożliwe - jednym tchem wyrzuca z siebie Beppe.

- Kadr?

- *Si.*

- No to chodźmy na osuwisko przy źródle - zaproponowała Estelle Raphaëlowi.

---

\* Przepraszam.

- Zgoda! - przystał na to Raphaël, zdecydowany do końca zachowywać się uprzejmie.

- To niemożliwe... - raz jeszcze jęknął Beppe z miną, jak by mu było przykro.

- Jak to!... Źródło nie wchodzi w kadr! Znajduje się za wzgórzem!

Estelle zaczynała się denerwować.

- No bo Guido... chce panią zobaczyć.

- To niemożliwe! - rzekł Raphaël z większą dozą wściekłości niż poczucia humoru.

- Chce mnie zobaczyć, po co?

- Dziś przed południem kręcimy w pani sypialni scenę z Carlą i Guido chce, żeby pani była przy nim...

W tej samej chwili rozległy się trzaski, dochodzące od paska Beppe - elektroniczna tajemnicza wyrocznia - i rozległ się głos boga.

- Gdzie jesteś, Donno Bianco, gwiazdo moja? Szukamy cię wszędzie! Potrzebuję ciebie! Dom jest pusty, kiedy cię w nim nie ma! Przybądź, *tesoro mio*, przyjdź zobaczyć twojego reżysera!...

Raphaël obrzucił tak ponurym spojrzeniem wyrocznię, że Estelle zdziwiła się, że *talkie-walkie* nie rozpadło się w pył na jej oczach.

- To chociaż proszę zjeść z nami obiad - poprosiła cichym głosem, nim podążyła za Beppe. - O pierwszej, w wielkiej sali w budynkach gospodarczych. Pozna pan Guido.

- Z największą przyjemnością! - odparł Raphaël, zatraskując z łoskotem klapę samochodu.

Kręcenie filmu to rzeczywiście bardzo wesołe zajęcie, a że przy okazji można oszaleć...

Nie przyszedł.

Pomyślała, że się dąsa.

W rzeczywistości był. Tylko tak fatalnie zjawił się po nakręceniu ostatniego porannego planu; akurat Guido odszedł z Estelle na bok, żeby porozmawiać. To, co jej powiedział, poruszyło ją do tego stopnia, że nie zauważyła obecności Raphaëla.

A on stał zbyt daleko, by słyszeć słowa, jednak wystarczająco blisko, by widzieć ich twarze. Bładość, wzruszenie Estelle sprawiły mu ból. Patrzyła w oczy Guido, a on trzymał jej dłonie w swoich z podejrzanym entuzjazmem. No więc Raphaël odszedł.

- Dlaczego mi to mówisz, Guido?

- Dlatego że nie chcę, byś była nieszczęśliwa, Donno Bianco! Carla opowiedziała mi o twoich kłopotach, a przyjaźń polega na tym, by mieć odwagę mówić prawdę. Rozumiem, że



kochasz „Oliwki”... ale powinnaś o nich zapomnieć! Posłuchaj, znałem jedną taką rodzinę w Umbrii. Oni też mieli posiadłość jak marzenie, taką jak twoja... ale władze postanowiły ją przeciąć autostradą... Walczyli, a ta walka kompletnie ich zniszczyła. Rodzina się rozpadła, a dom został zrównany z ziemią. Ludzie, którzy lansują tego rodzaju projekty, nie cofną się przed niczym. Wybacz mi... wiem, co myślisz: że jestem okrutny. Nie chcę jednak, żebyś popadła w obłęd! Opętany archeolog, który ostatniej nocy tak drogo kosztował produkcję przez swój przyjazd za twoimi plecami, no cóż, on też marzy!... Niczego nie znajdzie! Bo niczego tu nie ma... Przestań żyć dla grobów i zwróć się do żywych!... W Saintes-Maries, tam, gdzie Rodan, który tak lubisz, wpada do morza, przemyślisz to sobie wszystko. Zrozumiesz. Zapomnisz o „Oliwkach”.

Nie mogła nic przelknąć.

Nieobecność Raphaëla i rady Guido odebrały jej apetyt.

Po posiłku zaniosiła Raphaëlowi kawę i przygotowane przez Amélie „paluszki damy”.

Zastała go wściekłego. Niedługo przed jej przybyciem odwiedził go Jean-Edmond, który mu poradził, by zaniechał tego, co określił jako „niepotrzebne wykopki”.

- Jakim prawem się wtrąca? - oburzyła się Estelle. - Niepotrzebne wykopki!

Doprawdy!

- Może ma i rację - rzekł Raphaël rozglądając się dokoła. - Ani jednej wskazówki...

No nic! Nie dajmy się ogarnąć zniechęceniu... Kiedy odjeżdżają ci pani Włosi?

- Za dwa dni, ale...

- Ale?

- Wyjeżdżam z nimi - wyznała zakłopotana Estelle.

- Z nimi? Wyjeżdża pani?... Jak to?

- Pozostaje mi jeszcze jeden czy dwa plany do nakręcenia nad Rodanem, niedaleko Saintes-Maries, a potem wrócę...

- Będzie pani mile widziana! - zapewnił, odwracając się do niej plecami.

Z wściekłością walił kilofem w wykopie, który zrobił opodal źródła.

- A to „potem”, to będzie kiedy? - zapytał, nie spoglądając na nią.

- Jeśli pogoda dopisze, bardzo szybko... Jeśli będzie brzydko... za niecały tydzień.

- Sam nie wiem, dlaczego panią o to pytam - stwierdził, uderzając w kruchą skałę, która rozsypała się pod uderzeniem. - Może pani jechać, dokąd pani zechce, a ja i tak będę zajmował się wykopaliskami... To mój zawód! Jest mi całkowicie obojętne, czy pani tutaj będzie, czy nie! Moje najlepsze życzenia miłego Wielkiego Tygodnia z Reżyserem od fotopowieści!

- Jest pan obrzydliwy! A tak w ogóle mam już dosyć tego traktowania mnie jak małej dziewczynki, którą profesor przyłapał na nieposłuszeństwie! Nie muszę się nikomu opowiadać, ani przed nikim usprawiedliwiać!... A jeśli chce pan wyjechać, nic pana nie zatrzymuje! *Ciao!*

„Już nawet nie potrafi mówić po francusku” - pomyślał ze złością, patrząc, jak odchodzi. Potem oparł się na stylisku kilofa i nie spuszczał z niej wzroku, zastanawiając się, dlaczego nie biegnie za nią, by ją porwać w ramiona.

\*

Nazajutrz postanowiła wpaść do Julesa i Samuela, żeby się z nimi pożegnać.

Zdecydowała się też powiedzieć im, że Marceau powrócił i z jakimi zamiarami.

Jakaż smutna była ta sprzeczka z Raphaëlem... Ale też, jaki on ma charakter!

Ten macho, belfer, władczy i zarozumiały!

A na dodatek ten jego obrzydliwy, nie do zniesienia, obraźliwy sposób, w jaki dawał jej do zrozumienia, że być może coś ją łączy z Guido! Dopiero co powiedział jej: „Lecę z końca świata, żeby ratować pani korzenie, i zastaję panią w jakimś karnawałowym przebraniu, pośród jakichś tandetnych Włochów, posłuszną woli jakiegoś opętanego reżysera!”

Opętany? Guido? A jeśli nawet!... Jeśli mi się podoba, Raphaëlu, jak zaleca się do mnie jakiś opętaniec?... Co?

Niechże sobie nie wyobraża, że skoro wrócił grzebać w jej ziemi, to może sobie uzurpować prawo do kierowania jej życiem!

„Jeśli mam ochotę bawić się w kręcenie filmu, nie muszę go prosić o pozwolenie!” - pomyślała z wściekłością.

I zaraz potem przypomniała go sobie takiego, jak go widziała rano, z głową ledwo widoczną znad wykopu, w którym uważnie oglądał każdy cal ziemi, opukiwał każdą warstwę piasku, skały, gliny... dla niej. A ona wyjeżdża sobie, żeby „udawać aktorkę” w Saintes-Maries-de-lai-Mer, i zostawia go samego w tej dziurze... W końcu zgodził się jednak zamieszkać „Pod Oliwkami” w czasie jej nieobecności.

Estelle zjeżdża nagle na pobocze. Nie myli się: ta dziewczyna, która kroczy nieśpiesznie po skoszonej trawie, to przecież Zita.

- Mogę cię gdzieś podwieźć?

Poważna twarz Cyganki rozjaśnia się na jej widok.

- Gwiazda!

I zaraz ściąga brwi.

- Co ci doskwiera?

- Wsiadaj! Opowiem ci...

Zita otwiera drzwi, wsiada do samochodu, układa swoje spódnice, czeka. Estelle, z rękoma na kierownicy, nie rusza.

- No więc, Gwiazdo... co ci doskwiera?

- Prawdę powiedziawszy... nic się nie układa.

Czuje na sobie spojrzenie Cyganki i uśmiecha się do niej.

- Miło mi znowu cię widzieć, Zito!

- Ja też się cieszę z naszego spotkania! Ale za pierwszym razem byłaś weselsza...

- Tyle się wydarzyło od tamtego czasu... Wiesz, w dniu, w którym się spotkałyśmy, nad wodą, otóż tamtego dnia powiedziałaś mi, że otrzymam wiadomości od brata... i cóż, pewien mężczyzna, który był „prawie” moim bratem w dzieciństwie, powrócił!

Sukces ten zdaje się nie cieszyć Zity. Mówi tylko:

- Ja nigdy się nie myślę, Gwiazdo. To dlatego nie chcę więcej przepowiadać przyszłości. Przeraza mnie to...

Estelle wyciąga do niej otwartą dłoń.

- A mnie nie przeraza! I chcę wiedzieć! Muszę wiedzieć! Proszę cię!...

Zita ledwo spojrzy na podsunietą dłoń. Wzdycha i łagodnie zgina palce Estelle.

- Już za pierwszym razem wszystko zobaczyłam. To, co zostało zapisane, nie może być wymazane.

Chwila wahania i decyduje się mówić.

- Dobrze! Chcesz wiedzieć?... No to lepiej ci wszystko powiedzieć. Ten mężczyzna pojawił się z powrotem w twoim życiu, żeby zadawać ci cierpienie. Już zaczął. Ale niekiedy zło rodzi dobro. Staniesz się sobą. Wybierzesz. Spójrz na swoją rękę... Twoja linia życia łamie się na dwoje... to wybór. Poddać się albo walczyć. Jeśli ustąpisz, widzę cię smutną, daleko stąd... Jeśli podejmiesz walkę, widzę śmierć wokół ciebie...

- Śmierć?!

- Poczekaj... Twoja dłoń nie wszystko mówi, na początku linii jest jakaś tajemnica. To, co jest straszne, to fakt, że będziesz musiała dokonać wyboru nie znając prawdy. Prawda ślizga się w trawie, pośród kamieni...

- Wszystkowiedzący...

- Kto to jest Wszystkowiedzący?

- Wąż.

Zita uśmiecha się.

- To dobrze. Słuchaj jego głosu. On wie. On cię chroni, bo ty jego chronisz. Nie on jeden wie... jest krzyż...

- Krzyż?

- Źle widzę, bardzo źle. A potem, tak... jest taka kobieta, bardzo stara... zakochana... jest w wieży... Rodan zabrał jej rozum...

Estelle wygląda na tak poruszoną, że Zita usiłuje ją uspokoić.

- Mówiłam o śmierci, ale nie powinno cię to przerażać. Zmarli nie są niewdzięcznikami, mogą przybyć ci na ratunek, tak jak wąż, jak staruszka z wieży. Wszystkich ich chronisz!

- A krzyż?

Zita wzdryga się i milknie.

- Krzyż, Zito?

- Są rzeczy, których nie powinnam się starać zobaczyć - mówi Cyganka przymykając powieki. Zaniemówiła.

Nim zaszła do prezbiterium, zahaczyła o Nerthe. Chciała zobaczyć się z Apolline, chciała spróbować obudzić zjawy z jej pamięci. Tego dnia jednak Apolline, bardziej nieosiągalna niż zwykle, uciekła pod ochronę snu.

Dziwna jakaś cisza panowała w jej pokoju. Słyszać było jedynie ledwo słyszalny oddech i lekki ruch kartela z połączanego brązu.

Stéphanette wprowadziła Estelle, położyła palec na ustach, by dać do zrozumienia, że *mademoiselle* śpi, i wyszła.

Kiedy została sama, Estelle przyklęknęła przy łóżku i przyglądała się swojej matce chrzestnej.

Apolline nadal była piękna i godna, nawet we śnie. Czekąca, spokojna jak młoda dziewczyna, aż miłość ją obudzi...

- Apolline! Co ty wiesz? Co ukrywasz? Pomóż mi, Apolline, proszę cię! Spróbuj sobie przypomnieć... Jakież to przekleństwo ciąży nad „Oliwkami”, o którym tak często mi wspominasz? Muszę się dowiedzieć, kochana...

Nic jednak nie niepokoi starej pani, która zdaje się w swoim śnie bujać gdzieś daleko od rzeczywistości. Estelle wie o tym i wypowiada słowa, które pasują do jej marzenia.

- Zgadnij, gdzie jutro będę? Będę w Saintes, Apolline... i zapalę świeczkę za duszę twojego pasterza... Słyszysz? W Saintes...

Apolline otwiera oczy, uśmiecha się i szepce:

- *Ô belli Santo, segnouresso*\*... - i znowu zasypia w spokoju.

\*

*Te wielkie cierpienia, co je sobie ludzie zadają nawzajem, ze względu na tendencje, namiętności, poglądy i przekonania, wynikają wszystkie z braków; gdyż wszystkie są wynikiem ignorancji.*

Samuel odłożył Księgę Błądzących i milczy.

- Ten Majmonides - stwierdza Jules - to jednak był ktoś! I pomyśleć, że napisał to w XII wieku! Nie na darmo nazwano go Orłem z Synagogi!

- To smutne... - zauważa Samuel.

- Smutne?

- Kiedy się widzi, że nic się nie zmieniło przez osiem stuleci. A! Odległe są nadal czasy, gdy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą spolem...

- ...i małe dziecko będzie je poganiać.\*\*

- A, nie: „mały chłopiec”!

- To to samo!

- To samo? Jest pewien niuans, jak mi się zdaje! A poza tym, powiem ci, na co się powołuję: wiesz, gdzie znalazłem „małego chłopca”? W Biblii, którą mi podarowałaś na urodziny!

- Musiałaś pomylić wersety.

- Ja? Ja miałbym pomylić wersety? W ciemności, słyszysz, w ciemności czytam Pięcioksiąg i nie pomyłę się ani o jotę!

- „Jota” w hebrajskim, można pęknać ze śmiechu!

- A ksiądz, który chce mnie uczyć hebrajskiego, to jeszcze śmieszniejsze! Z tym jednak wyjątkiem, że w tej chwili wcale mi nie do śmiechu...

- Niech ci się nie wydaje, że tylko ty spędzasz bezsenne noce!...

Nie muszą podawać powodu bezsenności. Wiedzą, że Estelle dostała niepomyślny list z Komisji Sztuk Pięknych. Wiedzą, że Rada na ogólnym zebraniu, pod przewodnictwem Jean-Edmonda, przyjęła projekt budowy Cykad-Landu. Mieli nadzieję, że poprą ją ekolodzy, lecz niestety, ekolodzy i tak już mają kupę roboty z trasą TGV i odpadkami radioaktywnymi,

---

\* *O piękne Świąte, wszechwładne...* (Koniec *Mirejo*, F. Mistral).

\*\* Księga Izajasza XI, 6.

nic nie mogą dla niej zrobić. Najbardziej jednak niepokoi ich zachowanie Estelle.

- To dzisiaj wyjeżdża? - pyta Samuel.
- Tak mi mówiła Amélie.
- Nawet nie zajrzała, żeby się z nami pożegnać!
- Pewno nie miała czasu...
- Chcesz powiedzieć: dlatego, że bawi się w aktorkę?

Czegoś tu nie rozumieją. Co się z nią dzieje?

- Nie rozumiem jej - mówi Samuel. - Profesor Fauconnier, jedyny, który może ją uratować, przyjeżdża kopać, a ona wyjeżdża do Saintes-Maries z jakimś Włochem! Też mi pielgrzymka... Moim zdaniem, opuszcza „Oliwki”! Boję się nawet, że jeśli wyjedzie, to już nie wróci!

- Wyjeżdża tylko na kilka dni, jak mi się zdaje... I nie z j a k i m ś Włochem, ale z kilkoma!

- A twoim zdaniem to są okoliczności łagodzące?
- Oczywiście!
- Jak na przewodnika duchowego jesteś raczej liberalny!
- A ty jesteś zazdrosny! I tyle!
- Ja? Zazdrosny?... Ja codziennie proszę Pana, by zechciał zesłać...

Akurat weszła Estelle. Uśmiechnięta, ale daje się wyczuć, że coś ją zaprzęta.

- No?... - dziwi się Estelle, zaskoczona nagłym ich milczeniem. - Cóż tak się dąsacie!

Co się dzieje?

- Dzieje się to, że zastanawiamy się - odpowiada Samuel.
- Nad czym?
- Nad tobą - z powagą rzecze Jules.
- Zastanawiamy się, czy nadal masz ochotę ratować „Oliwki”...

Spodziewali się, że głośno się roześmieje, że wpadnie w złość... Oczekiwali protestów. Zamiast tego Estelle siada na końcu stołu i nic nie odpowiada.

- Przecież dobrze cię znamy - ciągnie zatroskany Samuel. - No więc, widząc, że wyjeżdżasz na tydzień do Saintes-Maries, kiedy to, co się u ciebie dzieje ma kapitalne znaczenie... czy to ci się nie wydaje...

Estelle spogląda na niego, lecz nadal się nie odzywa.

- Widzisz... nawet mi nie odpowiesz. Można by rzec, że rezygnujesz... Czy się mylę?
- Nie, Samuelu - mówi wreszcie - nie! Masz rację, i to właśnie przyszedłam wam powiedzieć.

Jakby w nich piorun strzelił. Nie mogą dojść do siebie. Po długim milczeniu Jules pyta słabym głosem:

- Naprawdę poddajesz się?

- A ja miałem nadzieję, że się mylę... - szepcze Samuel i nagle wygląda bardzo staro.

- Moi drodzy - przemawia do nich czule - nie robię tego z radością w sercu!... Już wam mówiłam, czuję się straszną egoistką. Straciłam wiarę w wygraną. Coraz mniej wydaje mi się to możliwe... a poza tym, nawet jeśli wygram, to co na tym zyskam? Te moje biedne kamienie, co się rozsypują? W Châteauneuf ludzie czekają na pracę, a to też się liczy.

- Oczywiście, że to też się liczy! Ale dlaczego trzeba aż zetrzeć „Oliwki” z powierzchni ziemi, żeby stworzyć miejsca pracy? I dlatego czujesz się egoistką?...

Samuel powoli odzyskał swój waleczny zapał:

- ...No więc, powiedz sobie, że nie tylko „Oliwek” bronisz, ale i całego regionu!

Estelle nie odzywa się, nie może się zebrać w sobie, żeby wyznać najważniejsze.

Samuel wyczuwa to.

- Coś jeszcze ci ciąży...

- Tak - przyznaje.

Nadeszła ta chwila.

- Czy wiecie, kim jest Pierre Séverin?

Jules aż się wzdrygnął. Odkryła więc prawdę?

- Pierre Séverin? - powtórzył Samuel - oczywiście, że wiemy. To dyrektor naczelny Carneau-Développement!

- Pierre Séverin to Marceau Dupastre - rzuca jednym tchem.

Jules spuszcza głowę.

- Założę się, że wiedziałeś!... - krzyczy Samuel rozwścieczony.

Ksiądz potwierdzająco kiwa głową. Samuel wybucha.

- Oboje wiedzieliście! I nic mi nie powiedzieliście! I w całej tej historii wyszedłem na głupka, przed którym ukrywa się prawdę! Marceau Dupastre!... No więc całe to frymarczenie, wszystkie te kłopoty, to tylko po to, żeby się zemścić?

- Właśnie po to - mówi Estelle, uśmiechając się ze smutkiem.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Tuż przed Bożym Narodzeniem.

- A ty, Jules?

- Zobaczyłem go któregoś dnia na cmentarzu, przy grobie jego rodziny. Poznałem go... Ale w ubiegłym tygodniu dopiero dowiedziałem się, że to on jest przedsiębiorcą.

Znowu zapada cisza.

- Teraz wszystko rozumiem - mówi Samuel po chwili. - Estelle, czy to od kiedy wiesz, kim on jest, boisz się z nim walczyć!

- Nie boję się, Samuelu, ale wstyd mi. Nie znoszę Pierre'a Séverin, ale lituję się nad Marceau Dupastre'em i nad tym, co kiedyś przeżył. Myślę o tych wszystkich bliznach, jakie nosi na swoim ciele i w swoim sercu... Nie mam wcale ochoty z nim walczyć.

Jules czuje się nieswojo i nie ma odwagi podnieść wzroku. Samuel wali pięścią w stół i zwraca się do Estelle.

- Użalaj się nad nim, ile ci się tylko spodoba, ale nie słabnij! I posłuchaj mnie, muszę z tobą pomówić, a to bardzo poważna sprawa!

„Dzięki ci Boże - myśli Jules. - Wszystko jej wyjawia, a ja nie będę musiał naruszać tajemnicy spowiedzi! Błogosławiona niech będzie wola Twoja!”

Ale szybko doznaje zawodu. Samuel nie ma żadnego sekretu w zanadrzu, który miałby wyjawiać Estelle; mówi tylko o tym, co i tak wszyscy wiedzą, i Jules posyła pełne wyrzutu spojrzenie swojemu Chrystusowi z drewna.

- To poczucie... winy, które chowasz w głębi swej duszy, Estelle, ogarnęło też twojego ojca po tym dramacie. Nie wiem, dlaczego Paul - on, taki dzielny - nigdy nie znalazł siły, żeby podźwignąć posiadłość z upadku... Żeby sprzeciwić się Bouvierowi, gdy zdyskwalifikował wasze wino. Nawet twoja matka zdawała mi się jakby unicestwiona przez ten dramat. Ale w całym tym dramacie nie było waszej winy! To Dupastre oszalał! O, Jules!... Nie zgadzasz się ze mną?... Siedzisz tutaj, drętwy jak polano, i nic nie mówisz!... Ejże!... Nie mam racji?

- Ależ masz, masz!

- No to dalej, gadajże! No a ty, Estelle, teraz, kiedy już wiesz, że projekt Séverina jest niczym innym jak tylko zemstą Marceau, nie tylko nie możesz mieć skrupułów, ale powinnaś uznać to za dodatkowy powód, żeby się bić! To na tobie, moje dziecko, spoczywa obowiązek i zaszczyt zniesienia przekleństwa z Pałacu pod Oliwkami! Słyszysz? Nie rób takiej miny! Odwagi! Gdzie tu twoja wina?... Twoja jedyna wina, wiesz, to wyjazd do Saintes...

- A przecież - mówi Estelle ze smutnym uśmiechem - *Se quauque mau te desvario...*

I dwa drzewa oliwne, zdjęte magią poematu, mówią dalej z nią:

- *Courre leù à Santi Mario... auras leùde soulas\**.

---

\* *Jeśli dosięgnie cię nieszczęście / Biegnij do Świętych Marii [...] Tam znajdziesz pocieszenie (Mirejo Pieśń XII. F. Mistral).*



\*

Wiatr wiejący od morza zostawia smak soli na wargach...

Początkowo wydaje się, że jest tylko płaski krajobraz, szarzielony i jednolity.

Następnie, stopniowo, oko odkrywa wszystko, co pozostawało nieruchome, milczące, i wystarczy skok maleńkiej żaby, by Kamarga ożyła.

W kanale tępogłów otwiera pyszczek, by zaczerpnąć powietrza tuż nad powierzchnią wody. Tłuściutka nutria płynie przez szuwały, gramoli się na brzeg, krople lśnią na jej futrze, a ona bada bryzę, strzygąc wąsami jak u angielskiego majora. Czerwononogi brodziec zapuszcza się ostrożnie w brunatnoszary gąszcz trzciny. Jak otwarty wachlarz różowe flamingi przecinają niebo.

Delta Rodanu jest rajem dla ptaków o osiadłym trybie życia i ukochanym miejscem postoju ptaków wędrownych. Niekiedy stanowi miejsce międzylądowania na trasie Strasburg-Kair dla bociana, który spokojnie siada pośród koni, białych koni obdarzonych taką znajomością lądu, że nigdy nie wejdą tam, gdzie ziemia może usunąć się pod nimi. Tysiące lat temu wyszły z morza, porzucając boski rydwan ustrojony algami, i galopują pośród ludzi ze śnieżnymi grzywami rozwianymi na wietrze, wzbijając strumienie wody różowymi kopytami, które nie znają podków.

Żyją tu, na brzegach Kamargi między człowiekiem i bykiem, stworzeniem równie jak one mitycznym, czarnym dopełnieniem białych gości.

Przez pierwsze dni była brzydka pogoda i Guido musiał schronić się w wielkiej, opuszczonej posesji, osłoniętej cyprysami, by tam nakręcić sceny z Carłą.

Pozostawiona swemu losowi i bardzo z tego zadowolona, Estelle wykorzystywała wolny czas na długie marsze w morskim wietrze, zakłócanie krótkotrwałymi, ostrymi ulewami. Chodziła rozległymi plażami, które odzyskały swoją pierwotną szlachetność dzięki chłodowi zimy i pustce.

Tam, gdzie latem sprzedają frytki i mergezy w oparach spalin i wulgarnym triumfującym hałasie, Estelle odnajduje smak odwiecznego kontaktu z surową naturą.

Guido miał rację zapewniając, że tutaj, z dala od domu, będzie mogła lepiej przemyśleć swoje sprawy. Pierwszy raz w życiu, oderwana od rodziny, pracy zawodowej, miała wolny czas, by zastanowić się nad swoim losem.

Stojąc na zmarzniętym piasku, wpatrzona w ruchomy kres ziemi i wód, z każdą falą *morza, które się ślini*, oczekiwała odpowiedzi.

Wieczorami, po kolacjach, które mijały w bardzo wesołej atmosferze, spędzała długie

chwile z Carłą. Zajmowały sąsiednie pokoje, połączone ze sobą drzwiami, które stale były otwarte. Nie kończące się rozmowy, szalone śmiechy pensjonarek... niekiedy łyzy. Carla nie mogła dojść do siebie po zerwaniu z Rémym.

- On też - mówi Estelle. - A właściwie dlaczego od niego odeszłaś, jeśli wolno spytać?

I tak dowiedziała się, jak niechcący stała się powodem ich rozstania. Było jej przykro i przysięgła sobie, że bez cienia skrupułu zabawi się w mediatora i spróbuje ich znowu połączyć.

- *A l'archeologo?* - spytała Carla.

- *L'archeologo?*

- No tak, zakochany w tobie *l'archeologo*.

- Po czym poznajesz, że jest we mnie zakochany? - dziwi się Estelle. - Zachowywał się obraźliwie, robił aluzje, jak gdybym wyjeżdżała z Guido i miała z nim romans.

- No właśnie! - podchwytuje Carla. - *Jeśli Tytus jest zazdrosny, Tytus jest zakochany!*...

- Tak myślisz?

- Ja nic nie myślę! To Racine powiedział!

Jest zbyt późno, by dzwonić „Pod Oliwki”. Estelle postanawia, że bardzo wcześnie rano zatelefonuje, żeby dowiedzieć się o nowiny. Nie odezwała się ani razu od wyjazdu i wyrzucała to sobie. Kiedy nabrała dystansu do spraw i przemyślała sytuację, wstyd jej się zrobiło, że odjechała, nie pojednawszy się z Raphaëlem, nie zadawszy mu ani jednego pytania o podróż do Chin, że zostawiła go tam samego z łopata i kilofem... Poza tym, co mówi Carla... Co powiedział Racine?

Obudziła się o świcie i ledwo mogąc doczekać przyzwoitej pory, zadzwoniła do Pałacu.

Odebrała Amélie.

- Gdzie jesteś? Co robisz? Nie marzniesz, biedaku?

- W domu wszystko w porządku?

Nie śmiała prosić Amélie, żeby oddała słuchawkę Raphaëlowi. Nie było to zresztą możliwe. Raphaël i Luc, który przyjechał przedwczoraj, poszli już kopać.

- Gdybyś ich widziała! Zmarznięci na kość, ale gdzie tam! - nie powstrzyma ich nic! Nie wyobrażasz sobie, jaki wielki dół wykopali przy płytach starej, rzymskiej ścieżki...

- Znaleźli coś?

- Nic! Serce mi się ściska, kiedy zanoszę im coś do jedzenia... Nie przychodzą nawet się ogrzać do domu! Błańd tak samo! A wieczorem wracają wszyscy trzej już po zmroku. Z

latarkami z daleka wyglądają jak duchy! A ty kiedy wracasz?

Estelle nie wie. Jej powrót zależy od woli niebios. Nie mówi Amélie, że w ostatniej scenie, scenie zniknięcia Donny Bianki, powracającej w wody rzeki, będzie musiała wejść do Rodanu... Nie ma co jej niepokoić.

Wola niebios objawiła się przed południem, słońce przedarło się przez chmury i roziskrzyło deltę.

Niewłocznie Guido przywołał Estelle.

- Czas wieńcem chwały ozdobić skroń! Nie boisz się?

Bać się? Rodanu? Ona?

- Zobaczysz, jaki to piękny zakątek! - zapewniał Guido. - Czarodziejski!

Wspaniale wybrał miejsce. Zakole wielkiego Rodanu, ociążałego zimą, nabrzmiałego od wód spływających ze śniegów Cesarstwa, zaś po stronie Królestwa zasilanego rwącymi strumieniami z Cevennesów. Spokojne zagłębienie, nad którym czuwa wydmowa roślinność o srebrzystych pniach, ogołoconych teraz z liści.

Nurkowie z brygady rzecznej w Arles czekają w pogotowiu na tratwie ratunkowej, gotowi nurkować przy pierwszym alarmującym znaku. Przywieźli dla Estelle dół od nieprzemakalnego kombinezonu. Oni też ją pytają, czy się nie boi.

Uśmiechnęła się.

Obawia się tylko jednego. Jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, który zepsuje to jedyne ujęcie. Zmoczona suknia do niczego już się nie będzie nadawać. Musi się udać za pierwszym razem.

Ostatni raz przywdziała szatę z białej satyny... Uniosła ją, by zobaczyć błyszczące czarne stopy córki Draka. Ostatni raz musnął ją pędzel charakteryzatorki i dotknęły dłonie garderobianej, potem ruszyła ku reflektorom i tam, nad wodą, ostatni raz usłyszała „*Motore! Silenzio! Action!*” i z pogodną twarzą zanurzyła się aż po piersi w *le acque mortali*.

Rodan był lodowaty; kiedy dotarła z powrotem na brzeg, dzwoniła zębami. Beppe schwycił ją w swoje objęcia olbrzyma, uniósł jak piórko i pognał położyć ociekającą wodą w przyczepie kampingowej, gdzie garderobiana i charakteryzatora zdarły z niej odzienie jak skórę z królika. Nacieraly ją ostro, aż skóra z sinej stała się czerwona, Carla zaś napoiła ją gorącym grogiem.

Od pierwszego łyku piekielny ogień rozlał się w jej żyłach.

- Myślę, że jednak przeżyję to kręcenie - stwierdziła wesoło.

Guido czekał na nią przed przyczepą.

- Skończyliśmy - rzekł z melancholią. - *Exit* Guido z życia Estelle. Taki właśnie jest ten nasz fach... Wiem, że będziesz chciała bardzo szybko nas opuścić, więc smutno mi... a równocześnie rozumiem cię.

- Wyjadę jutro - powiedziała - możemy dziś we trójkę pójść na kolację...

- Niestety! Dziś wieczorem, jeśli noc będzie tak piękna, jak się zapowiada, będę kręcił plenery! Znowu mogę powiedzieć: taki to ten nasz zawód!

Wsunął dłoń pod ramię Estelle.

- Chciałem ci jeszcze powiedzieć... Nie jestem ani jasnovidzem, ani wyrocznią. Wszystko, co ci przepowiedziałem o przyszłości „Oliwek”... mogłem się mylić! W każdym razie, mam taką nadzieję! Taka jesteś odważna! Aż mnie to przeraża...

- Przeraża?

- ...twarda wola kobiety...

Przyszedł Beppe, by go powiadomić, że wszystko gotowe. Czekają na niego.

- Już idę - powiedział.

Ucałował zimną jeszcze dłoń Estelle i odszedł.

*Exit* Guido.

- Pamiętasz moją chrzestną, Carlo?

- Panienkę wciąż zakochaną, choć dobiegającą setki?

- Tak. Przed wyjazdem zapalę w kościele świeczkę za duszę jej pasterza. Pójdiesz ze mną?

W mniemaniu Estelle, perspektywa palenia świeczek powinna wywołać entuzjazm Włoszki. Jednak wyczuwa jakieś opory u młodej kobiety.

A może jest żydówką? Masonką? Marksistką? Żeby ją uspokoić, Estelle śpiesznie dorzuca:

- Ale pewnie masz ochotę odpocząć!

- Nie o to chodzi - mówi Carla. - Prawdę mówiąc, nie jestem, jak myślą twoi synowie, katoliczką. Jestem jedynie rzymianką. I protestantką. Mój dziadek jest pastorem w Weronie. Ale nic nie szkodzi! Wprost przeciwnie, pójdę z tobą i też zapalę świeczkę. To będzie pierwszy raz, a myślę, że za pierwszym razem się udaje!

- Słyszałam o szczęśliwym pierwszym razie w przypadku gry w kasynie... Nie jestem przekonana, że tak samo się to dzieje w niebie! - odpowiedziała Estelle, śmiejąc się.

Gdy się jednak znalazły w półmroku krypty, opanowało je jakieś dziwne wzruszenie.

Zapłonął słaby płomyk za duszę Fortuné Maurin, poety i jeźdźca. Jakież to los miłości

pasterza i Apolline...

Długo milczały zatopione w myślach.

Następnie każda z nich zapaliła drugą świeczkę.

- Niedrogie!

Carla mówiła szeptem wrzucając monety do puszeki, która wydawała brzęczący odgłos.

Popatrzyła na szerniałe ściany pokryte wotami. Część nędzy tego świata zdawała się zgromadzona tu ku przestrodze i pamięci - w tym starym, nadmorskim kościółku.

- Kamienie przechowują ból - szepnęła Carla na ucho Estelle. - To jak w *Colosseo*<sup>\*</sup>, ból nigdy nie znika...

Zapalając świece, każda pomyślała skryte życzenie.

- Uratuj „Oliwki”! - poprosiła Carla.

- Połącz znów Carlę i Rémy'ego! - poprosiła Estelle.

Następnie poszły po nowe świeczki.

Za Antoine'a, za Sophie, za Luka, za Philippine, za Amélie, za bliźnięta, za Blaïda i jego syna, za Julesa, za Samuela, za Rémy'ego... za Raphaëla. Urósł niewielki las płomyków tańczących przed nimi pośród zapachu wosku, kadzidla i słonej woni morza.

W kościółku ani żywego ducha. Są same tam, gdzie poeta odprowadził kiedyś Mirejo aż do *gorzkiej śmierci*.

- Zastanawiam się, co by sobie pomyślał mój dziadek, gdyby widział, co ja tu robię - mówi Carla pochylona nad języczkami ognia.

- Myślisz, że by się gniewał?

- *Chi lo sa?* - odparła wstając, by przynieść jeszcze jedną świeczkę.

Na kolację zjadły *tellines* i szczupaka z koprem w jednej z niewielu otwartych o tej porze roku restauracji. Morze było o krok, słyhać je było, mimo że niewidoczne, pomrukiwało w ciemnościach.

Niewiele mówiły. Powiedziały już sobie i dały tak wiele.

Nazajutrz Estelle powróci do swoich „Oliwek” i do swoich kłopotów, Carla zaś wróci do Guido i do ekipy, do kręcenia filmu, do swojej pracy zawodowej... Czy jeszcze kiedyś się zobaczą?

- Wiesz, bardzo mi się spodobało „robienie za aktorkę” - wyznaje Estelle. - Dziękuję

---

\* Koloseum.

ci za wszystko... nie tylko za *i soldi*\*!

Wolnym krokiem wróciły do hotelu. Noc była lodowata i czysta. Guido będzie miał wspaniałe zdjęcia! Droga Świętego Jakuba lśniła na ciemnym niebie jak aksamit. Minęły gospodarstwo, w którym białe jak zjawy konie poruszały się lekko w ciemności; jakieś tajemnicze zwierzę prześliznęło się przed ich stopami i zanurkowało w kanale, mącąc sen niewidzialnej fauny...

Nim weszły do hotelu, przystanąły, by głęboko powdychać powietrze.

- O, pani Laborie - wykrzyknął, widząc je, nocny portier - jest do pani pilna wiadomość. Pani syn... o proszę, zapisałem...

Podał jej kartkę. Serce Estelle biło tak mocno, że z trudem odczytała wiadomość. A było tylko pięć słów:

„Mamo, udało się! Raphaël znalazł!”

---

\* Pieniądze!

Jak szalona jechała w kierunku Arles niebezpieczną drogą, która w nocy była jeszcze bardziej niebezpieczna.

„Raphaël znalazł!”

Była pierwsza trzy na zegarze wynajętego samochodu, który pożyczyła jej ekipa. Chciała wyjechać natychmiast, nie była w stanie czekać, aż zrobi się widno. Chce jak najszybciej zobaczyć wydobyte przedmioty. Jakaś ceramika? Ozdoby? Kamienie z jakimiś wyrytymi znakami? Nie wiedziała, co odkrył, wiedziała jednak, że to zbawienie. Nie udało jej się dodzwonić pod „Oliwki”, linia była zajęta. Zapewne Raphaël informował o swoim zwycięstwie właściwe władze, budząc jakiegoś kolegę, może ministra... Kto wie?

Sól na ruinach, Marceau? Nigdy!

Skręciła na autostradę przez Avignon-Sud i jak strzała pomknęła do zjazdu Avignon-Nord.

Wracała do domu. Dom był uratowany.

Przez Raphaëla.

Przy wjeździe do Châteauneuf minęła ambulans i zastanawiała się, dokąd też mógł jechać o tak późnej porze. Nagły wypadek? Wypadek? Przejechała przez las, winnice, gaj oliwny i nagle... ogarnął ją strach. Przeraźliwy strach. Strach chwytający za trzewia.

Pomimo zimna opuściła szybę. W powietrzu czuć było dym, pośród nocy słyszała czyjeś podniesione głosy.

Coś się stało. Wjeżdżając na podjazd ujrzała wóz strażacki, patrolowy samochód żandarmerii, ludzi zwijających się jak w ukropie... Wsiadła z samochodu, nogi miała jak z waty, suchość w gardle. Najwyraźniej pałac był nietknięty. Czego nie można było powiedzieć o budynkach gospodarczych. W świetle reflektorów żandarmerii dostrzec można było zakopcone ściany składu, gdzie wstawiła część swoich staroci. Zobaczyła Raphaëla i Blaïda pośród strażaków, dostrzegła płaczącą Amélie, nieco dalej...

Kogoś tu brakuje.

Bez słowa podeszła bliżej. Ludzie patrzyli na nią w milczeniu i bardzo poważnie. Potem Raphaël podszedł do niej, ujął za ręce.

- W stodole wybuchł pożar... ogień jest opanowany, ale...

- Ale?

Zawahał się, więc spytała:

- Kto był w karetce?

- Luc - odpowiedział. - Ma poważne poparzenia.

Jej chłopczyk.

Nieruchomy kształt leżący na białym łóżku. Twarz bez spojrzenia, owinięta bandażami. Ręce ginące pod opatrunkami...

- Mama? To ty? Widzisz, mało brakowało, a usmażyłbym się jak stek!

Pochylona nad nim, stara się uśmiechnąć. Daremnie szuka miejsca, gdzie mogłaby złożyć pocałunek, a nie sprawić mu bólu, aż w końcu muska zmierzwiłone włosy chłopaka. Chłopaka, który wierzył we wróżki, który przemawiał do drzew i ptaków, który chciał towarzyszyć matce w poszukiwaniu *niegdys*... Zapędził się tak daleko, że mało brakowało, a nie wróciłby...

Ale w jaki sposób ogień mógł powstać w budynkach gospodarczych?

- Jest to tym bardziej niezrozumiałe - powiedział Raphaël - że niczyja noga nie stanęła w składzie od pani wyjazdu.

- Mamo, widziałaś, co znaleźliśmy?

Pod bandażami Luc triumfuje. To mama jeszcze niczego nie widziała? Trudno, znalaziska nic nie tracą, jak zaczekają! Opisuje je z uczuciem: złoty naszyjnik, fragment Stelli nagrobnej, mozaikę... Ach! Ta mozaika!... jego entuzjazm rozwesela doktora.

- Chory obdarzony taką energią może tylko szybko wyzdrowieć! Musi jednak odpoczywać! I niech śpi!

Estelle spytała bardzo cicho, czy jego stan jest poważny.

Luc ma poparzenia drugiego stopnia na twarzy i na rękach...

Estelle musi usiąść.

- Niech pani nie wpada w panikę - mówi doktor Garouste, widząc jak blednie. - Pani chłopak to twardy mężczyzna! Jego stan ogólny jest dobry, twarz się zablizni szybko i ładnie, oczy nie zostały uszkodzone... Trzeba jedynie chronić je przed zbyt silnym światłem. Jeśli chodzi o ręce... zobaczymy za kilka dni. Zwłaszcza jeśli chodzi o prawą dłoń.

- Dlaczego?

- Więzadła ucierpiały. Ale jest jeszcze za wcześnie, by mówić o przeszczepach.

- Boże!...



- Proszę, niech pani nie wpada w panikę! - powtarza doktor. - Prawdę mówiąc, to pani bardziej mnie niepokoi. Wie pani, co bym pani sugerował? Żebyście państwo poszli we dwoje napić się czegoś ciepłego w kawiarence i jeśli przeżyjecie, wróćcie tu trochę później. Na wszelki wypadek wolę was uprzedzić: herbata, kawa i czekolada, każde z osobna, mają w sobie coś z wtajemniczenia... Więc jeśli przeżyjecie, wróćcie państwo później, będę wówczas po zmianie opatrunków młodego człowieka i będziemy mieli jaśniejszy pogląd na sprawę.

- Zdjęcia! Zdjęcia! - krzyczy za nimi Luc. - W kieszeni mojej kurtki... Raphaël, niech je pan zabierze!

- Już to zrobiłem.

- Dziękuję! Spieszno mi, by mama zobaczyła mozaikę! No bo wiesz, Raphaël podziela moje zdanie. Prawda, Raphaëlu? Kobieta z mozaiki... no, podobna jest do ciebie!

- Spokojnie - radzi doktor, zabierając się dziarsko do zmiany opatrunków.

Poszli posiedzieć w kawiarence. Jeśli zdobyć się na odwagę, by ochrzcić tą nazwą, kojarzącą się z miłymi zapachami, miejsce tak smętne, jakim była przestrzeń z trzema czy czterema stolikami pokrytymi laminatem, automatami: zimne napoje, gorące napoje: 3,50 Fr, dystrybutor suchych ciasteczek (starych), drugi dystrybutor z różnymi kanapkami (zepsuty) i przestrzeń odgradzona od „repcji” szpalerem plastikowych roślin doniczkowych.

Obrzydliwy zapach napitków miesza się z przygnębiającym zapachem szpitala.

Człapiąc przechodzi jakiś chory. W dłoni trzyma kartę telefoniczną, szuka automatu. Aparat jest nieczynny.

- Niech pan idzie na górę, na porodówkę! - zza plastikowego szpalera słychać głos z „repcji”.

Chory, którego taka perspektywa zdaje się przytłaczać, odchodzi, szurając kapciami, i znika na końcu korytarza, a jego dres zlewa się z kolorem ścian.

Starsza pani w podomce, w której nadpruła się kieszeń, podchodzi do stołu, opiera się o laminowany blat, pochyla w ich stronę i rozglądając się, czy nikt nie szpieguje, szepcze:

- Nie jest dobra ta ich herbata... Już im to mówiłam...

Po czym podchodzi do jednego z automatów, żeby sobie nalać. Niesie herbatę do jednego ze stolików, siada i niewidzącymi wzrokiem wpatruje się w plastikowy kubek w oczekiwaniu cudu, który zamieni go w filiżankę pachnącego yunanu w złocitym kolorze.

- Pan też ma poparzoną twarz!

Dopiero teraz Estelle zauważyła u Raphaëla osmalone brwi, placki zaognionej skóry.

- To nic takiego - odparł. - Mam żal do samego siebie. To moja wina!

- Pana wina?

- Powinienem był go powstrzymać. Ledwo zasnąłem, gdy usłyszałem krzyk Blaïda: „Pali się!” Pies go obudził. Na szczęście! Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Palila się stodoła... Popędziliśmy tam, Luc pierwszy. Wpadł do środka, spadła na niego płonąca belka. Całe szczęście, że mogliśmy zaraz go spod niej wyciągnąć...

- Mówi pan, że wszystko zdarzyło się z pana winy, a uratował mu pan życie!

Nie odpowiada, kruszy kawałek suchego biszkopta.

- Dziękuję, Raphaëlu! - mówi Estelle łagodnym głosem.

On usiłuje uśmiechnąć się do niej, ale bolą go oparzone miejsca. Chciałby wszystko jej wyznać. Jednym tchem. Wszystko z siebie wyrzucić. Radość, że nareszcie znalazł to, czego szukał. Cierpienie i wściekłość ze względu na wypadek Luka. Wzruszenie, jakiego doznał widząc ją przed chwilą pochyloną nad synem, kiedy to zrozumiał, że ona daje wszystko, gdy kocha... A kiedy już odda wszystko, ma jeszcze więcej do dania.

- To, co znaleźliśmy, jest wspaniałe - mówi bezbarwnym głosem. - To było wczoraj wieczorem, tuż przed zapadnięciem zmroku. Byłem... zniechęcony. I wtedy właśnie Luc natknął się na pierwszy okaz, na Stellę... To było... wzruszające.

- Gdzie złożyliście wasze skarby?

- W pani pokoju. To był pomysł Luka. Te przedmioty czekają na panią. Zresztą trzeba będzie je sfotografować, bo rolka, którą wyjąłem z kurtki Luka, stopiła się w wysokiej temperaturze... Lepiej niech o tym nie wie...

- Raphaëlu...

Spogląda na nią. Ona też chce mówić. Ona też chce z siebie wszystko wyrzucić. Rozwiać podejrzenia, wyjaśnić słowa powiedziane lub przemilczane, które sprawiły im tyle bólu.

- Saintes-Maries...

- Tak?

Cień agresji w jego głosie. Estelle uśmiecha się.

- ...oświeciły mnie. Nie wiedząc jeszcze, że dokonaliście odkrycia, postanowiłam wrócić.

„Doktor Garouste proszony na reanimację” - ogłosił złowieszczy głos.

- Czy przyzna mi pan prawo do łopaty i kilofa, panie profesorze?

Z kolei on się uśmiecha.

- Myślę, że pani syn będzie szczęśliwy, że zajęła pani jego miejsce! Potrzebujemy rąk do pracy, a Blaïd nie może nam towarzyszyć cały czas!... Tak chciałem, żeby pani była z

nami w chwili odkrycia, kiedy wydobyliśmy Stellę! Mówi ona o kobiecie, która żyła dwa tysiące lat temu w cieniu „Oliwek”... Kobieta, która...

Raphaël nagle milknie. Obok nich przebiegają pielęgniarze z jakimś „nagłym przypadkiem”. Jakiś zakrwawiony i jęczący kształt leży na wózku. Pielęgniarka przytrzymuje maskę tlenową przy twarzy rannego, pielęgniarz biegnie obok niej i bacznie obserwuje kroplówkę zawieszoną na metalowym pręcie. Przybywają z zewnątrz, mają granatowe płaszcze narzucone na białe fartuchy.

Dziewczyna z recepcji opuściła swoje stanowisko i biegnie za nimi, trzymając w dłoni kartę przyjęcia do szpitala. Cała grupa znika w windzie.

- Nienawidzę szpitali... - wyznaje Raphaël, któremu drżą ręce.

Rozgląda się wokół siebie... Staruszka w różowym szlafroku już sobie poszła, biedaczyna z kartą telefoniczną musiał zabłądzić na porodówce. Za plastikowym bluszczem nikogo nie ma na posterunku w „recepcji”...

Raphaël wie, że nie istnieją stosowne chwile, by wyjawić to, co sprawia ból... toteż lepiej natychmiast, pośród tego smutku, oparów środków dezynfekcyjnych i mdłej zupy, uwolnić się od tego, co mu rozdziera serce.

Nie podnosząc wzroku, mówi:

- Muszę pani coś wyznać. Coś bardzo poważnego... To dotyczy mojej żony...

Estelle przygląda mu się.

- Anne-Marie - ciągnie - była uosobieniem radości, siły... Uwielbiała życie, przy niej wszyscy dokoła, a ja pierwszy, dostawaliśmy zadyszki, tak trudno było dotrzymać jej kroku... Aż tu, pewnego ranka powiedziała mi: „Czuję się zmęczona...” Poszła do lekarza. Zdziwił się na jej widok: nigdy nie chorowała! Ten właśnie dzień stał się początkiem piekła. Walczyła przez dwa lata... Była bardzo dzielna... Odznaczała się taką wolą wygrania, pokonania choroby!... Aż do dnia, kiedy...

Przerywa. Nie może wydobyć z siebie głosu. Estelle kładzie rękę na jego dłoni. Raphaël z trudem podejmuje swą opowieść:

- To nie był koniec... Walczyła... Aż do dnia, kiedy poprosiła, bym ją wyzwolił od cierpienia. Była jeszcze... przytomna. Nie chciałem. Byłem zdjęty grozą! Przez wiele tygodni trwałem przy swoim, mimo jej błagań... krzyków... A potem, nagle zobaczyłem ją... jak ukrzyżowaną. To nie była ona, była już tylko spojrzeniem proszącym o śmierć... spojrzeniem pełnym wyrzutu... Wystarczyło przełożyć dźwignię... Po prostu. To wszystko.

Wokół nich szpital jest jak zastygły. Po długim milczeniu Raphaël szepcze:

- Nie wiem, dlaczego opowiedziałem pani to wszystko...

- Wydaje mi się, że wiem - powiedziała łagodnie.

Dopiero wówczas odważył się na nią spojrzeć.

Zastanawiał się, skąd wzięła siłę, żeby jej to opowiedzieć.

To straszliwe wyznanie zupełnie go wyczerpało, a jednak za nic w świecie nie chciałby ukrywać przed Estelle tego, co dręczyło go od dnia, w którym podjął decyzję, że położy kres życiu Anne-Marie.

Wiedział, że do ostatniego tchnienia nie opuści go to uczucie, które nie miało w sobie nic z wyrzutów sumienia, ani żalu, lecz stanowiło czysty ból, którego nic nie mogło uśmierzyć. Ból, który los zadał mu raz na zawsze.

Zapach szpitala, brutalny powrót do tego świata cierpienia i śmierci, strach o Luka, widok Estelle przy łóżku syna, wszystko to zjednoczyło się przeciwko niemu i zmusiło go, by wyznał. Teraz czuł się nie tyle wyzwolony - to niemożliwe - lecz raczej pozbawiony mechanizmów obronnych... Odsłonięty do żywego, jak prawa ręka, która zaczynała coraz bardziej doskwierać.

Jednak to fizyczne, miejscowe cierpienie miało w sobie coś uspokajającego w porównaniu z niewyraźnym, mrocznym bólem, związanym z całą obecną sytuacją.

Jakim sposobem ogień sam mógł powstać w składzie? Akurat w dniu tak wyczekiwanego odkrycia...

Widzi znowu Luka leżącego bez ruchu pośród płomieni, Luka, który tak niedawno bezwiednie przyprowadził go do swojej matki. Luc, który jeszcze kilka tygodni temu był jego uczniem jak każdy inny, a który teraz stanowi część jego życia, jego przyszłości - jak wszystko, co ma związek z Estelle. Jak wszyscy ci, którzy mają związek z Estelle.

Jaki przewrót w jego głowie i w sercu! On, który myślał, że wszystko się wypaliło, umarło na zawsze, pokryło popiołem...

Samotny powrót Raphaëla pod „Oliwki” ma w sobie coś symbolicznego. Drzewa zdają się świadome nieszczęścia, które o mało ich nie dotknęło tej nocy.

Nie zapomina, że przyrzekł je uratować. Od ognia, wody, betonu...

Przed domem widzi Amélie odprowadzającą jakiegoś mężczyznę do samochodu, prawdopodobnie to ktoś z policji.

Nie pomylił się.

- Inspektor Berton - przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę na powitanie.

Uścisk dłoni sprawił mu ból, lecz to drobiazg przy niepokoju, jaki nagle go ogarnął.

Jakaś czerwona lampka alarmowa zapala się gdzieś w głębi jego świadomości, jak w dniu, gdy wiele lat temu w Syrii osunął się pod nim teren, na którym prowadził wykopaliska. Znalazł się trzy metry niżej, miał złamaną rękę i wgniecione dwa zębra. Nie podoba mu się wyraz zadowolenia malujący się na twarzy mężczyzny, jego sarkastyczny uśmiezek, kiedy Amélie pyta, jak się ma Luc, sposób, w jaki zamyka dochodzenie, jeszcze zanim je zaczął. Jego zdaniem sprawa jest jasna: ogień spowodowało spięcie.

- Spięcie?

- Tak, zapewne od grzejnika, który znaleziono na wpół zwęglony w stodole...

- Ależ on nie był włączony! - protestuje Amélie, kompletnie zaskoczona.

Inspektor ucina:

- Niedawno u pani Laborie miało miejsce kręcenie filmu? Zapewne na odjeźdźnym filmowcy musieli zapomnieć o grzejniku.

- To niemożliwe! - z uporem obstaje przy swoim Amélie.

- To pani tak uważa! W każdym razie, o ile dobrze zrozumiałem, ubezpieczyli się na pokaźną sumkę?

- To najmniej istotne!

- Polisa ubezpieczeniowa wygasa dopiero z końcem miesiąca. Pani Laborie ma doprawdy szczęście!

- Szczęście?... - wykrzyknęli jednym głosem Raphaël i Amélie.

- Szczęście?... - powtarza Raphaël. - Przecież jej syn został poparzony do żywego? Wydaje mi się, że dość bagatelizujące jest to pana dochodzenie! Spodziewałem się, że przyjedzie tutaj ekspert...

- Ekspert do wypadku domowego?

- A nie podejrzewa pan, że ktoś trzeci mógł się zakraść do posiadłości.

- Żeby podłożyć ogień? Dziwny pomysł - odparł Berton. - Czyżby pani Laborie miała jakichś wrogów?

- Wrogów! - oburza się Amélie. - Taka miła kobieta!

- Ano właśnie! - stwierdza Berton z uśmiechem.

Żegna ich, odchodzi, lecz jeszcze się odwraca:

- Gdyby państwo zauważyli cokolwiek nienormalnego, jestem do państwa dyspozycji! Patrzą za nim, jak odjeżdża.

- Nie podoba mi się ten policjant - szepcze Amélie. - Budzi strach...

Raphaël bierze ją pod ramię i odprowadza do domu.

- Chodźmy, Amélie. Zmienimy nieco nastrój! Proszę pójść ze mną do pokoju Estelle,

pomoże mi pani zrobić zdjęcia, bo te, które wykonał Luc nadają się tylko do wyrzucenia. Ma pani klucz?

- Nie rozstawałam się z nim, odkąd mi go pan wręczył, panie profesorze! - mówi, wyciągając klucz z kieszeni. - Dobrze mi to robi, jak znowu obejrzę pańskie skarby! I niech mi pan powie, czy one naprawdę uratują „Oliwki”?

- Są tak piękne i cenne, te moje starocie, że nie może być żadnych wątpliwości!

Wspięli się po schodach i zatrzymali na podeście przed drzwiami Estelle. Raphaël wsuwa klucz do zamka i mówi:

- Raz, dwa, trzy! - wchodzi do pokoju, za nim Amélie, i oboje stają osłupiali.

Znaleziska zniknęły.

\*

Marceau przygląda się obliczu kobiety z mozaiki, którą Robert złożył w skarbcu urządzonym w podziemiach Rochegude.

Fragment stelli, złote ozdoby... zachwycające! Lecz jego uwagę przyciąga wciąż najbardziej twarz kobiety, która liczy sobie dwa tysiące lat, a jej włosy przywodzą na myśl włosy Estelle. Zresztą kobieta z mozaiki jest do niej podobna, ma taki sam uśmiech i zdaje się, że zaraz przemówi, powie coś niezwykle ważnego...

- Wypatrzyłem spokojne miejsce, skąd będzie można wywalić to do Rodanu - mówi Robert.

- Głupi jesteś!

- A gdyby ktoś to zobaczył?

Zirytowany Marceau wzrusza ramionami.

Robert milczy, zawiedziony. Po chwili pyta nieśmiało:

- Nie pogratulujesz mi?

- Ależ tak, oczywiście! - spieszenie zapewnia go Marceau, kładąc dłoń na ramieniu brata. - Brawo, Robercie! Świetna robota.

Obecność brata ciąży Marceau. Chciałby zostać sam z kobietą z mozaiki. Chciałby zostać sam, by zastanowić się nad tym, co mu się przydarzyło, coś nowego i nieprzewidzianego.

Nie będzie mógł się już cofnąć. Przedmioty, które polecił ukraść, są dowodem.

Ukraść.

Przekroczył pewną granicę. Zamiast czuwać nad Robertem, jak to przyrzekł Marguerite, sam się dał wciągnąć na teren tego, co ona nazywa „jego głupstwami”. A Bóg

wie, że w dziedzinie „głupstw” Robert jest wirtuozem. Już dwukrotnie Marceau musiał interweniować *in extremis*. Już dwukrotnie pomógł mu odzyskać pozycję. Sprawa psów do ochrony okazała się całkowitą klapą, a teraz zastanawia się, co będzie z firmą ochroniarską, którą dla niego kupił. Surex-Protex. Ale nazwa! Można by pomyśleć, że chodzi o markę przerwy!... W końcu jednak nie może się uskarżać na jakość pracy, jaką wykonał dla niego Robert i jego ludzie. Przez pięć dni obserwowali przez lornetę teren prac wykopaliskowych. Mieli najdoskonalszy sprzęt. Wyszukane szpiegostwo. Elitarne zbiry. Surex-Protex... żałuje jedynie pożaru w stodole. Był to jedyny sposób, by odwrócić uwagę - jak zapewniał Robert - jedyny sposób, by wywabić domowników na dwór i móc dostać się do pokoju Estelle... Tyle, że teraz policja się do tego będzie mieszać.

- Na to właśnie liczę! - triumfuje Robert. - Sprawą ma się zająć Berton...

- Berton?

- Nie znasz go. Zresztą lepiej będzie, jak go nie poznasz!... To taki gliniarz, którego od czterech lat trzymam w garści za jedną sprawę z obyczajówki. Zrobi, co tylko mu każę.

- To znaczy?...

- Myślałem, że dałeś mi wolną rękę? Zmieniłeś zdanie?

- Nie - odpowiada znużony Marceau.

- Tym lepiej, bo to jeszcze nie koniec... Zobaczysz, co się będzie działo, jak zgłoszą kradzież! No dobrze... Pójdę już sobie. Zajrzę ucałować mamę i wracam do roboty...

Na progu opancerzonych drzwi zatrzymuje się i zatroskany stwierdza:

- Mama nie najlepiej się czuje... A przecież żyje tu jak królowa!

- Pewnie nie ma ochoty żyć jak królowa.

- Nie rozumiem jej... No to, na razie!

Wyszedł, zamknęły się opancerzone drzwi więżąc Marceau samego pośród kamiennych i metalowych zakładników.

Myśli o Marguerite... Wie, że jest nieszczęśliwa. Nie zdaje sobie tylko sprawy, jak bardzo. Wie, że tęskni do swoich przyjaciółek w Noirétable, jaśków z różowej satyny, przechadzek do grobu Emile'a... Pierre nie wie najważniejszego. Marguerite żyje w strachu. Co mają znaczyć te narady, na jakich przyłapuje często synów? Dlaczego milkną, kiedy wchodzi do pokoju? Co przed nią tają? Czyżby Robert znowu zrobił jakieś „głupstwo”? Nie ma odwagi spytać Pierre'a. Nie ma też odwagi wyznać mu, że chciałaby wrócić do domu...

Tego jednak Marceau się domyślił.

Podchodzi do przedmiotów. Dotąd jeszcze ich nie dotknął. Bierze w dłonie złoty naszyjnik. Płatki poruszają się i lekko podzwaniają. Jakaś kobieta nosiła tę ozdobę, jakaś

kobieta przeglądała się w zwierciadle z brązu i cieszyła, że jest piękna... Wrzucić te cudowności w otchłanie Rodanu! Przywiązanie, jakie czuje Marceau do Roberta, nigdy go nie zaślepiało. Zna ograniczone możliwości i słabości brata. Jednak to jego brat... I w tej właśnie chwili Robert jest jedyną osobą, do której może się zwrócić. Jedynym, który jest w stanie mu pomóc, gdyż trzeba będzie bardzo szybko wygrać tę rozgrywkę. Dabert nie mógł wyrazić się jaśniej. Teraz, gdy Raphaël Fauconnier odkrył antyczne przedmioty, jest prawdopodobne, że znajdzie ich więcej. A w tym trzeba mu przeszkodzić.

Raphaël Fauconnier.

Odsunąć go za wszelką cenę...

Marceau drży jak palacz haszyszu, który przerzucił się na mocne narkotyki.

Uśmiech kobiety z mozaiki zdaje się wyraźniejszy niż przed chwilą...

Gasi więc światło w gwałtownym odruchu, by go nie widzieć, i wychodzi.

\*

- Nie tylko włosy, mamó, ale i uśmiech! Uśmiech, jaki masz, bo wiesz coś, czego inni nie wiedzą! Oh! Pojedź ją zobaczyć!... Pojedź i zobacz, co znaleźliśmy! Mnie nic się nie stanie, doktor powiedział, że wszystko jest w porządku... Później mnie odwiedzisz! Proszę cię!... I nie zapominaj, że to dla „Oliwek” wykopaliśmy to wszystko! I że to ja ci przywiozłem Raphaëla, a gdyby nie on...

Wyczerpana, nieprzytomna z niewyspania, targana przeróżnymi emocjami, śmieje się łagodnie i nie ociera nawet łez, których Luc i tak nie może widzieć.

Wyznanie Raphaëla wciąż odtwarza się jej w pamięci. Przypomina sobie promienną twarz Anne-Marie na ścianie muzeum. Wyobraża sobie dłoń Raphaëla przerywającą cierpienia, przerywającą życie... Lecz czyż można wyobrazić sobie piekło?

- Bądźcie posłuszni woli ciężko chorego - mówi Luc lamentującym głosem, a ona pochyla się nad nim, by ucałować jego włosy.

Przed chwilą zajął Garouste i uspokoił ją. Pod koniec tygodnia Luc wyjdzie ze szpitala. Jeszcze przez jakiś czas będzie nosić opatrunki, a potem pożar zostanie tylko złym wspomnieniem...

Pomimo wielkiego zmęczenia domyśla się, że wiele rzeczy trzeba wyjaśnić; ogień nie zapalił się sam... Odmawia pójścia na łatwiznę oskarżania, zanim nabierze pewności. A jednak ma pewną myśl... Jest to jednak myśl tak przerażająca, że odpycha ją.

- No więc, jedziesz? Nie możesz odmówić ostatniej przysługi konającemu!

- Konającemu, który jest uparty jak mu! - odcina się pokonana. - Dobrze! Skoczę do



domu i zaraz wracam. Chciałabym zobaczyć się z twoim ojcem... Powiedz mu, żeby na mnie zaczekał, jak przyjedzie, muszę z nim porozmawiać.

Na parkingu przed szpitalem przypomniała sobie, że przecież nie ma samochodu, bo przywiózł ją tutaj Raphaël. Wróciła do szpitala i poprosiła w recepcji, żeby przywołano jej taksówkę. Podstawiono ją natychmiast i Estelle od razu zasnęła na siedzeniu, gdy tylko ruszyli.

- A teraz którą? - usłyszała głos kierowcy.

Otworzyła oczy, sądząc, że drzemała kilka chwil, i zdała sobie sprawę, że samochód wjeżdża do Châteauneuf.

- Ma pani zaległości do nadrobienia! Lepiej się pani teraz czuje? - spytał kierowca w znakomitym nastroju, widząc ją w lusterku wstecznym.

Odpowiedziała, że ma się lepiej, opisała mu drogę do Pałacu pod Oliwkami, a potem poprosiła, żeby zatrzymał się przy wjeździe do posiadłości. Chciała dojść do domu pieszo.

- Piękna posesja! - stwierdził kierowca, wydając jej resztę.

Podziękowała mu, popatrzyła, jak cofa i odjeżdża, dopiero wówczas ruszyła w drogę aleją.

Nie, „Oliwki” nie były tym, co zwykle się nazywać „piękną posesją”. „Oliwki” stanowiły swoisty świat, wrosły w tutejszą ziemię głębokimi i tajemniczymi korzeniami, świat, który właśnie uratował Raphaël.

Przed pałacem samochód, którego nie знаła, stał obok samochodu Raphaëla. Weszła do domu, otworzyła drzwi do salonu. Nikogo. Poszła do kuchni, zawołała Amélie. Odpowiedział jej tylko Meitchant-peù, który wydał z siebie cichutkie wzruszające miauknięcie. Weszła więc na górę do swojego pokoju, otworzyła drzwi i ku swojemu zdumieniu zastała tam Raphaëla w towarzystwie dwóch nieznajomych mężczyzn.

- Najechaliśmy panią, droga pani - rzekł starszy z dwóch mężczyzn, kłaniając się. - Komisarz Sarrans... inspektor Berton.

Komisarz Sarrans był mężczyzną w pewnym wieku, bardzo różniącym się od młodego inspektora o bezczelnym wyglądzie, który zdawał się czuć jak u siebie pośród jej koronek.

- A gdzie znaleziska? - spytała Estelle, zwracając się do Raphaëla.

Po chwili milczenia Raphaël wyjaśnił policjantom:

- Pani Laborie nie wie jeszcze, co się zdarzyło.

Posłała mu pytające spojrzenie. Wyjaśnił krótko:

- Wszystko zniknęło...

Ciężko usiadła na kruche krzeselko, które aż zadrżało na swoich niepewnych nogach.

Najpierw pomyślała o Luku, o zawodzie, jakiego dozna, o konsekwencjach takiego szoku w momencie powrotu do zdrowia.

- Wszystko? - spytała.

Wszystko.

- To ogromnie przykra sprawa - rzekł komisarz - i właśnie mówiłem profesorowi Fauconnier, jak bardzo żałuję, że fotografie uległy zniszczeniu. Gdybyśmy mogli je zobaczyć, to znacznie by nam pomogło. Trudno mi wyobrazić sobie przedmioty, pomimo bardzo dokładnego opisu - stwierdził, odwracając się do Raphaëla. - Oprócz pana, panie profesorze, kto je jeszcze widział?

- Luc Fabrègue, oczywiście, Blaïd Ben Said i Amélie Boucoiran, wdowa po dawnym zarządcy majątku. Tak nią to wszystko wstrząsnęło, że pojechała dziś do siebie, do Châteauneuf...

- Trzeba będzie ich przesłuchać - mówi komisarz, zapisując nazwiska.

Następnie zwrócił się do Estelle i spytał, czy odnosi wrażenie, że z pokoju zniknęły jeszcze inne rzeczy.

- Nie - odparła. - Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie.

- Wykwintny pokój - dodał z kurtuazją. - Prawdziwy pokój kobiety o dobrym smaku! Zresztą, wszystko tutaj... Muszę pani wyjawic, proszę pani, że często aż mnie korciło, żeby poprosić panią o zgodę, by obejrzeć fragment Via Agrippa. Nie mam ambicji, by uważać się za erudyte, lecz jak już mówiłem profesorowi, żywię prawdziwą pasję do archeologii i przekazów przeszłości. Zresztą to akurat niedaleko Via Agrippa odkryto pozostałości, prawda?

- Na niewielkiej wyniosłości, zapewne są to rzeczne nanosy... około dziesięciu metrów od płyt - wyjaśnił Raphaël. - Lecz nie znajdziemy już nic więcej w tym miejscu, ruchomości musiały zostać zabrane z pierwotnego miejsca wiele wieków później, ukryte przez jakiegoś pasterza albo oracza, i prawdopodobnie zakryte podczas gwałtownego przyboru wód Rodanu i wylewu. To znacznie utrudni wszelkie dalsze poszukiwania.

Podczas pełnej zakłopotania ciszy, jaka zapadła po jego wyjaśnieniach, inspektor Berton spytał:

- Rozejrzymy się trochę, panie komisarzu?

- Dla spokoju sumienia - odparł Sarrans - ale założę się, że po takim czasie znaleziska pana profesora są już daleko stąd... A zresztą! Niech się pan jednak rozejrzy, nigdy nie wiadomo...

Berton uniósł stojące na kominku niewielkie popiersie kobiece, obchodząc się z nim z taką nieuwagą, jak gdyby to było żelazko. Estelle aż wstała.

- Ostrożnie, proszę pana... To wszystko jest bardzo delikatne!

Ruch głowy Bertona zasługiwał na podpis: „Gadaj zdrowa”. Ze stoickim spokojem nadal prowadził swoje zbędne oględziny.

„Dlaczego tak bezmyślnie unosi przedmioty stojące na meblach? - zastanawiała się Estelle. - Przecież nie pod wazonem, nie pod zegarem znajdzie stellę czy mozaikę!”

- Na pańskiej liście mam: naszyjnik ze złotych blaszek, złotą fibulę, złotą bransoletę - mówi Sarrans do Raphaëla. - Złoto, niestety, zawsze rozbudza pożądliwość!

- Tam są tylko rzeczy osobiste!

Estelle podnosi głos, zirytowana widokiem Bertona otwierającego szufladę komody.

Nieporuszony Berton zamyka szufladę, wyciąga inną, wsuwa dłoń w delikatną bieliznę.

- Doprawdy nie widzę powodu, dla którego... - obstaje przy swoim Estelle.

Milknie, gdy Berton oznajmia:

- Zdaje mi się, że tutaj coś jest...

Natychmiast wszyscy podbiegają, sądząc, że odnalazł któryś z zaginionych przedmiotów.

Jednak Berton rozwija szare płótno i ich oczom ukazują się dwa oprawione obrazy oraz puste ramy jakiejś pracy.

- A cóż to takiego? - pyta zdziwiona Estelle, biorąc do rąk jeden z obrazów.

Odwraca go, oddaje Bertonowi i mówi:

- To nie jest moje!

- Jest pani pewna? - pyta Serrans.

- Gdybym miała Corota, to bym o tym wiedziała!

Na dźwięk nazwiska Corot, Serrans aż się podrywa. Następnie pyta:

- A to drugie płótno?

Estelle ujmuje obraz i uważnie ogląda.

- Nie jest sygnowane... ale... chwileczkę! Założę się, że to Claude Lorrain!

Widząc skonsternowane oblicze komisarza, pyta:

- Nie zgadłam?

- Nie, proszę pani! To istotnie Claude Lorrain! - A potem dodaje: - *Antyczny pejzaż nadmorski...*

- Skąd pan wie? Nawet pan na niego nie spojrział!

- Obrazy te zostały skradzione Fundacji im. Rosy Sterling pół roku temu...

- Ale co one robią w mojej komodzie? - pyta zdezorientowana Estelle.

- Pani nam powinna to wyjaśnić, proszę pani.

Ton głosu komisarza uległ zmianie. Estelle i Raphaël spoglądają na siebie. Serrans pokazuje puste ramy, które podał mu Berton.

- A w tych ramach, droga pani, cóż się mogło znajdować? Może się pani domyśla?

Estelle bierze ramy i ogląda je, nim odpowie:

- Pewnie inny obraz Corota, ramy są identyczne.

- Co się z nim stało?

Estelle roześmiała się nerwowo.

- Skąd niby mam wiedzieć?!

- Doprawdy, panie komisarzu!...

Raphaël zaczyna się denerwować:

- ...szukamy przecież przedmiotów z wykopaliska...

- ...a znajdujemy obrazy! Niezmiernie mi przykro, panie profesorze, lecz skoro pani Laborie nie może mi dostarczyć żadnego wyjaśnienia na temat obecności tych ram i dwóch płócien w jej komodzie, moim obowiązkiem jest donieść o tej sprawie prokuratorowi Republiki.

Komisarzowi sprawia wielką przykrość wypowiedzenie tej formułki takim osobom jak profesor i pani Laborie. Ludziom służącym przeszłości, którą on sam kocha. Lecz wykonuje swoją powinność powiadamiając wymiar sprawiedliwości i prosząc tę kobietę odznaczającą się wyjątkowym smakiem, by udała się z nim.

- Czy mogę się wykapać? - pyta Estelle.

Pytanie to zaskoczyło obecnych. Wyjaśnia więc:

- Jestem na nogach półtorej doby, w tym czasie tyle mi się przydarzyło...

- Rozumiem, proszę pani - rzecze komisarz. - Zaczekamy na panią.

I dodaje:

- W tym czasie pan Fauconnier dotrzyma nam towarzystwa.

Zabrali obrazy i zeszli na dół. Rozgościli się w kuchni. W salonie było zbyt zimno. Palili w milczeniu, od czasu do czasu wymieniając banalne uwagi. Aż do chwili, gdy weszła i powiedziała:

- Jestem gotowa.

- Panią sędzinę zatrzymał jeszcze pan prokurator, ale powinna zjawić się niebawem i prosi, by pani tutaj na nią zaczekała.

Kancelista wchodzi z Estelle do gabinetu i zaprasza ją, by usiadła. Estelle rozgląda się dokoła i zajmuje miejsce naprzeciwko pompatycznego, ogromnego obrazu: *Triumfująca Sprawiedliwość*. Dość zażywna jejmość w sflaczałych draperiach, której srogości dodaje waga i miecz. Bose stopy w sandałach z plecionej skóry... Popatrzcie no, ile ma palców u stóp!...

Estelle mruży oczy, by je przeliczyć.

- Zgadza się - mówi kancelista - ma sześć palców u lewej stopy. Wszystkich to dziwi! Wszystkich... Czy wszyscy przychodzą tutaj na przesłuchania?

Kancelista zabiera się do porządkowania akt, kompletuje papiery i notatki, pyta Estelle o jej dane i spisuje je. Jest tylko trochę starszy od Antoine'a. Mógłby być jej synem. Robi wrażenie miłego chłopca...

- Byliśmy przy...

Na odgłos otwieranych drzwi Estelle odwraca się i widzi panią sędzinę w fotelu na kółkach, z wielką zręcznością obsługiwanym przez nią samą. Kancelista wstaje.

Zaskoczona Estelle też wstaje. Sędzina, piękna kobieta, władcza, ale dość pogodna, daje jej znak, by usiadła, i sama zajmuje miejsce za biurkiem.

- Dzień dobry pani - zwraca się do Estelle. - Tak, wiem, to nieco teatralne wejście, lecz niestety nie mogę zjawić się w inny sposób! Nie jest to ani mój wybór, ani wynik upadku na nartostradzie w Avoriaz, po prostu kula trafiła w ośrodek ruchu. Ryzyko zawodowe!...

Następnie zagłębia się w studiowanie akt, które podsuwa jej kancelista.

- Dobrze!... Znalaziono więc u pani obrazy należące do Fundacji Rosy Sterling.

- Przede wszystkim nie znalaziono wykopalisk galo-rzymskich, które profesor Fauconnier odkrył na terenie mojej posiadłości! - wykrzykuje Estelle.

- Wiem, proszę pani: są dwie sprawy. Lecz dzisiaj zajmujemy się sprawą obrazów, a nie wykopalisk. Słucham panią.

Milczenie przeciąga się, więc sędzina z uprzejmym uśmiechem pyta:

- Co się stało?

Widząc, że Estelle zdaje się nie rozumieć pytania, uściśla:

- ...sprawa skradzionych obrazów...

- Ależ ja nie wiem! - wyznaje szczerze Estelle.

- Wie pani, od kogo je pani odkupiła?

- Ależ ja ich nie kupiłam!

- Proszę więc mi powiedzieć, kto je pani powierzył.

- Nikt mi ich nie powierzył! Nigdy na oczy nie widziałam tych obrazów!

- Słucham...

Pochyla się nad aktami.

- ...W swoim raporcie komisarz Sarrans sygnalizuje, że rozpoznała pani płótno Claude'a Lorraina od pierwszego spojrzenia.

- Oczywiście! Tak samo Corota!

- R o z p o z n a ł a je pani, choć n i g d y ich pani nie widziała?

- Chciałam powiedzieć, że nigdy ich nie widziałam w moim domu!

- A gdzie je pani widziała?

- Może właśnie w Fundacji, a może w katalogu...

- W raporcie czytam, że zachowywała się pani bardzo nerwowo, kiedy inspektor Berton zaczął przeszukiwać pani dom, to znaczy Pałac pod Oliwkami... O, jaka ładna nazwa: Pałac pod Oliwkami...

Estelle dalej milczy. Ma się teraz na baczności.

- Obawiała się pani, że szukając wskazówek dotyczących zniknięcia wykopalisk, znajdzie obrazy?

- Wcale nie! Nic nie wiedziałam, że te obrazy znajdowały się w mojej sypialni!... Nie wiem, czy zachowywałam się nerwowo, ale... miałam ku temu powody. Wie pani, w ostatnim czasie dużo się u mnie działo... nawet zbyt dużo...

Obie kobiety spoglądają na siebie.

- ...W końcu, czy pani nie wydaje się dziwny pożar, w którym mój syn omal nie stracił życia?

- Co się tyczy pożaru, dochodzenie wykazało, że przyczyną była nieostrożność... niesprawny grzejnik, od którego rozwinął się ogień... Zresztą, jak widzę, jest pani ubezpieczona na wysoką stawkę... od niedawna... Dlaczego?

- To dlatego, że kręcono w pałacu film.

- Ach tak?

- Tak. Włoski film... Więc wykupiono polisę ubezpieczeniową...

- Na pani nazwisko? To przejaw wyjątkowej hojności!

Zagląda w leżące przed nią dokumenty.

- Ważność polisy niedługo wygaśnie. Gdyby pożar doszczętnie pochłonął przedmioty, które miała pani na składzie, otrzymałaby pani wysokie odszkodowanie, zwrócono by pani ich wartość i to z nawiązką.

- To znaczy?

- Nic, proszę pani. Stwierdzam fakt, nic więcej. Wróćmy jednak do obrazów. Żadnych śladów włamania, żadnych wskazówek... i nikt nic nie pamięta. Nie pomaga mi pani!

- Nie będę zmyślać tylko po to, by pani pomóc, pani sędzino.

Sędzina nie przejawia wyrozumiałości - coś jej umyka, jakaś cecha osobowości tej kobiety, i bardzo ją to irytuje.

- Wróćmy do rzeczy - mówi. - Za jaką cenę sprzedała pani drugiego Corota?

- Trzy miliardy! - odpowiada znużona Estelle.

Młody kancelista przerywa protokołowanie i unosi głowę, czuje się nieswojo. Sędzina jednak nie docenia żartu.

- Pani Laborie, proszę się opanować, nie jesteśmy w cyrku... Niech pani nie pogarsza swojego położenia, dorzucając do innych oskarżeń obrazę urzędnika sądowego podczas wykonywania obowiązków służbowych!

Estelle wstaje.

- A obraza obywatela, czy coś takiego nie istnieje? A czy mnie się nie obraża? Czy pani pytania nie są dla mnie obraźliwe? Dlaczego mnie pani podejrzewa? Proszę mi udowodnić, że to ja ukradłam te obrazy!

- Za jaką cenę sprzedała pani Corota?

- Nie sprzedałam go!

- Co się z nim stało?

- Skąd mam wiedzieć?

- Czy to pani ostatnie słowo?

Patrzą na siebie w milczeniu, sędzina mówi wolno:

- Pani Laborie, oskarżam panią o paserstwo i ukrywanie skradzionych obrazów.

Zdumienie kancelisty niepokoi Estelle, która nie rozumiała żargonu prawniczego.

- Czy może to pani przełożyć na normalny język?

- Powiedzmy, że jest pani aresztowana.

Z kolei Estelle ze zdumieniem spogląda na sędzinę.

Jednocześnie zdaje się czuć ulgę, że właśnie stało się to najgorsze, czego się obawiała i nic gorszego nie może się już przydarzyć. Po chwili milczenia pyta obojętnym głosem:

- Czy mogę prosić o papierosa?

Kancelista wzrokiem porozumiewa się z sędziną i widząc jej przyzwolenie podaje Estelle papierosa, przypala go, wraca na swoje miejsce. Estelle zaciąga się. Nigdy nie pali. Bardzo ładnie wygląda, gdy się na nią patrzy w lekkich obłokach dymu. Mówi, jak gdyby szukała potwierdzenia:

- I pójdę do więzienia?

Sędzina potakująco kiwa głową. Estelle gasi papierosa i mówi uprzejmie, jak gdyby rozmawiała z przyjaciółmi:

- To dziwne, ale nie jest to dla mnie zaskoczeniem... Nim tu weszłam, wiedziałam, że coś strasznego mi się przydarzy...

- Może pani zadzwonić do swojego adwokata - mówi sędzina, starając się ukryć skrepowanie.

- Dziękuję - odpowiada Estelle coraz bardziej obojętna.

- Kto nim jest?

- Słucham?

- Pani adwokatem?

- Aha! Mecenas Sophie Mignaud.

- O! To bardzo zdolna młoda kobieta!

- Tak! Poza adwokatem, czy mogę do kogoś zatelefonować?

- Nie dzisiaj.

Estelle nagle łączy stają w oczach. Podrywa się, mówi:

- Jak pani chce... i podpisuje zeznanie.

Wyszła w otoczeniu dwóch żandarmów.

Sędzina chowa dokumenty i odzywa się:

- No, Langlois... Słyszę, jak pan myśli, a ten odgłos jest nie do zniesienia, a więc proszę, niech pan myśli na głos!

Ponieważ kancelista milczy, odwraca się do niego.

- Uważa pan, że byłam bardzo surowa wobec pani Laborie?

- Muszę wyznać, pani sędzino...

- Wiem, Langlois... ale powiem panu, co mnie skłoniło do podjęcia takiej decyzji.

Jedno z dwojga: albo jest bardzo silna i winna...



- Albo?... - pyta kancelista.

- Albo ta kobieta znajduje się w niebezpieczeństwie. W obu wypadkach więzienie jest rozwiązaniem. Tymczasowo, Langlois!...

- Ja nic nie powiedziałem! - broni się kancelista.

- Znam pana! Estelle Laborie obawia się czegoś... To widać. Prawda, że pożar, kradzież, być może... pułapka... Powiedziałam „być może”! To razem dużo. Nie wszystko powiedziała... Była w szoku, to można zrozumieć. Mój wniosek wydaje się okrutny, jestem tego całkowicie świadoma, Langlois... ale w więzieniu będzie bezpieczna!

\*

Szczyk krat, kluczy, odgłosy kroków. Pogłos. Więzienny świat.

Estelle wchodzi do celi. W ramionach trzyma koc i prześcieradła. Jej twarz pozbawiona jest wyrazu. Przed nią idzie obcesowa strażniczka.

W celi znajdują się już dwie kobiety. Estelle najpierw spostrzega starszą, która przygląda jej się z ciekawością. Pomimo swojego wieku jest mocno wymalowana; dzielnie stawia czoło najstarszemu zawodowi świata. Druga więźniarka też się odwraca. To Zita. Chwila najwyższego zdumienia, silnego wzruszenia - dla obu. Cyganka uwalnia Estelle od jej brzemienia i ujmuje ją za ręce. Patrzą sobie prosto w oczy i nieoczekiwanie wybuchają śmiechem.

- Coś takiego! Ty tutaj!

- Zita!

Strażniczka nie może pojąć radości obu kobiet, odchodzi, mówiąc:

- No proszę, jaka to może być przyjemność znaleźć się w więzieniu!

- Ta tam - mówi prostytutka wskazując odchodzącą strażniczkę - nie przegapiła okazji, jak rozdawali głupotę!

- „Ty i ja pewnego dnia będziemy mieszkać pod jednym dachem.” No i widzisz!

- Tak. Ale nie myślałam o więzieniu!... Nie w twoim przypadku! Co zrobiłaś?

- Nie dasz wiary: nic nie zrobiłam!

- Niech ci się nie wydaje, że mnie to dziwi - mówi Zita, która niejedno w życiu widziała.

- A ty, Zito?

- O, ja, nic poważnego! Z powodów sercowych! Poczęstowałam dwa, trzy razy nożem mojego chłopca!

- Brawo! - krzyczy stara.

Zita przedstawia ją:

- To Bijou... przyjaciółka.

Witają się nieśmiało.

Nagle Zita posepnieje, widząc, jak Estelle, nieco zagubiona, przysiada na brzegu łóżka i patrzy przed siebie wzrokiem utkwionym w pustkę.

- Coś nie tak, Gwiazdo?

- To ona nazywa się Gwiazda? - pyta Bijou, gotowa się rozmarzyć.

- Źle się czujesz, Gwiazdo?

- Chciałabym zrozumieć... - mówi zbita z tropu Estelle.

- Tu nie ma nic do zrozumienia, Gwiazdo!

Bierze jej rękę, ściska w swoich dłoniach, nie stara się w niej czytać przyszłości, ale ciągnie dalej:

- Zmierzasz drogą, która jest nakreślona na twojej ręce, jednego dnia wiedzie ona przez więzienie, innego prowadzi cię do święta... a czasami... ku miłości.

Patrzą na siebie, poważne.

Bijou wstaje i podtyka Zicie pod nos swoją szeroką dłoń z paznokciami pociągniętymi lakierem w kolorze bakłażanów.

- A co u mnie widzisz, moja droga?

- O, Bijou - mówi uprzejmie Zita - w twojej dłoni widać króla Anglii i słodkiego Jezusa!

Stara kobieta, zachwycona, wpatruje się w swoją dłoń, jak gdyby to był skarb.

Zita spuszcza wzrok, smutna, a do Estelle dociera świadomość, dlaczego polubiła ją od pierwszej chwili.

\*

Wielki klucz obraca się w zamku.

Raphaël wchodzi do mrocznego i pogrążonego w ciszy domu.

Jest sam.

Po omacku szuka w sieni kontaktu. Jego dłoń napotyka płaszcz przeciwdeszczowe, gubi się pośród lasek i parasoli, aż wreszcie znajduje przestarzały wyłącznik, który prawdopodobnie nie spełnia wymogów bezpieczeństwa.

Światło go zaskakuje. Mruży oczy. W oddali, poprzez otwarte drzwi, widzi galerię przodków Estelle. Zmierza w ich stronę, nie podejrzewając nawet, że oni obserwują go w ciemnościach od chwili, gdy wszedł.

Mówi im:

- Estelle jest w więzieniu...

i stoi nieruchomo pośród lodowatych spojrzeń, a w głowie kłębią mu się palące wyrzuty. Podobnie jak dzisiejszego ranka w szpitalu oskarża sam siebie.

Estelle siedzi w więzieniu, bo on nie przestrzegał podstawowych reguł gry. Bo sam zrobił to, czego surowo zabrania swoim uczniom: „Nigdy nie pozwólcie zwieść się intuicji!”

Sam wpadł w tę pułapkę jak debiutant! Głową do przodu! Miał ochotę znaleźć, i to znaleźć szybko! Żeby udowodnić Estelle, że jest od nich silniejszy. Pomylił się w ocenie przeciwnika, jak młody szczer w bajce La Fontaine'a. Zazdrosny o Włocha i jego film, zapomniał, że wrogiem „Oliwek” jest Cykad-Land. Groźnym wrogiem. Wrogiem, przed którym nie wystarczająco miał się na baczności, którego uwagę niepotrzebnie zwrócił na siebie. Wróg, który nie zostawia po sobie śladu. Najdrobniejszego odprysku mozaiki, najmniejszego fragmentu rytego kamienia, śladu złota.

Teraz ma pewność: od samego początku, od listu, który wysłał do ministra, Pierre Séverin wiedział wszystko o jego zamiarach. Odpowiedź z Aix, kradzież, pożar, obrazy z Fundacji Sterling w pokoju Estelle, za tym wszystkim stoi Séverin.

Jak tego dowieść? Niebezpiecznie wytaczać oskarżenia nie przedstawiając dowodów.

- Niech pan uważa, profesorze - powiedział mu Sarrans na odchodnym. - Pańskie podejrzania są pozbawione dowodów i mogą przysporzyć panu kłopotów. Wie pan, jak bardzo podziwiam pańskie osiągnięcia naukowe, dlatego też pozwalam sobie ostrzec pana. Po przyjacielsku. Niech pan będzie ostrożny. Niech pan nie zarzuca nic bezpodstawnie. Podobnie z przedmiotami, które zniknęły... Zeznania Blaïda Ben Saida, pani Boucoiran i młodego Fabrègue'a nie mają najmniejszej wartości...

- A moje zeznania?

- Chciałbym panu wierzyć...

Sarrans wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Rozumie pan, pan kpi sobie z pecha... gdyby chociaż mógł mi pan pokazać zdjęcia!

- A pożar, który wybucha we właściwym momencie, jak pan to wytłumaczy?

- Wypadek domowy, zdarza się - odparł komisarz, powtarzając wniosek Bertona.

Raphaël znowu zwraca się do przodków:

- Pewnie sobie wyobraża, że aby przyjść na ratunek Estelle, z palca sobie wyssałem przedmioty, które nigdy nie istniały, a potem sam wzniciłem pożar, by wytłumaczyć ich zniknięcie!

Dokładnie tak myśli komisarz, który uważa, że to bardzo wzruszające, choć

całkowicie nielegalne, i zastanawia się, jak profesor z tego wybrnie.

Jutro Raphaël pójdzie obejrzyć dokładnie dno wykopu, lecz wie już teraz, że nic tam nie znajdzie. Jak powiedział komisarzowi, osada archeologiczna znajduje się gdzie indziej. Leży gdzieś tam pod „Oliwkami”. Jedyne dokładnie zaplanowana akcja, mechaniczne usuwanie wierzchnich warstw ziemi na szerszym terenie i przekroje stratygraficzne mogłyby posunąć do przodu poszukiwania. Ale, by móc to przeprowadzić, potrzebne by było poparcie Komisji Sztuk Pięknych...

Bardzo mocny jest ten Pierre Séverin.

Jeszcze jeden powód więcej, żeby walczyć. A jedyna broń, jaka mu, jako archeologowi, do tej walki została, to książki i cisza. Do nich powinien był się odwołać. Zaraz na początku.

Raphaël kieruje swe kroki do wyziębionej biblioteki, gdzie Luc złożył karton z dokumentacją, którą przywieźli z Paryża. W rozgorączkowanym towarzyszącym pracom wykopaliskowym nawet go nie otworzył. Jak mógł!

Robi miejsce na wielkim stole pokrytym zielonym, nieco nadwreżonym przez mole filcem. Kolejno wydobywa z kartonu różne, przemieszane tomy, najświeższe publikacje i stare wydania, których listę sporządził podczas podróży do Chin. Układa kilka *Przewodników turysty-archeologa* z końca ubiegłego stulecia, poświęconych miastom „Provincii”, *Rozprawę o ceramice antycznej w dolinie Rodanu*, kilka tekstów Strabona... U Strabona zawsze się ueziera jakieś istotne okruchy informacji na temat szlaków rzymskich i ruchu... *Geographica*... Kartkuje szczegółową monografię, poświęconą bractwu przewoźników z Roquemaure, które obsługiwało znaczną część handlu na Rodanie.

- Jeść mi się chce! - rzekł jakiś głos.

Na progu drzwi wiodących do biblioteki stoi Meitchant-peù i przygląda mu się. Oczywiście przemawiał w swoim języku, lecz nie sposób go nie zrozumieć.

Raphaël wstaje, pełen dobrej woli, zdecydowany pełnić rolę gospodarza „Oliwek”, nie mający jednak bladego pojęcia, co jada kotek. Prowadzony przez kota podąża do kuchni, nożyczkami, do haftu, które znalazł w koszyku z przyborami do szycia, należącymi do Amélie, kroi mu kawałek kielbasy, napęlnia spodek mlekiem, dorzuca drewna do paleniska, smaruje sobie paszтетem kromkę czerstwego chleba, nalewa resztkę wina i wraca do biblioteki. Sadowiac się do dalszej lektury, strąca cienką szarą broszurkę, więc schyla się, by ją podnieść.

*Próba rehabilitacji kadastru z Orange poprzez studia tekstów niekompletnych* - w napięciu odczytuje tytuł.

Od tego powinien być zacząć całą pracę. Ten tekst Félix Mazaurica odkrył lata temu. W okresie, gdy jeszcze nie poszukiwał osady w okolicach Châteauneuf. Nie myślał wówczas o tak osobistej przydatności tej rozprawki. Traktował ją ot, tak, dla przyjemności naukowca. Niespodziewanie sprawy przyjęły inny obrót. Chodzi o uratowanie Estelle. Za każdym razem, gdy imię Estelle przychodzi mu na myśl, drży. Ze zmartwienia. Z wściekłości.

I z zimna. Lecz tego sobie nie uświadamia.

Czyta.

*Połamane tablice zezwalają jedynie na ostrożną interpretację opartą na domniemaniach. Jednakowoż niektóre hipotezy mogą zostać skonfrontowane z niedawnym odkryciem. W 1901 roku w okolicach Carpentras znaleziono tę oto inskrypcję na resztkach muru atrium:*

*JA, TIBERIUS CAJUS, ZBUDOWAŁEM TEN DOM NA WZÓR SIEDZIBY PIĘKNEJ RZYMIANKI, ANTISTII SAPPHII QUINTILLI. RODAN...*

*Reszta testu jest nieczytelna. Można jednak odróżnić słowa: wygnanie, Rzym i statki. Co dowodzi...*

Raphaël przerywa lekturę i zastanawia się.

Piękna Rzymianka... Gdzież on czytał tekst, w którym była mowa o pięknej Rzymiance?... Drżącą z niecierpliwości ręką szuka pośród książek i dokumentów położonych na stole.

I nagle przypomina sobie. To był tekst łaciński. Nie tłumaczony. Cytowany w jakiejś książce, opatrzonej wstępem Camille'a Julliana\*.

Przeczytał go wtedy z rozbawieniem, była to relacja z podróży jakiegoś młodego Rzymianina, który pisał ją w formie listów. Przebywał gdzieś między Arelate\*\* i Arausio\*\*\*. Tak, teraz sobie przypomina. Niestety! Książka ta została w Paryżu.

Jest druga nad ranem. Dokładnie druga siedemnaście - zauważa, zerknąwszy na zegarek. Trudno budzić panią Soulier i prosić ją, żeby się ubrała, pojechała do niego i odczytała mu ten tekst przez telefon.

Wstaje zmartwiony i nagle czuje chłód na plecach. Spogląda na bibliotekę, podziwia *Dziela wszystkie* Mistrała, piękną oprawę *Trésor du Félibrige*... Cóż się stanie z tymi tomami, gdy beton i wody Cykad-Landu ruszą do ataku? Wzdryga się. Tacyt... Wspaniałe wydanie! A,

---

\* Camille Jullian (1859-1933) - historyk francuski urodzony w Marsylii. Autor *Historii Galii*.

\*\* Arles.

\*\*\* Orange.

prawda, Luc mu mówił, że jego pradziadek Alfonse próbował tłumaczyć *Mirejo* na łacinę... Wergiliusz, oczywiście... Owidiusz... I nagle staje osłupiały. Przed nim - książka ze wstępem Camille'a Julliana. Wyciąga rękę, chwyta, otwiera w miejscu, gdzie tkwi zakładka z czerwonego jedwabiu.

Ale nim otworzył, wiedział, co tam znajdzie.

\*

Powoli, stopniowo, Estelle wynurza się z ciężkiego snu i nie wie, gdzie się znajduje.

Nie jest w swojej sypialni pod „Oliwkami”. Tego jest całkowicie pewna; nie jest też w Saintes-Maries, gdzie okno jej pokoju wychodziło na staw des Launes... Tutaj atmosfera jest gęsta, ograniczona. Gdzie ona jest?

W więzieniu.

Słowo to brutalnie przywraca jej przytomność. Mało brakuje, a zaśmiałyby się. W więzieniu! To takie surrealistyczne! Ale to straszne... Trafiała do więzienia, gdyż Marceau przed niczym się nie cofnie. Pożar, kradzież, podrzucenie obrazów z Fundacji Sterling i cała inscenizacja ze znalezieniem ich w jej pokoju, to jego sprawka. Teraz jest tego pewna.

Marceau przekroczył wszelkie dopuszczalne granice.

Marceau oszalał!...

Wczoraj wieczorem z kancelarii sądowej zadzwoniła do Sophie; ani ona sama, ani młoda mecenas nie wypowiedziały jego nazwiska, ale obie doskonale wiedzą, że on stoi za wszystkimi przykrościami, które ją spotkały.

Tylko jak tego dowieść?

Bijou jeszcze śpi. Sen ją odmładza. Czyni jej twarz pogodną. Prostuduszną.

Zita już się obudziła. Przygląda się Estelle od dłuższej chwili i uśmiecha się, gdy widzi, że otwiera oczy.

- Jak się masz? - pyta cicho.

- W porządku! - odpowiada Estelle tym samym tonem.

Cyganka przysiadła na brzegu jej łóżka.

- Bardzo chciałam się pomylić w sprawie naszego spotkania, Gwiazdo...

I zaraz wpada w złość:

- ...banda łajdaków!

- Mam szczęście - mówi szczerze Estelle.

- Chyba żartujesz? Ty masz szczęście? Tutaj? Ty?

- Bo ty tutaj jesteś, Zito.

Obie kobiety trwają nieruchome, milczące. Bijou wierci się i szepcze przez sen:

- ...policja...

\*

W merostwie kłębi się tłum. Zebrała się rada miejska w pełnym składzie, oczywiście, prócz tego wieść wygnała z domów wielu ludzi, którzy zazwyczaj nie zajmują się sprawami gminy.

Estelle Laborie w więzieniu! Oskarżają ją o kradzież obrazów!

Początkowo nie chcieli dać wiary. Ani w więzienie. Ani w oskarżenie. Chcieli się dowiedzieć. Więc przyszli. A teraz tłoczą się w sali rady, której podwoje są szeroko otwarte jak podczas ślubu. Przyszło nawet kilka kobiet... Same są zdziwione, że miały odwagę ruszyć męską drogą na Forum. Sąsiadki Amélie, matka i córka; obie stareńkie i tak zgarbione, tak zniedołężniałe, że widząc je, człowiek zastanawia się, która urodziła którą.

- *Es pas poulit, queto vergougno*\*! - stwierdzają jednym głosem, po prowansalsku, bo tak normalnie mówią.

Mireille usiłuje zaprowadzić spokój na tym targowisku, potrząsa dzwoneczkiem i domaga się ciszy, by ogłosić porządek dnia. Wówczas wstaje Samuel, straszliwy jak rozwścieczony prorok i donośnym głosem oznajmia:

- Dziś w porządku dnia jest Estelle Laborie!

- Brawo! - krzyczy Jujube zachęcony oklaskami.

Samuel ciągnie dalej.

- Na terenie „Oliwek” znajdują galo-rzymskie pozostałości i tego samego wieczora wybuchła pożar w stodole! Luc o mało nie przepląca tego życiem, a następnego dnia okazuje się, że znaleziska ulotniły się jak kamfora! Następnie oskarża się Estelle o paserstwo i kradzież obrazów! Nie wydaje wam się, że to trochę za dużo, kiedy akurat przedsiębiorca ostrzy sobie zęby na posiadłość?

- Samuelu! - jak furia krzyczy Mireille.

- Ma rację! - krzyczy Jules, jeszcze głośniej.

Pani mer zwraca księdzu uwagę, że nie jest członkiem rady i nie może wypowiadać swojego zdania. Przerywa jej wspaniały głos:

- Wydaje ci się, że jak nie należy do rady, to będzie tutaj milczeć jak gliniany dzban oliwy wobec niesprawiedliwości?

Ten, który przemówił, jest potężny jak dębowa szafa. To Anarchista.

---

\* Nieladnie, jaki wstyd!

Nazywają go tak, gdyż na koszulce ma wypisane

### ANI BOGA - ANI PANA

a żyje jak dzikus na skrawku winnicy, na skraju dębowego lasu, z psami do szukania trufli za towarzystwo. Nigdy nigdzie go nie uświadczysz, więc wszyscy milkną zaskoczeni. Z wyjątkiem tego idioty Béchaud, który go pyta:

- Powiedz no, Anarchisto, nagle zmieniłeś przekonania? Teraz stoisz po stronie klech? Zdawało mi się, że nie mogłeś na nich patrzeć!

- Nadal nie mogę na nich patrzeć - odpowiada olbrzym z pasją - to prawda! Ale ten jest swój! - wyjaśnia, wskazując Julesa.

Stopniowo rozeszli się i wreszcie mer z radą zostali we własnym gronie. Dyskusja rozgorzała od nowa. Znowu była mowa o Estelle, oczywiście, a zwłaszcza o Cykad-Landzie.

Nauczyciel, Antonin i Samuel sprzeciwiali się projektowi od początku i wykrzykiwali swoją opinię głośniejszy niż zwykle. Pozostali, zwłaszcza Béchaud, który cieszył się, że ktoś kupi od niego kamieniołom, który nadawał się tylko na wysypisko śmieci, bronili przedsięwzięcia.

- Tysiąc miejsc pracy! - powtarzał Romain. - Tylko to biorę pod uwagę! Widzę tylko, że mój syn, zamiast wyjeżdżać z regionu do jakiegoś przygranicznego departamentu albo meldować się w biurze dla bezrobotnych, będzie mógł tutaj żyć!

- Pośród betonu i frytek, które - jak wiadomo - są dwiema piersiami Prowansji! - ze złością odcina się Antonin.

- Nie wszyscy mają to szczęście, że produkują wino! - stwierdza Romain.

Nieopatrznie wypowiedziane słowo. Wstaje Antonin.

- Ano właśnie, pomówmy o winie! Raz a dobrze załatwmy sprawę wina spod „Oliwek”! Pora zrehabilitować wreszcie piwnice rodziny Laborie...

- Akurat teraz, jak będzie tam jezioro? - śmieje się hałaśliwie Béchaud.

Mireille rozpaczliwie potrząsa dzwonkiem.

- Proponuję, byśmy zebrali się za tydzień, by omówić problemy, jakie zasygnalizowano, lecz dzisiaj musimy załatwić sprawę podcinania drzew przy szosie państwowej numer osiemnaście.

Samuel patrzy na nią, pewną siebie, władczą, bezwzględną. Zna ją jednak od zawsze i domyśla się, że za tą fasadą panuje wielki popłoch.



- Biedna Estelle - wzdycha Marceau, nakładając sobie rybę z grilla. - Wiedziałem, że goni ostatekami, ale nie spodziewałem się po niej, że posunie się aż do handlowania skradzionymi obrazami!... Nie jesz?

- Nie jestem głodna - szepcze Mireille, a wzrok ma utkwiony gdzieś w dali.

Nie tknęła nawet swojego dania. Nie umoczyła też ust w kieliszku wina. Wygląda na poruszoną.

- W każdym razie, oddała nam nie lada przysługę! - kontynuuje Marceau w doskonałym nastroju.

- Zebranie w merostwie było straszne - mówi Mireille spoglądając na niego.

- Straszne? Wiedzą, czego chcą, tak czy nie? Będą mieli ten swój Cykad-Land! Będą mieli te swoje miejsca pracy! Będą mieli ten swój szmal! Czego więcej chcą?

- Bardzo źle poszło... Bardzo źle - powtarza Mireille. - W miasteczku nie wierzą w winę Estelle.

Marceau wzrusza ramionami i wychyla do dna kieliszek wina z Nalys z wyraźną przyjemnością.

- Ja zresztą też nie... - dodaje Mireille.

- Co ty też nie?

- Ja też nie wierzę w winę Estelle.

- Ja również nie!

Kładzie rękę na jej dłoni.

- ...ja też nie wierzyłem! Póki nie znaleziono u niej tych obrazów!

- Przysięgnij...

Mireille nagle milknie. Czuje się niepewnie.

- Słucham - mówi Marceau chłodnym tonem.

- Nie. Nic...

Próbuje przełknąć kęs, odkłada widelec.

- Więżenie... Myślę o jej dzieciach...

- Ja również myślę o jej dzieciach, wyobraź sobie! Nawet zadzwoniłem do jej córki, na Syberię, nie dalej jak wczoraj, by jej pogratulować. Genialna jest ta absolwentka Politechniki! Wyjątkowy przypadek!... Podpisałem czek dla jej brata, tego artysty. To też oddzielny przypadek, ale innego gatunku. Załatwiłem kredyty na kampanię Jean-Edmonda! Dbam, jak widzisz, o tę rodzinę, Mireille!... Nie mogę jednak nic poradzić, że Estelle okazała się nieuczciwa, jeśli zdecydowała się na takie posunięcie!

- Estelle nie jest nieuczciwa - stwierdza Mireille. - A poza tym, boję się, teraz, gdy...

Spogląda na nią w milczeniu, złościąc go te jej nieoczekiwane skrupuły.

- ...Boję się, żeby nie wykryli, kim jesteś, i żeby to wszystko nie wydało się...

Szuka właściwego słowa, chciałaby powiedzieć: podejrzane, lecz nie ma odwagi. Mówi: „dziwne”. Stchórzyła. Marceau uśmiecha się.

- Rozumiem. Boisz się, że miasteczko się dowie, że jestem Marceau Dupastre, będzie czynić mi wyrzuty, że jeszcze żyję? O to ci chodzi, co, Mireille? W gruncie rzeczy powinienem był wykazać się taktem i umrzeć razem z całą rodziną, a nie zjawiać się tutaj trzydzieści pięć lat później i zawracać wszystkim głowę! No, a teraz dość tego! Chciałem cię zobaczyć dzisiaj, bo miałem ochotę miło spędzić wieczór. Z tobą. No więc, Mireille, wracaj! Jesteśmy w Rohegude. Oboje. Popatrz, jesteśmy bliscy celu! Nie jesteś zadowolona? Wygramy, Mireille!

Ujmuje jej dłoń, całuje ją i raz jeszcze Mireille mięknie jak wosk. Raz jeszcze znajduje się pod baldachimem ze złoconego drewna, w jego ramionach, zauroczona dotykiem jego skóry, jego ust, melodyjnością jego głosu. W gruncie rzeczy jest taka bezbronna, a on ją tak kocha... Jej dłoń zaciska się na koronkowym brzegu prześcieradła i nagle, jak strzał dosięga ją okrutny obraz: Estelle starająca się zasnąć pod burym więziennym kocem... Mireille wydaje ciche pojękiwanie i, by przegnać nawiedzającą ją wizję, poddaje się rozkoszy, żeby zapomnieć, że inni istnieją.

\*

Jujube siedzi na ziemi przed prezbiterium. Od świtu wygląda pojawienia się Julesa. Koniecznie musi się z nim widzieć. I gdy tylko drzwi się uchylają, podbiega do niego.

- Dzień dobry, proszę księdza! Chciałbym księdzu powiedzieć... Właśnie! Już dawno nie zamiatałem kościoła... dzisiaj nawet zrobię to bez zapłaty! No bo (zniża głos) muszę pogadać z Panem Bogiem.

- Masz do niego jakieś szczególne prośby?

- Mowa! I to niemało, proszę ojca! Dla Estelle Laborie. Pomyślałem sobie, że teraz to tam na górze muszą się tym zająć, bo my nie potrafimy być sprawiedliwi!

- My?

- My wszyscy. Ludzie z Casteu-Nou! Pozwoliliśmy przybyć tutaj baronom z Północy i rządzić nami. Nie chcemy tej ich Cyklady, co to zetnie nam drzewa i zatopi winorośl! Dobra... niech no ksiądz da mi miotłę, proszę księdza, a przyrzekam, że znajdę właściwe słowa! Od świętego do świętego, od świętej do świętej, pogadam z nimi wszystkimi! A przede wszystkim z Panem Bogiem nam łaskawym, no bo to jednak on decyduje! Chociaż

wiem, co mi wytknie...

- A co ci wytknie, Jujube?

- Powie mi prawdę: powie mi, że wszyscy jesteśmy za dużymi egoistami!

Jules poszedł po klucz do kościoła, klucz niemal tak wielki, jak miotła, którą dzierży w dłoniach zachwycony Jujube.

Teraz ksiądz patrzy za nim, jak przecina placyk. Taki szczęśliwy, że idzie pozamiatać u Pana Boga. Potem niespodziewanie rusza prosto przed siebie długimi krokami, nie wiedząc, dokąd zmierza.

On, zazwyczaj taki miły, uprzejmy, mija swoje parafianki i nawet im się nie ukloni, nie odpowiada na pozdrowienia dzieci i starców, którzy przystają zdumieni, że mamrocze coś pod nosem, jak ktoś, kto postradał zmysły.

Przebiegł miasteczko i wszedł prosto pod górę do ruin zamku, mimo stromego podejścia nie przerywając swojej przemowy.

- Oto, gdzie się znaleźliśmy! - mówił w przypiływie rozpaczy. - Ma rację, prostaczek: jesteśmy za dużymi egoistami... a ja pierwszy. Od samego początku myślałem tylko o sobie. Miałem na uwadze jedynie zbawienie mojej duszy!... Lecz czy zbawienie mojej duszy ważniejsze jest od miłości bliźniego? Dlatego, że milczałem, dopuszczono się kradzieży, zdrady, podłożono ogień, zniesławiono i wtrącono do więzienia niewinną! Czy będę czekać, aż krew popłynie, by wyjawić wreszcie prawdę?

Zatrzymał się nagle i patrzył na rozpościerający się przed nim niezmierny krajobraz. Nadeszła chwila poświęcenia.

- Muszę Ci wyznać, Panie... Podjąłem decyzję. Złamię... tajemnicę spowiedzi!

Drgnął na dźwięk własnego głosu. Rozejrzał się dokoła wystraszony, bojąc się, że kamienie zamku, rzymskie dachówki, krzewy winnej latorośli, ptaki na niebie, wszyscy ci świadkowie jego żywota, zbuntują się, oburzeni, mściwi, i będą go wytykać palcami.

Nic jednak nie drgnęło. Spokój. Skowronek ze śpiewem wzbił się do góry jak strzała. Jego strach stopniowo ustępował. Podjął decyzję. Nie zmieni już zdania. To, co zamierza uczynić, stanowi bardzo poważny krok, lecz dokona tego.

Gdyż, podobnie jak Jujube, Jules ufa w dobroć Boga.

\*

Nad Bratswowodem wstaje dzień. Philippine czuje się szczęśliwa.

W długich butach i kasku na głowie, płynąc po wodach zapory, myśli o telefonie Pierre'a Séverin. Dwa dni temu zadzwonił i oznajmił jej, że jest zadowolony z małego

porucznika.

- Wiem, że początki były trudne - powiedział - wiem, że Rosjanie nie zawsze byli łatwi we współpracy. Ale zagięła ich pani, Philippine! *Chapeau!* Jestem z pani dumny!

Dobrze jej zrobiła ta rozmowa. To prawda, że życie nie było tu łatwe, zwłaszcza na początku. To prawda, że jej współpracownicy, zarówno Francuzi, jak i Rosjanie, nie rozpieszczali jej. Nawet teraz, kiedy czuje się zaakceptowana, podziwiana, wie, że nie może spocząć na laurach, że każdego dnia musi starać się, by nie zwracali uwagi na jej młody wiek. Istnieć jedynie poprzez skuteczność działania, rygor, surowość.

Paradoksalnie, najstarszy zaakceptował ją pierwszy.

Paweł Aleksandrowicz, szef budowy, jest przekonany, że ona jest Rosjanką z pochodzenia. Za dobrze włada ich językiem, by mógł uwierzyć, że jest Francuzką. Nazywa ją: barynia. Śmiesz ją to.

Dzisiaj jest dzień wielkiej dyskusji. Trzeba podjąć decyzję, która przeorientuje całą politykę odzyskania budowli. Rosjanie śmiesz Philippine... raz jeszcze usiłują przyłapać ją na pomyłce. Ale ona jest silna, wie, że wygra...

- Pilny telefon do pani de la Craye!

Powiadomił ją jeden z jej współpracowników. Opuścza zebranie, które odbywa się pod gołym niebem, nad otchłanią, wobec niebezpieczeństw, mrozu, nieogarniętej przyszłości. Zmierza do budki strażnika, po drodze wesoło rozmawia z Pawłem Aleksandrowiczem.

Zaskakuje ją ciepło panujące w wartowni, rozpiną kurtkę, unosi kask, by uwolnić prawe ucho, i mówi:

- Słucham?

Dzwoni Sophie, a żeby Sophie do niej zadzwoniła po ich kłótni, musiało się wydarzyć coś poważnego. Słucha i dowiaduje się.

- Dziękuję ci, Sophie - szepcze.

Potem odkłada słuchawkę i stoi bez ruchu, jak gdyby raził ją piorun.

Przez szybę stróżówki patrzy na pejzaż Bratswowodu. Jej nadzieje, ambicje, złudzenia, jej ślepy podziw dla Pierre'a Séverin obrócone zostały w perzynę przez kilka słów.

Łzy płyną jej po policzkach, łzy, których nie stara się nawet ukryć przed Pawłem Aleksandrowiczem.

Odwraca się do niego i mówi:

- *Моя мама в тюрьме.\**

---

\* Moja mama jest w więzieniu.

Zdejmuje kask i kładzie go przed sobą na stole, jak broń, którą się składa po walce.

Nie ma już baryni... jest już tylko mała dziewczynka, która płacze w ramionach starego człowieka.

Kopciuszek zgubił pantofelek. Porucznik rezerwy de la Craye jak najszybciej poleci do Moskwy i pierwszym samolotem wróci do Francji.

Philippine ściska dłoń Pawła Aleksandrowicza.

Żegnaj Bratswowodzie.

\*

Niepozorna Sophie czekała na korytarzu przed gabinetem sędziny.

Miała na sobie togę adwokata i patrzyła, jak Estelle zbliża się do niej, przykuta jedną ręką do ręki żandarma.

Nagle, przez tę czarną togę i bransoletę ze stali, stały się dla siebie kimś innym, niż były dotąd: tą, która wychowała małą dziewczynkę bez matki, i tą, która wyrosła otoczona ciepłem i czułością.

Stały się dla siebie adwokatem i zatrzymaną.

Ucałowały się w milczeniu. Żandarm miał speszoną minę, że jest tak blisko nich, taki przyklejony do ich pocałunku. Jego kolega wpatrywał się we własne stopy, jak gdyby właśnie odkrył, jakie są wielkie.

Z uścisku dwóch kobiet emanowała niewinność.

Nie śmiały rozmawiać. Chciałyby zostać same. Wzruszenie towarzyszące temu spotkaniu, a w przypadku Sophie inne jeszcze emocje, uniemożliwiały dialog - szczęście przepełniało serce dziewczyny. Rozmawiała z Antoine'em i teraz wszystko było jasne, szczęśliwe. I to właśnie tej zakutej w kajdanki Estelle zawdzięczała swoją radość, świetlistość. Wyjęła z torebki i podała jej list, który Antoine przekazał matce.

Estelle znalazła w kopercie kartkę z rysunkiem...

- Raoul Cool! - wykrzyknął żandarm o dużych stopach. - Pani też go lubi?

- Bardzo! - wyznaje Estelle. - To mój syn.

Zachwyceni, obaj żandarmi pochylają się nad Raoulem Coolem i czytają podpis:

- *Raoul Cool przygotowuje ucieczkę swojej pięknej mamy!*

- Wspaniały! Genialny! - wołają jeden przez drugiego.

Sophie i Estelle uśmiechają się do siebie i pozwalają im nacieszyć się rysunkiem, a same zamieniają kilka słów półgłosem.

- Widzieliście się z Antoine'em?

- Tak. Dziękuję, że nakłaniałaś mnie do rozmowy...

- Wszystko w porządku?

- Bardzo!

Chciałaby powiedzieć jej, w jakim stopniu „bardzo”. Nie przybyła tu jednak świętować swojej miłości, a bronić klientki, którą jest akurat matka kochanego mężczyzny. A zresztą wzywano je już do sądziny.

Weszły do gabinetu. Jeden z syjamskich żandarmów wyjął klucz od kajdanków i z wielką ulgą uwolnił więźniarkę.

Pani sędzia Martinot miała zwyczaj obserwowania, w jaki sposób ludzie patrzą na oskarżonych, gdy przyjmowała ich w swoim biurze. Lubowała się w zadawaniu dziwnych pytań, krępujących lub zaskakujących, by sprowokować reakcje.

- Jak znosi pani więzienie? - spytała uprzejmie.

- A pani zdaniem, pani sędzino, więzienie jest czymś do zniesienia? - odcięła się Estelle.

W ciszy, jaka zapadła po jej odpowiedzi, sędzina obejrzała kolejno twarze. Młoda mecenas lubi panią Laborie, to widać. Kancelistę oskarżona wzruszała, to zauważyła już za pierwszym razem. Natomiast nigdy nie zdarzyło jej się widzieć żandarmów o bardziej nieszczęśliwym wyrazie twarzy... Zresztą podobno w merostwie Châteauneuf omal nie doszło do zamieszek, gdy rozeszła się wieść o aresztowaniu pani Laborie. Lubią tę kobietę. A jednak grozi jej niebezpieczeństwo. Ktoś chce ją zniszczyć. Dlaczego?

Sędzina pochyła się nad aktami, nieśpiesznie je studiuje, a potem mówi:

- Mogłaby pani bardzo szybko powrócić na wolność, gdyby zechciała pani z nami współpracować!

- Współpracować? - oburza się Sophie. - Najpierw moja klientka musiałaby mieć coś do wyjawienia w sprawie obrazów!

- Cóż takiego mam pani powiedzieć? - pyta Estelle. - Ja nic nie wiem!

- Niech pani nie będzie za bardzo uczciwa - radzi sędzina.

Widząc, że obie kobiety przyglądają się jej zaskoczone, uściśla, uśmiechając się przy tym.

- Chciałam powiedzieć: niech pani nie kryje winnego z dobroci serca... Niech pani będzie rozsądna! I niech pani pomyśli o sobie!

W gabinecie zapadła głucha cisza. Sprawiedliwość z sześcioma palcami u lewej stopy srogo przygląda się scenie. Helene Martinot opiera się na poręczu swojego inwalidzkiego

fotela i pochyła się do przodu.

- Czego się pani boi, pani Laborie?

Żadnej odpowiedzi. Sędzina zwraca się do młodej pani adwokat.

- Pani mecenas, jeśli pani klientce grożono, jeśli musimy zapewnić jej ochronę, uczynimy to... Proszę jej to przekazać! Czy ma pani jakieś przykrości? Czy ktoś chce pani zaszkodzić?

- Tak - odpowiada Estelle.

Sędzinie spada ciężar z serca.

- Istotnie, pani sędzino, pani Laborie ma wszelkie podstawy do podejrzeń, że padła ofiarą nieuczciwych machinacji. Trudno jest oskarżać bez podstaw, lecz w nocy sporządziłam szczegółowe dossier, zawierające wszystko, co przydarzyło się mojej klientce od kilku miesięcy.

Sophie podaje dossier otwarte na pierwszej stronie.

- Pierre Séverin? - dziwi się sędzina. - To Carmeau-Développement?

- Jeśli chodzi o mnie - uściśla Estelle - to dokładnie sprawa Cykad-Landu.

- Ale dlaczego Pierre Séverin miałby pani szkodzić, proszę pani?

- Najpierw dlatego, że czyni zakusy na moją posiadłość, ale to jest bardziej skomplikowane...

- Proszę zapoznać się z tym dossier, pani sędzino, a przekona się pani: to pasjonująca lektura! - nalega Sophie.

Stojąc w hallu pałacu sprawiedliwości mogły zamienić kilka słów, nim się rozstały.

- Może będziesz mi to miała za złe, bo nie dotrzymałam danego ci słowa... - wyznaje Sophie. - Powiedziałam Philippine, kim jest Pierre Séverin...

- I co? - spytała Estelle z pewnym niepokojem.

Sophie uśmiechnęła się:

- I jest w tej chwili w samolocie w drodze powrotnej do domu. Nic bardziej nie mogło zbliżyć nas wszystkich do siebie niż to, co ci się przydarzyło. Wiesz, cała rodzina zebrała się przy łóżku Luka.

- Jak on się czuje? - pyta Estelle.

Wydaje jej się, że opuściła syna wiele, wiele dni temu, że go porzuciła.

Chłopiec czuje się o wiele lepiej. Opisał bardzo obrazowo znaleziska Antoine'owi. Teraz Antoine je rysuje. To bardzo piękne.

Żandarmi czekają cierpliwie, nawet gdy kobiety milkną.

- Sędzina Martinot to porządna kobieta - stwierdza po chwili Sophie. - Myślę, że po przeczytaniu mojego dossier będzie miała jaśniejszy obraz sprawy.

- No ale przecież - mówi Estelle z zatroskaną miną - niczego nie jesteśmy pewne...

- Niczego?

- Jeśli chodzi o Marceau.

Sophie uśmiecha się.

- Czyżbyś go kochała, tego małego chłopca!

Estelle odeszła pomiędzy dwoma żandarmami, którzy chcieliby wiedzieć, kiedy ukaże się drugi tom *Raoula Coola*. Nie mieli odwagi nałożyć jej kajdanków. Czyż zakuwa się matkę ulubionego bohatera?

- No i co? - pyta Zita. - Jak tam sędzina?

Estelle wzrusza ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Ale dlaczego tu się znalazłaś, Gwiazdo? - dziwi się Bijou. - Ktoś chce ci się przysłużyć?!

Zita śmieje się:

- Co to, Bijou, niedługo pozbawisz mnie chleba!

Stara kobieta poprawia jeszcze swój i tak już piekielnie krzykliwy makijaż, zamyka poobdrapywaną puderniczkę i odwraca się do Estelle.

- Popatrz na nią, Zita, popatrz na nią i powiedz mi, co ona tutaj robi? Co? Nawet nie wie, dlaczego tu się znalazła! Złodziejka? Żartujesz.

Otwiera kolejne pudełeczko, pluje na tusz w kamieniu i wprawnie wydłuża sobie rzęsy, które po tym zabiegu wyglądają jak łapy pająka.

Obie przyglądają się jej, zafascynowane tym upiększającym rytuałem.

- Podobno jesteś ze wsi? - pyta Bijou, trzymając szczoteczkę do tuszu uniesioną w powietrzu. - Zita mówiła, że masz gaje oliwne.

- Tak - potwierdza Estelle, nagle jakaś wzruszona.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby najeść się oliwek prosto z drzewa!

Zita i Estelle wybuchają śmiechem.

- Oliwki to nie czereśnie, Bijou! Najpierw je się zbiera, a potem przez całe miesiące przygotowuje... Jak byłam mała, mój tata mawiał...

- To ty miałaś ojca?

- Tak...

- Fajnie musi być, jak się ma ojca.



W celi zapada cisza. A potem Estelle zaczyna opowiadać, jak odbywa się zbiór oliwek.

- To tuż przed Bożym Narodzeniem. Niebo jest porcelanowoniebieskie.

- Laborie do rozmównicy! - rozlega się głos strażniczki.

- P a n i Laborie! - poprawia Zita.

- Chyba żartujesz! A przy okazji, p a n i Zito, mniej będziesz się śmiała - nie wychodzisz jutro!

- Tym lepiej!

- Co, „tym lepiej”? - pyta wściekła strażniczka.

- W ten sposób dłużej zostanę z p a n i ą Laborie!

Wydawało mu się, że nie można już znaleźć straszniejszego miejsca niż kawiarenka szpitalna. Wchodząc do więziennej rozmównicy, zrozumiał, że istniało coś od niej gorszego. Jednak równocześnie rozumiał, że to złowieszcze miejsce miało jedną zaletę. Nie sposób go zapomnieć. Jak i tego, co zostało powiedziane w tych ścianach.

Zobaczył ją, jak wchodzi ze strażniczką. Była ubrana tak, jak ją zostawił przed pałacem sprawiedliwości, sądząc, że zobaczą się godzinę później...

Uśmiechała się do niego zza dzielącej ich szyby z małymi otworami.

Scena miała w sobie coś nierealnego, szaleńczego. Wydawało mu się, że nie będzie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Bardzo konwencjonalna sytuacja - powiedziała na powitanie wskazując otoczenie.

- Bardzo... - rzekł ze ściśniętym gardłem.

Nie chciał wyjawić jej, co znalazł grzebiąc w książkach. Miał się już teraz na baczności przed wszystkim. Bał się o nią.

Nagle Estelle zaczęła się śmiać.

- Odnalazłam tutaj przyjaciółkę!

I opowiedziała mu o Cygance, która przepowiedziała jej, że któregoś dnia będą mieszkać pod jednym dachem. Spytała o syna, o dom. Zdawało się, że dobrze znosi swoją sytuację. Tak, widziała się z sędziną Martinot... Jej pogodny nastrój nagle prysł.

- Straszne jest to, że sędzina mi nie wierzy... Wystarczy, że na mnie spojrzy, a czuję się winna.

Zacisnął pięści, wściekły. Miał sobie za złe, że nie ma mocy wyciągnięcia jej z tej pułapki, uwolnienia jej.

- Wezwwała mnie na jutro - powiedział. - Spróbuję...

- Koniec widzenia! - ogłosiła strażniczka i Estelle wstała.

\*

Choć nigdy przedtem się nie spotkali, Hèléne Martinot i Raphaël Fauconnier rozpoznali się od razu. Nie wezwała go do złożenia zeznań w sprawie obrazów z Fundacji Sterling, lecz w związku z kradzieżą przedmiotów znalezionych podczas wykopalisk. Przeczytała raz i drugi dossier, które wręczyła jej młoda mecenas działająca z upoważnienia Estelle Laborie, i czuła potrzebę poznania większej ilości szczegółów. Pragnęła poznać wszystkich bohaterów dramatu, jaki rozgrywał się w Pałacu pod Oliwkami.

Przypomniała sobie o śmierci żony Raphaëla Fauconnier. Akurat przeczytała jedną z jego książek, kiedy się dowiedziała o jej zgonie. Uderzyło ją to. Mówiono, że być może... Nieutulonej w bólu sędzinie staje znowu przed oczyma ów wieczór majowy przed trzema laty, kiedy to wracając z mężem do domu, zostali zaatakowani, gdy wysiadali z samochodu. Przez wiele dni nie odzyskiwała przytomności, zawieszona pomiędzy życiem i śmiercią. Aż wreszcie któregoś dnia się ocknęła. Pierre'a już pogrzebano.

- Dobrze! - powiedziała, odrywając wzrok od akt, nad którymi się pochylała, by ukryć swoje zmieszanie i wzruszenie. - Poprosiłam pana o przybycie w związku z kradzieżą „ruchomości archeologicznych”... Tak się to nazywa, prawda?

- Istotnie.

- Jestem jednak ciekawską osobą, panie profesorze, i będę pana pytać o wszystko, co dotyczy wydarzeń w Pałacu pod Oliwkami. Widzi pan, bardzo mnie intryguje... Nie mogę zrozumieć, dlaczego pani Laborie dała się wciągnąć w sprawę paserstwa...

Raphaël dosłownie eksplodował, a ona słuchała go, ciesząc się, że zadała właściwe pytanie.

- Pani sędzino, przesłuchiwała pani Estelle Laborie... Widziała pani, jaka to kobieta! Czy wyobraża ją sobie pani, jak wsuwa płótna Corota do szuflady komody!

- No właśnie! Dlaczego tak się zdenerwowała, kiedy inspektor Berton podszedł do komody?

- Dlatego, że jest kobietą! Zastanawiała się może pani, czy...

Hèléne Martinot zaczyna serdecznie się śmiać, a jest to taką rzadkością, że zaintrygowany kancelista podnosi głowę.

- Śmieję się - wyjaśnia - gdyż w tym gabinecie to pan jest przesłuchiwany, natomiast dotychczas wciąż zadaje pan pytania!

- Proszę mi wybaczyć - mówi Raphaël.

Przeszła mu już chęć tłuczenia wszystkiego, co nawinie mu się pod rękę. Wie, że ta kobieta go wysłucha i że on wszystko jej wyjawia. Zaczyna więc od najtrudniejszego.

- Pani sędzino, bardzo proszę, by nie przetrzymywała jej pani w więzieniu.

„Wszyscy lubią Estelle Laborie - myśli sędzina - ale ten jest w niej wręcz zakochany!”

- Jeśli pan pozwoli, wróćmy do pańskich odkryć. Wielka to szkoda, że poza kilkoma domownikami w Pałacu, nikt nie widział przedmiotów, których istnienie mogłoby podważyć projekt budowy Cykad-Landu...

Spoglądają na siebie. Następnie ona odczytuje listę:

- Stella nagrobna, złote ozdoby, fragment mozaiki, przedstawiający głowę kobietą...

Raphaël wręcza jej rysunek.

- Cóż to takiego?

- Mozaika...

- Kto wykonał ten rysunek?

- Antoine Fabrègue, jeden z synów pani Laborie.

- Widział znaleziska?

- Nie, ale brat mu je opisał.

Doprawdy nie są to przeciętni ludzie.

- Rysunek jest piękny - przyznaje sędzina. - Niestety bezwartościowy jako dowód.

Antoine Fabrègue?... Ma talent!

- To *Raoul Cool* - śpieszy wyjaśnić kancelista.

- Ta kobieta jest podobna do...

- Estelle... - rzuca Raphaël.

I zaraz się poprawia:

- ...do pani Laborie! Pani też tak uważa?

„Bardzo zakochany!” - pomyślała, nim zadała nowe pytanie.

- Panie Fauconnier, czy obecnie mieszka pan „Pod Oliwkami”?

- Tak - potwierdza, nie rozumiejąc, do czego zmierza sędzina.

- A synowie pani Laborie?

- Luc leży nadal w szpitalu, Antoine natomiast musi wracać dzisiaj do Paryża w związku z ukazaniem się drugiego...

- ...tomu *Raoula Coola!* - kończy urzędnik sądowy.

- Istotnie. Za kilka dni znowu wrócą do domu matki.

- Spytałam pana o to, panie profesorze, gdyż nie chciałabym, by pani Laborie mieszkała teraz sama tak na uboczu.

- Uważa pani, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Sędzina milczy i przez chwilę kartkuje dossier sporządzone przez Sophie.

- Nim panu odpowiem, czy zechciałby pan powiedzieć mi coś na temat...

- Pierre'a Séverin?

- Czemu nie nazywać go Marceau Dupastre?

\*

Estelle ucałowała Zite, a potem Bijou. Strażniczka obserwowała je i czuła się bardziej niezręcznie niż kiedykolwiek. Wyłączona. Wyczuwała, że coś silnego, potężnego i pięknego złączyło te kobiety. Dlaczego? Zita była radosna. Bijou płakała.

- Nigdy już się nie spotkamy, Gwiazdo!

- Któż to wie? - odparła Estelle, gładząc pokryty grubą warstwą pudru policzek, na którym łzy żłobiły głębokie bruzdy.

Korytarze, kraty, zgrzyt kluczy...

Przed ostatnimi drzwiami zwrócono jej rzeczy osobiste.

Wsunęła na palec pierścień z dewizą *Semper Vigilans*.

Uśmiechnęła się. Była wolna.

Czekał na nią na ulicy i powoli podeszła do niego. Schronienie z szorstkiej wełny w zagłębieniu jego ramienia, milczenie dzielone z nim, gdy zamyka ją w objęciach. Stoją tak na środku ulicy, bez ruchu, nie zwracając uwagi na przechodniów, których dziwi widok tej pary bardziej nieruchomej od rzeźby z marmuru. Po długiej chwili Raphaël odsuwa się, ujmuje jej twarz w dłonie i chłonie ten widok, podziwiając każdy rys, aż zobaczy drżący uśmiech w jej oczach.

- Chodźmy - mówi.

Podczas drogi nie odzywali się do siebie. Gdy zatrzymał samochód na podjeździe, gdy znowu ujrzała swoje stare kamienie, nie miała siły wysiąść. Obszedł więc pojazd, otworzył drzwiczki i podał jej rękę.

Razem ruszyli do domu, razem weszli do środka. Zapalił światło; teraz zna rozmieszczenie przełączników, kontaktów, teraz zna dom. I dom zna jego. Podobnie jak Meitchant-peu, który wychodzi z kuchni grzecznutki, udając - potwór - że nie poznaje Estelle i ociera się o nogę Raphaëla.

- Kot pana lubi! - stwierdza z zachwytem Estelle.

- Tak mi się wydaje - odpowiada - natomiast nie lubi oliwek!

- Próbował pan karmić go oliwkami?

- Bez powodzenia! - wyznaje Raphaël, pchnąwszy drzwi prowadzące do kuchni.

Nakrył stół dla dwóch osób.

Najpiękniejsze talerze, kieliszki do pary, kraciaste ściereczki zamiast serwetek, bez obrusa. Zapala stojące na stole trzy świece - jak gdyby to było Boże Narodzenie...

„I jest jak podczas Świąt” - myśli Estelle.

W jej życiu znowu pojawił się mężczyzna, mężczyzna niezręczny, który podaje kotu oliwki, który nakrywa stół jak mały chłopczyk, za to otwiera butelkę z winem, wyjmuje z lodówki półmisek z wędlinami, mężczyzna, który zapomniał o chlebie, natomiast nie zapomniał ułożyć w glinianym dzbanie bukietu... z gałązek drzewa laurowego i oliwek.

Mężczyzna, bez którego - jak przeczuwa - nie będzie się mogła już obejść.

Jakże są jednak sobą onieśmieleni!

Raphaël nalewa jej wina i podaje kieliszek. Estelle już ma je wypić, lecz nieruchomieje i wzruszona przymyka powieki. Zaniepokojony Raphaël ujmuje jej dłoń. By go uspokoić, Estelle wyjaśnia:

- Myślę o Zicie i Bijou, dwóch kobietach, które były ze mną w więzieniu... i zostały tam. Wie pan, Raphaëlu, nigdy już nie będę tą samą osobą.

Piją wino w milczeniu. Nie mają apetytu... Zbyt wiele ciąży im na sercu.

- Cóż takiego zrobił pan z sędzią, że mnie wypuściła? - pyta Estelle.

- Nie wiem - uczciwie odpowiada Raphaël. - Długo rozmawialiśmy. Intryguje ją pani... No więc wszystko jej powiedziałem.

- Wszystko?

- Opowiedziałem jej o pani dzieciństwie, o małym chłopcu, wielkim przedsiębiorcy... O Luku i jego oparzeniach, o Via Agrippa, o drzewach oliwnych, senatorze Bouvier, winie z winnicy pani ojca... Wszystko! A przede wszystkim o Pięknej Rzymiance!

- O pięknej Rzymiance?

- Proszę zaczekać! - mówi, wstając.

Wyszedł z kuchni, nie zamknąwszy drzwi, więc chłód z nie ogrzanego domu rozchodzi się jak lodowata woda w gorącej kąpieli. Estelle drży z zimna, palcami bierze plasterki kiełbasy. Meitchant-peù, uznając, że czas kwarantanny, jaką ukarał swoją panią, dość już trwał, zbliża się i wskakuje jej na kolana, tracąc głowę z nadmiaru miłości.

- Prawdziwy cud naukowy! - rzecze Raphaël, który powrócił z naręczem książek.

Estelle robi miejsce na stole, Raphaël siada obok niej.

- Wiem, że jest gdzieś tutaj pod ziemią „Oliwek”. Nie wiem jeszcze dokładnie gdzie, lecz wiem, że tutaj. Dziadek pani, Alfonse, z którego ludzie się naśmiewali, miał rację!

Podsuwa jej książkę z czerwoną zakładką i tłumaczy fragment, w którym młody podróżnik opisuje wspaniałą willę pewnej kobiety, która opuściła Rzym i która na lewym brzegu Rodanu hodowała winną latorośl i drzewa oliwne i wytwarzała wino i oliwę sławne w całej Provincii.

- Alfonse zaznaczył to miejsce wstążką, lecz nigdy nie znalazł potwierdzenia swych przypuszczeń, gdyż nie trafiła do jego rąk książka Féliksa Mazaurika.

- Jak to możliwe? Czytał wszystko, co się ukazywało na temat poszukiwań archeologicznych w tym regionie, a przecież Mazauric mówi o odkryciu, jakiego dokonano w tysiąc dziewięćset pierwszym roku...

- Proszę spojrzeć na datę wydania: tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci rok. Dopiero córka Mazaurika opublikowała ten tekst po śmierci ojca. Alfonse nie mógł go znać. Dysponował jedynie jedną częścią układanki, a ja miałem to szczęście, że znalazłem drugą. Teraz trzeba wygrać na czasie, uzyskać od ministerstwa przedłużenie terminu i środki, żeby zdystansować Cykad-Land...

Estelle czyta na głos:

- *Wyjechawszy z Rzymu po śmierci ojca, nigdy nie chciała opuścić Provincii, Antistia Sappia Quintilla... Tak się nazywała?*

- Tak. Antistia Sappia Quintilla była prawdopodobnie jedną z pani *proxumes*?

- *Proxumes*?

- *Proxumes* miały w Rzymie swój kult. Były boginiami ogniska domowego, zwykłymi śmiertelniczkami, które po śmierci, pokolenie po pokoleniu, czuwały nad kobietami w danej rodzinie. Taka religia pokrewieństwa, filiacji. W Provincii oddawano im cześć, szczególnie w Colonia Augusta Nemausensium\* i w Lugdunum\*\*. Antistia dotąd czuwa nad panią.

- Tak - wyznaje Estelle - znam ją. Odwiedza mnie w snach.

Raphaël wierzy jej. Gdyż niegdyś jest dzisiaj. Gdyż porządek pogański trwa i jest zawsze obecny w epoce zagospodarowania środowiska i chrystianizmu. A dowód:

- Pośrodku jednej z pani winnic rośnie czereśnia, oczywiście nie jest to drzewo sprzed dwóch tysięcy lat, ale dwa tysiące lat temu inne drzewo czereśni czuwało w tym samym miejscu nad innymi szczepami winnej latorośli, z której wino ceniono w Rzymie.

---

\* Nimes.

\*\* Lyon.

- Lecz jakże można było zapomnieć przez stulecia o tym, co próbuje dzisiaj wydostać się na powierzchnię?

- Rodan. W roku siedemdziesiątym po narodzinach Chrystusa miały miejsce straszliwe powodzie. Wiele osad zniknęło z powierzchni ziemi.

- Co pan zrobi, Raphaëlu? Musi pan wytłumaczyć to wszystko w ministerstwie! Ministrowi!

Raphaël waha się.

- Nie zostawię pani, Estelle, póki pani synowie nie przyjadą tutaj, do domu. Luc wychodzi jutro ze szpitala, a Antonie przyjedzie za dwa dni. Przyrzekłem sędzinie, że będę nad panią czuwał.

- Niepokoi się o mnie?

- Mniej by wystarczyło, żeby się niepokoić! Niestety, nie mamy żadnych dowodów, a Séverin... to znaczy Marceau ma poparcie mur-beton!

Pierwszy raz od wyjścia z więzienia roześmiała się serdecznie.

- Mur-beton! - powtarza Estelle i on też się śmieje.

Biorą się za ręce i patrzą sobie w oczy, a Meitchant-peù korzysta z okazji, by wyciągnąć delikatną, wyćwiczoną łapkę w stronę plasterka szynki z Ventoux.

- A co tu się dzieje? - pyta wesoło Estelle, która zauważyła ten koci manewr. - Trzeba ci odczytać twoje prawa!

Raphaël chwyta winowajcę za szyję i przemawia:

- Może pan milczeć, koteczku. Może pan prosić o adwokata!...

Puszcza kota na ziemię, raptem milczący, spoważniały.

Wówczas ona mówi:

- Jak dobrze znaleźć się w domu z panem, Raphaëlu. Poza tym chciałam panu podziękować... Wczoraj przekazano mi tam siedem listów z Chin, siedem listów od pana. Byłam siedmiokrotnie szczęśliwa, czytając je...

Znowu widzi Bijou, wzruszoną jak w kinie. „To listy miłosne, Gwiazdo?” Potwierdziła. Jeszcze nim je przeczytała. I było to prawdą.

- Muszę odpowiedzieć na te listy.

Wstaje i chowa wędlinę.

- Jest jeszcze deser - mówi Raphaël.

- Zostanie na jutro - odpowiada - nie jestem głodna... ale jest pan wspaiałym gospodarzem!

- Rozpałiłem ogień w pani pokoju. Jest tak zimno...

Razem wychodzą z kuchni, opuszczając zagrzebanego w swetry kota, który mruczy w ciemności.

Przechodzą przez galerię przodków. Lodowatą. Wchodzą po schodach. Temperatura polarna. Zatrzymują się na podeście pierwszego piętra. Prawdziwa ławica lodowa. Estelle otwiera drzwi do swojej sypialni... akurat w kominku osuwa się polano i rozpryskuje na żarzące odpryski, jak gdyby na nią tylko czekało, by wystrzelić snopem iskier.

- Trzeba dorzucić drewna - mówi Estelle.

I Raphaël zbliża się do kosza, w którym zgromadził zapasy dębiny, sosny i lipy.

Przykłęka przed kominkiem i ze wzrokiem utkwionym w palenisku czeka, aż ogień znowu się rozbucha, a płomienie roztańczą na żeliwnej płycie z herbem rodu Sauveterre. W chwili, gdy ma zamiar się podnieść, czuje na ręce jej dłoń.

- Nie - mówi łagodnie Estelle.

Koniec z samotnością.

\*

- Powinnaś się cieszyć, twoją serdeczną przyjaciółkę zwolnili z więzienia! - tymi słowami Marceau wita Mireille. - Zauważ jednak, że wyszła z więzienia, lecz nadal jest podejrzana, jak podają moje źródła. A moje źródła są dobrze poinformowane! Nadal pozostaje pod nadzorem sądowym i raz na tydzień musi meldować się w komisariacie... Ponoć to ten jej archeolog wyjednał u Martinot, żelaznej sędziny na inwalidzkim wózku, warunkowe zwolnienie. Podobno też archeolog zakochał się w Estelle, jak i włoski filmowiec, który przejazdem bawił „Pod Oliwkami”! I według moich źródeł archeolog rzekomo ma więcej szczęścia od filmowca!...

Marceau jest w wysmienitym humorze, co dziwi Mireille, zwłaszcza, że rodzina Laborie-Fabrègue zwróciła się przeciwko niemu. I to w widowiskowy sposób. Z wielkim hukiem.

Philippine złożyła dymisję w Carneau-Développement. Przez wzgląd na teściową Jean-Edmond wycofał swoją kandydaturę w wyborach do władz lokalnych. Wieść obiegła całe Châteauneuf, daje to wiele do myślenia jego mieszkańcom.

Marceau zachowuje się tak, jak by go to nie dotyczyło. Wprost przeciwnie. Raczej zdaje się go bawić.

- Naprawdę, uczyniłbym wszystko, żeby im pomóc - zapewnia. - Mniejsza o nich! Jedyna, której żałuję, to pani porucznik... No a pozostali!... Opowiadałem ci o odwiedzinach Fabregue'a? Nie? No więc, przyjechał do Rohegude tym swoim pięknym, czerwonym



ferrari. Nie zastał mnie, więc zostawił wiadomość: nie chce więcej mieć ze mną do czynienia. Jego życzenie zostanie spełnione ponad wszelkie oczekiwania! Biedacy!... Kiedy sobie pomyślę, co dla nich zrobiłem! I co jeszcze mógłbym zrobić!...

Indonezyjski służący wszedł bezszelestnie, niosąc tacę z szampanem w wiaderku.

- Na jaką to okoliczność? - dziwi się Mireille.

- Z lekkim wyprzedzeniem, o ile nie jesteś przesadna?...

Podaje jej kieliszek, w którym skaczą różowe bąbelki.

Uśmiecha się, upewnia, czy służący zamknął za sobą drzwi, i wysuwa szufladę biurka.

- To dla ciebie - mówi, wkładając w dłoń Mireille pudełeczko z białej skórki.

Mireille odstawia kieliszek z szampanem, poruszona, nie ma odwagi otworzyć pudełka z wytłoczonymi złotymi inicjałami „M B”.

Serce bije jej mocno. Naciska zamek.

Cykada na gałązce oliwnej z listkami ze szmaragdów.

- Jakie to piękne - mówi, zawiedziona, że nie odkryła zwykłej obrączki, której się tak spodziewała.

- Czeka na ciebie od tygodni. Wypatrywała wielkiej nowiny, która pozwoliłaby jej przylecieć i wylądować na tobie!

Wielkiej nowiny?

- Przed chwilą rozmawiałem z Dabertem, dekret o użyteczności publicznej ukaże się we wtorek w *Dzienniku ustaw*! Z chwilą ogłoszenia rozporządzenia będziesz mogła zakupić „Oliwki” w imieniu merostwa, a następnie odsprzedać je pod Cykad-Land. Teraz wszystko pójdzie bardzo szybko. To koniec z Estelle... a najwspanialsze jest to, że to ona sama przyczyniła się do przyśpieszenia tego końca.

- W jaki sposób?

- Dwa dni temu, sądząc, że przebywa w więzieniu, pojechałem „Pod Oliwki” z nadzorcą robót, żeby wycenił, ile kosztować będzie wyburzenie domu. Nagle zza budynków gospodarczych wypadła furia, pędząc prosto na nas. No i wiesz... Gdybym sam chciał napisać tę scenę i obsadzić siebie w pięknej roli, lepszej bym nie wymyślił! „Ani się waż tknąć »Oliwek«, Marceau! Trzymaj się z daleka od posiadłości! Wiem, co zrobiłeś.”

- A właściwie co? - pyta Mireille.

- O! To proste: oskarża mnie, że jestem przyczyną wszystkich jej nieszczęść... pożaru, kradzieży wykopalisk, jej aresztowania!

- Ale... te znaleźziska, ktoś przecież je zabrał...

Marceau spogląda na nią ze zdumieniem.

- Mireille! I ty uwierzyłaś w tę historyjkę? Nigdy nie miało miejsca żadne odkrycie! To po prostu taka próba zyskania na czasie, którą podjął zalotnik, dżentelmen-ryjec. A nawiasem mówiąc, podobno eksploduje oskarżeniami przeciwko mnie. Usiłuje omotać ministra, zaalarmować całe Ministerstwo Kultury...

Marceau, zdecydowanie w świetnym humorze, wybucha śmiechem i dopiero potem ciągnie dalej.

- Zaczekaj na ciąg dalszy! Nie byłem sam z szefem budowy, byłem z Dabertem. Tak, przyleciał na krótko, żeby nadzorować roboty w domu, który buduje w Lubéron. Chciał zobaczyć „Oliwki”. Spotkał kasztelanę i nie grozi nam, że ją szybko zapomni! Najwyraźniej wzięła go za pracownika Cykad-Landu... a on uznał ją za wariatkę! Zresztą rzeczywiście od wypadku samochodowego nie odzyskała pełni władz umysłowych, zachowywała się jak wściekła! Ja natomiast wykazałem „godny podziwu” spokój, jak stwierdził Dabert. Krótko mówiąc, zającie to tak nim wstrząsnęło, że jak tylko wrócił do Paryża, nadał szybszy bieg sprawom. To dopiero nazywa się mieć szczęście!... Nie przypniesz cykadę?

- Ależ oczywiście, że przypnę! - zapewniła Mireille z taką skwapliwością, że ukłuła się, wbijając szpilkę broszki w koszulową bluzkę.

- Wspaniała! - orzekł Marceau. - Zasłużyłaś na nią! Tak więc z Cykad-Landem sprawa załatwiona. Nic już nie może sprzeciwić się projektowi, a cały dowcip polega na tym, że Estelle, której proponowałem fortunę za tę jej rudę i ugory, nie zobaczy ani grosza z pieniędzy ze sprzedaży!

- Ani grosza? Jak to?

- Wszystko przekazane zostanie Fundacji Sterling jako odszkodowanie za skradzione obrazy. Estelle jest nadal uważana za winną paserstwa... Co ci jest?...

Mireille, blada jak płótno, widzi w wysokim lustrze nad kominkiem, jak czerwona plama pojawia się pod złotą cykadą, tam, gdzie ukłuła się przed chwilą.

- Skaleczyłaś się? - pyta Marceau, który nie może znieść widoku krwi.

- To nic takiego - zapewnia Mireille, choć czuje się nieswojo. - To tylko zwykłe draśnięcie!

Odpina broszkę, wkłada zakiet od kostiumu i teraz już bardzo ostrożnie przypina cacko do klapy.

- No i proszę! - mówi z uśmiechem.

Marceau powtarza z ulgą:

- Wspaniała!

Całuje przy tym jej dłoń. W tej właśnie chwili Indonezyjczyk anonsuje: „Monsieur est

servi!”

Noc zapadła nad Zamkiem Diabła. Wszystko zdaje się pogrążone w spokojnym śnie, lecz Mireille nie może zasnąć. Coś jej mówi, że Marceau obok też nie śpi.

Od momentu wręczenia jej biżuterii czuła, że to raczej upamiętnienie zerwania niż pojednanie, wie, że on jej się wymknie. W porywie entuzjazmu powiedział: „Kiedy sprawa Cykad-Landu zostanie już załatwiona, będę wreszcie mógł poważnie popracować!”

Wyjedzie.

Znowu zostanie sama.

Jak bez niego żyć?

Czuje, że poruszył się. Mireille przymyka powieki, oddycha lekko, jak się oddycha w głębokim śnie. Domyśla się, że pochylił się nad nią i sprawdza, czy śpi. Dlaczego? Po chwili Marceau wstaje bezszelestnie, przechodzi przez pokój i wyciąga szufladkę sekretarzyka. W mroku nie może zobaczyć, co on robi... W chwili, gdy wychodził, omal nie odezwała się do niego. Ugryzła się jednak w język. Potem czekała. Długo. Smuga światła, jak wiązka lasera, dobywała się spod drzwi, wiodących do jego „kryjówki”. Zaintrygowana wstała. Włożyła szlafrok na nocną koszulę i opuściła sypialnię.

Nie było go w sali maszyn. Ruszyła korytarzem. Zostawił za sobą pozapalane światła, jak Tomcio Paluch zostawiał kamyki... Łatwo było iść jego tropem. Zeszła po obszernych schodach do hallu, ujrzała otwarte niewielkie drzwi... Kamienne schody wiodły w dół, w głąb zamku. Dokąd prowadziły? Nigdy tędy nie szła. Zapach kamienia i pleśni chwytają ją za gardło. Zeszła dwa stopnie i zatrzymała się, drżąc na głuchy odgłos zatraskiwanych gdzieś daleko ciężkich podwoi.

Przez ułamek sekundy trwała nieruchomo, następnie śpiesznie wspięła się z powrotem po kamiennych stopniach schodów, przecięła hall, dostała się na piętro, pobiegła do sypialni. Ściągnęła z siebie szlafrok i położyła tam, skąd go wzięła, wskoczyła do łóżka i udała, że śpi.

Wchodząc nie domknął za sobą drzwi, obserwowała go spod wpeł przymkniętych powiek. Zobaczyła, jak znowu otwiera sekretarzyk, a następnie jedną z tych „sekretnych” szufladek, o których istnieniu wystarczy wiedzieć, by zgłębić ich tajemnice. Wrzucił do niej kluczyk, zamknął sekretarzyk i położył się przy niej.

- Śpisz? - spytał cicho.

Odpowiedziała westchnieniem, więc uspokojony odwrócił się plecami i zasnął.

Jednak zasnęła, a gdy się obudziła, Marceau był już ubrany, gotów do wyjścia.

- Wychodzisz? Już? Nie ma jeszcze siódmej! - powiedziała, wyciągając do niego ramiona.

Pochylił się nad nią, musnął jej wargi w pocałunku i wyjaśnił, że jest umówiony z szefem budowy Cykad-Landu.

Wyglądał na szczęśliwego. Przytrzymała go za nadgarstek, żeby otrzymać jeszcze jeden pocałunek.

- Do rychłego zobaczenia, Mireille! - powiedział na odchodnym.

- Do zobaczenia - powtórzyła w zamyśleniu.

Mąż i żona nie zwracają się do siebie takimi słowami na pożegnanie: „Do rychłego zobaczenia!”, mówi się: „Na razie!”... „Do wieczora!”

Mieszkają ze sobą.

Cały czas.

Nigdy nie osiągnie tego szczęścia z Marceau, nie będzie z nim mieszkać cały czas.

Wysłuchuje się w odgłos odjeżdżającego 4x4, podchodzi do okna i widzi, jak samochód wyjeżdża na drogę. Wówczas idzie do sekretarzyka i zaczyna wyciągać szufladki. Tajemnica schowana była w trzeciej. „Pociągnij za kołeczek, a zasuwka ustąpi!” pomyślała kładąc dłoń na kwiecie z markieterii. I mechanizm zadziałał. W środku był jeden kluczyk. Wyjęła go.

Ruszyła drogą, którą odkryła w nocy.

Miotana strachem i ciekawością. Pchnęła małe drzwiczki prowadzące na kamienne schody i owionął ją z podziemi zapach pleśni, woń katakumb. Ostrożnie zeszła po krętych schodach i znalazła się przed ciężkimi, żelaznymi drzwiami. Wyjęła kluczyk... Drzwi ustąpiły, a światło zalało pomieszczenie.

Wydało jej się, że Estelle stoi przed nią w krypcie i czeka.

Jej włosy, jej uśmiech, jej spojrzenie...

Jednak kobieta, na którą patrzyła, to nie była Estelle. Była to kobieta z mozaiki, kobieta sprzed dwu tysięcy lat. Mireille stała jak zamieniona w słup soli wobec oczywistej prawdy.

Tryby wielkiego zegara przyrody obracały się niestrudzenie.

Nieśmiałe oznaki zapowiadały bliskie nadejście wiosny. Ziemia, jeszcze zgrabiała z zimna, dzień po dniu wysyłała maleńkie sygnały, które stanowią zwiastuny odnowy, odrodzenia. Pod koniec zimy wystarczy błady jakiś kwiatusek, który unosi do góry suchy liść, żeby wiedzieć, że powróci piękna pogoda.

Niedługo procesje różnych owadów maszerować będą po tarasie tajemniczymi i nieodmiennie tymi samymi trasami. Niebawem wzdłuż Via Agrippa będzie można zbierać owe delikatne, różowawe grzyby, które aż rozpływają się na patelni. Potem nastanie okres ulewnych burz, które wybuchają jak napady złości u dzieci; a potem pojawią się ślimaki. Wreszcie nastąpi promienny powrót świętego Słońca, w którym zapłonie judaszowiec, a po okolicy rozejdzie się miodowa woń janowca.

Czy jednak „Oliwki” ujrzą jeszcze przedwiośnie, nim pochłoną je wody?

Gdy tylko zjechali synowie Estelle, Raphaël udał się do Paryża, by poczynić ostatnie starania w Komisji Sztuk Pięknych. Niestety, nie mógł pokazać żadnego przedmiotu, żadnej fotografii tego, co odkrył. Nie zdołał nawet zlokalizować miejsca, w którym powinny znajdować się pozostałości willi Antistii Sappii Quintilli.

Rysunek mozaiki, wykonany przez Antoine'a, czara z odcisniętą pieczęcią, którą wiele lat wcześniej znalazł Luc, napomknienia o Pięknej Rzymiance w książce podróżnika i plakietka Mazaurika stanowiły zbyt wątłe podstawy, by mógł żywić nadzieję na uzyskanie środków, a przede wszystkim zyskać na czasie.

O tym, że Cykad-Land uznano za projekt użyteczności publicznej, Estelle dowiedziała się od komornika, który zjawił się u niej jeszcze tego samego dnia, w którym ukazał się dekret w *Dzienniku ustaw*.

Odziany cały na czarno mężczyzna, wypisz wymaluj urzędnik policji prosto ze sztuki Moliera, poinformował ją, że powróci, gdy tylko zostanie zarejestrowany akt sprzedaży posiadłości, a wówczas będzie musiał dokonać eksmisji. Oświadczył jej również, że nic nie otrzyma z przetargu, gdyż uzyskane sumy zostaną zaliczone na poczet należności wobec Fundacji Sterling za drugiego Corota, którego nigdy nie odnaleziono.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

Żyła poza rzeczywistością, w jakimś równoległym świecie, który zależał bardziej od sprawiedliwości niż przepisów prawnych, i w którym jedynie dzięki nadziei trzymała się na nogach.

Sophie miała rację, przeciwności losu sprawiły, że członkowie rodziny zbliżyli się do siebie.

Chwycili za szufle, kilofy i łopaty i poszli kopać w przypadkowo wybranych miejscach.

- Chciałbym zobaczyć minę Raphaëla, jakbyśmy coś znaleźli! - powiedział Luc, który z zabandażowanymi jeszcze rękoma, mógł jedynie kibicować poszukiwaniom.

Oczywiście do niczego się nie dokopali, ale odnaleźli siebie, jak odnajduje się rodzina w uroczystych chwilach, gdy oczekuje narodzin czy w żałobie.

Tak im dobrze było ze sobą, że zapomnieli wręcz o powodach spotkania.

- Nie słyszałam, jak przyjechałeś. Gdzie ferrari? - spytała Estelle.

- Sprzedałem! - wesoło odparł Rémy.

- Sprzedałeś?

- Tak, Séverin, to znaczy Marceau, szybko zareagował po mojej wizycie w Rochegude. Nie mam już ani jednego kontraktu na wizerunek polityczny! Wszędzie mnie wykosił! A że sporo zainwestowałem, musiałem znaleźć pieniądze, żeby pospłacać długi. To zabawne, ale czuję się z tym młodziej! Mam niemal taki stan konta, jak wówczas, gdy miałem dwadzieścia lat!

- Uwielbiam go! - wykrzykuje Carla, uderzając łopata w wykop.

Saintes-Maries dobrze pracowały!

Złączyły Rémy'ego i wnuczkę pastora z Werony, złączyły Antoine'a i Sophie. Zbliżyły z powrotem matkę i córkę.

Jednak święte białogłowy miały jeszcze wiele roboty przed sobą, jeśli zważyć obecną sytuację na trzeźwo.

Przelotna gwałtowna ulewa zmusiła ich do porzucenia łopat, szufel i kilofów. Pobiegli do domu, by się schronić przed deszczem.

- Są Samuel i Jules - tymi słowami wita ich Amélie. - Dobrze zrobiłam, że nagotowałam więcej *daube*!

Zasiadają do stołu. Jakże wesoło! Trochę jak podczas styp, kiedy to nie płacze się, bo zmarły był tak zabawny i tak bardzo go kochali.

W połowie posiłku zadzwonił telefon. Estelle podbiegła do aparatu, myśląc że to Raphaël. Ale to był Aimé, kościelny. Szukał księdza i pomyślał sobie, że może jest „Pod Oliwkami”. Wzywali go z ostatnim namaszczeniem do starego Lascourbe'a, którego Pan miał zamiar zawezwać do siebie.

Jules wstał od stołu.

- Zawiozę cię! - żywo krzyknęła Estelle.

Wszyscy się ofiarowali z pomocą. Za późno. Wyjaśniła, że ma ochotę trochę się przewietrzyć, bo zbrzydło jej beczynne wyczekiwanie, aż niebo zwali jej się na głowę.

- Przy okazji zgłoszę się na komisariat! - dodała wesoło.

Jednak zebrani posmutnieli.

Miała jeszcze inny powód, dla którego chciała odwieźć Julesa. Wydawał się dziwny i czymś zaprzątnięty, niespokojna o niego, nosiła się z zamiarem pogadania z nim od serca.

Samochód jechał przez stary las, kiedy Jules odezwał się:

- Cieszę się, że zostaliśmy sami!

Jak gdyby odpowiadał na myśli Estelle.

I milczał, aż do wyjazdu z posiadłości, kiedy to oznajmił:

- Muszę ci powiedzieć o dwóch ważnych sprawach...

Znowu umilkł, po czym z trudem podjął wątek.

- Po pierwsze... oh, jak trudno znaleźć właściwe słowa!... Otóż: co by się nie stało z Marceau, nie pozwól, by nienawiść ogarnęła twe serce. Wybaczenie zawsze powinno być na podorędziu... Słyszysz? Cokolwiek by się wydarzyło!... Nawet coś strasznego.

- Tak - odpowiada Estelle głęboko zaniepokojona. - Przyrzekam ci. Ale, Jules, dlaczego mnie o to prosisz?

- Bo to mój zawód - odparł po prostu.

- Twój zawód... - powtórzyła. - Przyznam, że nigdy nie dałam ci satysfakcji w tym względzie!

- Ty? Z was wszystkich, ty chyba jesteś najbardziej wierząca.

Na widok jej zdziwionej miny, podkreśla:

- Powiedziałem: wierząca... nie powiedziałem: świecąca przykładem.

- A, rozumiem! Uspokoileś mnie!

Miała sobie za złe, że żartuje w chwili, gdy Albin Lescourbe akurat szykuje się do przejścia na tamten świat. Cóż to za wspaniała postać z tego starego wytwórcy wina!

- Akurat niedawno zaczął dziewięćdziesiąty ósmy rok - z melancholią zauważył Jules.

- Pamiętam go, lata temu, kiedy pracował w winnicy barona Le Roy. To ludzie, którym

Châteauneuf zawdzięcza, że słynne jest aż po antypody! Za każdym razem, gdy piję łyżeczek chateau-fortia, myślę o nich!

Czasami Estelle spotykała Albina Lescourbe'a u węzłowia Apolline. Przychodził opowiadać jej o Wielkiej Wojnie i Fortuné, z którym walczył pod Verdun. Ogromnie ją zasmuci wieść o śmierci towarzysza walki jej pasterza...

- Verdun - mówi ksiądz - Verdun... teraz to równie odległe co Bouvines. Niebawem tak samo będzie z partyzantami z Ventoux.

- To przecież historia Francji! - mówi Estelle, dotykając jego dłoni. - Co ci jest? Coś nie tak?... Mam się zatrzymać? - pyta zaniepokojona, widząc jego wzburzenie.

- Nie, nie! Dobrze się czuję! - zapewnia ją pośpiesznie. - Ale muszę cię o coś jeszcze poprosić. Czy możesz być u mnie jutro o czwartej po południu? Punktualnie. Mam ci coś bardzo ważnego i pilnego do zakomunikowania.

- Nie możesz mi teraz powiedzieć, o co chodzi?

Przecząco potrząsnął głową.

- Nie.

- Przerażasz mnie!

- Uspokój się. Prawda, że sprawa jest poważna, ale może to już koniec twoich...

- Czego?

- Nie mogę ci więcej powiedzieć. Mogę na ciebie liczyć?

- Oczywiście!

Nazajutrz Estelle przybyła o czwartej po południu. Punktualnie, nawet nieco przed czasem. Zastała Julesa jeszcze bardziej niespokojnego niż poprzedniego dnia. Zdawał się zdenerwowany i co chwila spoglądał na zegar, przed którym chodził tam i z powrotem. Estelle, trochę zaciekawiona, trochę poirytowana, siada przy stole do partyjek Biblii i czeka.

- Jules, co się dzieje? - pyta po dłuższej chwili. - Wzywasz mnie, by mi powiedzieć coś „poważnego i pilnego”, ja wszystko rzucam, pędzę, jestem nawet wcześniej! A ty od mojego przyjazdu nawet ust nie otworzyłeś!

Wstaje.

- ...Muszę wracać. Raphaël ma dzwonić, a bardzo chciałabym wiedzieć, co się dzieje w Paryżu...

Ze wzrokiem utkwionym w zegar, Jules błaga:

- Proszę cię... zaczekaj jeszcze trochę...

Roześmiała się.



- Czekasz, aż nadejdzie kwadrans łaski, żeby przemówić?

- Nie - odrzekł - na kogoś jeszcze czekam...

W tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi.

- ...O, właśnie jest!

Wszedł Marceau z zaintrygowaną miną. Na widok Estelle twarz mu stężała. Estelle zaś, w odruchu obronnym, spojrzała na Julesa pytającym wzrokiem.

- Dzień dobry, Marceau. Dziękuję, żeś przyszedł.

Marceau i Estelle spojrzeli na siebie, nie przywitali się jednak.

- Siadajcie - powiedział skrepowany ksiądz.

Wszyscy troje zasiedli za stołem, starając się zachować jak największą odległość od pozostałych. W ciszy słychać było jedynie wahadło zegara. Dałoby się niemal słyszeć bicie serca Julesa... atmosfera była napięta, zaś wyraz twarzy Estelle i Marceau nie pomagał księdzu w wypełnieniu zadania.

Wreszcie przemówił.

- Zgromadziłem was dzisiaj... a dawno temu powinienem był to uczynić... gdyż są rzeczy, o których winniście wiedzieć... Poznaliście się dziećmi jeszcze, kochaliście tę samą ziemię, biegali po tych samych drogach... Nie możecie tak dalej się zadreć z powodu dramatu, za który nie ponosicie odpowiedzialności! Zostawcie przeszłość w spokoju i podajcie sobie ręce na zgodę!...

Marceau wstał, wyniosły.

- Jeśli to właśnie jest ta sprawa „ważna i pilna”, jaką miał mi ksiądz przekazać, to mógł sobie ksiądz darować ten trud!

Zmierza do drzwi, lecz ksiądz go powstrzymuje, krzyżąc:

- Nie odchodź! Proszę cię...

Miał taką żalospną, zagubioną minę, że Marceau zatrzymał się na progu, zaskoczony.

Po długotrwałej ciszy, Jules zaczyna mówić znowu.

- Oh! Nie jest mi łatwo to powiedzieć... Marceau...

Zawahał się, nieszczęśliwy.

- ...jesteś synem Laborie.

Estelle i Marceau milczą zdumieni. Jedyne ich spojrzenia świadczą, jak wielkiego doznali szoku.

- Jesteście bratem i siostrą.

Wzburzona Estelle wodzi wzrokiem od księdza do Marceau, który pyta:

- A cóż to za bajka?

- To prawda.

- A skąd ksiądz wytrzasnął taką prawdę?

- Od twojej matki. Biedaczka, przyszła się wypowiadać na krótko przed twoimi narodzinami... Bała się, żeby pewnego dnia mąż się nie dowiedział, co się stało. Chwila szaleństwa w prawym życiu. Czuła potrzebę zwierzenia się z tego, opowiedzenia o swym bólu i wyrzutach sumienia... Przez dziesięć lat Dupastre niczego się nie domyślał... Lecz kłamstwo jest jak zima: darmo przykrywa prawdę grubym płaszczem, lato zawsze w końcu nadchodzi... I pewnego dnia dowiedział się. Wpadł w szal... Ale wy w tym wszystkim jesteście niewinni!

Cisza ciąży jeszcze bardziej. Jest jeszcze głębsza.

Ksiądz szepcze:

- Pogódźcie się...

Milknij, wyczerpany.

Marceau podchodzi do niego.

- Mamy się pogodzić?.. Dlatego tylko, że ksiądz nas uraczył taką wspaniałą wiadomością! Ksiądz myśli, że jak się dowiedziałem, że jestem porzuconym bękartem, to będę dziękował Panu Bogu?... Biedny Dupastre! Zdradzony, oszukany, tak jak i ja...

Zwraca się do Estelle.

- I na dodatek mam jeszcze być dumny, że jestem synem twojego ojca! Ojca, który pozwoliłby mi zdechnąć, gdyby obcy ludzie nie ulitowali się nade mną! Mam nadzieję, że wstyd ci za niego!... Zostawiam ci tego twojego ojca! Jeszcze bardziej go teraz nienawidzę. Chciałbym pozbyć się jego krwi! I powiem wam jeszcze jedną dobrą nowinę: nigdy przedtem nie miałem takiej ochoty obrócić w perzynę Pałacu pod Oliwkami jak właśnie teraz!

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Jules i Estelle ani drgnęli. Nie odzywają się ani słowem, nie są w stanie. Estelle ma oczy pełne łez, w spojrzeniu księdza widać rozpacz.

Po chwili Estelle mówi złamanym głosem:

- To straszliwa wiadomość...

- Sądziłem, że naprawię sytuację... a to katastrofa!

- Ale, Jules, dlaczego? Dlaczego to wyjawiałeś? Ojciec był twoim przyjacielem... Podziwiałam go... Nigdy już nie będę go postrzegała tak, jak przedtem... To przez wzgląd na niego, na jego pamięć, walczyłam... A teraz wiem, że oszukał przyjaciela... że porzucił swojego syna. Myślę o bólu Marceau... cierpieniu dziecka... Tak mi wstyd!... Dlaczego tata nie powiedział mi o tym przed śmiercią? Mniej by mnie bolało, gdybym dowiedziała się o

tym z jego ust! Moglibyśmy... naprawić! Nie... nie naprawić, ale odnaleźć Marceau, prosić go o wybaczenie, ściągnąć go do domu... Do jego domu!

Wstaje, a z oczu nadal płyną jej łzy. Zmierza do drzwi.

- Estelle!

Odwraca się i widzi go tak nieszczęśliwego, tak zawiedzionego, że zalewa ją fala czułości.

- Jak bardzo musisz kochać bliźnich, by wyjawić to, co usłyszałeś na spowiedzi!

Nie wróciła „Pod Oliwki”. Pognała do Nerthe. Musiała zobaczyć się z Apolline, pomówić z nią, rozbudzić jej pamięć.

Ledwo weszła do jej sypialni, gdzie Stéphanette przygotowywała panią do snu, skinęła na niemowę, by je zostawiła same.

Z bijącym sercem podeszła do starej panny.

- Wszystkiego się dowiedziałam, Apolline.

Apolline popatrzyła na nią nagle trzeźwym okiem. Młodym!

- Wiem, że Marceau jest moim bratem.

Z wyraźną ulgą Apolline spytała:

- Kto ci powiedział?

- Jules.

- Dobrze zrobił. Już dawno powinnam była ci o tym powiedzieć. Niestety! Wydaje mi się, że trochę straciłam głowę...

- Ale jak ty się o tym dowiedziałas, Apolline?

Apolline opadła na poduszki. Ujęła dłoń chrześnicy.

- Pamiętasz Blé de Lune?

„Znowu przestaje kontaktować!” - myśli z przerażeniem Estelle.

- Blé de Lune... Moją klacz!...

Apolline wyczuwa obawy Estelle i uspokaja ją.

- ...Nie patrz na mnie tak, jak gdyby wróżki rządziły moim mózgiem! Panowały nade mną, to prawda. Ale to już skończone. Bo teraz i ty zostałam powierniczką tej tajemnicy... To okropne, córeczko, nic nie mów, gdy się coś wie! Przekonasz się!... Nic nie mówić mojej Roseline, nic nie mówić twojej matce, nic nie powiedzieć tobie, gdy stałaś się kobietą...

Przymyka powieki, jak gdyby chciała się skoncentrować, a tymczasem Estelle czeka, nie odzywając się ani słowem, nie wykonując ani jednego ruchu.

- Czterdzieści siedem lat temu mieliśmy wyjątkowo łagodną zimę... Zimą Blé de Lune

pasła się u jednego z naszych gospodarzy w Caderousse. Wiesz, że świetnie jeździłam konno w czasach, gdy kobiety nie rozsuwały nóg, by się na grzbiecie konia!... W dniu świętej Adeli kazałam się zawieźć do stajni, bo zapragnęłam pogalopować sobie na swym koniu po wyspie de la Piboulette... Wiesz zapewne, że tam właśnie utopił się mój pasterz?... Zawsze miałam to za złe Rodanowi... Zawsze jednak uznawałam jego piękno, a w przededniu tamtego Bożego Narodzenia lśnił w słońcu wyjątkowo, srebrzył się, potrząsał swoimi miękkimi zielonymi włosami... Kazałam Blé de Lune iść stępa. Koń rozumiał i szedł nabożnie, jak gdybyśmy szukali Kwiatu Rodanu... i nagle wstrzymałam go... Na posłaniu z trzciny, nad którym wznosiły się wierzby, zdało mi się, że widzę miłosne zmagania Draka i Anglore...

Estelle patrzy na nią z obawą.

- ...Niestety! Drac na tym posłaniu z trzciny to był Paul Laborie... a Anglore... ta, która miała zostać matką Marceau.

Estelle jest jak skamieniała.

- Później, podczas winobrania, kiedy mały przyszedł już na świat, jego matka zawitała do Nerthe, niosąc dziecko na ręku. Bała się. Wiedziała, że ich widziałam... Zaklinała mnie, bym nic nie mówiła. Bym zapomniała. Przyrzekłam. A nie powinnam była... Prawda gniewa się, gdy zbyt długo czeka. Ale cierpiałam na samą myśl, że mogłabym przysporzyć im cierpienia, wszystkim. Kochałam ich, rozumiesz... Wówczas to postanowiłam, że stracę pamięć... Pograżyłam się w żałobie po moim pasterzu... Zapomniałam o was... I uwierzyłam, że do niczego już się nie nadaję, a przecież mogłam uchronić, obronić jednych przed drugimi... Zabrakło mi odwagi... Gdyż, jak tylko usłyszałam o przedsiębiorcy budowlanym, który chce zetrzeć „Oliwki” z powierzchni ziemi, od razu w i e d z i a ł a m , że Marceau powrócił. Myślałam o tym, by z nim pomówić, ale...

- Ale, co?

- Po co?... Można przewidzieć przyszłość, znając przeszłość, ale nie można zmienić woli gwiazd. Zobaczysz, że w największych nieszczęściach zdarza się tak, że diabeł nosi kamienie!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Życząc komuś źle, w efekcie przykładamy się do jego szczęścia... A teraz idź już...

Estelle pochyła się, całuje ją i bez słowa idzie do drzwi.

- Moja kochana!...

Odwróciła się i spojrzała na Apolline, leżącą w swoim panińskim łóżu w staromodnej lizesce i koronkowym czepeczku... Coś promiennego widzi w uśmiechu starej panny. To uśmiech narzeczonej, która wie, że długi czas oczekiwania niebawem osiągnie swój kres.

\*

Również Marceau nie wrócił prosto do domu.

Pojechał samochodem nad Rodan, rzeka go przyciągała, nie wiedział sam, dokąd zmierza.

Rewelacja, jakiej przed chwilą wysłuchał, była straszliwa. W głębi duszy wiedział, że to prawda, ale całym swoim jestestwem odrzucał ją.

Jechał teraz polną drogą wzdłuż ziemistych, bladych pni, których niewidoczne korzenie sięgały gdzieś pod wodę. Zbliżał się do jednego z tych rzadkich przyłądków, skąd góruje się nad krajobrazem. Potrzebował powietrza. Miał wrażenie, że się dusi.

Pozostawił samochód u stóp urwiska i zaczął się wspinać stromą ścieżką.

Gdy dostał się na kamienisty płaskowyż porośnięty krótką trawą, przypomniał sobie.

Był już kiedyś w tym miejscu.

Gdy był małym chłopcem. Z Estelle. I z Paulem Laborie.

Ich ojcem.

Wziął ich wtedy za ręce i powiedział im:

- Patrzcie, dzieci! Patrzcie na wasz kraj. Spójrzcie, jaki jest piękny! A tam daleko... tam nad stepem i za pagórkiem, tam widać nasze ziemie i najwyższe drzewa w naszym lesie...

Marceau czuł wyłącznie nienawiść do mężczyzny, który stał się przyczyną dramatu. Tym, którego na zawsze zachował w sercu, był Dupastre. Dupastre, którego zdradziła żona, którego zdradził przyjaciel. Którego nazywał tatą przez te lata kłamstw.

Marceau popatrzył na pola, lasy i winnice za Rodanem.

Niedługo pejzaż ten zmieni się całkowicie. On się do tego przyczyni. Wody zaleją ziemie, które były dumą pokoleń rodu Laborie.

Nagle pociemniało, gdyż słońce przesłoniła wielka, szara chmura. Marceau wzdrygnął się. Pomyślał o Marguerite. Ona jedna mogła go pocieszyć. Po wstrząsie, jakiego doznał. Od niej doznawał zawsze samego dobra. Z nią nie trzeba było nawet rozmawiać. Siadała przy tobie, robiła na drutach albo czytała gazetę, i już byłeś wyleczony. Czułość emanowała z niej w sposób zupełnie naturalny. Nie zadawała mu pytań. Była przy nim, uspokajająca, już wówczas, gdy go adoptowała. Czasami w nocy krzyczał, nękany wizjami krwi i śmierci. Zawsze była przy nim, gdy się budził. Pocieszająca. Może któregoś dnia opowie jej. O wszystkim.

Zszedł z wyniosłości nad Rodanem i ruszył w kierunku Rochegude.

Już mniej cierpiał.

- Proszę uprzedzić moją matkę, że zajrzę do niej na górę - polecił, mijając sekretarkę.

- Pani Séverin wyjechała, proszę pana.

- Wyjechała. Jak to: wyjechała?

Prawie krzyczał. Skrępowana Bernadette wyjaśniła mu:

- Pańska matka poleciła przywołać taksówkę i kazała się zawieść do Noirétable.

Zostawiła list, proszę pana - dodała, wręczając mu kopertę.

Otworzył tak gwałtownie, że porwał kopertę. Zaczął czytać, nie troszcząc się o to, że jest obserwowany, nie starając się ukryć emocji.

*Mój maleńki - pisała Marguerite - wyjeżdżam, gdyż wiem, że moje miejsce jest gdzie indziej, nie w Rochegude. Czuję potrzebę powrotu do domu. W tym zamku, w którym czyniłeś wszystko, by mnie rozpieszczać, od pewnego czasu bardzo się martwię.*

*Nie jesteś już moim chłopcem.*

*Przyrzekłeś mi, że będziesz czuwać nad Robertem, a czuję, że znowu zaczął robić głupstwa. Oczywiście zachowuję was obu w moim sercu, i nie powinieneś się złościć, że wyjechałam, ale nie mogę dłużej tu zostać. Musisz mnie zrozumieć...*

*Całuję cię,*

*Twoja Mama*

Pogniół list, schował do kieszeni i ruszył do drzwi.

- Proszę pana - odezwała się Bernadette - przyjechała pani Bouvier i czeka w pana gabinecie.

„Pani Bouvier? Nie mam najmniejszej ochoty spotykać się teraz z Mireille. Po cóż ona tutaj teraz?”

Przybrał uprzejmy wyraz twarzy, podziękował Bernadette i z uśmiechem na ustach wszedł do gabinetu.

- Mireille! Co za miła niespodzianka!...

- Nie - odparła chłodno.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, a potem zaczęła mówić.

- Rankiem tamtego dnia, po twoim odjeździe, poszłam do tej piwnicy, na dole kamiennych schodów... i odkryłam wykopaliska, które skradłeś „Pod Oliwkami”.

- No i co z tego? - spytał po chwili ciszy.

No i co z tego? Wszystkiego się spodziewała, prócz tego bezczelnego spokoju.

- Ależ oszukałeś mnie, Marceau... Okłamałeś mnie!

- Dokładnie tak - odparł. - Żeby cię chronić... Na nic by się nie zdało wprowadzanie ciebie w tę sprawę... Sam chciałem ponosić za to odpowiedzialność. Dlaczego mi nie zaufałaś? Popełniłaś błąd, grzebiąc w moich sprawach. Byłoby o wiele prościej, gdybyś udawała, że nie wiesz nic o tym, czego musiałem się dopuścić. Chyba że wołałabyś oddać zwycięstwo Estelle...

- Przeceniasz moją niechęć do Estelle... Są granice, poza które nigdy się nie posunę!

- Powiedzmy więc, że ja to zrobiłem za ciebie... Mam to szczęście, że nie ulegam nastrojom.

- Pożar to też twoja sprawka?...

- A jak uważasz?

Odsunęła się od niego:

- Syn Estelle mógł stracić życie, a ty mi mówisz, że nie ulegasz nastrojom!...

- Żadnym!

- A ja jednemu! I wszystko opowiem! O skradzionych wykopaliskach, podpaleniu stodoły, przedstawieniu z obrazami! To ty posłałeś Estelle do więzienia! Jesteś potworem!

Zapalił papierosa, spokojny, pewny siebie.

- Skoro tak to bierzesz, to teraz ty mnie posłuchaj, Mireille. Jeśli opowiesz o wszystkim, jak mówisz, będziesz jedyną osobą, która za to zapłaci.

- Nie! Powiem im o wszystkim, co zrobiłeś.

Roześmiał się.

- Dajże spokój... Wróć na ziemię, Mireille, na ziemię, gdzie królem jest pieniądz. Masz z czego opłacać proces, który będzie ciągnął się latami? Mam adwokatów, którzy spowodują moje uwolnienie, nawet gdyby mnie przyłapano na gorącym uczynku. Mam za sobą gazety, które naprowadzą dochodzenie na ciebie. To łatwe! Wystarczy wspomnieć o twojej zazdrości o Estelle, o twoim małżeństwie z senatorem Bouvier jedynie dlatego, że był wrogiem Paula Laborie, a miał władzę, której część mogłaś odziedziczyć.

- Jesteś nikczemny, Marceau...

- Brzydzisz się mną?... Cóż, bądź spokojna, zupełnie mi to obojętne!

- Mówiłeś, że mnie kochasz...

- I ty w to uwierzyłaś?

Zwiesiła głowę. Jak mógł być taki okrutny?

Nieoczekiwanie wpadł w złość.

- No!... Przypomnij sobie! Kto odciął dopływ wody? Kto uniemożliwił jej sprzedaż mebli? Kto zadzwonił w środku nocy, kiedy przyjmowałem ją tutaj? Wszystko było takie

proste, Mireille! Nie musiałaś wtykać nosa w to, co robię. Przyniosłem ci na tacy weksel Estelle, a teraz sama chcesz jej pomóc?... Teraz powołujesz się na etykę... uśmieć się można, Mireille! Twoje życie doprawdy nie świadczy na twoją korzyść...

Płakała cichutko.

- O! Jesteś merem bardzo skutecznym w działaniu, to pewne! Jednak dla całego regionu jesteś symbolem kobiety ambitnej i pozbawionej skrupułów... Ja niczego się nie boję, mam grubą skórę... Mam również przyjaciół, nie obawiam się skandalu, który ledwo mnie muśnie, ciebie natomiast zniszczy doszczętnie.

- Kocham cię, Marceau...

- Nie, ty kochasz Pierre'a Séverin, przedsiębiorcę... A nie kochasz Marceau, inaczej nigdy byś mi nie powiedziała tego, co przed chwilą usłyszałem... Życie to dramat, Mireille. Dla każdego z nas, a nie tylko dla innych!

Podszedł do niej niespodziewanie, znowu pieszczotliwy, objął ją i powiedział czule:

- Teraz... Teraz, kiedy już ci to powiedziałem, nic nie stoi na przeszkodzie, byś poszła wszystko opowiedzieć! Widzisz, jestem spokojny... Martwię się jedynie o ciebie.

Nie całkiem było to prawdą.

Był niespokojny. Trzeba będzie zapobiec skupułam Mireille. Bardziej ją osaczyć. Związać ją z sobą definitywnie...

A przede wszystkim trzeba pozbyć się kompromitujących przedmiotów. Szkoda, ale trudno! Lecz gdy już stąd znikną, Mireille będzie mogła rozpowiadać, co jej się tylko spodoba. Nikt jej nie uwierzy. Biedna Mireille...

Marceau wezwał Roberta i opowiedział mu o rozwoju wypadków. Zdenerwował się, że wiadomość tak przeraziła brata.

- Mówiłem ci, żeby nie trzymać wykopalisk w Rochegude.

- Nie wpadaj w panikę! Ona nie może mówić! Doskonale wie, że pogrzy się razem ze mną! Nie jest przecież szalona!

- Nie można jej ufać... Trzeba ją uciszyć...

- Nie gadaj byle czego! - uniósł się Marceau rozwścieczony. - Zadowolisz się pilnowaniem jej, będziesz mi mówił, z kim się spotyka, i zaraz dzisiejszej nocy pozbędziesz się przedmiotów... Koniec kropka!

- Nie wolno jej ufać - powtórzył Robert.

Marceau wzruszył ramionami.

- No i na co jeszcze czekasz?... Jedź za nią!



Robert wybiegł z gabinetu.

Marceau objął głowę rękoma i zamknął oczy. Był u kresu wytrzymałości. Marguerite wyjechała, Mireille wie...

A on sam był synem Paula Laborie.

Robert jechał na pełnym gazie w kierunku Châteauneuf. Poprosił Rodolphe'a, żeby mu towarzyszył. Z Rodolphe'em czuł się pewniej. Rodolphe ślepo go podziwiał. Był w pewnym sensie bohaterem Rodolphe'a, podobnie jak brat był dla niego samego wzorem do naśladowania. Rodolphe bardzo mu pomógł podczas obserwacji wykopalisk, przy kradzieży znalezisk, podpaleniu i całej reszcie. Teraz to trochę inna sprawa. Nie chodzi o oddanie przysługi bratu, lecz o ochronienie go. Już on pokaże, do czego jest zdolny. Nikt nie tknie Pierre'a Séverin! Nikt!

Uśmiechnął się na widok samochodu pani mer, jadącego przed nim. Dopędził go bez trudu, teraz już nie musi się śpieszyć.

Mireille zaparkowała na placyku przed prezbiterium i spojrzała w szare jak ołów niebo. Nadchodziła burza. Grzmiało już nad Awinionem.

Nie zauważyła samochodu Roberta, który zatrzymał się nieco niżej.

Serce biło jej mocno.

Zamierzała zrobić coś strasznego.

Kościelny, który wychodził właśnie z prezbiterium, podobno potem powiedział, że twarz miała „zmienioną”. Pozdrowił ją, a ona mu się odkloniła i zagadnęła, czy ksiądz jest u siebie.

- Właśnie od niego wychodzę! - wyjaśnił i o mało nie spytał: „Dobrze się pani czuje, pani mer?”

Nie śmiał jednak. Była wyniosła. Z gatunku nieprzystępnych i srogich, tłumaczył. Gdyby wszyscy mieszkańcy Châteauneuf byli tacy jak ona, ksiądz mógłby zamknąć kościół. Tak więc zdziwiony i poruszony minął samochód Roberta i nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Robert natomiast widział, jak Mireille puka do drzwi prezbiterium.

- Zaparkuj trochę dalej i zaczekaj na mnie - polecił Rodolphe'owi, wysiadając z samochodu.

Za plebanią musiał być jakiś ogródek. Zapalił papierosa i jak turysta zwiedzający miasteczko zbliżył się do domu, do którego weszła Mireille.

- Mireille!... Cóż to cię sprowadza? - ucieszył się ksiądz na jej widok.

- Muszę z tobą pomówić.

Zaniepokojony zamknął za nią drzwi. Mimo własnych kłopotów i smutku po klęsce godzenia brata i siostry, widział jednak doskonale, że Mireille nie była w swoim zwykłym nastroju.

- Usiądź! Co się dzieje? Nigdy nie widziałem cię w takim stanie!

- Przyszłam ci powiedzieć... - zaczęła, lecz jej ledwo dosłyszalny głos zachrypł.

Uniosła głowę.

- Nie mogę... - wyszeptała.

- Jeśli to obecność Pana cię krępuje, wysłuchiwał już tylu innych, Mireille... Nic go nie zaskoczy! - rzekł ze smutnym uśmiechem, a ona nie miała siły, by uśmiechem mu odpowiedzieć.

Spytała:

- Jak mnie poznałeś, ile miałam lat?

- Trzy dni.

Przygnębiona objęła głowę dłońmi:

- Tak bym chciała wszystko zacząć od nowa! Wszystko wymazać!... Boję się!

- Ja też się boję - rzekł szczerze.

- Ale ty nie wiesz wszystkiego!

- Może nie wiem wszystkiego, ale i tak wiem wystarczająco dużo! - powiedział cichym głosem, myśląc o tragicznej scenie, jaka się rozegrała w tym samym miejscu pomiędzy Estelle i Marceau.

Mireille wstała i rozpoczęła swą opowieść, chodząc po pokoju, w którym nie była od tak dawna. Przesunęła dłonią po kolekcji Biblii. Przeszła przed oknem otwartym na ogródek, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

- Wszystko zaczęło się dwa lata temu, w dniu, w którym niejaki Pierre Séverin poprosił, bym go przyjęła w merostwie. W sprawie projektu dotyczącego Châteauneuf. Ujrzałam przed sobą przystojnego nieznanomego mężczyznę... Nie całkiem nieznanomego... który mi się bacznie przyglądał... Kiedy przedstawiał mi swój projekt, starał się sobie coś przypomnieć, przywołać jakieś wspomnienie, imię. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Po chwili odezwał się do mnie: „Dzień dobry, Mireille, jestem Marceau Dupastre”. Poprosił mnie, bym nie wyjawiała od razu ludziom w Châteauneuf, kim jest. Zgodziłam się. Jako mer uznałam, że Cykad-Land stanowi szansę dla gminy i dla regionu. Podobało mi się, że będę dzieliła z nim sekret. Pomogłam mu... No i nie będę przed tobą ukrywać, że zakochałam się w

nim, jak tylko zobaczyłam go wchodzącego do mojego gabinetu... a raczej nie, już byłam w nim zakochana. Od przedszkola. W tamtych czasach kochał Estelle. Potem spotkałam Rémy'ego... Ale Rémy poślubił Estelle. Ja wyszłam za senatora. I nie miałam dzieci. Nic mi się w życiu nie udało.

- Nie możesz tak mówić, Mireille! Jesteś dobrym merem, wiesz przecież o tym! Ludzie cię szanują.

- Byłam dobrym merem, zgoda! Aż do przybycia Marceau! Po jego pojawieniu się, przypomnij sobie, jak zachowałam się wobec Estelle!... Latem zeszłego roku odcięłam jej dopływ wody... Gdy wyszła ze szpitala, pojechałam z żandarmami zakazać jej wykonywania zawodu. Wstyd mi, gdy o tym myślę! Najgorsze, że robiłam to w dobrej wierze! A w gruncie rzeczy - ścisza głos - w gruncie rzeczy, byłam zazdrosna...

Przerwał jej delikatnie.

- Powiedz no... Przyszedł się wyświadczyć? Już chyba z piętnaście lat minęło...

- Nie na spowiedzi mi wyznawać, Jules! - wykrzyknęła - ale przed sądem!

Ujęła dłoń starego człowieka, ręce obojga były lodowate.

- ...Czy wiesz, co odkryłam w piwnicach Rochegude? Wykopaliska Raphaëla Fauconnier! One tam są!... To Marceau kazał je ukraść! Tak! I to on kazał podłożyć ogień „Pod Oliwkami”! I to on posłał Estelle do więzienia! Powiedział mi o tym! Jest zdolny do wszystkiego!

- Mój Boże, oszalał!...

- Jak jego ojciec! - rzekła.

Jules pokiwał głową, zdesperowany, przepełniony litością, wzburzony.

Dał się słyszeć grzmot, bliższy tym razem.

- Nie wolno pozwolić, by on...

Zamilkła, nie była w stanie wypowiedzieć tego, co ją gnębiło od odkrycia wykopalisk i rozmowy z Marceau. Rzekła po prostu:

- Estelle jest w niebezpieczeństwie. Muszę porozmawiać z Sarransem.

- Wiesz, co ryzykujesz, jeśli opowiesz te rewelacje!

- Mówisz mi to samo co Marceau! - odparła, uśmiechając się smutno. - Cóż ryzykuję?

Długo nad tym myślałam... Przynależ, że mnie złamie, że okryje mnie niesławą... lecz podjęłam decyzję. Nie mogę dłużej żyć tak, jak teraz żyję! Nie będę już merem Châteauneuf, wiem. Nikim już nie będę. Ale będę wyzwolona...

Pięknie wyglądała taka strapiona. I nagle znalazła siłę, by się uśmiechnąć. Jules położył dłoń na jej ramieniu i powiedział:

- Odnajduję cię taką, jak niegdyś, Mireille.

Zapadła długa cisza, a potem Mireille dodała:

- Cokolwiek zrobił, cokolwiek zrobi, zawsze będę go kochała. Muszę uchronić go przed najgorszym.

- Rozumiem - rzekł ksiądz - i dziękuję, żeś mi zaufała... Miałaś rację, to nie jest spowiedź, lecz zeznanie. Chodź! Trzeba niezwłocznie zawiadomić Sarransa! Pojadę z tobą, nie ma czasu do stracenia!

Niebo stawało się coraz bardziej szare. Deszcz nadciągał. Grzmi już nad Châteauneuf.

W ogródku ksiądz Robert wpadł w panikę. Słyszał wyznanie Mireille. Wie, że wszystko stracone, jeśli nie przeszkodzi pani mer i księdzu w spotkaniu z komisarzem. Zastanawia się, czy nie powinien zadzwonić do Rochegude, zanim przystąpi do działania. Po krótkim namyśle postanawia nie dzwonić. Nie ma czasu. Liczy się tylko jedno: uratować brata.

Mireille i Jules nie odzywają się. Są napięci i milczący. Gdy wyjeżdżają z miasteczka rozpętuje się burza i zaczyna padać deszcz. Mireille zwalnia i uruchamia wycieraczkę. Jules zauważa wówczas samochód, który ich wyprzedza i, mimo ulewy, mknie z pełną szybkością.

- Widziałaś tych szaleńców? - pyta.

Mireille nie odpowiada, po prostu kiwa głową, zdenerwowana myślą, że wkrótce będzie składać zeznanie. Że zdradzi ukochanego mężczyznę... Usiłuje zapomnieć o celu tej podróży i stara się skoncentrować na prowadzeniu. Nagle, za którymś zakrętem, krzyczy, skręca w bok i hamuje; zobaczyła samochód, który ich wymijał, leżący w przydrożnym rowie.

Na środku drogi jakiś mężczyzna wymachuje rękami, wzywając pomocy.

- O Boże! To wygląda poważnie - mówi ksiądz, a Mireille zatrzymuje samochód.

Wysiedli i w deszczu podbiegają do mężczyzny, który wygląda jak w szoku po wypadku.

- Proszę mi pomóc! - powtarza. - Mój przyjaciel jest ranny!...

Pośpieszyli do samochodu, w którym kierowca leżał z głową na kierownicy i wyglądał na nieprzytomnego. Nie było widać jego twarzy. Gdy jednak znaleźli się przy nim, uniósł głowę.

Był to Robert.

Jules ani drgnął. Mireille, znając brata Marceau, cofnęła się, lecz natychmiast

Rodolphe przytrzymał ją mocno.

Robert uśmiechnął się, dumny z siebie.

- Miło mi panią widzieć, pani Bouvier...

Zrozumiała, że to koniec.

\*

Estelle patrzyła na złotowłos.

A może to kwiat patrzył na nią?

Nadeszła wiosna. Okazała, przebogata. Może ostatnia?

Estelle wstała przed świtem. W nocy nie zmrużyła nawet oka.

Poprzedniego dnia, w chwili, gdy powinien był wyjeżdżać z Paryża, Raphaël zadzwonił, żeby ją powiadomić, że jeszcze zostaje. Miał nadzieję, że uzyska następne spotkanie w Ministerstwie Kultury przy rue de Valois. Pomimo pragnienia zobaczenia go znowu, błogosławiła tę przeciwność, która dawała jej kilka godzin samotności, by mogła oswoić się z rewelacjami Julesa.

„Tato, oh! tato...”

Wyciągnęła dłoń do białych gwiazdek i delikatnie pogładziła satynowe płatki.

Kwiaty te nie tylko są jej kwiatami, to także kwiaty Marceau. Jak drzewa oliwne, jak winnice, jak cała posiadłość, podobnie jak przodkowie w galerii, złotowłosy należały zarówno do brata, jak i do siostry.

Musi mu to powiedzieć. Że odda mu jego dobra po tylu latach. Musi wyciągnąć do niego dłoń, prosić go o przebaczenie...

Jej brat.

Rozumiała teraz, dlaczego uczucie, jakie ich łączyło i które ich przeciwstawiało, odznaczało się taką intensywnością, taką gwałtownością. Krew tego samego ojca krążyła w żyłach obojga.

Ojca musiała odkrywać na nowo.

Ojca, który nie był już tym ślepo podziwianym bohaterem. Był kruchym, młodym mężczyzną... Młodszym niż ona obecnie. Nie tatą. Mężczyzną poddanym działaniu zmysłów, zakazanych pożądań, mężczyzną zdolnym do zdrady. Człowiekiem, którego nadal kocha.

„Ale dlaczego mi się nie zwierzyłeś, tato?!” - myślała zdesperowana, zapominając, że gdy rozegrał się dramat, była małą dziewczynką, a przecież nie opowiada się małym dziewczynkom, że nie dotrzymało się wierności mamusi.

Mama. Czy wiedziała, co się zdarzyło? Czy też nie wiedziała o niczym, jak utrzymuje

Apolline? Umarła niedługo po narodzinach Philippine, nigdy nie powiedziała nic, co by pozwoliło się domyślać, że wiedziała.

Estelle popatrzyła na fotografię rodziców, takich pięknych, stojących przy winnicy.

Dla niej to zdjęcie było zawsze obrazem miłości...

Istniał tylko jeden sposób, by zapobiec, żeby świat nie rozpadł się wokół niej, a sposób ten polegał na zawarciu pokoju z Marceau.

Zadzwoiła do Julesa, żeby podzielić się z nim swoimi postanowieniami. Chciała, żeby wiedział, że wygrał, wyjawiając, kim dla siebie byli. Chciała mu podziękować za prawdę, gdyż prawda odmieni całe jej życie.

Telefon długo dzwonił w pustce, w końcu odłożyła słuchawkę.

Zadzwoi później.

Zadzwoi, jak wróci z Rochegude. Z Rochegude, gdzie nie postąpiła jej noga od wieczora, gdy Marceau próbował ją uwieść.

Teraz jednak sprawy miały się inaczej.

Marceau miał siostrę, a Estelle miała brata.

- Przyjechałam, by prosić cię o wybaczenie... - powiedziała, wchodząc do gabinetu Marceau.

Była bardzo wzruszona, stała przed nim, a on przyglądał jej się z podejrzliwością.

- Jak to, prosić o wybaczenie? - podjął oschle.

- W imieniu naszego ojca. To dla niego proszę cię o wybaczenie. Domyślam się, czym musiało być dla ciebie wyznanie Julesa. Dla mnie zresztą też. Ale dzisiaj... Chcę ci powiedzieć, że Pałac pod Oliwkami należy w równym stopniu do ciebie, co i do mnie, połowa prawnie jest twoja.

Uśmiechnął się i to sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Jestem bardzo wzruszony twoją nagłą i... siostrzaną szczodrością. Mylisz się jednak, twierdząc, że połowa „Oliwek” należy do mnie... Cały Pałac pod Oliwkami jest mój. Dziś rano został zarejestrowany akt kupna. Pierwsza się o tym dowiadujesz. Szykuj się do pakowania kufrów, komornik powinien zjawić się w ciągu dzisiejszego dnia... a jeśli nie opuścisz posiadłości, zostaniesz eksmitowana siłą. Następnie pałac zostanie zburzony. Termin nie został jeszcze ustalony, ale odbędzie się to najdalej za tydzień.

- Ależ Marceau - wykrzyknęła - nie możesz tego zrobić! Ta posiadłość jest twoja, nie możesz jej zniszczyć.

Marceau długo się zastanawiał.

- Wiesz, co myślę?... Myślę, że opracowałaś plan do spółki z klechą. Pomysł jest zresztą niezły, przyznaję. Wmówić Marceau, że jest synem Laborie... to mógłby być sposób, żeby mnie powstrzymać. Lecz jakże uwierzyć w to wyznanie, które uczyniono tak późno? Akurat w chwili, gdy Cykad-Land został uznany za przedsięwzięcie użyteczności publicznej! W przeddzień wyburzania budynków! Boski zbieg okoliczności!

- Jak możesz w ogóle wyobrażać sobie, że chcemy cię oszukać?

- Twój ojciec oszukał swoją żonę i przyjaciela! A ty śmiesz być dumna, że jesteś córką takiego godnego pogardy człowieka?!

Estelle, dotknięta, wyprostowała się.

- Tata nie jest godny pogardy, Marceau... był dobry... Popełnił jeden błąd w życiu... Gdybyś wiedział, jak był zrozpaczony po tej tragedii! Został z niego cień... Umarł z tej zgryzoty.

- A ja nadal żyję!... Jakież brak taktu! Cała moja rodzina zginęła... ale to była moja rodzina, rozumiesz? Dupastre'ów... a teraz mówicie mi, że jestem Laborie, i dla was to proste, koniec, sprawa załatwiona? Jestem bękartem z pałacu, tak?...

- Widzisz i wiesz, że on jest twoim ojcem... Marceau, ja jestem twoją siostrą... Nie możesz mieć mi tego za złe!

- Niczego przedtem nie miałem ci za złe, nie życzyłem ci źle, Estelle, nawet proponowałem ci fortunę! Wszystko, co się stało, to twoja wina, to przez twój upór. Bardzo drogo za to zapłacisz... i powinnaś się pogodzić ze swoją przegraną.

- Ale ja jeszcze nie przegrałam, Marceau! - krzyknęła.

- Nie marz za bardzo o willi galo-rzymskiej! I nie oczekuj interwencji Ministerstwa Kultury na korzyść twojego profesorka! Tak, wiem o wszystkim! I przed niczym się nie cofnę, Estelle, przed niczym!

Estelle podjęła ostatnią próbę:

- Marceau, przestańmy, póki jeszcze nie jest za późno!

- Ależ jest już za późno! - rzekł z pełnym bólem uśmiechem.

Nie odprowadził jej do drzwi, wstał jednak i patrzył za odchodzącą.

Już miał ją zawołać... ale wrzucił tylko ramionami: po co?

W korytarzu minęła mężczyznę, którego nie знаła, a który spojrzał na nią z zaciekawieniem. Był to Robert.

- To córka Laborie? - spytał, wchodząc do gabinetu brata.

Marceau poprawił go lodowatym głosem.

- Pani Laborie.

- Po co tu przyjechała?

Marceau pominął pytanie milczeniem, skwitował je machnięciem ręki.

- No i?

- Co: no i?

- Mireille?

- A! Mireille!... Cóż... Nic konkretnego.

Marceau był przekonany, że coś poważnego kryje się za skrepowaniem Roberta.

- Co zrobiłeś?

- W jakiej sprawie?

Marceau uderzył rozpostartą dłonią w blat biurka. Bał się.

- Co się dzieje, Robercie?

- Nie chciałem ci mówić...

- Co ty zrobiłeś? - krzyknął Marceau.

- To był jedyny sposób... - wyznał Robert.

„Nie! Nie! To nie jest możliwe, nie zrobił tego!”

Marceau wiedział jednak, że usłyszy najgorsze. Przymknął oczy.

- Po rozmowie z tobą pojechałem za nią - opowiadał Robert. - Całe szczęście!

Popędziła prosto do księżula i wszystko mu wygadała: o kradzieży wykopalisk, pożarze, obrazach... wszystko! A potem ruszyła razem z nim do Sarransa. Chciała cię wydać!

Marceau otworzył oczy.

- Musiałem jej przeszkodzić... Przechwyciliśmy ich na drodze przy wyjeździe z Châteauneuf, a potem...

Przerywa i spogląda na brata.

- Nie miałem jak cię uprzedzić... Nie mieliśmy czasu... No i...

- No i?

Robert pochyla się do przodu, skrepowany, ale nie bardziej niż akwizytor, który wyjawia złe wyniki sprzedaży.

- No i... zepchnąłem ją do Rodanu z całym samochodem...

I dodaje precyzując:

- ...ze starym księdzem.

Początkowo Marceau patrzy na niego z niedowierzaniem, a potem ma wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Przed oczyma staje mu stary człowiek wzburzony wyznaniem prawdy za cenę zbawienia swej duszy. Widzi samego siebie, jak obejmuje Mireille, przypomina sobie słodycz jej warg, zapach jej skóry. Ma ochotę wyc.



- Nie zrobiłeś tego, Robercie! Nie zabiłeś ich?

- Przecież nie miałem innego wyjścia... Inaczej bylibyśmy zgubieni!

Marceau, któremu rozpacz dodaje sił, przypiera brata do ściany i potrząsa nim.

- Powinieneś mnie uprzedzić, nim zrobisz jakikolwiek krok! Dlaczego, dlaczego?...

Zwariowałeś!

- Chciałem cię ochronić...

Wymierza mu policzek, z całej siły, aż czerwony znak pojawia się na twarzy Roberta.

- Nigdy cię nie potrzebowałem, żebyś mnie chronił... ani nikogo na świecie! Chciałem tylko, żebyś ją obserwował...

Robert wygląda jak dzieciak, ma łzy w oczach. Mówi bezmyślnie:

- Wybacz mi, Pierre...

A Marceau odpycha go brutalnie, idąc przez pokój do drzwi.

- Spadaj stąd, Robert!... Znikaj! Nie chcę cię więcej widzieć! Nigdy!

- Ależ, Pierre...

- Spadaj!

Zbity z tropu Robert wyszedł z gabinetu.

Zostawszy sam, Marceau zwałił się na fotel.

Mireille, Mireille nie żyje. I ksiądz. Ksiądz, który podarował mu piłkę... Miał wówczas osiem lat. Stracił swoją, grając w nogę nad Rodanem.

„Masz, mój mały Marceau, nie chcę, żebyś był smutny...”

Pomyślał o Marguerite. Och! Mamo!

Zadzwoił telefon, a on nie odbierał. Dzwonił i dzwonił. Długo. Potem Bernadette zapukała i otworzyła drzwi.

- Proszę pana, dzwoni szef budowy - powiedziała, zdziwiona, że zastała go zgnębionego w kącie gabinetu. - Pyta, czy przyszła środa panu odpowiada?

- Na co? - pyta zdezorientowany.

- Na wyburzenie „Oliwek” - wyjaśnia sekretarka, zaskoczona jego pytaniem.

Bardziej jeszcze zdumiał ją jego wybuch śmiechu.

- Środa? Doskonale - rzekł. - Czyż nie przybyliśmy tutaj właśnie po to?

Gdy Estelle przyjechała „Pod Oliwki” i zobaczyła twarze domowników, zrozumiała, że komornik już ich odwiedził.

Mieli tydzień na opuszczenie domu.

W pierwszym odruchu zadzwoniła do Julesa.

- No, nareszcie jesteś! - powiedziała, słysząc, że podnosi słuchawkę.

Lecz po drugiej stronie odebrał nie ksiądz, lecz Samuel. Był bardzo zaniepokojony.

- Mieliliśmy dzisiaj razem zjeść obiad - mówi. - I wiesz, Jules ma pewne wady, ale jest punktualny! Tym bardziej, że chcieliśmy wyjaśnić bardzo delikatny spór na temat Hioba, a to nie w jego stylu wystawiać do wiatru Biblię!

- Może gdzieś go pilnie wezwano. Kościelny powinien coś wiedzieć...

- No właśnie, Aimé nic nie wie! A raczej tak: widział go, jak wsiadał do samochodu z Mireille podczas tej strasznej burzy, która wyrządziła wszędzie tyle szkód. I od tamtej pory nikt nie wie, gdzie się podzieli...

Estelle nachodzi lodowate wspomnienie, aż się wzdryga... Odwiedziny Mireille w dniu wizyty Holendrów. Odniosła wtedy dziwne wrażenie, stojąc przed kobietą, która wyrządziła jej krzywdę.

Czuła, że tej kobiecie, nie jej, grozi niebezpieczeństwo.

- Aimé mówi, że oboje byli zmienieni bardzo na twarzach - ciągnie Samuel. - Nawet minęli go, jak gdyby go nie widzieli!

- Czy zawiadomiłeś...

- Wszystkich! Policję, żandarmów... wszystkich! Myśleliśmy, że może wypadek, ze względu na burzę, ale samochodu nie odnaleziono...

Złączyła ich cisza brzemienna w pytania. Po chwili Samuel powiedział:

- Wiesz już o...

- „Oliwkach”? - pyta Estelle. - Tak, wiem.

- W merostwie było zebranie... Bardzo dziwiono się, że nie ma Mireille. Raz jeszcze opinie na temat Cykad-Landu były podzielone, no ale dekret... i minister, który popiera projekt... Boję się, czy nie jest za późno...

Znowu zapadło milczenie.

- Jesteś tam, Estelle?

- Tak.

Wyczuł, że Estelle jest u kresu sił. Powiedział na pociechę:

- Dobrze! Idę, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Oczywiście, odezwę się, jak tylko coś będę wiedział!

- Dziękuję - mówi Estelle ledwo dosłyszalnym głosem.

Raphaël przyjechał wieczorem.

Udało mu się rozbudzić ciekawość ministra.

Zostanie powołana komisja, która ma zbadać możliwość istnienia osady archeologicznej pod „Oliwkami”.

Najpóźniej za miesiąc minister przekaze swoją decyzję.

Ale za miesiąc wody zaleją posiadłość...

Zadzwoił telefon. Estelle podbiegła do aparatu i wszyscy zamilkli.

Zbladła tak bardzo, że Philippine skoczyła, by ją podtrzymać. Wyszepiała:

- Mamo!...

Estelle oddała jej słuchawkę. Po drugiej stronie płakał Samuel. Brygada wodna odnalazła samochód pani mer przy zaporze Sauveterre. Znajdowały się w nim ciała Mireille i Julesa.

Oboje zatonęli.

\*

- Stéphanette!

Apolline przysnęła, oglądając wachlarz, na którym podpisał się Fryderyk Mistral. Obudziło ją bicie żałobnego dzwonu, którego dźwięk niósł wiatr od kościoła w Châteauneuf.

Słucha bicia żałobnego dzwonu.

Żałobny dzwon.

Energicznym ruchem zwija wachlarz i odkłada go na stolik. Prostuje się, głowę trzyma wysoko, zdecydowanie.

- Stéphanette!

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, woła kilkakrotnie, coraz głośniejsze. Następnie podnosi się i, rozzłoszczona, chwytając laseczkę i idzie do drzwi wiodących do pokoju Stéphanette.

Żywego ducha.

Apolline nie może ochłonąć ze zdumienia. Stéphanette ją opuściła!

Podchodzi do okna i wygląda na podwórzec akurat w chwili, gdy robotnicy z posiadłości, ubrani na czarno, wsiadają do samochodów; śpieszą się, Stéphanette odjeżdża jako jedna z ostatnich.

Apolline stoi jak skamieniała, milczy, a samochody ruszają w drogę. Potem wychodzi ze swojej sypialni i chwiejnym krokiem rozpoczyna spacer. Zaczyna schodzić po schodach, które pachną fiołkami i kamieniem.

Na nowo odkrywa to, czego wyrzekała się tyle lat, od czasów swego dobrowolnego zamknięcia i odrzucenia świata. Widzi swój portret: młoda, dosiada konia, uśmiecha się

rozbawiona. *Dau! dau! Bèu jouvènt!*

U stóp schodów otwiera małe drzwi i schodzi do podziemi zamku, tam gdzie ukrywała swoje „izraelitki”, podczas gdy oberleutnant Cazalis grywał *Miłość poety* na pianinie w salonie.

Dociera do długich piwnic, gdzie słabe oświetlenie ujawnia beczki i butelki z winem. Dobrze jej robi ten piękny widok... To jej dom, jej ukochany Nerthe.

Zapach ziemi i wina. Głodzi butelki i idzie dalej galerią. Na drugim końcu piwnicy dostrzega zgarbionego w pałąk staruszka, który zmierza w jej stronę. Oboje są równie zdziwieni tym spotkaniem.

- Kto ty jesteś? - pyta Apolline.

- Jestem Riquet z Roquebrune, proszę panienki.

- Znam cię... Riquet, to ty prowadziłeś delage, dawniej...

- I siodłałem Blé de Lune, proszę panienki, jak panienka chciała galopować nad Rodanem...

- Musisz już być stary, Riquet! I jeszcze pracujesz, w twoim wieku?

- Nie! Pomagam. Ciężko mi było stąd odchodzić, zgodzili się więc, bym został.

- I co ty tu sam robisz w domu, kiedy wszyscy wyjechali?

- Pilnuję Nerthe, proszę panienki. Ktoś to przecież musi robić...

- No to powiedz mi, dlaczego wszyscy wyjechali?

Nie śmie. Milczy.

- To panienkę zaboli...

- Riquet... Słyszę dzwon żałobny, powiedz mi nazwisko zmarłego...

On nadal milczy.

- ...albo zmarłej...

- Zmarłego i zmarłej. Wielkie nieszczęście w Castèu-Nòu...

- Kto, Riquet?!

- Nasza pani mer i nasz proboszcz.

- Panie Przenajświętszy!...

- Rodan ich zabrał...

„Rodan - myśli sobie Apolline - zawsze Rodan... Rodan to wąż podstępny!”

I nieoczekiwanie opiera się na ramieniu Riqueta i stawia kilka kroków wsparta na nim, drżąca, ale przytomna.

- Pomożesz mi, Riquet! Niebo mi ciebie zsyła! Nie chcę, by Jules odszedł, nie odprowadzany moimi modlitwami. Nerthe będzie się sama strzec... Delage ciągle na chodzie?

- Jak nowy! - mówi Riquet. - Ciągłe go doglądam! Czasami się nawet przejadę dookoła zamku...

- Podaj mi ramię, Riquet, i pójdźmy spełnić nasz obowiązek...

Żałobny dzwon nadal ogłasza nieszczęście Castèu-Nòu.

Tłum w żałobnych strojach przybywa zewsząd.

Ludzie zaszokowani, otepieli z bólu, oniemieli ze zdumienia. Są wśród nich żandarmi, strażacy, urzędnicy miejscy, wszyscy ci, których dostojny strój, mundur i uśmiech uświetniają uroczystości i obchody różnych świąt w miasteczku; tym razem przyszli tutaj, jak zbłąkani. Dotknięci wspólnym nieszczęściem.

Zebrani wokół swoich sztandarów, ostatni żyjący bojownicy ruchu oporu w regionie, chłopcy o białych włosach, którzy mieli po dwadzieścia lat w 40 roku, żołnierze cienia i lasów, przybyli oddać cześć staremu druhowi z Przełęczy Burz.

Pośród głębokiej ciszy, którą zakłóca jedynie żałobny dzwon, dwie trumny wnoszone są do kościoła. Za nimi podąża błada jak płótno Estelle pomiędzy Raphaële'em i Philippine. Podtrzymując Samuela, idą Luc i Antoine.

I wszyscy mieszkańcy „Oliwek”.

Rodziny Laborie, Fabrègue i de la Craye, Boucoiran, Ben Saïd. „Oliwki”. Prawdziwa rodzina Julesa Campredona razem z Samuelem, jego bratem w Bogu.

Mireille odchodzi samotnie, nie odprowadza jej, ani nie oplakuje żadne dziecko, ani małżonek, brat czy siostra... Jej jedyną rodziną była rada miejska, merowie sąsiednich gmin przepasani trójbarwnymi wstęgami...

A także ten błady mężczyzna, który przybywa w ostatniej chwili i stoi w mroku kaplicy.

Marceau.

Jutro buldożery ruszą na „Oliwki”. Jutro nastanie dzień zemsty.

- Mireille Bouvier broniła Przyszłości, Jules Campredon bronił Przeszłości, i oto połączeni zostali w Życiu Wiekuistym z Twojej Woli - mówi głos arcybiskupa z Awinionu.

Jujube płacze. Nie jest odosobniony. Najtwardszych dotknęło to, co dotyka wszystkich.

Marceau czuje na sobie czyjeś spojrzenie. Cyganka... W śniadych dłoniach trzyma bukiet czerwonych goździków. Jest wyjątkowo piękna. Nie spuszcza z niego wzroku, surowego, przykuwającego!

Marceau zmienia miejsce, by umknąć przed Nemezis.

Wzrok kobiety podąża za nim.

- ...Człowiek poradzi sobie z najtwardszymi skałami, potrafi poddawać obróbce szlachetne kamienie, przewróci góry, zatrzyma rzeki i zmieni ich bieg. Lecz czy potrafi odnaleźć mądrość? Nie!... Człowiek nie zna jej ceny, gdyż nie znajduje się ona na ziemi pośród żyjących...

Głos arcybiskupa milknie, by rozbrzmiała muzyka, a ludzie mogli się skupić i modlić, gdy nieoczekiwanie w głębi kościoła pojawia się postać w czerni i w zasłonach z krepy.

Apolline. Kroczy samotnie, opierając się na laseczce, trzyma się prosto, z dostojeństwem.

Apolline de la Craye.

Pośród zgromadzonych niewielu jest takich, którzy mogą się poszczycić, że widzieli starą damę. Wszyscy jednak ją poznają. A jej pojawienie się podkreśla tragiczny, nadprzyrodzony charakter tej podwójnej śmierci, która w dwójnasób osieroca miasteczko.

Patrząc, jak przemierza kościół, przyjmuje ramię Jean-Edmonda, który wyszedł jej naprzeciw i podprowadza ją do rodowej ławki, by posadzić obok chrześnicy.

Obie uścisnęły sobie bardzo mocno dłonie.

- Dziękuję... - szepnęła Estelle stłumionym głosem, nim na znak arcybiskupa ruszyła w stronę prezbiterium.

Z kieszeni płaszcza wyjęła kartkę; popatrzyła po wiernych, którzy nigdy jeszcze tak gromadnie nie przybyli do tej nawy.

Odczytała to, co serce jej podyktowało w chwili bólu.

- Jak wiele dzieci z Châteauneuf, długo myślałam, że byłeś, Julesie Campredon, moim stryjem. Sądziłam nawet, że byłeś zarówno bratem mojego ojca, jak i bratem mojej matki. I nadal w to wierzę, gdyż zawsze potrafiłeś należeć do rodziny nas wszystkich, do rodziny każdego... Można by oddać ci cześć jako bojownikowi ruchu oporu, erudycie, humaniście, Prowansalczykowi, słudze bożemu czy jak najpokorniejszemu słudze, wiem jednak, że nie przypadłoby ci to do gustu. Tak dobrze cię znam... Znam cię od dnia, w którym polałeś święconą wodą podczas chrztu moje nowiuteńkie czoło... Niedawno jeszcze niosłeś ostatni sakrament Albinowi Lascourbe, a mnie powiedziałaś: „Przyrzeknij mi, że cokolwiek by się wydarzyło, nie pozwolisz, by nienawiść zawładnęła twym sercem, że zawsze wybaczenie będziesz trzymała na podorędziu!” Przyrzekłam...

Spojrzenie Cyganki znowu spoczęło na Marceau, który tym razem z całą arogancją wytrzymuje jej wzrok...

- ...zdawałeś mi się odporny na ciosy losu - ciągnie głos Estelle.

Komisarz Sarrans siedzi z brzegu przy głównym przejściu. Czeką na pilną wiadomość.

- Lecz ani ludzie, ani natura nie są odporni na ciosy...

Jakaś dłoń spoczęła na rękawie komisarza, musi wyjść. Dyskretnie. Na paluszkach. Wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z sędzią Martinot, której fotel na kółkach wniesiono do kościoła.

Komisarzowi dostarczono sprawozdanie lekarza sądowego. Rozdziera kopertę, zachłannie odczytuje wnioski z sekcji zwłok i stoi jak skamieniały pośrodku pustego placu.

Ma przed oczyma potwierdzenie przypuszczeń, jakie go dręczyły od samego początku?

To nie był wypadek.

*De nosti déute*

*Fai-nous la remessioun...\**

w kościele śpiewa dźwięcznym i czystym głosem dziecko.

Komisarz spogląda na dwa karawany, czekające na trumny, i nie zamierza wybaczyć.

*Amin Siegue!\*\**

śpiewa dziecię.

\*

Samuel odczekał, aż cmentarz się wyludni, żeby samotnie pobyć przy grobie Julesa.

Pośród kwiatów i wieńców Cyganka złożyła swój bukiet czerwonych goździków tuż przy tablicy.

**Jules CAMPREDON**

1919-1993

Samuel stoi przy grobie. Ma na sobie kippę i trzyma świętą Księgę, zwraca się do mogiły jak do człowieka.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, tam wysoko, w lesie? Pamiętasz, jak się zdziwiłem: „O! Ksiądz! Dlaczego dzierżysz broń w ręku?” Uśmiechnąłeś się i odparłeś: „Z

---

\* *I odpuść nam*

*nasze winy...*

\*\* *Niech się stanie wola Twoja!*

tych samych powodów, co i ty, Samuelu... dla Wolności”.

Wolność!... Wiesz, co się szykuje Estelle, jak cię złożyliśmy w ziemi? Wiesz, co ją czeka? Jutro, gdy wstanie słońce, buldożery zniszczą jej dom, ziemię, przeszłość... I to przy błogosławieństwie Republiki!... No i widzisz, dzisiaj... mam ochotę znowu chwycić za broń...

Nagle oznajmia z dumą:

- Wiesz, Jules, wszyscy przybyli do kościoła! Chciałbym, żebyś mógł to zobaczyć! Nawet Apolline przyszła! Nawet Anarchista! No i nawet ja... bo pewnej nocy w czterdziestym trzecim - jestem pewny, że pamiętasz - złożyliśmy przysięgę: ten, który zostanie, odmówi modlitwę za duszę tego, który pierwszy odejdzie. Gdy nastał pokój, nigdy więcej o tym nie myślałem. Byłem pewny, że odejdę przed tobą! No i masz...

Nagle wpada w gniew:

- ...nieładnie, że mi coś takiego zrobiłeś!... Odejść tak sobie, ot, po prostu, i zostawić mnie samiuśkiego!... Z kim to ja się teraz będę sprzeczał? Co? Możesz mi powiedzieć?

Jego złość nie trwa długo. Smutek bierze górę. Tłumaczy łagodnie:

- U nas nie nosi się kwiatów na groby, ofiarowuje się kamyk. Powiedziałaś mi kiedyś: „Samuelu, nie martw się, jeśli odejdiesz pierwszy, przyniosę ci kamyk z naszych winnic.” Ale tobie też się należy kamyk z naszych winnic! Spójrz, spodoba ci się!

Z marynarki wyjmuje moreniczny kamyk i pokazuje:

- ...podniosłem go spod szczepu winnego, dziś rano. Jest stary, tak stary, że myślę, iż jest starszy od Abrahama. Daję ci go.

Kładzie kamień na grobie, zamyka oczy, skupia się i poddaje się rytmowi i kołysaniu modlitwy za zmarłych, by Pan obdarzył swą łaską duszę jego przyjaciela.

*- ...by została przyjęta do grona Nieśmiertelnych i złączona z duszami świętych patriarchów Abrahama, Izaaka i Jakuba, naszych pobożnych matek Sary, Rebeki, Racheli i Lei, i duszami wszystkich pozostałych Sprawiedliwych, którzy cieszą się wiekiową szczęśliwością. Amen.*

\*

Estelle chciała spędzić ostatnią noc przy fontannie.

Wszyscy się do niej przyłączyli.

Czuwanie towarzyszy broni pod nieprzetłumaczalną dewizą wrytą w sercu każdego z nich.

Było zimno i chłopcy rozpalili ognisko na gołej ziemi.

Zorganizowali się, biwakowali jak na wojnie. Pies ułożył się przy ogniu, nieco



zdziwiony. Zasnął równocześnie z malcami.

- Czy jutro to nie będzie dla nich zbyt przykre? - pyta Carla ściszym głosem, pokazując ich Amélie.

- Chciałam, żeby byli... Rozumiesz, kiedyś mieliby mi za złe...

Carla przytakuje w milczeniu. Amélie ma rację. Nigdy nie należy ograbić dziecka z pewnych przeżyć. Nawet przykrych.

Zwłaszcza smutnych.

Jutro będzie już po wszystkim.

Estelle nie chce przyjąć tego do wiadomości.

Wbrew wszystkiemu, jest ufna.

Zrobiła szaleńczy, absolutny zakład.

Odmówiła wystawienia mebli z domu. Nie wyniosła z niego ani jednego przedmiotu. Ani Donny Bianki, ani *Przynoszę szczęście*, ani czosnkowego pierścionka!

Niczego.

Gdyby zgodziła się złożyć najcenniejsze przedmioty w bezpiecznym miejscu, oznaczałoby to zgodę na najgorsze.

Nigdy.

Niebawem wstanie dzień. Siedzące na gałęziach oliwnych drzew ptaki ze zdziwieniem obserwują, co też tam robią ci ludzie siedzący w mgle, wokół przygasającego ognia, w porze, gdy zazwyczaj jeszcze śpią.

Coś drgnęło w lesie?... Już?... Ziemia drży...

W nocy Wszystkowiedzący wyczuwa wibracje i unosi swój piękny łeb. Jego rozdwojony język smakuje powietrze sanktuarium. Potem zaskroniec zaczyna wic się, jak w powolnej, zimnej pieszczocie, oplatając się wokół wygładzonego marmuru posągu.

Niebawem stąd odejdzie.

Spokojny. Wie, że do Estelle dotarło wreszcie przesłanie z Via Agrippa.

Więc może odejść.

Żywy naszyjnik uwalnia doskonałą szyć posągu, by oddać miejsce Życiu i Światłu.

Wszystkowiedzący ześlizguje się na ziemię, w rumowisku kamieni odnajduje szczelinę, którą tutaj wniknął pośród chłodu zimy. Wydostaje się na powierzchnię...

Pogodny, przygniata trawy brzuchem białym jak porcelana. Wyrusza na wakacje, lato spędzi na usypisku.

Kości zostały rzucone.

Przepowiednia powraca do źródła.

- Są! - mówi Luc.

Lecz ludzie, którzy wychodzą z lasu, nie przybyli tutaj, by przypuścić szturm na „Oliwki”.

Ludzie, którzy wyszli z lasu, przybyli im z pomocą, na ratunek.

Samuel, Romain, Antonin z żoną, Augustin, nauczyciel. I tylu innych, których nazwisk Estelle nigdy nawet nie znała.

Niektórzy przywdziali żałobny strój z poprzedniego dnia. Posuwali się w milczeniu, z surowym obliczem. Pośród nich Ali i Mohammed przybyli z Cavaillon. Podobnie jak Błaïd włożyli djellaby i przypięli odznaczenia jak na oficjalną ceremonię. Na końcu widać Zitę z Cyganem i Jujubem.

To biedacy. Niczego nie mają. Lecz nie muszą posiadać ziemi, by do nich należała. Oni ją kochają.

Obszerne szaty Arabów nadają zgromadzeniu religijny ton. Wyglądają, jakby bronili sanktuarium.

Przyjechali też sąsiedzi z okolicy i ujmują teraz dłonie Estelle w swoje pełne odcisków ręce ludzi, którzy uprawiają winnice.

- Wiemy, że masz córkę i zięcia, Estelle, ale gdybyś miała jakiś kłopot z mieszkaniem albo z przechowaniem mebli, nasz dom jest wielki...

Anarchista, zadziorny, trzyma się z boku.

Przyszła cała okolica.

Przy wjeździe do posiadłości widzieli tablice, buldożery, koparki.

Tam wszyscy są w kaskach, długich butach, zdecydowani. Flaga Cykad-Landu powiewa nad lasem jak nad podbitą ziemią. Są nawet żandarmi, wcale nie wyglądają, jak by przyjechali na wesele, biada! Żandarmi, którzy są tutaj, by pilnować porządku i przestrzegania prawa.

A przede wszystkim jest Marceau.

Marceau jest czujny. Jego twarz jest jak rytualnie obmyte ciało przed zbliżającą się nieuchronną wielką chwilą. Widać podniecenie przed walką.

Estelle też jest czujna. Patrzy z napięciem na drzewa, które zasłaniają jeszcze najeźdźców.

- Biada temu, co tknie drzewa! - krzyczy Jujube. - Od żelaza zginie!

- Wiesz - mówi Sarjjuel, podchodząc do Estelle - nie wziąłem strzelby tylko dlatego,

że mnie o to prosiłaś!

Dziękuję mu i idzie do mężczyzn, którzy zajmują miejsca w alei, by stworzyć front.

- A ja? - pyta Marius.

- Za mały jesteś - mówi mu Antoine - idź do drugiego rzędu!

- Z babami? - wrzeszczy Marius, a łzy wściekłości napływają mu do oczu. - To niesprawiedliwe!

Nikt mu nie odpowiada. Buldożery zbliżają się, pilotowane przez czterech żandarmów jadących na czele konwoju.

Kruchy szaniec z ludzkich ciał zwiera szeregi.

Estelle nawet nie drgnie. Czeka w pierwszym rzędzie. Spokojna.

Huk buldożerów staje się coraz bardziej ogłuszający. Żandarmi parkują samochód na poboczu i zostawiają wolny przejazd maszynom. Jakies dziesięć metrów przed żywym murem pierwszy buldożer zatrzymuje się. Kierowca, nie wiedząc, co ma robić wobec tych ubranych na czarno ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci, odwraca się do dwóch żandarmów, którzy podchodzą do nieruchomej grupy. Nie objawiają żadnej agresywności, lecz widok mundurów rozdrażnia Jujube'a, który wyskakuje na pierwszą linię i zaczyna krzyczeć:

- Za mną, Prowansjo! Nie przejdą! Stać!

Bez cienia brutalności jeden z żandarmów ujmuje go za ramię i próbuje odciągnąć.

- No, Jujube, chodźże stąd... Przeszkadzasz.

- Na pohybel Simonowi de Montfort!

Jujube jest w swoim żywiole, zaczyna śpiewać:

- *Cześć! Cześć wam*

*Dzielni żołnierze z siedemnastego...\**

Wtrąca się Antonin.

- Nie róbcie mu nic złego! On nie jest niczemu winny!

- Jujube przynosi szczęście! To święty! - mówi Amélie. - On jest nawiedzony.

- Macie odwagę podnieść rękę na bezbronnych obywateli? - pyta Samuel.

Żandarm wolałby być gdzie indziej.

- Niech wam się nie wydaje, że ja tutaj z radości serca! Bądźcie rozsądni! Rozejdźcie się po dobroci!... Inaczej przyjadą żandarmi, którzy was nie znają, nie będą się patyczkować...

---

\* Sławny refren śpiewany w czerwcu 1907 roku podczas rewolty producentów wina na Południu Francji.

- To niby szarpanie takiego *pauro nesci* jak Jujube, to ty nazywasz patyczkowaniem się? - pyta Amélie.

Żandarm jest zrozpaczony. Zwraca się do Estelle, zdejmując kepi, ociera z potu czoło.

- Pani Laborie! Bardzo panią proszę!... Niech pani im powie, żeby przepuścili...

*- Raz, Dwa! Południe powstaje!*

*Wszystko czerwone się staje!*

grzmi donośny, wspaniały głos Anarchisty.

*- Raz, dwa! Śmiejemy im się w nos!*

podejmuje pieśń Jujube.

- Proszę mi wierzyć, że bardzo mnie smuci to, co się pani przydarzyło - biadoli żandarm - ale, niechże mnie pani zrozumie, pani Laborie... Pani nie jest już u siebie!

- Ano nie! - mówi Marceau, który dotychczas milczał.

Estelle odrywa się od pierwszej linii i idzie w jego stronę.

- Szybko otrząśnięś się z żałoby, Marceau!

- To kwestia wprawy, Estelle! - odparł bez uśmiechu.

Następnie odwrócił się i skinął do obsługującego buldożer, by zaczął.

Kierujący maszyną podejmuje przerwana pracę.

Estelle, która obawia się, że może dojść do wypadku, biegnie do swoich i prosi, by się cofnęli.

- Odsuńcie się! - krzyczy.

Buldożer przejeżdża o kilka centymetrów od grupy, bardzo szybko naciera na mur i kratę przy wjeździe, bez trudu je rozbija.

Krzyki, a potem już nic. Tym razem wszyscy wierzą. Jest to początek zagłady „Oliwek”.

Pośród pełnego grozy milczenia, pośród płaczu dzieci, z którymi mieszają się skargi Jujube'a. Można by rzec, że dom woła o ratunek.

Zebrani są nazbyt przerażeni, by dostrzegać coś poza tą górą zwalonych kamieni. Nie zdawali sobie nawet sprawy, że drugi buldożer sunął, nie napotykając żadnych przeszkód, aż do zabudowań gospodarczych.

Estelle nie rusza się z miejsca. Raphaël też nie. Patrzą na powiększającą się w murze szczerbę, ranę ściany...

Nagle ich uwagę zwraca wołanie. Zdaje się, druga maszyna napotkała jakieś trudności.

Kierowca wymachuje z daleka i krzyczy po portugalsku, by przysłali mu pomoc.

Buldożer zapadł się i zawisł w stanie niepewnej równowagi na krawędzi uskoku, który niewyraźnie widać z daleka.

Na ustach Raphaëla pojawia się uśmiech.

Zanim się zbliżył do miejsca, już wiedział!

Spogląda na Marceau. Marceau zrozumiał również.

Robotnicy z budowy śpieszą z pomocą koledze. Zdają się poruszeni tym, co ujawniło się pod buldożerem.

Raphaël podchodzi do tego, co jest jedynie cienką rozpadliną w ziemi... akurat dość szeroką, by prześliznął się przez nią wąż... ale która odsłania teraz Piękność śpiącą tutaj od blisko dwu tysięcy lat.

Z bijącym sercem Raphaël pochyła się nad nią pomimo krzyków robotników, którzy obawiają się, że maszyna może bardziej jeszcze się zapaść i pociągnąć go za sobą.

Nie słyszy niczego, zaś to, co odkrywa w półmroku, wywołuje najsilniejsze wzruszenie w jego życiu badacza przeszłości.

Z jamy, którą przenika teraz stopniowo światło dnia, jakby przeganiało jakieś mgliste cienie, uśmiecha się do niego kobieta z marmuru.

- Popatrz - zwraca się do Estelle, która podeszła do niego - popatrz: Piękna Rzymianka...

\*

Jechał przez winnice, mijał miasteczka i wioski, przecinał pejzaże, niczego nie dostrzegając. Widział jedynie swoją porażkę i fatalizm, który mu wiernie towarzyszył od zawsze.

Stało się najgorsze. Jedyna rzecz, która mogła uratować Estelle i „Oliwki”.

Piękna Rzymianka.

Teraz było mu wszystko jedno...

Wolałby po prostu nigdy się nie narodzić.

Zbliżając się do Rochegude, zastanowił się chwilę, co się stanie z Zamkiem Diabła.

Zresztą to też było obojętne.

Zatrzymując się na podwórku, idąc po schodach, pchając drzwi swego gabinetu, cieszył się, że nie cierpi na myśl, że wszystko stracił. Wszystko było mu obojętne.

- ...Mama?

Stała pośrodku gabinetu. W płaszczu, w kapeluszu na głowie i z torebką w ręku, ubrana „wizytowo”. Marguerite czekała na niego.

Cóż ona tu robi? Jak dawno przyjechała? Dlaczego spoglądała na niego tak chłodno? Tak patrzy się na kogoś obcego...

- Dziś rano, o świcie, policjanci przyszli do domu i aresztowali twojego brata... Został ranny, gdyż usiłował uciekać... jest oskarżony o morderstwo... o podwójne morderstwo. Co się stało? Pierre, kimże ty jesteś? I dlaczego nad nim nie czuwałeś? Tak cię kochaliśmy, twój ojciec i ja! Dlaczego się zmieniłeś?

Marceau chciałby wziąć ją za rękę, ucałować... Nie ma odwagi zbliżyć się. Mówi tylko:

- Ja też tak was kochałem... Nic nie mieliście, a odmawialiście sobie wszystkiego dla mnie. Wiem, że nie mieliście pieniędzy...

Marguerite waha się, przyrzekła Emile'owi, że będzie milczeć, ale prawda musi zostać wyjawiona.

- Twój ojciec kazał mi przysiąc, że zachowam milczenie, ale jest jedna rzecz, którą muszę ci wyznać... Trzy miesiące po tym, jak cię przygarnęliśmy, zaczęliśmy dostawać przekazy pocztowe... aż do twoich osiemnastych urodzin. Co miesiąc... Większą część odkładaliśmy, a kiedy poszedłeś na studia, te pieniądze ci służyły...

Marceau pobałdł.

- Ale kto przysyłał te przekazy?

- Nie było nazwiska nadawcy. Nie staraliśmy się go poznać... Baliśmy się, że ktoś może zechcieć cię zabrać, rozumiesz. Tak bardzo cię kochaliśmy! Ale przekazy zawsze wysyłano z Awinionu...

Z Awinionu?... Któż to mówił, że najgorsze nie jest nigdy pewne? Musi usiąść. Lecz Marguerite jeszcze nie skończyła.

- Powiedz mi... o Robercie... Muszę wiedzieć... Czy on popełnił tę zbrodnię?...

Marceau podnosi na nią oczy pełne łez. Kiwa tylko głową i dodaje:

- ...ale to przeze mnie.

Jakaż cisza...

- Żegnaj, mój maleńki.

Marguerite wyszła, nie spojrzawszy nawet na Marceau, który został nieruchomy w fotelu.

Od jak dawna nosi żałobę? Po ilu ojcach i po ilu matkach jest sierotą?

Po długiej chwili wstaje, podchodzi do biurka i zaczyna pisać.

*Estelle,*

*Piszę do ciebie z głębi nocy. Tej nocy, jaką powoli tkalem wokół siebie, poczynając od zamku Rochegude. Gdy byłem bardzo młody, uwierzyłem, że poznałem granice smutku. Smutek jednak nie zna granic. A ja nie mam żadnego usprawiedliwienia... Chciałem zniszczyć „Oliwki”, chciałem zniszczyć twoją rodzinę.*

*Naszą rodzinę.*

*Przygotowywałem zemstę, a zemsta ta zniszczyła mnie. Lecz pomijając to, jestem przekonany, iż to ja, poprzez moją wolę zniszczenia, to ja uratowałem „Oliwki”.*

*Mylę się: razem je uratowaliśmy. Nie miej mi tego za złe, jeśli ci powiem, że sama nie mogłabyś uczynić z „Oliwek” tego, czym dopiero teraz się staną. To nasza walka sprawiła, że się odrodzą.*

*Klątwa została zdjęta, zabieram ją ze sobą.*

*Honor zostanie oddany „Oliwkom” i winu.*

*Kiedy myślę o tym straconym czasie, gdy cię kochałem na opak, gdy cię nienawidziłem, nie wiedząc, że nienawidzę własnej krwi... ileż zmarnowanego, zniszczonego szczęścia!*

*Wyrządziłem ci zbyt wiele zła, zadałem ci zbyt dużo bólu, byś mogła mi przebaczyć. Mireille i Jules zginęli przeze mnie. Dlatego właśnie postanowiłem odejść.*

*Nie proszę cię o wybaczenie, proszę cię jedynie, byś czasem pomyślała o dziecku, jakim byłem. O oczarowaniu, jakie dzieliliśmy u zarania życia...*

*Kochaj „Oliwki”. Za mnie też... i za naszego ojca.*

*Estelle, siostrze moja, małżeństwo może się rozejść, można przestać być kochankami, lecz bratem i siostrą jest się na wieczność...*

*Nie ma czasu przeczytać, co napisał.*

*Zaraz po niego przyjdą.*

*Nie chce, by go zastali.*

*Musi wyjechać.*

*Nie dlatego, żeby umknąć przed wymiarem Sprawiedliwości, lecz by wyjść jej naprzeciw.*

*Nim opuścił Rochegude, podpisał list swoim imieniem:*

*Marceau.*

Rodan w całym swym majestacie.

Królewska Rzeka, Boska Rzeka, świadek ludzkiego nieszczęścia, toczy swe wody do morza. Ciężko mu pod brzemieniem tego, co wie, ciężko mu od tych wszystkich dusz, co się w nim zgubiły.

Dziwny spokój ogarnął Marceau, gdy ujrzał Rodan z daleka.

Wiedział, dokąd zmierzał, znał miejsce. Ojciec przyprowadził go kiedyś tutaj w dzieciństwie z siostrą... Było to jedno z nielicznych wzniesień, które stromo górują nad rzeką. Zostawił samochód trochę wcześniej, nad wodą, wszedł stromą ścieżką wzdłuż urwiska. Kamienie staczały się spod jego stóp, niebo było czyste, ziemia pachniała tymiankiem i dziką lawendą.

Cóż za piękny koniec tragedii - w słońcu!

Gdy dotarł na szczyt, objął pejzaż spojrzeniem. „Popatrzcie, dzieci! Popatrzcie, jaki jest piękny!” Potem wolno podszedł nad brzeg przepaści. Wesoły dźwięk dzwoneczków i pobekiwania sprawiły, że zatrzymał się i odwrócił.

Chłopczyk około dziesięciu lat prowadził stadko kóz poprzez trawy i skały. Chłopczyk, który przypominał dawnego Marceau, z *niegdyś*. Marceau z czasów niewinności.

Mężczyzna i chłopiec popatrzeli na siebie.

Dziecko uśmiechnęło się, a mężczyzna się modlił:

„By nikt nigdy nie zawiódł nadziei tego dziecka...”

To była ostatnia ważna sprawa, prawda?

Jedna koza zgubiła się, schowała za kłujący krzak jałowca. Marceau patrzył, jak małe pobiegnęły jej szukać, wymachując gałązką z drzewa oliwnego.

Dziecko powróciło z kozą, dumne, że poszczyci się swym zwycięstwem.

Szuka wzrokiem mężczyzny, którego dopiero co tu widziało...

Lecz wzgórze jest puste.



# Antistia Sappia Quintilla

Ventoux patrzy.

Święta góra, Ventoux, schronienie dzikich wiatrów i bojowników o Wolność, z wysokości swoich blisko dwóch tysięcy metrów patrzy na swój piękny, zielony ogród - Prowansję.

Liczy swoje owocowe sady, pola lawendy, winnice i lasy o srebrzystym, oliwkowym listowiu. Wdycha zapach przyrody. Przygląda się ludziom. I wgląda w ludzkie serca.

Jego wzrok spoczął na Pałacu pod Oliwkami.

*Lis Óulivié de Sauveterre.*

Gdyż ziemia ta, kiedyś w niebezpieczeństwie, została uratowana.

I patrzy na kobietę, która tak walczyła, kruchą wobec sił pieniądza, wobec potęgi zła i zniszczenia, na tę kobietę, która jednak wygrała, i zdziwiona, duma teraz nad swym wskrzeszonym królestwem z wdzięcznością pełną zachwyty.

Widzi tam Raphaëla i Luka na terenie wykopaliska pośród mozaik i płaskorzeźb, gdzie niebawem Antistia Sappia Quintilla przyjmie pierwszych gości. Uśmiech Pięknej Rzymianki jest już sławny. Estelle przygląda się swoim bliskim, zebranych wokół fontanny na tradycyjny piknik, który odbędzie się tutaj wieczorem.

- Mamo, dzisiaj niczym się nie zajmujesz! Dziś wieczorem to my cię podejmujemy! Nie masz prawa nawet pomagać! Ty jesteś gościem!

Usłuchała i poszła przejść się do oliwnego zagajnika. Skłoniła głowę na pień praojca i powróciły jej siły.

- Będę sadzić nowe sadzonki - zwierza się staremu drzewu. - Zasadzimy nowy las i młodą winną latorośl...

Niesiony wieczornym wiatrem dochodzi do niej barbarzyński, ostry zapach pieczonego na rożnie barana.

Ali i Mohammed będą teraz pracować w posiadłości razem z Blaïdem.

A gdy nadejdzie Boże Narodzenie, zasiądą licznie jak niegdyś przy stole, nim wrzucą do kominka *cacho-fiò*.

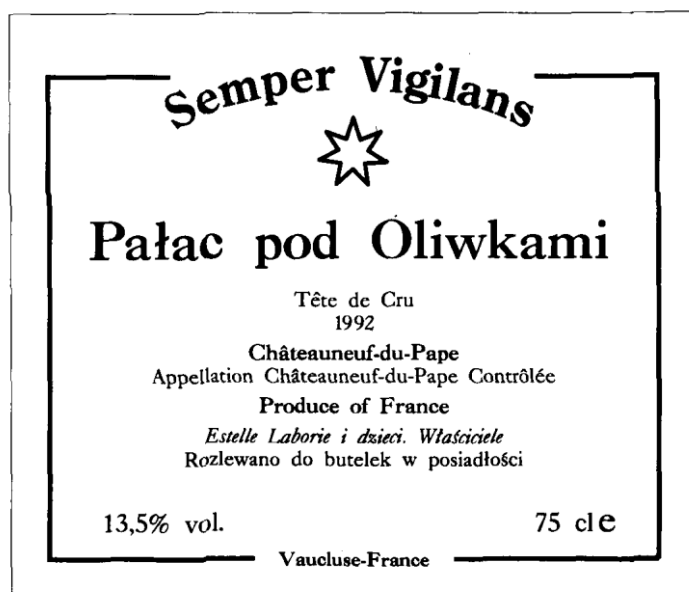
- Mamo! Mamo!... Estelle!... Do stołu!

Czekają na nią z minami konspiratorów i kiedy staje przed nimi, Jean-Edmond podchodzi do niej z uroczystą miną i podaje jej butelkę.

Butelkę ozdobioną rysunkiem tiary i kluczy świętego Piotra. Butelkę châteauneuf-du-pape.

Wino z piwnic rodu Laborie powraca do równych sobie po trzydziestu pięciu latach wygnania.

Są tak wzruszeni, że nikt się nie odzywa. Patrzą na nalepkę.



- Najwyższy był już czas, by to wino odzyskało swoje prawa, Estelle - powiedział Jean-Edmond. - Stało się to faktem.

Antoine zdziwił się:

- Coś takiego, nie mówisz już „moja matko”? Ja przy podobnej okazji tak powiedziałbym.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Jean-Edmond. I każdy znowu był sobą. Usiedli na stopniach wokół fontanny albo na trawie, w cieniu oliwnych drzew, podsuwają talerze i kieliszki, dostają smażone bakłażany, gorące kawałki aromatycznego mięsa, pajdy domowego chleba, pałaszują, chwają, śmieją się... szczęśliwi.

- Wszystko w porządku? - pyta Raphaël, przysiadając do Estelle.

Potwierdza. Ale on nie daje się nabrać, doskonale wie, co to znaczy żyć z otwartą raną.

Wskazał jedzenie na talerzu, którego nawet nie tknęła.

- Nie jesz...

- Nie, za to piję! - replikuje, wznosząc kieliszek.

Potem poprosiła o ciszę, a oni dobrze wiedzieli dlaczego. Wszyscy stali, gdy powiedziała:

- Pamięci Julesa Campredona...

Słysząc było tylko rozszalałe cykady, które też zdawały się oddawać hołd staremu człowiekowi.

Pierwszy usiadł wzruszony Samuel. Od śmierci Julesa przygarbił się, skurczył. Zdawał się nieobecny, obojętny na otoczenie, smutny jak wół roboczy, który stracił brata z zaprzęgu.

Sophie przysiadła obok niego, ujęła jego dłonie, szepnęła mu kilka słów na ucho. I nagle Samuel jakby uległ jakiemuś przeobrażeniu.

- Jesteś pewna? - spytał.

Twierdząco pokiwała głową i Samuel ogłosił nowinę rodzinie.

Sophie i Antoine będą mieli dziecko.

Pośród okrzyków radości i ucałowań, Estelle przyjęła ten dar niebios prosto w serce. Pamiętała noc myszki, kiedy młoda kobieta z nią spała. Tamtej nocy, pogrążona w smutku, wiedziała, że tylko Antoine będzie mógł uratować Sophie.

I Sophie jest uratowana.

Życie toczy się dalej, a ta najdelikatniejsza da nowe życie.

- Czy wiesz, co zrobiłaś? - pyta Raphaël, przytulając Estelle. - Czy wiesz, co zrobiłaś, gdy usłyszałaś nowinę? Popatrzyłaś na dom! Widziałem, jak mu donosisz o dziecku!

- Oczywiście! - rzekła.

- No, ale chociaż - wykrzyknęła Amélie, która najpierw rozszlochała się z radości, a zaraz potem nie mogła powstrzymać poirytowania. - No, ale chociaż moglibyście tak się pobrać, wszyscy jak tu jesteście? Rémy i Carla, Raphaël i Estelle, no i wy, młodzi, bo co gorsza będziecie mieli dziecko! Co to za małżeństwa na niby. To źle rokuje! Gdyby twój biedny ojciec to widział! - wzdycha, zwracając się do Estelle.

Znowu się roześmieli. Nawet Estelle.

Jej biedny ojciec... Czegóż to on nie widział, sam nie doświadczył. Amélie, gdybyś ty wiedziała to, co ja wiem!

Zawsze wierzymy, że ci, którzy żyli przed nami, byli mądrzy i mogą świecić przykładem. A tymczasem byli tacy sami jak my, kobiety i mężczyźni i takie będą nasze dzieci...

Takie będzie też to maleństwo, co się dopiero narodzi.

Ludzka istota.

Rémy wstaje, wzruszony, że zostanie dziadkiem.

- Proponuję, by mężczyźni ruszyli za mną do piwniczki i pomogli mi wyszukać jakąś rzadszą butelkę! Musiały przecież zostać ukryte pod kurzem stuleci jakieś wielkie roczniki, które na nas czekają!

Patrzyła jak Rémy, Raphaël, Jean-Edmond, Antoine i Luc ruszyli do domu. Została z kobietami, dziećmi, Nourem i Meitchant-peù, z Samuelem. Arabowie poszli przyrządzić herbatę z mięty. Niebawem świerszcze zastąpią cykady i zagrają nocną symfonię.

Samuel bierze ją za rękę.

- Wiesz, Estelle, chcę żyć! Nie odejdę przed narodzinami malca! Chcę go poznać! Jules byłby taki szczęśliwy!

Głos mu drży, a ona mocno ściska dłoń starego człowieka.

*Lou segne-grand*. Patriarcha. To on jest przodkiem. On, strażnik Pamięci. On, Żyd prowansalski wywodzący się od *sire* Mardocheusza, króla lekarzy.

- Pamiętasz, co ci powiedzieliśmy z Julesem w dniu, kiedy traciłaś nadzieję?

- Bóg nie zsyła nigdy choroby bez lekarstwa...

- I cóż, twoim lekarstwem jest Raphaël. Dla Sophie Antoine, a dla „Oliwek”... lekarstwem jesteś.

- Samuel ma rację - mówi Philippine. - Gdyby nie twoja odwaga, wszystko by...

Wskazała na otaczający ich pejzaż i przyklękła u stóp matki.

- Nadal nie wiadomo, co się stało z przedsiębiorcą budowlanym? - pyta Carla.

- Nigdy się nie dowiemy - mówi Sophie. - A zresztą, po co to nam? Któż chciałby wiedzieć?

- Po tych wszystkich krzywdach, jakie nam wyrządził - dodaje Amélie.

Nadleciał lekki wiatr, cudowny zefir muska twarze...

Jaki spokój!

Estelle podnosi się, mówiąc:

- Zobaczę, co oni tam robią w piwnicy...

Nie było to jednak prawdą.

Czuła potrzebę, by zostać sama. Jak za każdym razem, gdy myślała o Marceau, też o Julesie, o Mireille.

Mrok stopniowo otaczał pałac, lecz Estelle z zamkniętymi oczami odnajdywała drogę, która wiodła do szopy, gdzie znaleziska Raphaëla czekały na chwilę, gdy powrócą do odrestaurowanego atrium.

Usłyszała, jak dzieci krzyczą:

- Spadające gwiazdy!

Przystanąła, spojrzała w niebo i podziękowała tej, która czuwała nad „Oliwkami”.

Ogarnęło ją uczucie bolesnego szczęścia rekonwalescentki zdziwionej, że wyzdrowiała.

W pamięci wracają znowu zdania z listu Marceau.

Nikt się nigdy nie dowie, że był jej bratem. To jej tajemnica, której będzie zazdrośnie strzegła.

Chociaż... jeśli dożyje późnej starości, jeśli będzie żyła długo, długo, i gdy się poczuje bliska przejścia na tamten świat, gdy już będzie wiedziała, że przekroczy granicę pomiędzy światem żywym a królestwem duchów, wówczas być może weźmie za rękę swoją wnuczkę... czy może swoją prawnuczkę? Kto wie? Młoda kobieta z włosami wróżki pochyli się nad nią z czułością, by słuchać jej słabego głosu. Wtedy wszystko jej powie.

Wyjawi jej straszliwą tajemnicę, tak ciężką do udźwignięcia.

Czyż kobiety nie są stworzone do noszenia brzemienia?

Niczego przed nią nie zatai. Ani błędu, ani zdrady, ani łez, ani zemsty. Ani śmierci Julesa. Ani śmierci Mireille.

Opowie jej też o pięknej miłości dwojga niewinnych dzieci. A na koniec swej opowieści będzie mogła zasnąć i pokonując czas połączyć się z uśmiechem Antistii Sappii Quintilli.

Spokojna, że córka z jej krwi niekiedy pomyśli o Marceau.

Bez nienawiści.

\*

- Estelle!

Wzywają ją.

Rodzina zgromadzona wokół fontanny w kręgu światła wypatruje jej w mroku.

A ona patrzy na ten wyraźny i ponadczasowy obraz swoich bliskich. Można by rzec, że namalowano go do galerii portretów.

Są tutaj od zawsze.

Zawsze tłoczyli oliwę i wytwarzali wino.

- Estelle!

Pobiegła do nich.

# **UROKI POŁUDNIA**

*Galant leitour* - wdzięczny czytelniku, zwykł mawiać Fryderyk Mistral zwracając się do swych czytelników, *galant leitour*, ciężko mi się z tobą rozstawać...

To królestwo Ducha Fantastycznego, Rodanu, Cykad, Winnic i Gajów Oliwnych, dokąd was zawiodłam śladami Estelle, to królestwo, którego drzwi nie powinny się przed wami zamknąć.

Chcę, byście mogli się w nim swobodnie poruszać w promieniach świętego Słońca.

Byście się tu czuli jak u siebie.

Nawet jeśli urodziliście się w Tourcoing, Mulhouse czy Morlaix. Nawet jeśli urodziliście się w Clydebank, Kyoto czy w Wieliczce.

Południe Francji stoi przed wami otworem.

Latem ubiegłego roku pasterze w Kamardze powiedzieli mi, że z przyjemnością słuchali, jak Alzaccyzy mówili swoim dialektem w *Mężu pani ambasador*\*.

„Bo to głos Wielkiej Francji” - dodał jeden z nich.

Ta Wielka Francja, tak droga Mistralowi, istnieje wszędzie tam, gdzie korzenie sięgają głęboko w ziemię.

Należy do każdego, kto ją zechce pokochać.

Dlatego że: *Hinter de Berge sin oj Lit.*\*\*

Widzicie, ja, córa Rodanu, Cévennesów i Słońca, zwracam się do was w dialekcie alzackim, by was powitać w moim kraju! Gdyż za każdą górą ludzie żyją na swój własny sposób i to coś wspaniałego zaskoczyć ich, to coś wspaniałego odkrywać ich *pryzmat życia*, jak mawiano w cywilizacji rzymskiej dachówki.

Pomyślałam sobie, że bardzo prosty przewodnik pozwoli wam spojrzeć przez ów *pryzmat życia*.

Wymienię w nim kilku autorów, kilka tytułów, kilka charakterystycznych wyrażen. Opowiem wam o naszych pamiątkach, o naszych pomnikach... lista nie będzie wyczerpująca, to by popsuło przyjemność odkrywania.

---

\* *Le Mari de l'Ambassadeur* powieść Frédérique Hébrard.

\*\* (Z alzac.) Za górami też żyją ludzie.

Na użytek najbardziej łakomych (*gourmandas*) dorzucę spis nazw kilku potraw przyrządzanych przez Babunię...

Ale o winie nie będzie mowy.

Ani słowa. Ani kropli informacji o winach! Muszę wam przecież zostawić przyjemność odnajdywania dróg wiodących do piwnic i wystawnych czy skromnych pałaców, gdzie je będziecie smakować wraz z chwałą naszych producentów win.

Prowansję ujrzymy w blasku czasów rzymskich, antycznych, choćby po to, by sprawić przyjemność Estelle; ujrzymy ją tak wielką jak za czasów, gdy była Provincją i gdy wykładane kamiennymi płytami szlaki wiodły od Alp po Pireneje, od Morza Wewnętrznego do Morza Wolnego, od Nîmes do Galii długowłosej.

Wszędzie będziecie się czuć u siebie, w Prowansji, co śpiewa, w Langwedocji, która walczy; wciągną was farandole, turnieje, korowody kwietne, krasomówcze popisy, zaloty miłosne, cargolady i maskarady, i zobaczycie, jak się tańczy *chivau-frus*!

Zamyślicie się nad tymi, którzy żyli na tych ziemiach, jak też nad tymi, którzy zrodzili się w głowach poetów. Stwór znad zalewu Vaccarès, lawendziarka z Ventoux, cabro d'Or - Złota Kózka, która wedle lokalnych legend strzeże grotty ze skarbami ukrytymi przez Saracenów w Alpilles, i jej kuzynka, koza pana Seguin (bohaterka jednego z opowiadań z tomu „Listy z mojego młyna” A. Daudeta), Taraska smok z wód Rodanu, którego Święta Marta poprowadziła na własnym pasku, i wiele, wiele innych, jak: Tistet Vedene, Piękna Maguelone, Arlezjanka, Estérelle, Mirejo, Maurin des Maures, Jean de Florette i Manon des Sources...

Poezja rośnie jak winna latorośl nad brzegami Królewskiej Rzeki. Królestwo! Cesarstwo! Wszędzie czeka na was Południe!

A jeśli za towarzysza podróży będziecie mieć małe dziecko, weźcie je za rękę i poprowadźcie ku Duchowi Fantastycznemu... albo nie, raczej: pozwólcie mu się poprowadzić, lepiej od was potrafi znaleźć do niego drogę!

### **Kilka specjalności kuchni z kraju d'oc i d'ail**

Z pewnością zyskają państwa uznanie, jeśli je zamówicie!

#### **Oliwki**

*l'anchoyade* - pasta z anchois i oliwy z oliwek, przyprawiana octem



*la tapenade* - popularna przystawka przyrządzana z pozbawionych pestek oliwek, kaparów, tuńczyka, anchois, musztardy i oliwy, przyprawiana tymiankiem, podawana na kromkach chleba posmarowanych masłem

*les allumettes à l'anchois et au roquefort* - przystawka z ciasta francuskiego pokrajonego w niewielkie prostokąty z anchois i serem roquefort

Przejdźmy do spraw poważniejszych:

*la daube* - wołowina duszona z jarzynami i czerwonym winem

*le boeuf gardiane (Dau! Dau! Bèu jouvènt!)* - wołowina na sposób pasterski

*l'ai'oli avec sa pommade comme chez Jules* - majonez z oliwy z oliwek z dużą ilością rozartego czosnku i rozartą bazylią, jak u Julesa

*la soupe au pistou* - zupa z bazylią

*la ratatouille* - duszona w oliwie z oliwek mieszanka warzyw: pomidory, cukinia, bakłażany, papryka, czosnek, cebula

*la boullabaisse* - zupa rybna z trzech gatunków ryb, często wzbogacona skorupiakami

*l'aïgo bouhido (sauve la vie)* - zupa czosnkowa o nazwie: „gotowana woda” (życie ratuje)

*la carbonade* - zupa jarzynowa z kapustą

*la brandade, tiède comme à Nîmes* - dorsz ucierany z oliwą z oliwek i mlekiem (podawany lekko ciepły, jak w Nîmes)

*les artichauts barigoule* - młode, fioletowe kardy, duszone z dodatkiem oliwy z oliwek, cebulą i boczkiem lub wieprzowiną

*la rocamboule (civet de porcelet)* - duszone mięso z młodego prosięcia z dodatkiem grzybów, małych cebulek i wina; nazwa pochodzi od rośliny zwanej również czosnkiem lub szalotką z Hiszpanii.

*l'omelette aux truffes* - omlet z truflami

*la matelote à l'anguille* - węgorz duszony w winie

*le papeton d'aubergines avec ses cocos blancs* - zapiekane purée z bakłażanów i fasoli

*le tian d'épinards* - zapiekanka ze szpinaku; nazwa pochodzi od płaskiego, szerokiego naczynia do zapiekania

*la salade de pois chiches ou pois pointus* - sałatka z grochu lub fasoli

*les aubergines farcies, frites ou à la tomate* - faszerowane bakłażany, smażone lub w pomidorach

*les limaçons à l'ai'go-sau* - ślimaki gotowane w solonej wodzie z dodatkiem przypraw prowansalskich

*la soupe d'épeautre* - zupa jarzynowa na baraninie z kaszą

## Sery

*pèbre d'ase* - ser z mleka koziego, owczego lub krowiego (zależnie od sezonu) obsypany ziołami

*banon à la feuille* - ser z mleka koziego, owczego lub krowiego, zawijany w liść kasztanowca i związany rafią

*chèvres à l'huile d'olive* - ser kozi w oliwie

*brousse des chevrettes du Rove aux cornes mythologiques* - ser z koziego lub z owczego mleka, wytwarzany w lutym-maju

*cachat à l'eau-de-vie (dont l'odeur et le goût réveilleraient un mort!)* - twardy ser fermentujący w kamiennych naczyniach (którego zapach i smak zmarłego by obudziły)

## Desery

*les merveilles ou oreillettes poudrées de sucre* - drobne ciasteczka wycinane w różne kształty, posypywane cukrem

*les crèmes frites et brûlées* - kremy smażone i podpalane

*la tarte à la courge* - placek z dyni

*la pompe à l'huile* - placek drożdżowy z dodatkiem oliwy i zapachu pomarańczowego, tradycyjne ciasto bożonarodzeniowe, które macza się w winie

*la fougace à l'anis* - placek anyżkowy

*les rubans de marron* - wstążeczki kasztanowe

*les bordures de riz à l'ananas* - deser ryżowy z ananasem

*les beignets d'acacia* - smażone w cieście kiście kwiatów akacji, uprzednio macerowane w rumie lub koniaku z dodatkiem cukru - w wiosennej porze

## Owoce, a także słodczyce

*les fruits confits d'Apt* - kandyzowane owoce z Apt

*les nougats de Montélimar* - nugaty z Montélimar

*les berlingots de Carpentras* - twarde cukierki, najczęściej o smaku miętowym, specjalność Carpentras

*les nougats de Sault* - nugaty z Sault

*les sucres-miel d'Allauch* - miodowe lizaki z Allauch

*les calissons d'Aix* - podłużne małe ciasteczka z migdałowym nadzieniem i cienką polewą lub opłatkami na wierzchu, specjalność Aix

*les mimosas de Nice* - mimoza z Nicei, nazwa małych, żółtych cukierków podobnych do kwiatów mimozy

### Autorzy

Mistral, oczywiście.

Lecz nie należy zapominać o poezji dworskiej, takiej jaką uprawiała dama Clemence Isaure *przez krew spadkobierczyni owych królów trubadurów, owych królewskich trubadurów.*

21 maja 1854 roku, w dniu świętej Estelle, założenie Félibrige w zamku Font-Ségugne.

Siedmiu *Primadié* to: Fryderyk Mistral, Théodore Aubanel, Joseph Roumanille, Jean Brunet, Alphonse Tavan, Paul Giera, Anselme Mathieu.

Mistrala należy przeczytać w całości! Zaczynjcie od *Mirejo, Nerte, le Poème du Rhône, Calendal, Les Isles d'or, Les Olivades...*

Jednak należy też przeczytać pozostałych *Primadié*!

I takich autorów, jak: markiz de Baroncelli, Joseph d'Arbaud, Farfantello, Paul Arène, Jean Aicard, Alphonse Daudet, *chapeau bas* przed jego młynem! Félix Gras, Charloun-Rieu, Henri Bosco, Jean Giono, Marie Mauron...

W przypadku Marcela Pagnola sprawa jest równie prosta, jak z Mistralem: dobrze by było przeczytać wszystko. Od źródła do źródła, lotem skalnej kuropatwy, wyniesie on was na szczyty!

Nie zapominajcie o twórcach z drugiego brzegu. Poczawszy od Floriana i jego bajek, Reboula, Bigota, Bonnetta, Loubeta, cudownego Marka Bernarda...

No i Andre Chamson\*, który był nie tylko pisarzem francuskim, ale poetą prowansalskim. Dziękuję ci, ojcze, że nauczyłeś mnie naszego kraju. Gdybyś mnie nie wychował w kulcie świętej Estelle, moje myśli nigdy nie odnalazłyby drogi do Pałacu pod Oliwkami.

### Kilka charakterystycznych wyrażeń z Południa

Jednolity jak sabot.

Łakomy jak frytkownica.

Wyplatany słomą jak krzesło.

---

\* Ojciec Frédérique Hébrard.

Tani jak rada.

Dostojny jak nieboszczyk.

Nie jesteśmy figami z jednego koszyka...

Oczywiście znaczenie wszystkich tych wyrażeń łatwo można zrozumieć, ale czy wiecie, co to takiego:

Grzechot ślimaków? - Grzmot.

A kwiat dróg? - Rozstaje, skrzyżowanie.

A oliwa z pędów winnej latorośli? - Wino!

Czy wiecie, że gdy małe dziecko przychodzi na świat, przynosi mu się chleb, sól, jajko i zapalkę. Aby było: dobre jak chleb, mądre jak sól, pełne jak jajko, proste jak zapalka.

Przejdźcie starymi ścieżkami, którymi niegdyś pędzono owce na letni wypas, a jeśli spotkacie Dziada z Worm, nie bójcie się, Prowansja to ziemia radości, przywróci wam młodość i urodę.

Doznacie tych samych wzruszeń, co Pliniusz, Strabon, Cezar, Hannibal... Tych samych, co nasi galijscy przodkowie... i nasi trubadurzy...

Będziecie mogli czytać historię Francji w wielkiej, żywej księdze pejzaży i miasteczek.

Nie śmiem wam mówić, byście pojechali zobaczyć Maison Carrée w Nîmes, Saint-Signal na frontonie Tour Magne, Mur i łuk triumfalny w Orange, areny w Arles, Alyscamps, Antiques, most du Gard, most w Awinionie, Pałac Papieski, Pietę i fort Saint-André w Villeneuve-lez-Avignon... Przypuszczam, że znacie wszystkie te wspaniałości, przynajmniej ze słyszenia.

Pomiędzy pięknem przyrody a pięknem zabytków wybór będzie trudny!

Wreszcie, w miarę wędrowania i degustowania bez końca tego przekładańca cywilizacji z jego wierzchnią, naszą obecną, warstwą włącznie, trzeba będzie odpocząć.

I wtedy napotkacie jakiś gaj oliwny, który zawsze was przyjmie i zapewni wam spokój. Siądziecie pod błogosławionym drzewem i będzie wam dobrze. Bo nie będziecie siedzieć w cieniu, lecz w jego świetle.

*Gramaci e longo-mai, galant leitour, Diéu vous garde!*